

BIEDA I WYKLUCZENIE
Jak (nie) działa wsparcie
dla niepełnosprawnych

KOMUNIA DLA ROZWODNIKA
Episkopat łagodniejszy wobec
żyjących w nowych związkach

POLSKA PO PIS-ie
Dość rozzdzierania szat,
pora na nowe projekty

MOC CZYTANIA:
PONAD
130 STRON

Kraków 24 czerwca 2018 nr 26 (3598)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

MESSI oto człowiek

Mundial: od mesjaszów
do kozłów ofiarnych



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

W NUMERZE DODATKI:
OD SZTETLA DO SYJONU
MAGAZYN CONRAD





www.cracjazz.com

1.07 | NIEDZIELA NOWOORLEAŃSKA

12.00-16.00 | Koncerty w kawiarniach na Rynku Głównym i przed Galerią Krakowską
Beale Street Band, Jazz Band Ball Orchestra, Boba Jazz Band, Old Metropolitan Band, Swing&Sway

17.00 | Parada Nowoorleańska

18.00 | Koncert pod Ratuszem Karen Edwards (USA), Andrzej Dąbrowski, Jan Ptaszyn Wróblewski, Wojciech Karolak, Przemek Dykowski, Old Timers, Old Metropolitan Band
wstęp wolny

19.00 | KONCERTY GWIAZD

27.06 Alfredo Rodriguez Trio | Muzeum Manggha
28.06 Charles Lloyd & The Marvels & Bill Frisell | Kijów.Centrum
8.07 Take 6 | Auditorium Maximum UJ
12.07 Pharoah Sanders The Icon | Kijów.Centrum

21:30 | Harris Piano Jazz Bar

24.06 Kuba Plużek Quartet
25.06 New Bone
26.06 Ida Zalewska Trio
27.06 Jam session
28.06 NSI Quartet
29.06 Kajetan Galas Organ Spot
30.06 Orchestra Dedicated – Grobort & Cronies
1.07 Karen Edwards Trio (USA)
2.07 Karen Edwards Trio (USA)
3.07 Adam Kaworczyk Kwartet
4.07 Jam session
5.07 Piotr Wojtasik Quartet
6.07 Basque Trio feat. Andrzej Olejniczak (Hiszpania)
7.07 Strzelczyk, Rodowicz, Erenc „Chopin na strunach”
8.07 Piotr Baron Quartet
9.07 Dayna Stephens – M. Barański Quartet (USA/PL)
10.07 Jam session
11.07 AMC Trio & Peter Lipa (Słowacja)
12.07 Traditional Club Revival (Słowacja)
13.07 Ben van den Dungen Quartet (Holandia)
14.07 Noc Jazzu – Max Klezmer Band
15.07 Rose Ellis & Daan Kleijn (USA/ Holandia)
16.07 Poliana Vieira – Wojtek Justyna International Ensemble (Portugalia/Polska/Holandia)
17.07 Jacek Pelc – Maciej Sikala „Band on the Road”
18.07 Jam session
19.07 Adam Czerwiński Trio
20.07 Jerzy Małek Quintet
21.07 Mateusz Smoczyński Quintet
22.07 Stanisław Słowiński Quintet
23.07 Eskauhei & Tomasz Nowak Quartet
24.07 Keith Thompson Trio (Wielka Brytania)
25.07 Jam session
26.07 Marek Strykowski „Electric Shepard”
27.07 Michał Wierba „Body language” Trio
28.07 Adam Szabas Kowalewski Trio
29.07 Jam Experiment (Wielka Brytania)
30.07 Jam session
31.07 Igor Osypov Trio (Ukraina)
1.08 Szymon Mika feat. Ziv Ravitz (Polska/Izrael)
2.08 Łukasz Kokoszko Quartet
3.08 Zbigniew Lewandowski Quartet
4.08 Dominik Bukowski Quartet
5.08 Funk de Nite
Bilety w cenie 40 zł

Summer Jazz Festival

24.06–5.08.2018 Kraków



23
EDYCJA

KRAKOWSKIE LATO JAZZOWE

21:00 | Piec Art

1.07 RGG Trio
2.07 Dominik Wania solo
3.07 Marian Pawlik Quartet
4.07 Tubis Trio
5.07 Leszek Kułakowski Ensemble Piccolo
6.07 Mateusz Pałka Trio
7.07 Basque Trio feat. Andrzej Olejniczak (Hiszpania)
8.07 Marek Walarowski Trio
9.07 Vehemence Quartet
10.07 Mateusz Gawęda Trio
11.07 Kasia Pietrzko Trio
12.07 Aga Derlak Trio
13.07 Traditional Club Revival (Słowacja)
Bilety w cenie 30 zł

19.00 | SOLO PIANO WEEKEND Sala Złota Filharmonii Krakowskiej

6.07 Vladislav Sendecki
7.07 Piotr Orzechowski
Bilety w cenie 60 zł

20.00 | Klub Alchemia

06.07 Mikołaj Trzaska & Rafał Mazur
09.07 Jacek Kochan musiConspiracy
16.07 Pianohooligan Piotr Orzechowski - Kuba Więcek
19.07 Oleś Brothers – Antoni Gralak
24.07 Grzegorz Karnas
31.07 Bartosz Dworak „Sandwich On the Floor”
Bilety w cenie 40 zł

20.00 | MŁODA SCENA ALTERNATYWNA Pracownia Pod Baranami

28.06 Water In My Cave
5.07 Fabryka Zabawek
12.07 Director's Cat
19.07 Irek Pałac Sextet
26.07 Pola Chobot & Adam Baran
2.08 Drabek–Konieczkiewicz–Każmierski Trio
wstęp wolny

| KONCERTY EXTRA

29.06-05.08 | 21:30 | Klub u Muniaka
Gwiazdy Jazzu u Muniaka

27.07 | 20.00 | Pracownia Pod Baranami
Lazy Swingers Band

24.06-5.08 | 19.00 | Restauracja Ratuszowa
41 koncertów jazzu tradycyjnego

sobota | po 24.00 | Nocne Recitale Obscenne
Jerzego Bożyka
wstęp wolny

4.08 | 20.00 | KONCERT FINAŁOWY

Dziedziniec Pałacu pod Baranami
Bilety w cenie 80 zł

Złota setka polskiego jazzu

19.00 | Muzeum Manggha

29.06 Zbigniew Namysłowski Quintet
2.07 Jan Ptaszyn Wróblewski Sextet
5.07 Michał Urbaniak
13.07 Włodek Pawlik Trio
20.07 Leszek Możdżer Solo
23.07 Tomasz Stańko Project
31.07 Urszula Dudziak
5.08 Adam Makowicz
Bilety w cenie 80 zł

21:00 | Piwnica Pod Baranami

24.06 Terry_MenceL_Herman
25.06 Laboratorium
26.06 Hanna Banaszak Recital
27.06 Andrzej Jagodziński Trio
28.06 Grażyna Auguścik & Jarosław Bester
29.06 Marek Bałata – Piotr Matusik
30.06 Andrzej Dąbrowski & Karolak Trio
1.07 Old Metropolitan Band
2.07 JBBO & Stanley Breckenridge
3.07 Jan Ptaszyn Wróblewski Kwartet
4.07 High Definition & Igor Boxx – „Dziady”
5.07 Andrzej Olejniczak & Vladislav Sendecki
6.07 Jorgos Skolias & Dominik Wania
7.07 Krzysztof Ścierański International Trio
8.07 M.Napiórkowski Trio feat. Andrzej Olejniczak
9.07 Dorota Miśkiewicz & Marek Napiórkowski
10.07 Maciej Obara & Dominik Wania
11.07 Friends – Karolak/Baron/Napiórkowski/Dębski/Czerwiński
12.07 Wojciech Karolak Trio
13.07 Pasquale Stafano & Gianni Iorio
14.07 ACM Trio & Peter Lipa
15.07 Trio RSJA & Piotr Baron
16.07 Lora Szafran & Bogdan Hołownia
17.07 Stanisław Soyka Recital
18.07 Jose Torres & Maciej Sikala – Q Ya Vy
19.07 Krzysztof Popek Fresh Air: Nagórski/Jonkisz/Niedziela/Zielak
20.07 Atom String Quartet
21.07 Kazimierz Jonkisz Energy
22.07 Danuta Błażejczyk Tribute to Danuta Rinn
23.07 Krzesimir Dębski & Adam Palma
24.07 Włodzimierz Nahorny Trio
25.07 Henryk Miśkiewicz Trio „Lyrics”
26.07 MaBaSo – Maseli/Barański/Soltis
27.07 Boba Jazz Band
28.07 Anthimos Apostolis/PSchmidt Electric Project
29.07 Wojciech Myrcek & Paweł Tomaszewski
30.07 Aga Zaryan & Michał Tokaj
31.07 J. Skrzek/P.Piasecki/M. Dziwiński – „Stories”
1.08 Adam Bałdych & Paweł Tomaszewski
2.08 Adam Bałdych Quartet
3.08 Grzech Piotrowski Project
Bilety w cenie 60 zł



Dofinansowano ze środków Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2021 w ramach Programu Dotacyjnego „Niepodległa

bilety na koncerty: ticketmaster.pl, eventim.pl, goout.net, biletywkrakowie.pl, InfoKraków ul.św. Jana 2, ul. Karmelicka 52/1 (–10%)

KS. ADAM

Boniecki: *Moje (przedwczesne) rozczarowanie*

O CZEKIWAŁEM, PEWNIENIE NIE TYLKO JA, ŻE EPISKOPAT ogłosi wskazówki, jak postępować w przypadkach rozwiedzionych żyjących w nowym związku, skoro w posynodalnej adhortacji „Amoris laetitia” sam papież zajął się sprawą takich osób. W rozdziale ósmym podniósł znane każdemu spowiednikowi pytanie o człowieka, który znajdując się w sytuacji z kanonicznego punktu widzenia nieprawidłowej, „obiektywnie w sytuacji grzechu (...) może żyć w łasce Bożej, może kochać, a także wzrastać w życiu łaski i miłości”. Pomoc Kościoła jest w takich sytuacjach szczególnie potrzebna. Choć już sam tekst adhortacji jest jasny, papież, by uniknąć nieporozumień, dodał słynny odnośnik 151: „W pewnych przypadkach mogłaby to być także pomoc sakramentalna”, ponieważ „Eucharystia nie jest nagrodą dla doskonałych, lecz szlachetnym lekarstwem i pokarmem dla słabych”.

Żyłem nadzieją, że wreszcie nie będę musiał ludziom uwikłanym w sytuacje odgradzające ich od Eucharystii mówić (w imieniu Kościoła) tego, co było przez nich odbierane jako stwierdzenie, że sytuacja jest bez wyjścia. Wobec Boga nie ma sytuacji bez wyjścia. Oczywiście, wyjściem było życie „jak brat z siostrą”, często postrzegane jako ponad siły i ryzykowne dla związku. Powrót do sakramentalnego partnera/partnerki, zostawienie nowej rodziny jawiło się jako oczywiste zło i coś niemożliwego, zwłaszcza jeśli tamci też założyli nowe rodziny. A wobec Boga nie ma sytuacji bez wyjścia. Odpowiedzią na to było (jest) odwołanie się do „krzyża na każdy dzień”, jeśli ktoś chce iść za Nim.

Czasem czułem się jak – używając słów papieża – „kontroler łaski”. To duszpasterskie doświadczenie podsunęło Franciszkowi słowa o „zimnej moralności przy biurku w traktowaniu kwestii najbardziej delikatnych”, której przeciwstawił „rozeznawanie duszpasterskie pełne miłości miłosiernej, która zawsze gotowa jest zrozumieć, przebaczyć, towarzyszyć, czekać, a przede wszystkim włączyć”.

Spodziewałem się więc, że „Wytyczne” będą zawierały wskazania, jak mam postępować z kimś, kto będzie szukał pomocy



w „rozeznaniu”. Jak to sobie wyobrażałem? Uznana przez papieża za wzorową instrukcja biskupów Argentyny daje pewne wyobrażenie o trudnym i odpowiedzialnym zadaniu, które spada na mających towarzyszyć w dziele rozeznania duszpasterzy: „Należy unikać traktowania tej możliwości jako bezwarunkowego dopuszczenia do sakramentów, tak jakby każda sytuacja je usprawiedliwiała” – napisali biskupi, podkreślając, że „rozeznawanie dokonuje

rozróżnienia każdego przypadku z osobna”. Zalecili też szczególną uwagę tam, gdzie chodzi o postępowanie wobec dzieci i opuszczonego współmałżonka. „Gdy doszło tu do niesprawiedliwości, która nie została naprawiona, dopuszczenie do sakramentów byłoby „szczególnie gorszące”.

Papież mówi o czterech etapach drogi do sakramentów ludzi żyjących w nowych związkach: przyjąć, towarzyszyć, rozeznawać i integrować. „Wytyczne” temu ostatniemu poświęciły niewiele miejsca (pisze o nich także Artur Sporniak w dziale Wiara).

Biskupi, znając swój Kościół, nie chcieli sprawy puścić na żywioł i ryzykować, że jeden trafi na księdza legalistę-rygorystę, a drugi na dobrotliwego dyletanta. Poszukujących pomocy w rozeznaniu będzie wiele, a sprawa każdego musi być rozeznawana osobno i nie na jednym czy dwóch spotkaniach. Domyślam się, że biskupi chcą przygotować „infrastrukturę”: przygotować do tego zadania księży i zasady postępowania, które nie mogą się ograniczać do wypełnienia ankiety. Moje rozczarowanie znikło przy zakończeniu „Wytycznych”. Czytam, że postanowiono opracować nowe „Dyrektorium Duszpasterstwa Rodzin”. „W oparciu o nie można będzie przygotować diecezjalne, względnie metropolitalne instrukcje wykonawcze oraz powołać do życia ośrodki służby małżeństwu i rodzinie. Równocześnie należy wypracować program i określić kształt przygotowania księży do podejmowania drogi towarzyszenia wiernym i rozeznawania ich konkretnych sytuacji”. A dalej zdanie, które brzmi jak wyznanie win: „potrzebujemy ćwiczyć się w umiejętności słuchania”.

©P

TP

Strona Świata

AUTORSKI SERWIS WOJCIECHA JAGIELSKIEGO

Jordania, Azerbejdżan, Indie, Izrael, Malesja, Liban, Afganistan, Pakistan, Zimbabwe – o tych miejscach tylko w ciągu ostatniego miesiąca pisał na naszych łamach jeden z najwybitniejszych europejskich reporterów, pisarz, były korespondent wojenny, a od września 2017 r. – dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, Wojciech Jagielski.

Zapraszamy do śledzenia jego wpisów w autorskim serwisie Strona Świata, dostępnym bezpłatnie pod adresem: tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata



GRAŻYNA MAKARA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Dobry tydzień dyktatorów
MARCIN ŻYŁA

6–11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Meta szuka startu
MAGDALENA NOWICKA-FRANCAK:
Krytycy polskiej polityki nie chcą już rozdzierać szat nad złym PiS-em

26 Co w morzu piszczy
ADAM ROBIŃSKI o stanie Bałtyku

28 Moment wstania z kanapy
ROZMOWA Z KASIĄ GORŁO
I BARTOSZEM OLSZEWSKIM,
BIEGACZAMI-BLOGERAMI

■ ■ REPORTAŻ

32 Widok z żurawia
KRZYSZTOF STORY: *Operatorzy żurawi budowlanych pracują nawet po 14 godzin dziennie*

■ ■ WIARA

38 Za kurtyną
ARTUR SPORNIĄK: *Episkopat bardziej otwarty na komunikację dla żyjących w nowych związkach*

42 Przedwczesne odkrycie
MICHAŁ WILK: *Zagadka manuskryptu Ewangelii Marka z I wieku rozwiązana*

44 Sztuka odpuszczania sobie
JACEK PRUSAK SJ o medytacji

■ ■ ŚWIAT

46 Kijów czeka na autokefalię
TADEUSZ A. OLSZAŃSKI: *Ukraińskie prawosławie ma ostatecznie uniezależnić się od Moskwy*

50 Ustrój Erdoğan
KRZYSZTOF STRACHOTA



ZALLEY // GOOGLE

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Niewypłacalni w stopniu znacznym
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Poznajcie modelową instrukcję utrwalania biedy i wykluczenia. To polski system wsparcia osób niepełnosprawnych i ich opiekunów.

16 Sztuka walki
ROZMOWA Z JAKUBEM HARTWICHEM, UCZESTNIKIEM PROTESTU OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH:
Ci, którzy wspierali nas w 2014 roku, po dojściu do władzy zapomnieli o swoich obietnicach.

18 Z walizką na Wiejskiej
ALICJA JOCHYMEK, UCZESTNICA PROTESTU OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH:

Nie damy o sobie zapomnieć: Adrian Glinka i Kuba Hartwich będą głosem osób niepełnosprawnych, a my będziemy żądać ustalenia dla naszych dzieci minimum socjalnego. To będzie nasza wspólna misja.

■ ■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER
45 SZYMON HOŁOWNIA
61 WOJCIECH BONOWICZ
78 JAN KLATA 79 PAWEŁ BRAVO
85 STANISŁAW MANCEWICZ
85 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ ■ DODATKI SPECJALNE ■

Magazyn Conrad

Od Sztetla do Syjonu

Okładka: LEO MESSI

Fotografia: ALEXANDER SCHUHMANN / ATP / FORUM
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

52 Ktokolwiek przyjdzie, będą go okłaskiwać
PAWEŁ PIENIAŻEK:
Spór o syryjskie miasto Manbidż

55 Hiszpanie ratują migrantów
MARCIN ŻYŁA

56 Atmosfera okazjonalnie toksyczna
DARIUSZ ROSIAK: *Brytyjska lewica i postawy antyżydowskie*

■ ■ HISTORIA

58 Rewolucjonista moralny
REMIGIUSZ OKRASKA: *Sto lat temu zmarł Edward Abramowski*

■ ■ NAUKA

62 Strażnicy świętego ognia
MARCIN NAPIÓRKOWSKI:
Dlaczego moje teksty nigdy nie trafiają do działu „Nauka”?

■ ■ KULTURA

66 Monolog niewypowiedziany
GRZEGORZ BOGDAŁ o Gustawie Herlingu-Grudzińskim i „Dzienniku 1957–1958”

70 Wbrew zwątpieniom
DARIUSZ KOŚCIŃSKI: *Teatr legnicki w sensie głębokim i poważnym*

73 Sztuka nowego świata
PIOTR KOŚCIEWSKI o berlińskim Biennale Sztuki Współczesnej

76 Dezorientacja kota
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „W cieniu drzewa”

77 Warto zobaczyć w TV

78 Mała wielka książka
LEKTOR o „Ciele wędrownym”

■ ■ ZMYŚŁY

80 Oto człowiek
MICHAŁ OKOŃSKI: *Celebryta? Multimilioner? Stup reklamowy? Zanim osądzicie – spieszcie się kochać Leo Messiego*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Tabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Michał Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwił-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Lubiński, Szymon
Lucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Nocui, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena
Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa
Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredacja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad
Graphics

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



DOBRY TYDZIEŃ DYKTATORÓW

Niech nas nie zwiodą ich uśmiechy. Kim Dzong Un i niektórzy goście mundialu są oskarżani o najcięższe naruszenia praw człowieka.

MARCIN ŻYŁA

OD POZUJĄCEGO DO ZDJĘĆ W SINGAPURZE Kim Dzong Una po Władimira Putina i saudyjskiego księcia Salmana, kibicujących swoim drużynom podczas otwarcia mundialu na moskiewskich Łuźnikach – pod względem wizerunku minione dni były bardzo udane dla przywódców oskarżanych o najcięższe zbrodnie. Wyraźnie z siebie zadowoleni, nobilitowani obecnością na żywo w CNN i BBC, sprawiali wręcz wrażenie, że nieźle się bawią.

A świat bawił się z nimi: Kim Dzong Un – człowiek, który nie ma skrupułów przed zleceniem zabójstwa członka własnej rodziny i nadzoruje najbardziej represyjny aparat państwa na świecie – stał się bohaterem memów, bo przecież „napiecie wokół Korei najlepiej rozła-

dować z humorem”. Niektóre media traktowały dyktatora jak celebrytę; pisały o jego hobby, gustach kulinarnych... Podczas spotkania w Singapurze on i Donald Trump wyglądali jak sojusznicy – i nie ma w tym nic złego tak długo, jak dyplomacja będzie służyć realizacji wyższych celów (tu: oddaleniu groźby wojny nuklearnej). Nie zmienia to faktu, że obserwowanie momentu, gdy zarówno dyktator, jak i demokratycznie wybrany prezydent jednocześnie udają, że nie słyszą pytania dziennikarza o Otto Warmbiera, amerykańskiego studenta, który zmarł w 2017 r. po wypuszczeniu z koreańskiego obozu pracy – pozostawia niesmak.

Przypomnijmy więc krótko: w Korei Północnej od 80 do 120 tys. więźniów politycznych

*Prezydent
Czeczenii
Ramzan
Kadyrow
podczas
otwarcia
mundialu,
Moskwa,
14 czerwca
2018 r.*

→ (także nieletnich) przebywa w kwanliso, miejscowych gułagach, w których wykonują wykańczającą pracę w kopalniach lub przy wyrębie drzew; poddawani są torturom, gwałceni, prawdopodobnie także umierają z głodu. Wachlarz kar dla „nielojalnych” obywateli jest szeroki; obejmuje zarówno wyrzucenie z pracy, jak i publiczną egzekucję.

Mundial w Rosji otworzył Władimir Putin. Rządzi państwem, które cztery lata temu najechało i anektowało fragment terytorium swojego sąsiada (i do dziś prowadzi tam wojnę, w ramach której m.in. zestrzeliło samolot pasażerski z 289 osobami na pokładzie), zaś w Syrii sprzymierza się z prezy-

dentem Asadem, regularnie stosującym wobec cywili broń chemiczną.

Przedstawmy jeszcze dwóch gości honorowych imprezy: Ramzana Kadyrowa, który w imieniu Kremla utrzymuje w Czeczenii rządy terroru, oraz wspomnianego już księcia Salmana. Saudyjski następca tronu zyskał ostatnio przychylną Zachodu obietnicami modernizacji Arabii Saudyjskiej, pozwoleniem kobietom na prowadzenie samochodu oraz promowaniem umiarkowanego islamu – łatwo więc zapomnieć, że jest również „architektem” wojny w Jemenie, podczas której lotnictwo jego kraju atakuje m.in. szpitale, szkoły i ujęcia wody i przyczynia się

do stworzenia, jak mówili „Tygodnikowi” pracownicy organizacji humanitarnych, „największego obozu koncentracyjnego na świecie”.

Podczas transmisji z mundialu padną tyśiące słów; wymaganie od komentatorów, aby choć zdaniem wspominali o sytuacji w krajach, których drużyn grę komentują, jest pewnie nierealne. Obyśmy tylko sami w przyszłości nie znaleźli się na miejscu szwajcarskich kibiców, których w miniony weekend nawigacja satelitarna w drodze na stadion w Rostowie nad Donem wyprowadziła do Donbasu – a którzy zdawali się być nieświadomi trwającej tam wojny.

© P MARCIN ŻYŁA

Pekao całe na czarno

UBRANI NA CZARNO – w ten sposób pracownicy Pekao SA protestują przeciw coraz gorszym, ich zdaniem, warunkom pracy w banku, który w 2017 r. za 10,6 mld zł odkupiło od Włochów PZU wraz z Polskim Funduszem Rozwoju.

Śrubowanie celów sprzedażowych, od których zależą premie, do nierealnych poziomów. Zwolnienia grupowe przeprowadzane pod płaszczykiem likwidacji kolejnych miejsc pracy. Zastraszanie pracowników i łamanie kodeksu pracy – tak, zdaniem przedstawicieli wszystkich związków zawodowych w Pekao podpisanych pod protestem, wygląda dziś praca w jednym z największych banków, który w ubiegłym roku zwiększył zysk netto z 2,27 do



WŁODZIMIERZ WASYLUK / EAST NEWS

2,45 mld zł. Pracownicy żądają więc m.in. urealnienia podwyżek w relacji do wyników finansowych. Wprawdzie rentowności wciąż może pozbawić Pekao wiele firm, ale bankowość jako biznes staje się coraz mniej opłacalna i praca w banku nie jest już symbolem stabilności. Tylko w 2017 r. branża zwolniła w Polsce 5,5 tys. pracowników.

© P MR

Elektryczne modlitwy o deszcz

BLACKOUT – to słowo, które straszy polskich energetyków. Tego lata ryzyko zawału przeciążonej sieci energetycznej będzie wysokie jak nigdy wcześniej; wystarczy, że w wakacje dopisze pogoda.

Maksymalne moce produkcyjne elektrowni w Polsce są dziś w zasadzie równe zapotrzebowaniu na prąd. Sęk w tym, że polski apetyt na elektryczność, wzmagany rozwojem gospodarki i coraz wyższym poziomem życia, rośnie od dawna szybciej

niż moce bloków energetycznych. Jeszcze w 2010 r. roczna nadwyżka produkcji prądu nad jego zużyciem wyniosła 1354 gigawatogodziny (GWh). W ubiegłym roku zużyliśmy już o 2287 GWh więcej, niż wyprodukowaliśmy, i brakującą energię importowaliśmy z zagranicy.

Latem, kiedy cała Polska używa klimatyzatorów i wentylatorów, a agregaty chłodni i lodówek chodzą pełną parą, ryzyko energetycznego krachu rośnie drastycznie. Ewentualny *blackout* – i spowodowany nim paraliż kraju – statystycznie zagraża nam najbardziej w drugiej połowie lipca około godz. 13.

© P MR

Konstytucja z gumy

PAWEŁ BRAVO



PREZYDENT ANDRZEJ DUDA UWAŻA OBECNĄ KONSTYTUCJĘ za „przejściową”, ale zamiast zainicjować przewidziany w tejże tryb jej zmiany (obywatele zatwierdzają przegłosowany przez Sejm i Senat odpowiednią większością tekst), postanowił „podyskutować na ten temat z Polakami” i zaproponować referendum „konsultacyjne”. Szereg zgłoszonych pytań jest kuriozalnych, bo np. dotyczą spraw już w konstytucji ujętych albo gwarantują świadczenia społeczne bez względu na to, czy w przyszłości będą dostosowane do realiów. Dlatego też sceptycznie o prezydenckim pomysle wypowiadają się nawet liderzy obozu władzy.

Ale jest głębszy problem, na który słusznie zwrócił uwagę prof. Marcin Matczak nazywając referendum maskaradą: otóż ten akurat prezydent, winny naruszania konstytucji, nie ma legitymacji, żeby „dyskutować z Polakami”. O tym, jak nonszalancko Andrzej Duda i jego środowisko traktują obowiązujące ich (na razie) prawo, świadczą choćby mimowolnie szczere słowa doradczynie Zofii Romaszewskiej. Trzy dni temu rzekła, że „konstytucja jest rozciągliwym prawem”, a w kwestii najbardziej aktualnego jej naruszenia – czyli skrócenia kadencji władz Sądu Najwyższego – usłyszeliśmy, iż jeśli prezes Małgorzata Gersdorf chce, to powinna w gmachu sądu „mieć swój pokój i krzesło, żeby się nie denerwowała”. Lepiej już by było, gdyby ani prezydent, ani nikt z jego ludzi się więcej nie odzywał, bo z inicjatywą, która wydawała się niewydarzona i politycznie niezrozumiała, robi się spektakl dalszego deptania prawa, a jedyną sensowną odpowiedzią będzie bezsilny bojkot referendum, o ile PiS w ogóle zdecyduje, że mu się ono opłaca. © P

W SKRÓCIE

STAN ZDROWIA. Prezes Kaczyński wyszedł wprawdzie ze szpitala, jego współpracownicy zapewniają, że czuje się znakomicie, ale dotąd nie pokazał się publicznie, a nerwowe ruchy polityków obozu rządzącego zdają się wskazywać, że nie do końca panuje nad sytuacją w kraju. Minister zdrowia Łukasz Szumowski powiedział tymczasem w radiu RMF, że stan zdrowia prezesa PiS był taki, że nieprzyjęcie go do szpitala zagrażałoby jego życiu, a „w związku z tym był przyjęty w trybie ostrym”.

STAN ŚLEDZTWA. „W trybie ostrym” jechała z pewnością kolumna BOR, w lutym 2017 r. wioząca Beate Szydło przez Oświęcim. Z ujawnionych przez „Rzeczpospolitą” informacji wynika, że ówczesna szefowa rządu miała złamany mostek i obustronne złamanie kilku żeber ze zranieniem opłucnej, stłuczeniem serca i mięszu płucnego, a szef jej ochrony doznał m.in. wieloodłamowego złamania trzonu kości udowej prawej z przemieszczeniem odłamów. W trakcie śledztwa na temat wypadku utrzymywano, że opancerzona i superbezpieczna limuzyna pani premier, która musiała spędzić tydzień w szpitalu, poruszała się z prędkością 50 km/h.

STAN SZPITALI. Na pewno lepiej dla polityków, żeby w szpitalu nie przebywali zbyt długo: z badań sanepidu przeprowadzonych w 944 placówkach wynika, że większość z nich zagraża bezpieczeństwu pacjentów.

STAN ZAOPATRZENIA. Tylko czy w Sejmie jest bezpieczniej? Po nagłośnieńcu przez jeden z tabloidów informacji, że w corocznym zamówieniu na żywność do parlamentarnych restauracji znajdowało się 5 kg kalmarów, po 25 kg muli i małży św. Jakuba, 220 kg krewetek, 50 kg mieszanki owoców morza, a także 5 kg kawioru, Kancelaria Sejmu zmodyfikowała zamówienie. Istnieje obawa, że diety polityków zdominują teraz, nieskreślone z listy zakupów, kasza, sól, cukier i bułka tarta.



TWITTER.COM / RESPECTUSPL

OTO BANER NAJNOWSZEGO ODCINKA kampanii społecznej #RespectUs, czyli „oddolnej inicjatywy młodych Polaków, którzy nie chcą żyć w kłamstwie”. Trudno powiedzieć, co w tym nadmiernie już popularnym filmiku najgorsze. To, że ktoś w naszym imieniu woła o szacunek, podczas gdy my sami czujemy się zazwyczaj dość szanowani? To, że ktoś znów próbuje opowiadać o imprezie sportowej w kategoriach militarnych? Że robi to w sposób tak, chciałoby się użyć modnego kiedyś słowa, „paździerzowy”? Że rehot, jaki zaczyna wywoływać w świecie, obraca się siłą rzeczy nie tylko przeciwko autorom, ale przeciwko nam wszystkim, z polską reprezentacją włącznie? Akurat ona przez postawę z ostatnich miesięcy i lat – przez mecze na Euro 2016, przez to, jak przeszła eliminacje do mundialu, przez postawę jej liderów, z Robertem Lewandowskim na czele, w klubach, ale też przez sposób, w jaki pokazuje, że na boisku ostatecznie najważniejsza jest drużyna – na szacunek świata zapracowała sobie sama. Więcej na: powszech.net/respectus; polecamy także specjalny serwis mundialowy na stronie „Tygodnika”: powszech.net/mundial2018 © P MO

IPN jest nieprzygotowany



MICHAŁ OKOŃSKI

W „GOŚCIU NIEDZIELNYM” PREZES IPN Jarosław Szarek żali się, że podległa mu instytucja nie jest przygotowana do merytorycznej debaty o losach Żydów w okupowanej Polsce – ludzi mało, zadań wiele, a co gorsza: „mamy na tym obszarze dużą nierównowagę sił, której nie da się nadrobić szybko”. Istotą tej nierównowagi, mówi, jest powstanie „silnych instytucji zajmujących się wyłącznie zagadnieniem relacji polsko-żydowskich” i „środowiska naukowego posiadającego odpowiednie zaplecze finansowe”. Chętnie bym się dowiedział, o kim mówi, bo chyba nie o garstce naukowców z Centrum Badań nad Zagładą Żydów, których siedzibą jest pokój w warszawskim Pałacu Staszica.

Łatwo tu o ironię, zwłaszcza gdy się pamięta przekraczający 360 mln budżet i ponad 2 tys. etatów w IPN. To jednak prawda: Holokaust nie leżał dotąd w centrum zainteresowań Instytutu, którego głównym celem było zabezpieczenie, opracowanie i udostępnienie akt aparatu bezpieczeństwa PRL (inna sprawa,

że to trochę dziwne, iż śmierć kilku milionów obywateli nie jest jednym z priorytetów instytutu zajmującego się pamięcią). Problem w tym, że niewielka liczba osób zajmujących się tą tematyką w IPN jeszcze zmalała: odszedł dr Adam Puławski, badacz dziejów Polskiego Państwa Podziemnego i rządu na uchodźstwie, zajmujący się też stosunkiem tych formacji do Zagłady.

Kilka miesięcy temu dr Puławski został przesunięty z Biura Badań Historycznych IPN do Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, co oznaczało odsuniecie od pracy naukowej. Historyk mówi, że próbowano wpłynąć na treść jego badań i zarzucano, że pisze pod tezę. IPN nie komentuje sprawy, ale dotychczasowe publikacje dr. Puławskiego nie budzą warsztatowych wątpliwości. Może chodzi więc o to, że wyniki jego prac były niezgodne z polityką historyczną? Jeśli tak, to – niezależnie od ludzkiej krzywdy – strach się bać nadrabiania przez Instytut „nierównowagi sił”. © P

Nowy dzień dla Chile

ARTUR SPORNIAK



PAPIEŻ NAPRAWIA POWAŻNY błąd, do którego przyznał się publicznie dwa miesiące temu. Przyjął dymisję biskupa chilijskiej diecezji Osorno, 62-letniego Juana Barrosa, którego mianował na to stanowisko w 2015 r. Biskupowi zarzucono wówczas ukrywanie nadużyć seksualnych swojego mentora – seryjnego pedofila ks. Fernanda Karadimy, a także bycie świadkiem takich aktów.

Franciszek przez trzy lata bronił swojej decyzji. W końcu uznał, że może się mylić, i wysłał do Chile swoich przedstawicieli – abp. Charlesa Sciclunę i bp. Jordiego Bertomeu. Ich 2300-stronicowy raport wstrząsnął papieżem. „Pełniłem poważny błąd w ocenie sytuacji” – napisał do chilijskich katolików. W wyniku raportu papież podjął bezprecedensowe działania naprawcze: wezwał do Watykanu biskupów Chile (prawie cały Episkopat – aż 34 biskupów – podało się do dymisji), spotkał się z ofiarami Karadimy, dzięki których determinacji „kultura nadużyć” została w końcu zde-maskowana, i ponownie wysłał swoich przedstawicieli, tym razem do diecezji Osorno, którzy – klęcząc w miejscowej katedrze przed wiernymi podczas nabożeństwa pokutnego – przeprasza- li za nadużycia seksualne w Kościele. Franciszek przyjął także dymisję dwóch innych biskupów (obaj osiągnęli emerytalny wiek 75 lat) – abp. Cristiána Caro Cordera oraz bp. Gonzala Duarte Garcíę de Cor-tázara.

„Zwracam się z pokorą, aby przeprosić za moje ograniczenia i za to, czego nie zdołałem osiągnąć” – napisał Barros, żegnając się z diecezją. „Dzisiaj rozpoczyna się nowy dzień dla Kościoła katolickiego w Chile i, miejmy nadzieję, dla świata” – napisał na Twitterze Juan Carlos Cruz, jedna z ofiar Karadimy. ©

W SKRÓCIE

REFORMA KURII RZYMSKIEJ NA FINISZU. Rada Kardynałów (K9) przekazała papieżowi projekt nowej konstytucji Kurii Rzymskiej – poinformował rzecznik Watykanu Greg Burke. Podczas konferencji przypomniano zasady reformy finansów: promowanie przejrzystości, stosowanie zasady podwójnej kontroli i standardów międzynarodowych. Innych szczegółów nie ujawniono. Rada K9 spotka się we wrześniu.



VATICANMEDIA / CPP / IPA / PAP

NIESŁUSZNIE SKAZANY PRZYJĘTY PRZEZ PAPIEŻA. Tomasz Komendę i jego rodziców przyjął Franciszek. Komenda, będąc niewinnym, przez 18 lat odbywał karę pozbawienia wolności. Do Rzymu pielgrzymował, by pomodlić się przy grobie św. Jana Pawła II. W przygotowanie spotkania z papieżem zaangażowany był papieski jałmużnik, kardynał-nominat Konrad Krajewski.

ŚLUB W PLENERZE. Arcybiskup Baltimore w USA William E. Lori zezwolił na śluby poza terenem kościołów (póki co na rok). Aby zdobyć pozwolenie, narzeczeni muszą być z jednego hrabstwa, asystujący ksiądz lub diakon z archidiecezji Baltimore, a muzyka oraz miejsce muszą być „odpowiednio godne” (wykluczone są np. lokale, w których sprzedawany jest alkohol).



ADAM ROBIŃSKI,
autor tekstu
o polskim Bałtyku

(s. 26), będzie gościem Grzegorza Chlasy w środę 20 czerwca o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać w podcastach na stronie radia. Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Siostra Borkowska przeoryszą



ROBERT WOŹNIAK

ZNANA PISARKA, publicystka i nasza autorka, s. Małgorzata Borkowska – została przeoryszą w opactwie benedyktynek w Żarnowcu na Pomorzu. Na trzyletnią kadencję mniszkę mianowała ksieni opactwa Faustyna Forys. „Przeorysza wspoma-

ga ksienię radą i pomocą w obowiązkach przełożeńskich, zastępuje ją w razie nieobecności lub gdy ma przeszkodę. Głównym jej obowiązkiem jest czuwanie nad zachowaniem w domu karności i porządku. Ksieni może również powierzyć jej pewną część swojej władzy” – wyjaśniają benedyktynki na stronie internetowej.

Małgorzata Borkowska urodziła się w 1939 r. Studio-wała polonistykę i filozofię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz teologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Do benedyktynek wstąpiła w 1964 r. Jest znawczynią historii polskich klasztorów żeńskich XVII i XVIII w., autorką bajek i powieści – w tym jednej z najlepszych polskich powieści *fantasy* „Gar’Ingawi. Wyspa Szczśliwa”, tłumaczką i felietonistką. Wydana w tym roku książka „Oślica Balaama”, obnażająca wady polskich księży (m.in. pychę i niedouczenie), wywołała dyskusję na katolickich stronach internetowych. © ASK

Papież i pigułka

„**NIKTÓRZY MÓWIĄ,** że zgodnie z naturą kobieta ma mieć owulację co miesiąc. (...) Ale zgodnie z naturą jesteśmy ciężsi od powietrza, a mimo to latamy samolotem” – napisał bp Albino Luciani, późniejszy papież Jan Paweł I, w opinii na temat pigułki antykoncepcyjnej. Nieznany szerzej dokument z akt procesu beatyfikacyjnego opublikował w ubiegłym tygodniu dziennik włoskiego Episkopatu „Avvenire”.

Był rok 1968. Papież Paweł VI pracował nad encykliką „o moralnych aspektach przekazywania życia”. Poprosił biskupów o opinie. Stanowisko episkopatu trzech regionów północnych Włoch (Triveneto) przygotował biskup Luciani. Jego poglądy w tej sprawie były znane – wygłaszał je na konferencjach dla księży i lekarzy. Wykluczał, jako niezgodne z nauką Kościoła, wszelkie mechaniczne lub chemiczne środki działające na już zapłodnioną komórkę jajową. Akceptował pigułkę hormonalną blokującą owulację. Widział w niej szansę dla rodzin wielodzietnych, których trudną sytuację dobrze znał – jego brat miał dziesięcioro dzieci.

Paweł VI podjął inną decyzję. Po opublikowaniu encykliki „Humanae vitae” bp Luciani powiedział: „Zdanie papieża jest teraz moim zdaniem”.

© EDWARD AUGUSTYN

Kardynał od pokoju na świecie

„BÓL ŚWIATA JEST BÓLEM KOŚCIOŁA”

– takie wystąpienie wygłosi kard. Peter Turkson podczas XI Zjazdu Gnieźnieńskiego; najnowsza odsłona programu wydarzenia potwierdziła obecność prefekta watykańskiej Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka.

Hierarcha z Ghany – biblista i poliglota, w ostatnich konklawe wymieniany w gronie *papabile*, dziś jeden z najbliższych współpracowników Franciszka – koordynuje prace Stolicy Apostolskiej na rzecz pokoju, zajmuje się też kwestiami pomocy humanitarnej, migracji i służby zdrowia. „Dobrem wspólnym należy zarządzać z uwzględnieniem potrzeb wszystkich ludzi” – mówił w maju, prezentując watykański dokument o ekonomii i pracy. W wystąpieniach i publikacjach piętnuje przejawy korupcji, patologie rynku pracy, gromi mocarstwa za prowadzenie „polityki bezpieczeństwa” za pomocą zbrojeń atomowych. Wskazuje na problem komercjalizacji dostępu do wody jako przyczynę migracji; marzy o zrównoważonym rozwoju krajów afrykań-



GABRIEL BOUYS / AFP / EAST NEWS

skich, który powstrzymałby *exodus* tamtejszej ludności do Europy.

Zjazd Gnieźnieński odbędzie się w dniach 21-23 września 2018 r. pod hasłem „Europa ludzi wolnych. Inspirująca moc chrześcijaństwa”; współorganizuje go 10 Kościołów chrześcijańskich. Wśród 60 prelegentów znajdują się m.in. prof. Chantal Delsol, prof. Rocco Buttiglione, ks. Manfred Deselaers oraz Hanna Suchocka. Dziennikarka „TP” Zuzanna Radzik poprowadzi warsztaty „Jak budować dziś Kościół równych sobie kobiet i mężczyzn”. „Tygodnik” jest patronem medialnym Zjazdu. © MAM



LOREN ELLIOTT / EAST NEWS

BLISKO DWA TYSIĄCE DZIECI – w tym także niemowląt – zostało w ciągu ostatnich dwóch miesięcy oddzielonych od matek na granicy USA i Meksyku na mocy nowych przepisów imigracyjnych podpisanych przez Donalda Trumpa. Przeciwko tej praktyce protestują organizacje humanitarne, Kościoły, a nawet... żona prezydenta, Melania. Na zdjęciu: katolicki ośrodek w McAllen (Teksas), gdzie matki z dziećmi, które nielegalnie przekroczyły granicę, otrzymują pomoc, 17 czerwca 2018 r.

© P EA

Jak nieść krzyż obok flagi

MACIEJ MÜLLER



NIEKIEDY JESTEŚMY ŚWIADKAMI ŁĄCZENIA katolicyzmu i idei pielgrzymowania z konkretnymi propozycjami politycznymi” – powiedział bp Krzysztof Zadarko, przewodniczący Rady KEP ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek. Zapowiedział dokument KEP mający ocalić „narodowe pielgrzymowanie”. Biskupi postanowili przypomnieć „ pewne elementy teologii”, by zapobiec „instrumentalizacji nauki Kościoła i świętych miejsc”: wypaczenie polega m.in. na zastąpieniu pojęcia patriotyzmu nacjonalizmem.

To kolejne wystąpienie biskupów w tej kwestii: przypomnijmy list pasterski z 2017 r. („Kościół rozróżnia szlachetny i godny propagowania patriotyzm oraz będący formą egoizmu nacjonalizm”) czy list przewodniczącego KEP abp. Stanisława Gądeckiego z okazji ostatniego Dnia Judaizmu („Treścią więzi narodowej jest miłość”). Przynajmniej część biskupów poczuła, że pewne procesy poszły za daleko. Do reakcji wzywali ich wierni: po mszy dla ONR

w katedrze białostockiej w 2016 r. w liście do szefa KEP opisali skandal przekształcenia eucharystii w polityczną demonstrację i przypomnieli, że Jan Paweł II promował ideę Polski Jagiellońskiej, otwartej na różnorodność.

Jak w tę ideę wpisują się duszpasterze przechadzający się wśród jasnogórskich pielgrzymów-kibiców z narzuconymi na szyję szalikami klubowymi zamiast stuł i ignorujący hasła typu „Śmierć wrogom ojczyzny” czy „Witajcie w piekle”? Podczas ostatniej z tych pielgrzymek doszło do przepychanki z grupą Obywateli RP; podpalono transparent z napisem „Chrześcijaństwo to nie nienawiść”.

Teologia głosi, że pielgrzymowanie jest metaforą drogi ludzkiego życia. Skoro tak, to kiepskim odzwierciedleniem finalnego spotkania z Chrystusem są słowa prezesa PiS tłumaczącego podczas pielgrzymki Radia Maryja (lipiec 2015 r.), że pod wodzą Matki Bożej „musimy prowadzić Polskę ku dobrej zmianie”. © P

Manafort w areszcie

JAN SMOLEŃSKI



TAKĄ DECYZJĘ WOBEC BYŁEGO szefa sztabu wyborczego Donalda Trumpa, Paula Manaforta, podjął w miniony piątek sąd federalny w Waszyngtonie. Wcześniej, w czerwcu, wraz z Konstantinem Kilimnikiem – swym długoletnim partnerem w interesach – Manafort usłyszał zarzuty utrudniania śledztwa. Obaj mieli namawiać świadków w nadchodzącym procesie do fałszywych zeznań. Sąd uznał, że Manafort naruszył tym warunki aresztu domowego.

To kolejny etap rozgrywki między Manafortem i prowadzącym tzw. rosyjskie śledztwo specjalnym prokuratorem Robertem Muellerem. Na Manafortcie skupia się większość zarzutów wynikłych z tego dochodzenia. Mueller oskarżył już 23 osoby, w tym cztery z otoczenia Trumpa. Trzy przyznały się do winy i zgodziły na współpracę, tylko Manafort jej odmawia. Większość zarzutów – pranie brudnych pieniędzy czy oszustwa podatkowe – dotyczy jego interesów na Ukrainie z czasu sprzed nominacji Trumpa. Jedną z teorii głosi, że w ten sposób Mueller chce zmusić Manafortą do współpracy. Wedle ujawnionych niedawno maili już jako szef sztabu Manafort nadal był w kontakcie z Kilimnikiem (podejrzany o kontakty z rosyjskim wywiadem) i spotkał się z oligarchą Olegiem Deripaską, u którego był zadłużony. Co dokładnie zaszło latem 2016 r. – w trakcie kampanii w USA – między Deripaską, Kilimnikiem i Manafortem – pozostaje tajemnicą.

Niejasne jest, dlaczego Manafort nie zgodził się na współpracę w zamian za łagodniejsze zarzuty. Może liczy na ulaskawienie przez Trumpa – sugerował to prawnik prezydenta Rudy Giuliani. Według innej wersji Manafort boi się zemsty rosyjskiego wywiadu na swojej rodzinie, jeśli ujawni zbyt dużo. ©

Najważniejsza jemeńska bitwa

STRATEGICZNIE POŁOŻONE nad Morzem Czerwonym portowe miasto Al-Hudajda jest celem ofensywy, którą w minionym tygodniu zaczęły jemeńskie siły rządowe wspierane przez Arabię Saudyjską. Jego zdobycie może być punktem zwrotnym w trwającej ponad trzy lata wojnie domowej w Jemenie. 600-tysięczne miasto jest pod kontrolą Huti, przedstawicieli żyjącej na północy kraju społeczności szyickiej (wspieranej przez Iran). Bitwa zaczęła się od walk o lotnisko, ale o znaczeniu Al-Hudajdy decyduje głównie port, przez który przechodzi niemal cały import Jemenu (kraj sprowadza żywność, leki i paliwo). ONZ obawia się, że przedłużające się oblężenie może doprowadzić do pogorszenia i tak już tragicznej sytuacji humanitarnej – dlatego jej wysłannik negocjuje w stołecznej Sanie warunki poddania miasta siłom rządowym i ewakuacji bojowników Huti. © ŻYM

Wiedeń zamyka podejrzone meczety

AUSTRIACKI RZĄD zamknie siedem meczetów i deportuje imamów finansowanych z zewnątrz (co jest niezgodne z prawem); kontrola dotyczy 60 z 260 imamów pracujących w Austrii. Kanclerz Sebastian Kurz argumentuje, że przyczyną decyzji jest łamanie prawa: „W naszym kraju nie ma miejsca na społeczności równoległe, polityczny islam i tendencje ku radykalizacji”. Ponieważ wielu imamów jest finansowanych z Turcji (i ma realizować jej wytyczne), tureckie władze krytykują decyzję Wiednia. W sieci pod adresem Kurza pojawiły się też groźby pozbawienia go życia. Rząd Austrii – istniejący od grudnia 2017 r. i oparty na koalicji chadeków (ÖVP) i populistów (FPÖ) – prowadzi twardą politykę migracyjną; Kurz uchodzi za sojusznika władz Węgier i Bawarii. © WP / FAZ, DIE PRESSE

Balkany: tożsamość i polityka

MINISTROWIE SPRAW ZAGRANICZNYCH Macedonii i Grecji podpisali porozumienie, które kończy spór o nazwę pierwszego z tych państw. Już niedługo ma się nazywać: Republika Północnej Macedonii. Spór trwał od 1991 r. Grecja nie godziła się na przyjęcie nowego sąsiada do ONZ pod nazwą Republika Macedonii. Obawiano się roszczeń terytorialnych względem północnego regionu Grecji (część historycznej Macedonii). W tle był konflikt o antyczne dziedzictwo. W efekcie do ONZ wstąpiła Była Jugosłowiańska Republika Macedonii. W 2008 r. Ateny zablokowały jej rozmowy akcesyjne z NATO i UE. Skopje odwróciło się wtedy od Europy, pograżając się w autorytaryzmie, korupcji i flirtując z Moskwą. Porozumienie jest efektem zwiększonego zainteresowania Unii Bałkanami. Bruksela zorientowała się, że brak współpracy z regionem skutkuje wzrostem wpływów Rosji i Turcji. Umowę musi jeszcze ratyfikować macedoński parlament, rząd nie wyklucza też referendum (będzie ryzykowne: dla prawicy taki kompromis to zrzeczenie się ważnej części tożsamości narodu). Umowa budzi również niezadowolenie Greków – ponad połowa z nich uważa, że ich sąsiad w ogóle nie powinien posługiwać się terminem „Macedonia”. © PIOTR OLEKSY



Uciekinier czy biznesmen

W OBOZIE UCHODźCÓW KAKUMA w Kenii, zamieszkanym przez ok. 185 tys. osób, ONZ zorganizowała konferencję z cyklu TEDx. Obecni i byli uchodźcy prezentowali się jako poeci, reżyserzy, modelki czy twórcy start-upów. Przekaz był jasny: z traumy wojny i prześladowań można się podnieść; wizje i marzenia pomagają w ich realizacji; uchodźcom może się powieść w życiu.

Jednak TEDx w Kakumie także skrytykowano: dla niektórych mediów afrykańskich „modelowanie” uchodźców na uśmiechniętych ludzi sukcesu jest wyrazem zachodniej filozofii „polegania na sobie” i podejścia opartego na uczestnictwie – o które w warunkach obozowych bardzo trudno. Zanim przejdzie się do promowania wizerunku uchodźcy-człowieka sukcesu, trzeba zreformować systemy azylowe i walczyć z przyczynami biedy, pisali krytycy. © ŻYM

Joanna Kulmowa nie żyje

„**NIE POZWOLIMY, ABY Z BŁOTA** wychylały się żaby ze swoim obrzydliwym rechotem” – oświadczył w marcu 1955 r. Roman Werfel, i zacytował opublikowany w „Szpilkach” wiersz Joanny Kulmowej „Pozytywni” – „satyrę na tuczających się cytrusami dygnitarzy”. Odtąd Kulmowa jest na cenzurowanym. Zaczyna pisać wiersze dla dzieci. Po sześciu latach wyjeżdża z Warszawy do Strumian w Puszczy Goleńowskiej. Tam wydaje „Co piszczy w trawie”. A później jeszcze 51 tomików i 12 książek prozatorskich. Píše także 18 dramatów teatralnych i 24 teksty dla teatrów lalkowych. Po powrocie do Warszawy zostaje prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wreszcie zakłada blog poetycki. Jeden z ostatnich wpisów z 30 grudnia 2014: „Gdy rodzimy się poetami / fale ciszy płyną nad nami: / cichnie świat poetom łaskawy / czułością drzew i trawy / przejrzystością mrukliwych potoków / milczeniem obłoku / żeby niesłyszalnie płynął czas / obietnicą słów / która jest w nas”. Joanna Kulmowa zmarła w niedzielę, 17 czerwca. Miała 90 lat. © P BS



GRAŻYNA MAKARA



CC BY-SA 3.0

CZY ZACZYNA SIĘ ERA WYMIERANIA DRZEW-SYMBOLI AFRYKI? Dziewięć z trzynastu najstarszych znanych baobabów świata uszło w ciągu ostatniej dekady. Gatunek słynie ze swojej odporności (nawet najmłodsze z drzew miało więcej niż tysiąc lat), przyczyna nagłych śmierci pozostaje więc dla naukowców zagadką. Podejrzanie pada na zmiany klimatyczne. Na zdjęciu: Aleja baobabów na Madagaskarze. © P ŻYM

Stary Teatr: sezon niepodległościowy



ANNA GOC

CZY NARODOWY STARY TEATR W KRAKOWIE przetrwa, ma pokazać sezon 2018/2019.

Ten kończący się można uznać za stracony – spóźnione, nieudane premiery (na czele z „Domem Bernardy A.” w reż. Alejandra Radawskiego), odejście młodego pokolenia aktorów i ratujący teatr repertuar, przygotowany jeszcze przez poprzedniego dyrektora Jana Klatę.

Walka o sezon kolejny, trudny, jak mówią aktorzy, bo niepodległościowy, trwa od ubiegłej jesieni. Najpierw zespół negocjował z dyrektorem Markiem Mikosem powołanie spośród zespołu aktorskiego niezależnej Rady Artystycznej, która miałaby m.in. prawo weta wobec propozycji współpracy ze słabymi reżyserami, którzy, wyczuwając moment, ustawiali się przed drzwiami nowego dyrektora. Rada powstała, w jej skład weszli m.in. Anna Dymna, Dorota Segda, Roman Gancarczyk i Radosław Krzyżowski.

Później trwały rozmowy Rady z reżyserami. Ci, na znak protestu po zmianie dy-

rekcji w Starym, a także po tym, co działo się na scenach wrocławskiej czy bydgoskiej, zawiązali gildię i solidarnie odmawiali współpracy z nowymi, wylanianymi w ministerialnych konkursach dyrektorami.

Teraz, po kilku miesiącach negocjacji, przedstawiciele Rady Artystycznej ogłosili: reżyserzy wrócą do Starego Teatru, wśród nich duet Monika Strzępka i Paweł Demirski, Agnieszka Glińska, Paweł Miśkiewicz, Krzysztof Garbaczewski, Michał Borchuch czy Konstantin Bogomołow. Ale postawili też warunki. Wolność i swoboda artystyczna dla reżyserów, projekt sezonu artystycznego 2018/2019 przygotowany przez Radę Artystyczną, a w konsekwencji – odwołanie zastępcy dyrektora ds. artystycznych Jana Polewki. Wniosek w tej sprawie trafił już do MKiDN.

Jeśli ministerstwo przyjmie wnioski, zespół aktorski przejmie kontrolę nad kształtem artystycznym Starego Teatru. Jeśli nie przyjmie, w nowym sezonie zobaczymy kolejne odsłony katastrofy. © P



TEMAT
TYGODNIKA

NIEWYPŁACALNI W STOPNIU ZNACZNYM

Poznajcie modelową
instrukcję utrwalania biedy
i wykluczenia.
To polski system wsparcia
osób niepełnosprawnych
i ich opiekunów. Wraz
z systemami ościennymi:
rynkem pracy i oświatą.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

BYĆ MOŻE KTOŚ KIEDYŚ SFILMUJE TĘ HISTORIĘ, tak jak w 2006 r. sfilmowali inną – w wielu miejscach podobną, opartą na faktach – Joanna Kos-Krauze i Krzysztof Krauze. W „Placu Zbawiciela” nie było najbardziej tragicznego końca: doprowadzona do desperacji (biedą, długami, sytuacją rodzinną) matka podcięła sobie żyły, próbując otruć synów. Wszyscy przeżyli.

W tej finał był najsmutniejszy z możliwych: matka podała córce leki, a sama powiesiła się w łazience. Obie zmarły.

Tamta historia miała w tle symboliczny dla Polski lat 90. i nieco późniejszych motyw: bankructwo firmy deweloperskiej.

Ta zawiera motyw, który stanie się być może symboliczny dla lat ostatnich, a zwłaszcza dla roku 2018, z głośnym sejmowym protestem osób niepełnosprawnych i ich opiekunów. Magda W., dorosła córka Bożeny (obie mieszkają w Katowicach), cierpiała od urodzenia na porażenie mózgowie. W pożegnalnym liście Bożena W. pisała o długach. I o tym, że z renty córki oraz zasiłku nie dało się żyć.

Jeśli wierzyć prasowym relacjom, sąsiedzi ostatni raz widzieli je żywe 27 maja. A więc w dzień, w którym w Sejmie protestujący podjęli decyzję o zawieszeniu strajku.

Przez 40 poprzedzających tę decyzję dni przez media przetoczyła się fala historii z życia niepełnosprawnych. W stopniu znacznym i umiarkowanym. Intelaktywnie i fizycznie. Starych i młodych. Zależnych – i radzących sobie samodzielnie.

Te historie pokazały, że nie da się tej grupy opisać wedle jednego klucza. Ale niemal wszystkie miały wspólny mianownik: pieniądze. Skrajną biedę, zagrożenie nią bądź „tylko” codzienną finansową niepewność.

Pięćset minus za buty

Potwierdzają to statystyki: średni miesięczny dochód w gospodarstwach z osobą niepełnosprawną był w 2017 r. niższy od średniej krajowej o 14,4 proc.

Niezależnie od definicji ubóstwa jego ryzyko jest wyraźnie wyższe dla gospodarstw, w których żyje przynajmniej jedna osoba niepełnosprawna. Np. skrajna bieda dotknęła w zeszłym roku 6,7 proc. gospo-

darstw z przynajmniej jedną taką osobą, podczas gdy w pozostałych niemal o połowę mniej.

Te niecałe 7 proc. w statystycznych tabelkach może wyglądać niewinnie, a nawet optymistycznie (to prawda: za sprawą programu 500 plus bieda w Polsce się zmniejsza). Ale oznacza to przecież, że kilkadziesiąt tysięcy niepełnosprawnych Polaków żyje w warunkach, które niosą ze sobą – by przywołać ustawową definicję – zagrożenie dla „podtrzymania funkcji życiowych człowieka”. Znacznie więcej gospodarstw z niepełnosprawnymi dotyka też tzw. bieda relatywna (poniżej 50 proc. średnich wydatków) i ustawowa, czyli uprawniająca do pomocy społecznej – w 2017 r. odpowiednio 19 i 15 proc.

Ale te statystyki mogą być zaniżone. – Wyglądałyby inaczej, gdybyśmy na biedę patrzyli nie przez pryzmat dochodów, ale niezaspokojonych potrzeb – zauważa dr Paweł Kubicki z Instytutu Gospodarstwa Społecznego SGH. – W przypadku tej grupy potrzeby są znacznie większe.

Laura Jurga, pedagog specjalna w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci, autorka poświęconego problemom społecznym bloga „Teksty ze smakiem”, a prywatnie osoba z niepełnosprawnością, zwraca uwagę, że bieda i niedostatek mogą mieć różne oblicza. A deficyty materialne, które przez osobę pełnosprawną nie zostałyby zauważone, dla niepełnosprawnego oznaczać mogą zaburzenie życia.

– Mimo że pracuję, doświadczam np. sytuacji, w której wydanie 500 zł na buty ortopedyczne oznacza, że w następnym tygodniu nie starcza mi na prywatną wizytę u specjalisty – opowiada Jurga. – A ta bywa konieczna, bo np. najbliższe terminy do endokrynologa są wolne w przyszłym roku. Do tego rehabilitacja, na którą teraz akurat mnie nie stać, choć zależy od niej jakość mojego funkcjonowania, i która kosztuje od 100 do 150 zł za godzinę. Dodajmy koszty transportu, związane zresztą bezpośrednio z brakiem rehabilitacji, bo im jest jej mniej, tym mniej jestem mobilna. Są miesiące, kiedy na taksówki wydaję 300-500 zł.

Dzięki kwietniowo-majowemu protestowi podobnych zestawień, katalogów

potrzeb, o których nie sni się pełnosprawnym, dostaliśmy dużo. To była 40-dniowa, ogólnopolska lekcja z elementarnej wiedzy o – również tym finansowym – życiu codziennym tej grupy.

Niech rodzina się zajmie

Protest – w samym tylko wymiarze ekonomicznym – ujawnił też spore pokłady odporności na wiedzę i skłonności do powielania stereotypów. O ile z ust protestujących słyszeliśmy o „minimum godności”, czyli postulacie 500-złotowego dodatku, politykom PiS i ich sympatykom wyrwały się określenia w rodzaju „żądanie żywej gotówki”. Gdy ci pierwsi wyliczali dochód, który państwo gwarantuje osobom niepełnosprawnym (często mniej niż 1000 zł), rządzący wrzucali do jednego worka całe ich rodziny, by zasługi państwa wypadły bardziej okazałe.

Tak np. premier Morawiecki dowodził, że za czasów PiS „rodzina z osobą niepełnosprawną” otrzymuje od państwa 3 tysiące, wliczając do tej kwoty... składki ZUS-owskie, a także świadczenie dla opiekuna w wysokości 1477 zł, choć nie wszyscy dostają takie świadczenie.

– Podobne wypowiedzi nie są dziełem przypadku: w Polsce patrzymy na osoby niepełnosprawne i na politykę wobec nich w kontekście rodziny – mówi dr Kubicki. – W innych krajach spogląda się na tych ludzi indywidualnie, w naszej polityce społecznej dominuje „familializm”, oznaczający często, że państwo ceduje wiele rzeczy na krewnych, a wkracza dopiero wtedy, gdy rodzina jest już wycieńczona i nie daje sobie rady.

To podejście widać też w proporcji wsparcia oferowanego przez państwo osobie niepełnosprawnej i jej opiekunowi. – Od lat głoszę tezę, że główny strumień świadczeń jest w Polsce kierowany do opiekunów, przy zbyt małym wsparciu samych osób niepełnosprawnych – komentuje prof. Ryszard Szarfenberg, badacz zjawiska biedy i ekspert w dziedzinie polityki społecznej UW. – Dziś niektórzy opiekunowie otrzymują 1477 zł świadczenia. Gdyby ten strumień przekierować na osoby niepełnosprawne, one same mogłyby podjąć decyzję, czy opiekę powinna ➔

→ sprawować rodzina, czy specjalnie opłacany pracownik.

Gdyby urobiek sejmowego protestu ograniczyć tylko do sfery finansowej, trzeba by go uznać za porażkę. – Choćby dlatego, że niespełniony postulat opiewał na 500 zł, czyli sumę trzykrotnie wyższą niż sto kilkadziesiąt złotych podwyżki renty socjalnej, na którą zgodził się rząd – mówi prof. Szarfenberg.

Rząd niezrealizowany postulat przyznania dodatku w gotówce miał co prawda zrekompensować zapisanym w ustawie pakietem ułatwień w dostępie do rehabilitacji i leczenia. Ale do dzisiaj nikt nie wie, skąd wzięła się wymieniana przez polityków PiS kwota 520 zł, na jaką ma rzekomo ten pakiet opiewać.

– W sensie politycznym jest to jasne: ktoś wykombinował, że skoro protestujący domagają się 500, to wymieńmy tę sumę, i dorzućmy dwadzieścia, żeby dobrze wyglądało – komentuje dr Kubicki. – Ale realnie kwota ta została wyssana z palca. Owszem, uzgodniono z prezesem NFZ sumy, jakie może on wygospodarować: 270 mln zł na wyroby medyczne i 450 mln zł na rehabilitację. Ta druga liczba podzielona przez 150 tys. osób niepełnosprawnych, o których mówił rząd, daje kwotę do 500 zł „na głowę” miesięcznie przez pierwsze pół roku obowiązywania ustawy. Tyle że po pierwsze nie bardzo wiadomo, skąd wzięła się liczba 150 tys., skoro osób ze znaczną niepełnosprawnością jest w Polsce 900 tys., po drugie na razie zarezerwowano tylko kwotę na pierwszy kwartał, a po trzecie dopiero od teraz będą zbierane odpowiednie dane, które pozwolą na oszacowanie z czego i w jakim zakresie tak naprawdę korzystają osoby z niepełnosprawnością znaczną.

Podsumowując: z pakietu skorzystają tylko niektórzy, ale nawet dla nich finansowa ulga nie osiągnie zapewne deklarowanych przez rząd sum. Z jednego zrealizowanego przez rządzących postulatu nie skorzystają tysiące niepełnosprawnych pobierających renty ZUS-owskie. Podwyżkę dostaną otrzymujący renty socjalne (osoby, których niepełnosprawność powstała przed ukończeniem 18. roku życia), ale wyniesie ona raptem sto kilkadziesiąt złotych.

Aktywizacja w pułapce

Nawet jednak ten wyszarpany resztką sił bonus nie poprawi zauważalnie statystyk dotyczących biedy.

Zwłaszcza że zagrożenie tej grupy ubóstwem nie wynika tylko z niskich świadczeń. Również z innej robiącej wrażenie statystyki: w 2017 r. wśród osób niepełnosprawnych w wieku produkcyjnym tylko 28,9 proc. było aktywnych zawodowo. – Oznacza to prawie 1,2 mln niezatrudnionych, z których tylko część jest obiektywnie niezdolna do pracy. Utrzymują się głównie z rent: socjalnej i ZUS-owskiej. Tymczasem o ile minimalna płaca wynosi w Polsce ponad 2 tys. zł. brutto, minimalne renty i emerytury to nieco ponad tysiąc, czyli netto 878 zł – przypomina prof. Szarfenberg.

I dodaje: – Odsetek aktywnych zawodowo w grupie osób niepełnosprawnych jest w Polsce porażająco niski. Po pierwsze w porównaniu z osobami pełnosprawnymi, wśród których sięga on niemal 80 proc. Po drugie, w porównaniu z innymi krajami, gdzie odsetek pracujących niepełnosprawnych przekracza nawet 50 proc.

– We wszystkich krajach istnieje dysproporcja między tymi grupami – dodaje dr Kubicki. – Wszyscy więc „gonią króliczka”. Tyle że my gonimy go wyjątkowo wolno.

Na pytanie, dlaczego tak jest, istnieje kilka odpowiedzi w zależności od grupy. Pierwsza to niesprawni w stopniu znacznym lub umiarkowanym, zwykle od dzieciństwa, po których trudno oczekiwać pełnej aktywności. Właśnie dla nich państwo tworzy rynek pracy chronionej, na którym w 2017 r. – to trend uważany przez ekspertów za pozytywny – było już mniej osób niż na rynku otwartym.

– Poza instytucją zakładu pracy chronionej, czyli zwykłym pracodawcą, który dostosowuje warunki do zatrudnienia większego odsetka niepełnosprawnych

W 2017 r. wśród osób niepełnosprawnych w wieku produkcyjnym tylko **28,9 proc.** było aktywnych zawodowo.

Oznacza to prawie 1,2 mln niezatrudnionych, z których tylko część jest obiektywnie niezdolna do pracy.

pracowników, mamy też sieć zakładów aktywności zawodowej – tłumaczy prof. Szarfenberg. – To nie są zwykli przedsiębiorcy nastawieni na zysk, ale pracodawcy najmujący osoby z umiarkowaną lub znaczną niepełnosprawnością, takie, u których stwierdzono autyzm, upośledzenie umysłowe bądź chorobę psychiczną. Problem w tym, że w tych zakładach w 2017 r. pracowało jedynie 2700 osób. Nic dziwnego, skoro istnieją w zaledwie 7 proc. miast.

– Inną liczną i ważną z punktu widzenia wskaźników dezaktywizacji grupą są osoby starsze, które wypadły z rynku pracy po tym, jak w wieku dojrzałym stały się niepełnosprawne, i np. ze względu na niewydolny system rehabilitacji na ten rynek nie wróciły – opisuje dr Kubicki. – Wreszcie grupa kolejna: niepełnosprawni w stopniu, który pozwala im na pełną aktywność. Ci albo bezskutecznie szukają pracy, albo już dawno się do tego szukania zniechęcili. Co ciekawe, w tym samym czasie przedstawiciele wielu instytucji publicznych i firm przygotowanych do zatrudnienia niepełnosprawnych narzekają, że „nie ma rąk do pracy”.

Dlaczego tak się dzieje, tłumaczy na przykładzie własnej historii Laura Jurga: – Aktywność zawdzięczałam sobie samej, rodzicom i swojemu środowisku. Do 2012 r. nie byłam zarejestrowana jako „bezrobotna poszukująca pracy”, zarabiając na uczelni wyższej i w placówce ministerialnej. Potem już zarejestrowana byłam, ale przez dwa lata bezskutecznie szukałam zatrudnienia. Absurdy zaczynają się od spraw prozaicznych: do najbliższego warszawskiego urzędu pracy miałam rzut beretem, tyle że ten dla osób niepełnosprawnych jest usytuowany... po drugiej stronie miasta. W dodatku przez dwa lata urząd ten nie miał mi wiele do zaoferowania, proponując głównie kursy aktywizujące czy doskonalące. Np. ten z budowania stron internetowych – zbyt krótki, by zdobyć praktykę. Pamiętam, że innym osobom często proponowano staże, które jednak niekoniecznie kończyły się zatrudnieniem – ludzie ci mieli status „wiecznych stażystów”. Po doświadczeniu z urzędem kilka razy pracowałam na umowach czasowych, a na stałe zatrudnił mnie w końcu serdeczny kolega...

Inna przyczyna dezaktywizacji może tkwić w częściowej przynajmniej „pułapce świadczeniowej”. Owszem, do rent można w Polsce dorabiać – bez

uszczerbku dla świadczenia do poziomu nieco ponad 3 tys. zł miesięcznego zarobku brutto. – Ale może działać tu psychologia: lęk przed lekarzem orzecznikiem – mówi dr Kubicki. – Jeśli pracując „za bardzo się usprawnię”, to mogę utracić orzeczony wcześniej stopień niepełnosprawności.

– Nie do końca też rozumiem, dlaczego państwo wyznacza mi granicę zarobków, po przekroczeniu której tracę rentę – dodaje Laura Jurga. – To tak jakby chciano mnie ukarać za aktywność. Jest jeszcze inny czynnik, który może sprzyjać niskiej aktywności. Pracodawca, który złoży wniosek o dofinansowanie do wynagrodzenia niepełnosprawnego pracownika, dostaje 75 proc. takiej dopłaty. Tyle że jest to 75 proc. najniższego wynagrodzenia! Zarówno ten przepis, jak i wspomniany próg dochodowy determinują niskie zarobki osób z niepełnosprawnościami.

Trauma edukacji

Pozostaje jeszcze sfera mentalna. – Istnieje wiele badań wskazujących na to, że wieloletnie nieskuteczne próby zatrudnienia sprzyjają poczuciu zniechęcenia i bezradności – zauważa dr Kubicki.

A Laura Jurga dodaje: – To w dużej mierze sprawa wychowania, i to wcale nie tylko rodzinnego. Państwo polskie przez lata wychowywało do niezaradności życiowej, patrząc na osoby niepełnosprawne jako wyłączenie „wymagające wsparcia”, a nie jako jednostki, które coś mogą społeczeństwu dać.

Podobnie na niepełnosprawne dzieci patrzy często polski system edukacyjny. Choć do prawa określającego dostęp niepełnosprawnych dzieci do oświaty trudno mieć – uważają eksperci – większe zastrzeżenia. Państwo przeznacza na tę sferę pieniądze, a rodzic sam może wybrać typ szkoły, do jakiej będzie chodziło dziecko: ogólnodostępną, integracyjną lub specjalną. Na papierze mamy też gwarancję prawa każdego dziecka „do wychowania i opieki odpowiednich do wieku i osiągniętego rozwoju”. – Ale decyzję o przyjęciu dziecka do przedszkola lub szkoły w praktyce podejmuje dyrektor – mówi Laura Jurga. I dodaje, że do obowiązków kierującego szkołą należy też m.in. organizacja pomocy psychologiczno-pedagogicznej czy zapewnienie dostępu do odpowiednich specjalistów. A także dobrego kontaktu z nauczycielami i innymi rodzicami.

Jak wygląda to często w praktyce, opowiada dr Kubicki: – W Polsce przy zaangażowanym rodzicu i dobrym dyrektorze edukacja włączająca, a więc ta odbywająca się w ogólnodostępnych szkołach, działa w ramach obecnych przepisów dobrze. Przy neutralnym dyrektorze i dobrym rodzicu nadal zwykle udaje się bez większych problemów skończyć szkołę. Ale już w sytuacji, gdy obie strony są przeciętnie zaangażowane, szansa powodzenia jest niewielka. Wiele osób zmienia placówkę, a ci, którzy zostają, kończą ją kosztem stresu i traum. Dziecko ostatecznie odbierze świadectwo, ale na pewno nie wyniesie ze szkoły miękkich kompetencji i poczucia pewności siebie, dzięki którym w przyszłości łatwiej by mu było znaleźć pracę. Po szkole podstawowej niektórzy, np. za sprawą wcześniejszej traumy, wylądają w systemie szkolnictwa specjalnego albo trafią do słabych zawodówek, które nie potrafią przygotować do rynku pracy.

Przystanek Wiejska

Do tej usłanej barierami drogi osoby niepełnosprawnej dodajmy równie trudną drogę opiekunów (oczywiście w sytuacji, gdy ten opiekun jest potrzebny). Ich też polski system nie rozpieszcza – część dyskryminując (świadczenie dla opiekuna osoby, której niepełnosprawność powstała w wieku dorosłym, to tylko 520 zł, w dodatku z progiem dochodowym), wszystkich zaś skutecznie zniechęcając do pracy zarobkowej.

– Mamy system, w którym „menadżerem” osoby niepełnosprawnej nie jest ona sama, ale opiekun – ocenia dr Kubicki. – To zwykle ktoś skrajnie wyczerpany, często od dawna niepracujący i niemogący liczyć na zatrudnienie z pensją zbliżoną do krajowej średniej. A tylko przy takich poborach praca by się opłacała, bo zyski mogłyby przekroczyć koszty „zniknięcia” z domu i zatrudnienia fachowej opieki. W ten sposób koło się zamyka: państwo produkuje dwie grupy wykluczonych.

Za przystanek końcowy możemy uznać ulicę Wiejską i niedawny sejmowy protest. Tylko znając wcześniejszą drogę protestujących zrozumiemy, dlaczego nie chcieli słyszeć o „reformie całego systemu” czy „kompleksowej pomocy” – fraz powtarzanych od lat bez żadnego pokrycia.

Chcieli 500 zł, „minimum godności”, które pozwoliłoby im na nieco głębszy oddech. Ale i tego na razie nie dostali.

©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



ARTUR ZAWADZKI / REPORTER

Jakub Hartwich z mamą, Warszawa, 2 czerwca 2018 r.

MARIUSZ SEPIOŁO: Dlaczego zawiesiliście protest?

JAKUB HARTWICH: Między innymi z powodu skandalicznego zachowania marszałka Kuchcińskiego wobec nas. Obawialiśmy się też o nasze zdrowie i życie.

To znaczy?

Nasi opiekunowie zostali poszarpani przez straż marszałkowską. Zrobiło się bardzo niebezpiecznie. Moja mama ma zrobioną obdukcję. Okazało się, że ma pokancerowaną rękę. Inna mama niepełnosprawnego ma zranioną stopę, a jeszcze inna łokieć. Użyto wobec nas przemocy fizycznej.

Zdecydował też oczywiście brak konkretnej propozycji ze strony rządu. My na stół wyłożyliśmy cztery propozycje kompromisu, władza – żadnego. Przede wszystkim nie spełniono pierwszego i głównego postulatu – nie wprowadzono dodatku rehabilitacyjnego dla osób niepełnosprawnych, niezdolnych do samodzielnej egzystencji po ukończeniu 18. roku życia – 500 złotych miesięcznie bez kryterium dochodowego.

W pewnym momencie dotarło do nas, że rząd po prostu nie chce pomagać osobom niepełnosprawnym. Uważam, że trzeba o to walczyć dalej. Ciągłe nie mamy zapewnionego minimum socjalnego.

Twoja mama mówiła mi, że dodatek 500 zł pozwoliłby tylko na zapewnienie podstawowych potrzeb.

Mówię to zawsze i powtórzę jeszcze raz: osoba niepełnosprawna potrzebuje ok. 4 tys. zł miesięcznie, asystenta i pielęgniarki. Wtedy mogłaby się usamodzielnić, wykupić rehabilitację i po prostu przeżyć. W sytuacji, w której nie dostaliśmy nawet tego małego dodatku, nadal musimy się obawiać o to, co będzie, jeśli zabraknie osób, które się nami opiekują. Nie chcemy wylądować w ośrodkach opiekuńczych. Dziś dostajemy informacje, że nowe przepisy o wsparciu osób niepełnosprawnych wcale nie zaczną działać od 1 lipca we wszystkich miejscowościach, bo NFZ nie jest na to przygotowany. Ciągłe powtarzam: nie buduje się systemu od tyłu.

Sztuka walki

JAKUB HARTWICH, UCZESTNIK PROTESTU OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH:

Ci, którzy wspierali nas w 2014 roku, po dojściu do władzy zapomnieli o swoich obietnicach.

Co to znaczy?

Każdy dobry system pomocy osobom niepełnosprawnym – we Francji, w Anglii, w Holandii – zawsze zaczyna się od finansów. To o nie trzeba zadbać w pierwszej kolejności. Potem wchodzi czynnik ludzki: przychodzi urzędnik i pyta, czego dana osoba potrzebuje. Na przykład ją potrzebują rehabilitacji i wózka inwalidzkiego, ale nie wymagam pampersów i cewników. Indywidualna sytuacja niepełnosprawnych powinna być diagnozowana.

System, który zaczyna się od zwiększenia środków i który uwzględnia indywidualne potrzeby, działa w Unii Europejskiej. My walczyliśmy tylko o godność. Minimum, zabezpieczenie socjalne, a nawet tego zabrakło.

Polska nie ma systemu dla osób z niepełnosprawnościami?

Nie. Przez lata próbuje się zrobić coś do różnego. Ale nie tak, jak powinno się to robić.

Zaskoczyłeś polityków świetnym przygotowaniem, merytorycznymi argumentami.

Myślę, że wynika to po prostu z wiedzy, czego potrzebują osoby takie jak ja, i czego się obawiają. Jestem w normie intelektualnej, co niektórych bardzo zdziwiło. Przez to mam też niestety pełną świadomość, co będzie, jeśli zabraknie naszych rodziców. Osoby niepełnosprawne będą lądowały w ośrodkach, bo nie będą w stanie samodzielnie funkcjonować. Jednocześnie wszystko to, co udało nam się dotąd wywalczyć dzięki ciężkiej rehabilitacji, zostanie zaprzepaszczone. Państwo skazuje nas na ośrodki jeszcze za życia.

Chorujesz na porażenie mózgowe. Do 15. roku życia przeszedłeś sześć operacji nóg. Osoba w Twojej sytuacji powinna być rehabilitowana pięć razy w tygodniu. Ty możesz sobie pozwolić na trzy sesje.

Przez to mój stan się pogarsza. Napięcie mięśniowe nie ustaje. Powinienem ćwiczyć codziennie, żeby mój organizm się nie zastał. Ale nie mogę, bo nas na to nie stać. Rehabilitacja jest właśnie po to, by osoba taka jak ja, w miarę możliwości, mogła się usamodzielnic. Choć ciągle w dużym stopniu zależymy od naszych opiekunów, to ciężko pracujemy nad

tym, by nasz stan się poprawił. W mojej chorobie ta druga osoba potrzebna będzie zawsze. Mimo to codziennie dążę do tego, żeby jak najbardziej się usamodzielnic. Ciągle nie ma systemu i wsparcia ze strony państwa, żeby niepełnosprawny mógł normalnie żyć i z tego życia korzystać.

Jeszcze w trakcie protestu niektóre media pisały, że jesteś zatrudniony w Fundacji „Z Widokiem”, przedstawiając to jako zarzut wobec Ciebie.

Obecnie niczym się nie zajmuję, a moja obecność w fundacji to była raczej forma aktywizacji, uspołeczniania, niż normalnej, regularnej pracy. Bo takiej nie mogę podjąć ze względu na moją chorobę. Sytuacja niepełnosprawnych na rynku pracy to kolejny ważny problem. Bo tej pracy po prostu nie ma. Firmy boją się nas zatrudniać. Przewąłkowałem ten temat dosyć szeroko: w urzędach pracy zawsze słyszę, że pracy dla mnie nie ma i nie będzie. Choć przecież mógłbym wykonywać pewne rzeczy np. przy komputerze.

Pytam o to, bo wielu politykom wydaje się, że jako niepełnosprawni nie macie własnego, osobnego życia.

Oczywiście. Dlatego też potrzebujemy dodatkowych środków. Na normalne życie, nie tylko leczenie. Ale tak naprawdę straszne jest co innego. Nasi rodzice mają już chore kręgosłupy, nie będą żyć wiecznie. Dlatego mimo że protest został zawieszony, tak jak poprzedni w 2014 r., to nasza walka się nie kończy.

Jak porównałbyś oba protesty – ostatni i ten sprzed czterech lat?

Poprzedni był na pewno bardziej humanitarny. Trudno mi znaleźć wytłumaczenie, dlaczego rząd nie chce pomagać osobom niepełnosprawnym. Cały czas zadawaliśmy pytania i dawaliśmy argumenty, a strona rządowa robiła swoje: jakieś wyliczenia, że jest nas 900 tys., potem 1,5 miliona. Nie chcieli znać prawdziwych twardych danych. Tymczasem wiemy, że koszt spełnienia pierwszego postulatów to niecałe 2 mld zł. Oni po prostu tych pieniędzy nie chcieli dać i do dziś nie rozumiem dlaczego.

Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Ci, którzy wspierali nas w 2014 r., po dojściu do władzy zapomnieli o swoich obietnicach.

Czy przed rozpoczęciem protestu wierzyłeś, że politycy mogą i chcą zmienić waszą sytuację?

Byliśmy przekonani, że posłowie Prawa i Sprawiedliwość i rząd będą chcieli rozwiązać ten problem szybciej niż poprzednicy. Okazało się, że jest zupełnie inaczej. Bezsensowny opór, nieprzyjemne gesty, jak ucieczka poseł Bernadety Krynickiej przed nami. I słowa polityków PiS – marszałka Stanisława Karczewskiego czy Jacka Żalka – które nigdy nie powinny paść z ust polityka. Dla nich było to niegodne, a dla nas poniżające.

Odbierałeś te słowa osobiście?

Oczywiście, było nam przykro. To już sprawa sumienia każdego z nich.

Ale my jesteśmy twardzi. Życie nas nie rozpieszczało i nie rozpieszcza. Wiemy, że o wszystko trzeba walczyć do końca, dopóki będą siły. Tylko wtedy jest szansa, żeby coś wydrzeć. Wiedzieliśmy to też teraz.

Ogromnym sukcesem było uświadomienie społeczeństwa. Bardzo się z tego cieszę. Polacy zrozumieli nasz problem. Trzeba też zauważyć, że wróciła pewna sprawiedliwość społeczna, bo udało się wywalczyć zrównanie renty socjalnej z najniższą rentą z ZUS z tytułu całkowitej niezdolności do pracy. To niewiele, ale jednak.

Jak oceniasz pracę mediów w trakcie protestu?

To zależy, o jakim medium rozmawiamy. W złym świetle pokazywała nas telewizja publiczna. Reszta mediów pokazywała nas rzetelnie. Myślę też, że dziennikarze nauczyli się, na czym polega nasz problem, edukowali się. To kolejna korzyść. Ważne, żeby ten problem nie ucichł. Odpowiedzialność za to spoczywa nie tylko na nas, ale i na mediach.

Jaka będzie przyszłość?

Będziemy o problemie mówić dalej, bo mimo zawieszenia protestu nie przestał istnieć.

Traktujesz to jak swoją życiową misję?

Trochę tak. Chociaż nie chcę mówić o sobie, nie czuję się liderem tej grupy. Chodzi o ogólną odpowiedzialność za to, żeby ten problem nie został zapomniany, a przez polityków zamieciony pod dywan. © Rozmawiał MARIUSZ SEPIÓŁO



Alicja Jochymek z córką Kingą, Sejm, Warszawa, 10 maja 2018 r.

Z walizką na Wiejskiej

ALICJA JOCHYMEK, UCZESTNICZKA PROTESTU OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH:

Nie damy o sobie zapomnieć: Adrian Glinka i Kuba Hartwich będą głosem osób niepełnosprawnych, a my będziemy żądać ustalenia dla naszych dzieci minimum socjalnego. To będzie nasza wspólna misja.

TO BYŁ PIĄTY MIESIĄC CIĄŻY. USG POKAZAŁO, że tułów dziecka rozwija się dobrze, a główka nie. Miałam 21 lat. Lekarz powiedział, że córka urodzi się prawdopodobnie z małą głową, a ja nie mogłam w to uwierzyć. I do momentu narodzin nie brałam tego aż tak do siebie.

Urodziłam Kingę w krakowskim Szpitalu Narutowicza. Dopiero w tamten dzień wszystko do mnie dotarło – po raz pierwszy płakałam. Pytałam, dlaczego mnie to spotkało. „Córka będzie »roślinką«, sama pani rozumie, jak dużo się pani przy niej napracuje” – powiedziała doktor genetyk.

Oczywiście się myliła. Kinga ma dziś 20 lat, jej małą głowę oznacza uszkodzenie mózgu, m.in. części odpowiedzialnej za mówienie. Ma intelektualne upośledzenie, ale jest pogodna, wita wszystkich uśmiechem, cieszy się, rozpoznaje bliskich. Porozumiewa się za pomocą kilkunastu słów, ale też wielu gestów i dźwięków. Świetnie się rozumiemy.

Wtedy, 20 lat temu, po kilku tygodniach załamania musiałam stać się silna. Choć bolało mnie, że pewnie nigdy nie usłyszę od niej słowa „mama”. Po kilku latach Kinga poznała to słowo – gdy się je wypowie, pokazuje na mnie. Ale mówi: „Ala”.

Słowo „mama” usłyszałam kilkanaście lat później, bo po jedenastu od urodzenia Kingi na świat przyszła Julka. Dziś ma dziewięć lat, a Kinga wiele jej zawdzięcza – np. rozwojowo. Julka wiele przeszła: z powodu wizyt lekarskich, wyjazdów rehabilitacyjnych wielokrotnie musiałam ją zostawiać z tatą czy dziadkami. Była też z dala ode mnie w czasie dwóch protestów.

Protest pierwszy: zwyciężyliśmy

Za pierwszym razem coś w nas, rodzicach, pękło. Rok 2014, nie miałam już wtedy pracy. Żyliśmy z 620 złotych świadczenia dla opiekuna, 153 złotych zasiłku pielęgnacyjnego i niewielkiej pensji męża. W sumie: około trzech tysięcy na czworo.

O szykującym się proteście dowiedziałam się z mediów społecznościowych. Pomyślałam, że ja też muszę zawalczyć o swoje dziecko. „Pakujemy się i jedziemy z Kingą do Warszawy” – powiedziałam. I wyruszyliśmy – z koleżanką z Chrzanowa – na Wiejską. Byłyśmy z Kingą na miejscu przez dwie noce i trzy dni. O tym, że Donald Tusk, mimo początkowej niechęci do ustępstw, zgodził się na stopniową podwyżkę świadczenia dla opiekuna

nów do poziomu 1477 złotych, dowiedziałam się już z telewizji. Miałam poczucie, że zwyciężyliśmy. Wtedy nie było też takiej frustracji jak w 2018 roku: nikt nas w Sejmie nie upokarzał, nikt nie mówił, że robimy z dzieci „żywe tarcze” albo że na sejmowym korytarzu śmierdzi...

Podwyżka poprawiła nieco naszą sytuację. Choć warto pamiętać, że nasze potrzeby są większe niż rodzin z pełnosprawnymi dziećmi. Rehabilitacja, lekarstwa, transport. Niektóre rzeczy finansuje państwo, ale też w niewystarczającym zakresie. Np. przysługuje nam 180 pieluchomajtek na kwartał, czyli dwie dziennie. A Kinga potrzebuje trzech lub czterech. Należy nam się bezpłatna służba zdrowia. Co z tego, skoro na wizytę u niektórych specjalistów trzeba czekać do... 2020 roku.

Nasze dochody nie są takie, jak twierdzą rządzący. Dla premiera Morawieckiego jesteśmy najwyraźniej z Kingą jednym tworem, skoro obliczył nasz dochód na 3 tysiące, wliczając w to – nie wiadomo dlaczego – sumę składek ZUS. W rzeczywistości mamy jakieś 2,5 tys., a po dodaniu zarobków męża wychodzi ponad cztery. Sama Kinga, która jest przecież osobnym bytem, dostaje od państwa 900 zł!

Tysiące ludzi, o których walczyliśmy w Sejmie, ma znacznie gorzej. Żyją w skrajnej nędzy.

Protest drugi: opłacało się

Mój drugi sejmowy pobyt, ten zakończony przed kilkoma tygodniami, zaczął się od telefonu koleżanki. Decyzja znowu była szybka. Do Warszawy, z jedną walizką pod ręką, zabrałyśmy się ze znajomym, który jechał do lekarza. Potem sześć przystanków autobusowych w stolicy i konferencja w Sejmie. A na koniec decy-

zja: robimy protest. Miałam w torbie dwa, trzy T-shirty, spodnie, jakieś lekarstwa dla Kingi i buty.

Spędziłyśmy w Sejmie 23 dni. Każdy kolejny przynosił nadzieję, że „jutro się wszystko wyjaśni”. Inaczej byłoby trudno wytrzymać. Otuchy dodawały portale społecznościowe, wsparcie dały panie Wanda Traczyk-Stawska i Janina Ochojska. Opłacało się. Powiem wprost: gdybyśmy w tym Sejmie nie zostały, to nie byłoby nawet podwyżki renty socjalnej.

To nie był protest polityczny. Wśród nas są osoby o różnych sympatiach, a większość głosowała na PiS. Ja akurat oddałam głos na Kukiza, bo nie chciałam popierać żadnej z dużych partii. I jeszcze jedno: wśród nas nie było chyba nikogo, kto głosowałby na Platformę, więc sugerowanie, że protest był „inspirowany”, jest nieporozumieniem.

Przez te 23 dni najczęściej było Julii, mojej młodszej córce. Widziała mnie czasami w telewizorze. Zauważyły mnie też jej koleżanki i ksiądz w szkole, który mówił, żeby mama wróciła, bo zbliża się pierwsza komunika. A ja ten powrót odwlekałam, jak się dało. We wtorek, czyli na 12 dni przed komunią, Julka popłakała mi się do słuchawki. To był trudny moment, ale postanowiłam zostać jeszcze kilka dni. A gdy już opuszczałam Sejm, podjęłam decyzję, że zrobię to z otwartą przyłbicą – powiem po prostu dziennikarzom, że wyjeżdżam, i dla czego muszę to uczynić. Postąpiłam tak, by na pasku w TVP nie napisali: „Protestujący się wykuszają”.

Gdy jechałam do Warszawy 23 dni wcześniej, nie było jeszcze liści na drzewach, a temperatura sięgała kilkunastu stopni. Kiedy wracałam – panował 30-stopniowy skwar. Dojechałam na dworzec, wsiałam w pociąg. Z Krakowa postanowi-

łam dotrzeć do domu komunikacją miejską i podmiejską. Chciałam powoli dojść do siebie, poodychać powietrzem po ponad 20 dniach przebywania w zaduchu. Poprzebywać wśród zwykłych ludzi, być między nimi po okresie, w którym wielu z nich nas wspierało.

Po proteście: nie boję się ciszy

Wiem, o co pan chce na koniec zapytać... Co będzie z nami w przyszłości i jak wyobrażam sobie moment, gdy mnie zabraknie. Chciałabym żyć dwa, trzy dni dłużej niż Kinga... Kiedy o tym mówię, chce mi się płakać. Ale niestety, nie mam wpływu na to, jak potoczy się nasze życie.

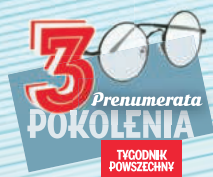
Co do protestu i tego, jaki przyniesie skutek, to na pewno widać już zmianę w ludziach. Są wrażliwsi, życzliwsi. Choć z dystansu mogę powiedzieć, że z tym poparciem bywało różnie. Były miasta, w których na pikety przychodziły tysiące. I inne, jak Kraków, w których żyją setki niepełnosprawnych, działają dziesiątki szkół integracyjnych, a na manifestacjach stawiała się garstka.

Niespecjalnie wsparł nas Kościół, choć były też pojedyncze odważne głosy. Ks. Isakowicz-Zaleski, który był przy nas podczas poprzedniego protestu, teraz odmówił, wyrażając nadzieję, że przerwiemy akcję. Iwona Hartwich powiedziała, że nie ksiądz Isakowicz protest zaczynał, to i nie on będzie kończył.

Nie boję się ciszy po proteście: o sprawie mówiły – i nadal mówią – media. Adrian Glinka i Kuba Hartwich będą głosem osób niepełnosprawnych, a my będziemy ich wspierać i żądać ustalenia minimum socjalnego dla naszych dzieci. To powinna być teraz misja nas wszystkich. Nie damy o sobie zapomnieć.

©P Wystuchał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



NA LATO I NA LATA. CZYTAJ „TYGODNIK” W PRENUMERACIE

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok dla osób poniżej 25. lub powyżej 65. roku życia
■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PAWEŁ

Śpiewak: *Eliasz w legendach*



ELIASZ ŻYJE W LEGENDACH. JEDNA Z NICH OPOWIADA O JEGO BLISKICH ZWIĄZKACH Z RABINEM JEHOZUA BEN LEWIM. DZIĘKI PROROKOWI RABIN MOĞŁ POGADAĆ Z MESJASZEM. SZCZEGÓŁÓW SPOTKANIA NIE UJAWNIONO. ALE NAJCIĘKAWSZA BYŁA LEKCJA TEODYCEI, JAKĄ PROROK UDZIELIŁ SWO-

jemu przyjacielowi.

Pozwolił mu wędrować z sobą, zabronił jednak stawiać pytań. Miał jedynie iść za wskazaniem proroka i nie zastanawiać się nad jego czynami. Trafili do biednego domostwa, w którym mieszkało dwoje starych ludzi. Mieli oni jedną, też już starą, krowę. Gospodarze serdecznie przyjęli wędrowców. Dzielili się z nimi wszystkim, co było w chałupie. Zanim ruszyli w dalszą drogę, prorok pomodlił się o to, by krowa rychło zdechła. No i zdechła, nim oni zdążyli opuścić ubogą chatę.

Następną noc spędzili w drodze. Zasnęli na pustkowiu. Rano dotarli do bardzo zasobnego domu. Właściciel niezyczliwie odnosił się do obdartych wędrowców, tłumacząc im, że powinni zabrać się do porządnej pracy. Wychodząc z domu bogacza prorok zobaczył, że jedna ściana za chwilę się rozpadnie, a z nią cały dom. Prorok modlił się o to, by owa ściana stanęła na powrót. Tak też się stało. Od razu modlitwa została wysłuchana.

Zdziwiony był Jehozua, ale nie mógł o nic pytać. Zaszli do synagogi zdobnej w piękne malunki, złote świeczniki, srebrne okucia. Nikt nie zwrócił większej uwagi na przybyszy. Ledwo dano im trochę chleba i wody. Jehozua usłyszał słowa modlitwy proroka. Prosił o to, by każdy w synagodze stał się głową synagogi i religijnego kręgu. Zaniepokoiła ta modlitwa Jehozuę. Dotarli po kilku dniach do biednej synagogi. Tym razem otoczyła wędrowców gościnność i serdeczność, a prorok modlił się, by Bóg obdarzył zgromadzonych jednym tylko przywódcą, głową synagogi.

Zdziwiony ben Lewi nie wytrzymał i zapytał proroka, dlaczego tak dziwnie postępuje i tak zaskakujące życzenia mu towarzyszą. Zadał pytanie, choć wiedział, że przez to straci towarzystwo proroka. Eliasz wszystko wyjaśnił. Wiedziałem, że Bóg wysłał do starszej kobiety anioła śmierci i modlił się o to, żeby zamiast niej zdechła krowa. Tak też się stało. Ścianę w domu niesympatycznego bogacza chciał odbudować, wiedząc, że pod nią znajduje się wielki skarb. Nie chciał, by wpadł w ręce tego niewdzięcznika. Modlił się o to, by w zasobnej synagodze było dużo przywódców, wiedząc do brze, że każdy z nich będzie uważał się za mądrzejszego niż pozostali i szybko z tego powodu się pokłóć. A biedna synagoga z jedną „głową” zyska na sile i jedności.

Eliasz widział rzeczy ukryte, troszczył się o dobro ludzi i nigdy nie brakło mu rozsądku. Trudno takiego proroka nie uwielbiać. Tym bardziej że uchodził też za anioła przymierza, a dla niektórych – za cherubina z Arki Przymierza. Obdarzamy go wyjątkowymi zaletami i co tydzień na koniec szabatu śpiewamy pieśń o Eliaszu proroku. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Nasza siostra śmierć*



„BÓG UCZYNIŁ CZŁOWIEKA NIEŚMIERTELNYM, stworzył go dokładnie na swój obraz”. Tak, lecz na razie każdy, kto się urodził, musi umrzeć, umarł nawet Jezus z Nazaretu, Bóg-człowiek. Jak pogodzić to kateryczne stwierdzenie o nieśmiertel-

ności ze śmiertelnością?

W Księdze Mądrości czytamy, że Bóg „uczynił wszystko, aby istniało, wszystkie stworzenia na ziemi są potrzebne, nie ma w nich zabójczego jadu, a otchłań śmierci nie panuje nad światem (...). Bóg nie jest sprawcą śmierci, nie ma upodobania w zagładzie żyjących, [a] śmierć wdarła się na świat przez zazdrość diabła, doświadczaj jej ci, którzy stoją po jego stronie”. Czyżby diabeł był aż tak mocny, że daje radę zablokować działanie Boga?

Zdarzają się jednak ludzie, którzy pragną śmierci, a nawet o niej marzą. „Dla mnie bowiem życie to Chrystus, a śmierć to zysk – mówi Paweł Apostoł. – Dręczy mnie podwójne pragnienie: chcę odejść, aby być z Chrystusem, co byłoby o wiele lepsze, lecz dla was jest bardziej konieczne, abym pozostał w ciele”. To znaczy, że miłość jest wszechmocna, nie śmierć. Nic dziwnego, miłość jest przecież imieniem Boga.

Czy na początku wakacji godzi się poruszać tak bolesne zagadnienie? Jak najbardziej. Co by nam zostało, gdyby temat śmierci wyłączyć z zainteresowań naukowców i artystów, ale i naszych codziennych rozmów? Niewiele. Wystarczy wybrać się do teatru lub opery, żeby się otrzeć o śmierć. Skoro jednak ze strachu przed nią nie unikamy teatru, a tragiczna śmierć np. Carmen i jej sprawca nie przerażają nas, to znaczy, że śmierć nie musi być naszym największym wrogiem, a jej symbolem nie musi być kościotrup. Święty Franciszek z Asyżu mówi: „Pochwalony bądź, Panie mój, przez naszą siostrę śmierć cielesną, której żaden człowiek żywy uniknąć nie może”.

„Kościół zachęca nas do zmiany sposobu myślenia – mówi papież Franciszek. – Można wyrecytować całe wyznanie wiary i wszystkie dogmaty kościelne, ale jeżeli tego nie robi się w duchu chrześcijańskim, to niczemu to nie służy. (...) Sposób myślenia, wierzenia zmieniają się. Możemy się zapytać: »W jaki sposób myśleć? Myślę w duchu Pana, czy też po swojemu, albo w duchu wspólnoty, do której należę, albo ugrupowania czy warstwy społecznej, do której należę, albo partii politycznej? W jakim duchu myśleć?«. I zastanówmy się, czy na pewno myśleć po Bożemu. I prosimy o łaskę, abyśmy umieli rozpoznać, kiedy myślimy po światowemu, a kiedy po Bożemu. I prosimy też o łaskę nawrócenia naszego myślenia”.

To samo mówi Paweł Apostoł: „Pozwólcie się odnawiać Duchowi w waszym myśleniu i przyobleczcie się w nowego człowieka, stworzonego zamysłem Boga w sprawiedliwości i prawdziwej świętości”. Ta odmiana dotyczy też śmierci. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Owczarnia czy wataha?

*Teraźniejszość nie jest
nigdy naszym celem.
Tak więc spodziewamy
się żyć, ale nie żyjemy
nigdy. Gotujemy się
wciąż do szczęścia,
a co za tym idzie,
nie kosztujemy go
nigdy.*

BLAISE PASCAL



*Ten spełnia cel
istnienia, kto już
nie potrzebuje innego
celu poza życiem.*

LUDWIG WITTGENSTEIN



CZYTAŁEM OSTATNIO NA rekolekcjach z księżmi 10. rozdział Ewangelii według św. Mateusza, zawierający tzw. mowę misyjną Pana Jezusa. Najbardziej wstrząsnęły mną wersety 16–22. Otwiera je Jezusowe zdanie: „Posyłam Was jak owce między wilki”.

Aby wejść w dramat ukryty w tym poleceniu, trzeba wrócić do początku mowy, kiedy Pan określa adresatów misji: „Nie idźcie do pogan, ani do żadnego miasta samarytańskiego. Idźcie do owiec, które poginęły z Domu Izraela” (Mt 10, 5). Kogo więc ma na myśli, kiedy mówi o wilkach? Nie „pogan” i „nie Samarytan”. Jezus mówi o „wilkach”, którymi stały się owce pogubione z Domu Izraela, a więc z Ludu Bożego, a dla nas – z Kościoła. „Posyłam was jak owce między wilki, którymi się stały zagubione owce!”. To jest miarą ich „zagubienia”, że stały się wilkami. Boża Owczarnia coraz bardziej przypomina watahę wilków.

Po czym to widać? Najpierw po tym: „w swoich synagogach będą was biczować!” (w. 17). Czy „synagoga”, tzn. czy miejsce święte, czy Boże zgromadzenie, może być miejscem, w którym „biczuje się” kogokolwiek? Czy dopuszczalna jest przemoc w imię Boga? Czy to nie przerażające, że człowiek zdolny jest – powołując się na swoją wiarę – uciekać się do przemocy? Że może kogokolwiek zwalczać? Upokarzać? Kimś ponieważ? Właśnie odwołanie się do przemocy przekształca miejsce należące do Boga w miejsce tworzone i okupowane wyłącznie przez ludzi. Dlatego Jezus mówi: „w SWOICH synagogach będą was biczować”. Bo one nie należą już do Boga. Wypędzili Go ze swoich miejsc świę-

tych, powołując się na Niego. Ale On nie jest pasterzem wilków, lecz owiec. W owczarni, która przekształciła się w watahę, On nie ma już wiele do powiedzenia.

Są inni, którym musiał ustąpić miejsca – tych przywołuje następny werset: „poprowadzą was przed książąt i królów”. Książę (grec. *hegemon*) i król (grec. *basileus*): czy to do nich należy rozstrzygający głos w sprawach wiary? W owczarni – z całą pewnością nie! Ale wśród owiec, które „zwilczały”? Tak... To jeszcze jeden wymiar degeneracji owczarni w watahę: pomieszanie religii z polityką. Pomieszanie lub wręcz poddanie z jednej strony, a manipulacją z drugiej. Jezus przestrzega nas przed takim kształtem Kościoła, w którym argumentacja polityczna zdomowała się wewnątrz dyskursu religijnego.

Skąd – z Ewangelii czy z własnych poglądów politycznych – czerpiemy argumenty w rozmowach np. o przyjmowaniu uchodźców, o stosunku do Żydów czy muzułmanów, o ekumenizmie? Nie słowa Jezusa, nie aktualne nauczanie Kościoła (wypowiedziane na Soborze Watykańskim II, rozwijane przez papieża od Pawła VI po Franciszka) są rozstrzygające. Własne lęki i „zła pamięć”, pomieszane z polityczną kalkulacją – są o wiele mocniejsze.

Jezus mówi: „posyłam was jak owce między wilki!” i zaraz dodaje: „na świadectwo!”. Nie na dyskusję, doktrynalne spory. Bo owca, która stała się wilkiem, nosi w sobie ciągle znajomość Ewangelii. Nie potrzebuje wykładu. „Wie” wszystko, co moglibyśmy jej powiedzieć. Do zmiany postawy może ją skłonić jedynie przykład tych, którzy Ewangelią ŻYJĄ. Konsekwentnie. Do końca (werset 22). To znaczy do „celu” (grec. *telos*). Celem jest Królestwo Boże!

©

CZYTANIA LITURGICZNE (24 VI – 1 VII)

Niedziela, Narodzenie św. Jana Chrzciciela:
Iz 49, 1-6; Ps 139; Dz 13, 22-26; Łk 1, 57-66. 80;
Poniedziałek: 2 Krl 17, 5-8. 13-15a. 18; Ps 60; Mt 7, 1-5;
Wtorek: 2 Krl 19, 9b-11. 14-21. 31-35a. 36;
Ps 48; Mt 7, 6. 12-14;
Środa: 2 Krl 22, 8-13, 23, 1-3; Ps 119; Mt 7, 15-20;

Czwartek: 2 Krl 24, 8-17; Ps 79; Mt 7, 21-29;
Piątek, Uroczystość św. Apostołów Piotra i Pawła:
Dz 12, 1-11; Ps 34; 2 Tm 4, 6-9. 17-18; Mt 16, 13-19;
Sobota: Lm 2, 2. 10-14. 18-19; Ps 74; Mt 8, 5-17;
13. niedziela zwykła: Mdr 1, 13-15, 2, 23-24; Ps 30;
2 Kor 8, 7. 9. 13-15; Mk 5, 21-43.

Wybrał PIOTR SIKORA

META SZUKA STARTU

Krytycy polskiej polityki nie chcą już rozdzierać szat nad złym PiS-em.
Mierzi ich też jałowa polsko-polska wojna
uprawiana przez mainstreamowe media.
Pora na zmianę. Dość mdłości i rekonstrukcji historycznych.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

HANNAH ARENDT TO JEDYNA FILOZOFKA, którą starają się przeciągnąć na swoją stronę zarówno polscy liberałowie, jak i prawica oraz lewica. Nic dziwnego, bo pisała: „Turbulentne czasy to płodna epoka dla teoretyków państwa. (...) O światowym rozgłosie rewolucji francuskiej zdecydowało ogromne zainteresowanie teoretyczne, jakim obdarzyli ją hojnie uczeni i filozofowie, mimo że rewolucja ta skończyła się totalną przegraną”. Choć myśl Arendt to nie kurek na wietrze, a rząd Prawa i Sprawiedliwości nie jest terrorem jakobińskim, to wyjątkowo liczne próby wyjaśnienia i skontrowania poparcia dla PiS-u windują ten fenomen do rangi najważniejszego zwrotu w potransformacyjnej Polsce. Zanim wybory zweryfikują jego znaczenie, warto sięgnąć do książek mierzących się z rzeczywistością polityczną. Mimo że pokrzepienia jest w nich jak na lekarstwo, teksty te są cennym zapisem samoświadomości elit intelektualnych. I dowodem znużenia fatalnie przewidywalną debatą publiczną. Pora opowiedzieć Polskę na nowo. Coś pękło. Ale czy coś się skończyło?

Fatalna diagnoza

Sezon obrachunkowy otworzył we wrześniu 2017 r. Rafał Woś. W „To nie jest kraj

dla pracowników” (W.A.B.) pokazywał, jak uspołecnić rynek pracy, twierdząc, że PiS mimo krągłych deklaracji tego nie uczyni.

W listopadzie tamtego roku wyszedł zbiór felietonów „nawróconego” Romana Giertycha pt. „Kronika dobrej zmiany” (Eco Redonum). W styczniu ukazał się esej Macieja Gduli „Nowy autorytaryzm” (Wydawnictwo Krytyki Politycznej), a wcześniej udostępniono raport z badań zespołu warszawskich socjologów w mazowieckim miasteczku. Dawno badania socjologiczne nie zyskały takiego rozgłosu, mimo że Gdula nie odkrywał tajemnej wiedzy, tylko potwierdzał, że zwolennicy PiS-u to nie potomkowie Hunów, lecz swojscy Polacy ze wszystkich klas społecznych. Gdula apeluje więc do elit o zmianę języka, bo obecnym mówią do widm, a nie do prawdziwych ludzi.

Prawdziwy wysyp zaczął się jednak w tym roku. Rafał Matyja proponuje „Wyjście awaryjne. O zmianie wyobraźni politycznej” (Karakter). Ten przenikliwy obserwator sceny politycznej przekonuje, że tak jak hasło komunizmu było uniwersalną odpowiedzią na pytanie, dlaczego źle się działo w PRL, tak hasło, że wszystkiemu winny jest PiS, zwalnia dziś elity z twórczej uważności.

Znanym refrenem o jałowości sporu o demokrację i walce plemion otwiera swoją książkę Tomasz Sawczuk, publicysta „Kultury Liberalnej”. Celem „Nowego liberalizmu” nie ma być jednak lament nad III RP, lecz namysł nad tym, jak odsunąć PiS od władzy w warunkach kryzysu liberalnej demokracji, która, razem z Zachodem, traci w oczach Polaków seksapil. Zadanie tym trudniejsze, że PiS nie jest „wypadkiem przy pracy”, lecz pragmatyczną partią, a jej wyborcy dokonali w zasadzie racjonalnego wyboru. Nic nie wskazuje na to, żeby jej upadek miał być szybki, o ile jedyną metodą na Kaczyńskiego ma być straszenie jego radykalizmem.

Stefan Sękowski, publicysta m.in. „Nowej Konfederacji” i „Do Rzeczy”, także nie oszczędza nikogo. Jego „Żadną zmianę. O niemocy polskiej klasy politycznej po 1989 roku” rozpoczyna godne wzorowego symetrysty wyznanie, iż totalna koalicja rządząca jest kubek w kubek jak totalna opozycja. Obie walczą ze zdradzieckimi wiatrakami. Tyle tylko, że partia Jarosława Kaczyńskiego dokłada do tego „antykunizm odtwórczy”, widząc wszędzie komunistów i złodziei, oraz mit „wyklętyzmu”, który usprawiedliwia wszelkie formy walki z III RP, nawet jeśli cel tej walki pozostaje niejasny.

Choć wywodzą się z różnych tradycji światopoglądowych, krytyków łączy fatalna diagnoza, że pacjent, jakim jest III Rzeczpospolita, nie przeżyje toczącej się operacji na jego ciele. Ich opowieść przypomina jednak bajkę magiczną według Proppa. Tak to leci: „Dawno temu była sobie transformacja. Dobre wróżki chciały budować państwo opiekuńcze, ale na drodze stanął plan Balcerowicza, uwłaszczona nomenklatura, kapitalizm i protekcyjni liberalni publicyści. Sfrustrowany lud i spauperyzowana inteligencja nie zachłysłeni się ciepłą wodą w kranie, lecz wypatrywali rycerza na białym koniu, a ten w końcu się pojawił, tyle tylko że na koniu biało-czerwonym. Z baśni tej płynnie moral, że sukces populistycznej prawicy zapisano już wiele lat temu”. Zaraz, zaraz!?

Puszka kultury

Jeśli nie wiadomo, co najmocniej odpowiada za ten finał, to na pewno kultura. Jedyna pod (słabo grzejącym) słońcem polska kultura. Piotr Stankiewicz, filozof, bloger i – podobnie jak Matyja – autor „Tygodnika”, potrafi atrakcyjnie wyjaśniać postawy i działania wrodzonymi albo kulturowo zdetermino-

wanymi dyspozycjami. Jego „21 polskich grzechów głównych” to pierwszorzędne socjologiczne czytadło. Można w nim widzieć drugą część eseju Adama Leszczyńskiego „No dno po prostu jest Polska. Dlaczego Polacy tak bardzo nie lubią swojego kraju i innych Polaków”. O ile Leszczyński inspiracją uczynił klasyków, o tyle Stankiewicz patrzy na dzisiejszego urzędnika, mieszczanina i polityka jak na przykłady odwiecznej mentalności zakleszczonych w byle jakim państwie.

Gdyby Leszczyński sam chciał drugą część napisać, powinien uczynić dzieło Stankiewicza przedmiotem analizy. Niedasizm, autorasizm, tupolewizm, optymizm magiczny, niby-państwo, kozłofiarizm, widzimisizm, narodowy esencjalizm i inne grzechy układają się u Stankiewicza w litanię do Polski, która byłaby fantastyczna, pod warunkiem że się całkiem zmieni. Do poprawki nadaje się państwo i sami Polacy. Wiecznie niezadowoleni trwają w apolitycznym marazmie – nic się nie da zrobić, bo to Polska właśnie. A samozadowolone elity pióra, z Ziemowitem Szczękkiem na czele, lansują się na natrętnych porównaniach Polski do Zachodu, co prowadzi do celebrowania wschodnioeuropejskich kuriozów. ➔



→ Stankiewicz robi jednak w swojej książce dokładnie to samo: „Polska jest obrosnięta ciemną materią, którą nie da się kierować. Choćbyśmy więc znaleźli najzłotszego i najbardziej bezinteresownego człowieka, choćbyśmy go sklonowali w tysiącu kopii i choćby zjadł on tysiąc pigułek »+100 do uczciwości«, i choćbyśmy go potem rozsadzili po wszystkich polskich urzędach, to i tak zaraz po ich objęciu utoczy się on decyzyjnym bezwładem, ugrzęźnie w rozwodnieniach i niedecyzjach”.

Autor na szczęście sam dobrze wie, że jego książka „jest po prostu jednym wielkim, typowo polskim narzekaniem”. Z „21 polskich grzechów głównych” wyłania się jednak konstatacja słabości III RP, która uczyniła możliwymi naprzemienne sukcesy mniej prawicowej prawicy i tej bardziej prawicowej.

Naród dla wybranych

Sukces PiS-u tkwi w użyciu farmakonu – jednocześnie lekarstwa i trucizny. Według Rafała Matyi utożsamienie narodu politycznego z kulturalnym wypełniło próżnię wartości w życiu publicznym, ale stało się zabójcze dla wspólnoty obywateli, czyli ludzi bardzo różnych w wymiarze indywidualnym. Sawczuk dostrzega w tej strategii sprzeczność, która może być gwoździem do trumny projektu IV RP. Na wskroś nowoczesna partia, jaką jego zdaniem jest PiS, „nie jest w stanie przywrócić tradycji ani dokonać »rekonstrukcji polskości«”. Musi wymyślić przeszłość i moralność na nowo oraz wytworzyć zafałszowany obraz monolitowego ludu, który legitymizuje konserwatywną rewolucję.

Perypetiami idei narodu zajmuje się też Marek Migalski, kolejny autor „po przejściach”. Politolog i były europoseł z list PiS-u, współtwórca efemerycznych formacji Polska Jest Najważniejsza i Polska Razem, obecnie publikuje u łódzkich liberałów. W „Budowaniu narodu. Przypadku Polski w latach 2015–2017” wpisuje sukces powiewania narodowymi sztandarami w odwieczną opowieść o ludzkiej naturze. Nacjonalizm to nie zwyrodnienie, lecz realizacja atawistycznej potrzeby organizowania się w grupy. Nie wygrał z nim komunizm, bo ludzie nie chcą umierać za całą ludzkość. Nic nie wskazuje na to, by mógł z nim wygrać liberalizm, gdyż wolność nie jest towarem pierwszej potrzeby.

Migalski twierdzi, że „rząd Beaty Szydło konsekwentnie, skutecznie, z pełnym rozmysłem i determinacją podjął



Oto próby wynalezienia
na nowo ładu politycznego.

Oddalają one widmo
restauracji porządku,
który dał skrzydła
obecnemu populizmowi.

się dzieła budowania narodu”. Wciela się w księgowego robiącego inwentaryzację dokonań rządu i sprzyjających mu organizacji. Wskazuje, że dzięki PiS dorobiliśmy się narodowego prezydenta na Krakowskim Przedmieściu, narodowego Boga w Toruniu, narodowego Żyda w muzeum w Markowej, mediów narodowych i narodowego Smoleńska. Jeżeli ktoś kupił kota w worku, to dlatego, że nie sięgnął do tekstów programowych partii. Wszystko zostało w nich zapisane, łącznie z woluntarystyczną wizją narodu jako wspólnoty losu, doświadczenia i wartości. W tej perspektywie członkiem narodu trzeba chcieć być, aby być nim w pełni. Państwo może jednak popychać ludzi na „właściwe” tory.

Migalski zostawia nas z konstatacją, że prezes jest „umiarkowanym modernistą w sporze o pochodzenie narodów”, uważającym, że naród nie jest odwieczny, lecz trzeba go mozołnie budować. Przemilcza, że kartę członkowską narodowego klubu otrzymują ci, którzy w całej rozciągłości popierają rządy samowolnych budowniczych. Reszta, która nie identyfikuje się z narodem pisowskim, nie wyparowała jednak z Polski. Co się stanie z tym narodem, kiedy budowniczy stracą władzę? Czy po prostu wypali się, kiedy zabraknie

mu odgórnego paliwa? Prawicowi wyborcy nie rozpułną się, tak jak nie rozpułnęli się ich przeciwnicy. Na te pytania Migalski niestety nie odpowiada.

Co robić?

Omawiane książki rozsadza alarmistyczna diagnoza teraźniejszości, natomiast recepty, zajmujące zwykle niedługi ostatni rozdział, wydają się ledwo konturem politycznego planu. Piotr Stankiewicz uważa, że sam akt nazwania problemów Polski jest pierwszym krokiem do ich rozwiązania. Nie proponuje żadnych systemowych, choćby utopijnych, zmian. Może przyznać w ten sposób, że nie ma na nie pomysłu, ale tym samym porzuca czytelnika w piaskownicy pełnej słusznej krytyki, zabierając mu łopatkę i wiaderko. Jakby chciał powiedzieć, że z Polski nie da się już nic ulepić.

Inni jednak próbują. Zdaniem Sękowskiego należy wzmacniać wolność indywidualną i na niej budować społeczeństwo właścicieli: ludzi posiadających kapitał i podmiotowo traktowanych przez rynek. Czyli silną klasę średnią. Sękowski chciałby z nią uprawiać republikańską politykę rzeczy małych. Snuje taką wizję: „co by się stało, gdybyśmy rzeczywiście wszyscy wyjechali w symboliczne Bieszczady? Wyobraźmy sobie polityków, którzy wymieniają się u władzy od lat (...). Zdyszani po entej wymianie ciosów, zwiesili ręce, w których trzymają kije. Wschodzi słońce. Na pagórkach, na których jeszcze niedawno siedziały tłumy gapiów – pustki. Nikt ich nie oklaskuje, nikt nie gwizdże na przeciwnika, ponieważ ta walka stała się nieinteresująca, a sami walczący – zbędni”.

Ten kuszący obrazek kryje pułapkę. Cóż, jeśli to politycy już nie potrzebują publiczności, bo stali się w swojej arogancji samowystarczalni? Cóż, jeśli mogą sami siebie wybrać na kolejną kadencję? Ucieczka w Bieszczady mogłaby okazać się ucieczką od politycznej wolności.

Bardziej wyrafinowaną terapię proponuje Matyja. Chce zmienić polityczną wyobraźnię albo – mówiąc za Charlesem Taylorem – przeobrazić imaginarium, konstatację pojęć, problemów, teorii i sposobów argumentacji, które ograniczają dzisiejszą debatę publiczną. Chodziłoby o wbić klina między zwaśnione strony, nie po to, żeby je pogodzić albo mocniej skłócić, ale żeby im uświadomić, że są inne perspektywy na historię, demokrację, pol-

skość i obywatelskość. Tym, czego Polakom potrzeba, twierdzi Matyja, jest odbudowa narodu politycznego, który nie żąda zgłajchszaltowania tożsamości kulturowych. Środkiem do jedności w różnorodności ma być zaproponowanie nowego repertuaru spraw ważnych, które nie byłyby definiowane poprzez widzimisizm (jeden z polskich grzechów według Stankiewicza), ale z poszanowaniem wielości merytorycznych perspektyw. Matyja uważa, że zmiana taka zajmie około kilkunastu lat. Nie interesuje go, czy uda się ona z PiS-em czy bez niego – liczy się sprawa, a nie kto ją wnosi.

Tylko kto miałby te ramy zmienić? Autor tego planu nie wierzy w opozycję ani w mądrość ludu czy masowy aktywizm Polaków. Życzylby sobie restytucji uczciwego konserwatywnego elitaryzmu, zmarginalizowanego przez narrację o zdradzieckiej elicie III RP. Temu ma służyć zmiana pokoleniowa, hamowana przez generację, która transformację raczej „prześniła”, niż ją zrozumiała.

Można by tej wizji przyklasnąć, gdyby nie sztyto jej grubymi nićmi inteligentnej megalomanii. Skoro jeden projekt polskości, rozpisany przez wieki, stał się zawodny i anachroniczny, trzeba napisać nowy – też elitarny, ale bardziej modernistyczny. Ogólniki zostaną twórczo rozwinięte przez niezsutą polityką elitę, poza skompromitowanymi mediami, a lud podchwyci nowe ramy debaty.

Tak, trywializuję propozycję Matyi. Rozczarowuje jednak to, że chce on zmieniać rzeczywistość polityczną w sposób oderwany od realiów społecznych. Zmiana wyobraźni politycznej, żeby była możliwa, musiałaby iść jak najszerszym frontem, wielopokoleniowo i multimedialnie. Grzegorz Sroczynski, Rafał Woś i Stefan Sękowski – symetryści jako obóz i głos – to za mało rąk i gardeł. Elita, aby zmieniać stan rzeczy, musi też posiadać władzę polityczną lub symboliczną, której nie można zlekceważyć opowieścią o zdradzie. Wreszcie, w czasach antyelitaryzmu wszelkie projekty elitarnie mogą się okazać sztuką dla sztuki, spektaklem dla wąskiego towarzystwa wzajemnej adoracji.

Z lekkością wyzbyta patosu chce z kolei działać Sawczuk, występujący w imieniu liberałów. Opozycja musi zaferować odpowiednio skrojony Nowy Ład, aby populizm nie wrócił do łask. Powinien on akcentować zapomniany przez liberałów

postulat wyrównywania szans oraz solidarności społecznej. To nie jest czas ani dla twardego kursu neoliberalnego, ani dla „liberalizmu w wersji ksero”, czyli kopii Zachodu. W demokracji liberalnej powinno być więcej demokracji niż rynku. Mniej konserwatywnej obmurówki, za to konsekwentny rozbrat z Kościołem, wyzbyty wrogości wobec religii jako takiej. Sawczuk nazywa swoją propozycję „polityką przyjemności”. Za tym hasłem kryje się pragmatycznie zorientowany liberalizm o aktywistycznym zacięciu, nienarzucający jednego ideału życia społecznego. Trzeba pozwolić być słyszanym wszystkim, którzy tego chcą.

Polityka przyjemności może jednak okazać się zbyt frywolną, wręcz obraźliwą propozycją dla tych, którzy kierują się ideologicznym lub moralnym dogmatyzmem. A przecież i oni powinni zostać dopuszczeni do głosu, nawet jeśli będzie nim sprzeciw wobec liberalnie pomyślanego prawa. Może to banał, ale bez rozsądnej odpowiedzi na rewolucyjny dylemat Saint-Justa, pytanie o wolność dla jej wrogów, nie można uprawiać liberalnej polityki. Znamienne, że w epilogu książki Sawczuk przyznaje, iż nazwa „liberalizm” być może wcale nie jest potrzebna dla tej pragmatycznej wizji polityk publicznych.

Nasuwa się więc pytanie, czy liberalizm jest dziś w ogóle Polakom potrzebny i jaką ma tożsamość? W wielu krajach liberalizm powierzchownie rozumiany stał się podręcznym narzędziem retoryki tożsamości konserwatywnej. To konserwatyści zachodnioeuropejscy najgorliwiej walczą dziś o prawa kobiet, gejów i lesbijek oraz wolność słowa – nie żeby je realizować, lecz aby odróżnić się od islamu poprzez akcentowanie własnej postępowości. Skąd najłatwiej przejąć postępowość, jak nie z liberalizmu? Polska prawica jeszcze tego potencjału nie dostrzegła, na razie liberalizmem się brzydzi. Do czasu.

Pożytki z placebo

Autorzy nie chcą oglądać się za siebie. Odzucają celebrację kombatanctwa, elitaryzmu, sarmatyzmu. „Nostalgia jest kostiumem politycznej porażki” – przestrzega Matyja. Szukają więc tego, co określa się wyświechtanym mianem „nowej jakości w polityce”. Jednocześnie ich propozycje obnażają niemoc intelektualnego pomyślenia innej Polski. Recepty nowych narracji, inkluzyjnych wspólnot i odmłodzonych elit zostały już dawno i po wielokroć

wystawione w debacie publicznej. A wizje przez nich roztaczane na razie mogą stać się tylko kolejnymi opowieściami snutymi w opiniotwórczej prasie i w popołudniowych audycjach publicystycznych.

Owszem, to od polityków należy oczekiwać programów działania, a od intelektualistów przede wszystkim ideowego drogowskazu. Jednakże autorzy książek z receptami pokazują nam jedynie, gdzie znajduje się meta, a nie pomagają odnaleźć punktu startu. Ich przekaz nie może zostać urzeczywistniony ze względu na założenie o progresywnym społeczeństwie, które, odpowiednio zaopiekowane, ostatecznie odrzuci populistyczną propagandę na rzecz ulepszonej przez samokrytyczne elity demokracji. Autorzy tej tezy zapominają, że w III RP nie tylko elity bezpowrotnie utraciły niewinność, ale również społeczeństwo jako całość.

Tym niemniej zbywanie ich propozycji łątką „symetrycznego bajania”, jak czyni to Rafał Kalukin, pisząc w „Polityce” o książkach Matyi, Sawczuka i Sękowskiego, jest w klinicznej postaci oznaką jałowości sporu, od którego chcą uciec autorzy. Próby wynalezienia na nowo ładu politycznego, nawet jeśli niedoskonałe, oddalają widmo bezkrytycznej restauracji porządku, który w ostatecznym rozrachunku daje skrzydła populizmowi.

Książki z receptami na Polskę po PiS-ie zostawiają poczucie niedosytu. Udać im się jednak zmącić debatę publiczną, tak aby przestała być codziennym pojedyńkiem między miłośnikami rekonstrukcji historycznych. Na razie bliżej tym receptom do pobożnych życzeń niż do twardej rzeczywistości. Ale – trawestując klasyka – może ich chimeryczny czar uczyni je zwierzęciem pociągowym zmiany, kiedy najmniej będziemy się jej spodziewać.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Rafał Matyja, WYJŚCIE AWARYJNE. O ZMIANIE WYOBRAŹNI POLITYCZNEJ,
Karakter 2018;

Marek Migalski, BUDOWANIE NARODU. PRZYPADK POLSKI W LATACH 2015–2017,
Fundacja Liberté! 2018;

Tomasz Sawczuk, NOWY LIBERALIZM. JAK ZROZUMIEĆ I WYKORZYSTAĆ KRYZYS III RP,
Kultura Liberalna 2018;

Stefan Sękowski, ŻADNA ZMIANA. O NIEMOCY POLSKIEJ KLASY POLITYCZNEJ PO 1989 ROKU,
Trzecia Strona 2018;

Piotr Stankiewicz, 21 POLSKICH GRZECHÓW GŁÓWNYCH,
Bellona 2018

Co w morzu piszczy

ADAM ROBIŃSKI

Stan zdrowia Bałtyku zależy w dużej mierze od mieszkańców jego zlewni. Połowa z nich to Polacy.

TO NIE BYŁ DOBRY POCZĄTEK CIEPŁEJ POŁOWY roku dla Pomorza. Zaczęło się od majowej awarii przepompowni ścieków Ołowianka, w wyniku której do Motławy – a za jej pośrednictwem do Zatoki Gdańskiej – przez dwie doby trafiały nieczystości znacznej części Gdańska. I choć dwa tygodnie później przeprowadzone przez sanepid badania nie wykazały przekroczenia norm występowania w wodzie bakterii *E. coli*, co wiązałoby się z zamknięciem trójmiejskich kąpielisk, to jednak w Polskę poszedł sygnał, że z ich czystością może być różnie.

Zaraz potem, pod koniec maja, na plaży w Oksywiu znaleziono dwie martwe foki. Przywiązana do jednej z nich cegła wskazywała na celowe działanie. Kolejne dni przynosiły doniesienia o większej liczbie zabitych ssaków. Foki znajdowano m.in. z rozprutym brzuchem i rozbitym czaszką. Oliwy do ognia dołała posłanka PiS Dorota Arciszewska-Mielewczyk, która zasugerowała, że foki są szkodnikami i powinno się do nich strzelać. Nikogo nie złapano za rękę, jednak anonimowe głosy wskazywały na udział rybaków, którym ssaki wyjadają z sieci łososie. Foki to zwierzęta chronione, sprawą zajęła się więc prokuratura. Nie czekając na jej ustalenia, wyrok wydali już internauci. Na Facebooku zachęcali do bojkotu nadmorskich smażalni, w których serwuje się ryby z bałtyckich połowów.

A wakacje się jeszcze nie zaczęły.

Resuscytacja łososia

Bałtyk jest morzem młodym, a obecnego kształtu nabrał raptem kilkanaście tysięcy lat temu, gdy wycofywało się stąd ostatnie zlodowacenie. Mało tego, gdy lądolód ustąpił, zmniejszając nacisk na lądy, te podniosły się, zamieniając na jakiś czas nieduże morze w słodkowodne jezioro. Zajmując się więc Bałtykiem w jakimkolwiek zakresie, nie możemy zapominać, że jest to bardzo zmienny akwen. A dziś motorem

większości zachodzących w nim przemian jest człowiek.

Tak było m.in. wtedy, gdy – nie dalej jak 30 lat temu – zniknęła rodzima populacja bałtyckiego łososia. Łosoś to ryba dwuśrodowiskowa. Żyje w wodzie słonej, na czas rozrodu zamieniając ją na słodką. Wędruje wtedy w górę rzek, by złożyć ikrę. Chyba że po drodze trafi na zapórę rzeczną. W 1985 r. zdziśniętą regulacją polskich rzek populację dobiło zrzućenie osadów zbiornika elektrowni Kamienna na Drawie, kiedy muł i piach ze zbiornika zasypał ostatnie tarliska. Dziś „polski” łosoś podtrzymywany jest sztucznie przy życiu wyłącznie dzięki zarybieniom.

– Łosoś, podobnie jak troć wędrowna, potrzebuje do rozrodu zdrowych, dzikich rzek, a my nie umiemy o nie zadbać, tylko je regulujemy, prostujemy, grodzimy – mówi Artur Furdyna, ichtiolog z Zachodniopomorskiego. – Polska wpuszcza do Bałtyku tyle narybku, co wszystkie pozostałe kraje wokół tego morza. Dzieje się tak, ponieważ w pozostałych krajach zlewni Bałtyku od lat trwa naprawianie środowiska. Odtwarza się bystrza, burzy szkodliwe zapory, sprawdza efekty. U nas powstał biznes zarybieniowy, bo społeczeństwo, w tym rybacy i wędkarze, wierzy, że ryby są dzięki zarybieniom. To naciągana teoria, usprawiedliwiająca złe podejście do gospodarki wodnej i zwalniająca wszystkich z odpowiedzialności za stan ekologiczny wód.

Krótką kołdra

Zanim zajął się ochroną przyrody, Furdyna przez dziesięć lat pracował jako rybak. Łowił m.in. na Bałtyku i w Zalewie Szczecińskim. Dziś przekonuje, że foki jako inteligentne zwierzęta po prostu nauczyły się, że z sieci ryba nie ucieka, więc w sąsiedztwie łowisk najłatwiej jest o posilek.

– Jak jest kołdra krótka, to się szuka winnych. Do niedawna wszystkiemu winne



były kormorany, teraz przyszła kolej na foki – mówi. – Kiedy pracowałem jako rybak, na moich oczach dokonana się przemiana. Do końca lat 80. w użyciu były sieci z dużymi oczkami, bo łapano duże ryby. A potem z niewiadomych względów zaczęto dobrze płacić za rybę mniejszą, pozwolono łowić drobnooczkowymi won-tonami i w efekcie dziś Zalew Szczeciński jest pusty. A trzeba wiedzieć, że w porównaniu z otwartym morzem jest jak oaza w porównaniu z pustynią. To w estuariach rzek zawsze występuje najwyższa produktywność ryb.

To właśnie na Zalewie Szczecińskim i w Zatoce Gdańskiej łowi się najwięcej łososiowatych. Jednak 90 proc. wszystkich ryb zjadają inne ryby. Dla pozostałych chętnych – fok, ptaków, ludzi – którzy spotykają się przy niedużym stole, zostaje ich raptem 10 proc.

– Zresztą mówienie o rybakach to dziś właściwie nostalgia. Są niszową grupą zawodową, na naszym wybrzeżu jest raptem kilkaset kutrów – dodaje Furdyna. – Eksperci przekonują, że za mniej więcej 30 lat większość atrakcyjnych komercyjnie gatunków po prostu zniknie. Technologia nie daje rybnym żadnych szans, bo dziś łatwiej namierza się nawet dzięki satelitom. Konsumpcje muszą zaspokajać ryby hodowlane.



Mierzeja Wiślana, czerwiec 2016 r.

Według słów Grzegorza Hałubka, szefa Związku Rybaków Polskich, przed wejściem do Unii Europejskiej polska flota liczyła półtora tysiąca kutrów. Dekadę po akcesji – także dzięki unijnym rekompensatom za złomowanie jednostek – było ich już tylko siedemset, a z rybołówstwa utrzymywało się nie więcej niż kilkanaście tysięcy osób. Jeśli nie liczyć Litwy, Polska ma najmniejszą flotę połowową na Bałtyku. Rybaków jest coraz mniej, bo z uwagi na przełowienie mają na morzu coraz mniej do roboty. Łowią głównie dorse z licznej populacji zachodniobałtyckiej i zagrożonej wschodniobałtyckiej, śledzie, szproty i tyle co kot napłakał łososi. Kwoty połowowe ustalają ministrowie odpowiedzialni za rybołówstwo państw członkowskich Unii Europejskiej. Ale często są one wyższe od rekomendacji naukowców z Międzynarodowej Rady Badań Morza (w przypadku dorsza wschodniego w 2018 r. o kilkanaście procent).

Wrzody z wody

Prof. Jan Marcin Węśławski z Instytutu Oceanologii Polskiej Akademii Nauk w Sopocie twierdzi, że choć nasze morze ma swoje problemy, to jednak nie jest z nim tak tragicznie jak w czasach PRL, gdy poziom zanieczyszczeń w Bałtyku sięgał stanów krytycznych. Ochrona

przyrody była mrzonką, a nadbałtyckie państwa ze sobą nie współpracowały. Ówczesny stan zdrowia morza świetnie podsumowuje przypomniane przez prof. Węśławskiego w opracowaniu „Bałtyk – zmienne morze i jego kłopoty” powiedzenie: „Chcesz mieć wrzody, wejdź do wody”.

Dzisiaj sytuacja ma się inaczej, ale postęp gospodarczy dalej odbywa się kosztem morza. Do Bałtyku wciąż trafia chemia. U schyłku lat 80. były to odpady przemysłu ciężkiego i ścieki, dziś – nowoczesna chemia przemysłowa i farmaceutyki, w tym przede wszystkim antybiotyki i leki hormonalne, a także drobiny mikroplastiku. Wszystkie one na długo osiadają w środowisku naturalnym, zaburzając m.in. zdolności rozrodcze fauny.

Problemem, na który zwracają uwagę eksperci, jest chemizacja rolnictwa. Rzekami spływają do morza nawozy z całego kraju oraz ścieki z masowych hodowli, powodując jego przeżyźnienie. Duży wpływ miała na to szaleńcza regulacja cieków wodnych w drugiej połowie XX wieku.

– Nasi sąsiedzi od kilku dekad renaturyzują, a my wciąż tylko „pomagamy rzekom płynąć do morza”. Jednym ze skutków takiego podejścia są bardzo niestabilne przepływy, innym bardzo zły stan ekologiczny środowiska wodnego. A to dom ryb. Nie ma domu, nie ma mieszkańców – zauważa Furdyna. – Bałtyk jako morze małe jest szczególnie zależny od swych dopływów, a stan jego zdrowia od mieszkańców zlewni wokół. Połowa tej społeczności to my, Polacy. I, niestety, o ile w innych krajach, poza Rosją, dużo się robi, by ograniczyć złe zachowania, u nas wręcz odwrotnie – dodaje.

Efektom przeżyźnienia jest m.in. powstawanie w morzu obszarów beztlenowych, a więc martwych. Dziś pozbawionych życia jest nawet 20 proc. bałtyckiego dna, dziesięć razy więcej niż sto lat temu. Ich powstawaniu dodatkowo sprzyja ocieplenie klimatu. Wpływa ono również na warunki życia w wodzie, ale zdaniem prof. Węśławskiego z uwagi na niskie zasolenie Bałtyku zawsze były one tak trudne, że nasze morze upodobały sobie niemal wyłącznie najbardziej wytrzymałe i elastyczne gatunki.

Kanał na miarę XIX wieku

Wiele wskazuje na to, że w najbliższych latach Bałtyk czeka jeszcze jedna poważna zmiana. A może lepiej byłoby powiedzieć

– regulacja. Przekop Mierzei Wiślanej to jedno ze sztandarowych przedsięwzięć infrastrukturalnych rządu PiS. Inwestycja, która połączy Bałtyk z Zalewem Wiślanym i uczyni z Elbląga port morski, ma kosztować prawie miliard złotych i być gotowa w 2022 r. Rząd przyjął w tej sprawie specustawę. Do końca lipca decyzję środowiskową ma wydać Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska. Jeśli będzie pozytywna, budowa kanału może rozpocząć się jeszcze w tym roku. Ale przyrodnicy przekonują, że powinna być negatywna.

– Zalew Wiślany to ostatni duży ekosystem wodny położony na granicy morza i lądu, który wciąż nie został zmieniony przez przemysł i urbanizację. Stanowi miejsce rozrodu, życia, zimowania dużej liczby gatunków ptaków – mówi dr Szymon Bzoma, biolog z Grupy Badawczej Ptaków Wodnych Kuling. Rybitwy białowase i czarne, łyski czy perkozy to nie są rzadkie gatunki, ale chyba nigdzie nie występują w takim zagęszczeniu jak tu. Według dr. Bzomy wprowadzenie na zalew jednostek turystycznych i transportowych w parę lat zmieni ten stan rzeczy, bo ptaki po prostu przestaną się na zalewie (będącym priorytetowym siedliskiem programu Natura 2000) lęgnać.

– Poza tym z mojego punktu widzenia projekt przekopania kanału przez mierzeję jest zaprzeczeniem aktualnych potrzeb transportowych. Sięganiem do XIX- czy XX-wiecznych idei już wtedy zarzuconych przez Niemców jako rodzących niebezpieczne konsekwencje dla środowiska – przekonuje dr Bzoma. – Czy statek przewozi sto, czy dziesięć tysięcy kontenerów, obsługuje go prawie tak samo liczna załoga. Buduje się więc duże porty kontenerowe, ogromne terminale masowe, a my mówimy o ożywieniu Elbląga, który po przekopaniu mierzei stanie się portem podobnym w charakterystyce do Kołobrzegu. Kołobrzeg obsługuje dziś kilkaset tysięcy ton towarów rocznie, mniej niż przed II wojną światową.

Choć głośno jest o związanych z inwestycją wysiedleniach miejscowej ludności, to jednak zdaniem Szymona Bzomy głównym zagrożeniem jest tor wodny, który powstanie przy jej okazji i który z uwagi na specyfikę dna będzie trzeba właściwie cały czas drążyć i pogłębiać: – W imię dawno minionych idei zaingerujemy w niewielki akwen, a konsekwencje poniosą nie tylko Zatoka Gdańska, ale i cały południowy Bałtyk. ©

Moment wstania z kanapy

KASIA GORLO, BARTOSZ OLSZEWSKI, BIEGACZE-BLOGERZY:

W maratonie jest coś szczególnego. Musisz zmierzyć się z przeszłością, która wraca podczas biegu.

PIOTR STANKIEWICZ: Biegacie, żeby pisać? Jesteście sportowcami, którzy przy okazji to opisują?

KASIA GORLO: Przede wszystkim jesteśmy normalną parą, która pracuje i godzi swój trening ze zwykłą codziennością. Staramy się być coraz lepsi, ale trzeba pamiętać o zachowaniu równowagi we wszystkim, w innym przypadku łatwo się wypalić lub przegapić coś ważnego w życiu pozasportowym. Życiowe osiągnięcia? Są fajnym dodatkiem, maraton poniżej trzech godzin to spełnienie mojego jednego z największych marzeń, a teraz czas na kolejne: triathlon.

BARTOSZ OLSZEWSKI: Od małego uwielbiałem sport i rywalizację. Gdy przebiegłem pierwszy maraton, od razu zapragnąłem sprawdzić, gdzie leży moja granica. I tak od kilku lat idę do przodu i daram ten dystans wielkim szacunkiem. Obecnie moja życiówka w maratonie wynosi 2:25:16. Po drodze udało się wygrać kilka biegów na świecie, ale najwięcej zmian w moim życiu i bieganiu pojawiło się po wygraniu Wings for Life World Run i wkroczeniu zupełnie przypadkiem w świat biegów ultra.

Czyli tych jeszcze dłuższych...

BO: Tak. Tutaj mam pierwsze miejsce wśród biegaczy na Wings for Life 2017 (88 kilometrów). Chcę walczyć o medal w mistrzostwach świata na 100 kilometrów, 8 września w Chorwacji.

Czy długie dystanse to poszukiwanie obszarów, które nie są jeszcze w pełni skolonizowane przez sport zawodowy?

BO: W biegach krótkich i średnich (czyli od 100 m do 3000 m) mają szansę ci, którzy trenują non stop od dziecka. To kwestia fizjologiczna. Zwyczajnie swój potencjał szybkościowy możesz w pełni rozwinąć tylko do pewnego wieku, później już tego nie nadgonisz. Więc jak zaczynasz biegając około trzydziestki, to możesz sobie, do tej czterdziestki powiedzmy, zbudować całkiem porządną wytrzymałość.

Ale na 5 km do zawodowców już się raczej nie zbliżysz.

KG: W dłuższych biegach nie trzeba się ścigać od małego, by poczuć się sportowcem. Pokonanie maratonu to coś, co większość amatorów może zrobić przy odrobinie konsekwencji i treningu.

Dla nas, wiecznie początkujących, 5 czy 10 kilometrów, to są właśnie długie dystanse, a maraton to ekstremalna rzecz. Natomiast Wy o 5 i 10 kilometrach mówicie w zasadzie jako o biegach krótkich... Dla Was przestrzeń sportowych odkryć jest dopiero powyżej maratonu.

KG: Nie do końca tak jest. Każdy dystans wiąże się ze specyficznym wysiłkiem fizycznym. Nigdy nie byłam najlepsza na 10 km, bo, mówiąc kolokwialnie: nie umiem cierpieć tak mocno, ale względnie krótko. Umiem za to wytrzymać wysiłek ciut mniej intensywny, ale dłuższy. Poza tym na trasie maratonu różne rzeczy ci się przypominają, wracają momenty, które dołowały, motywowały, cieszyły, smuciły w życiu i podczas przygotowań, i tak w kółko. Musisz z tym wszystkim się zmierzyć, pokonać kilka kryzysów, a gdy się uda, na mecie ciężko powstrzymać łzy wzruszenia. I to jest w maratonie piękne, sprawia, że stajemy się często innymi ludźmi. Odkrywamy swoje potrzeby i wartości na nowo.

BO: W maratonie jest coś specyficznego, nie bez powodu nazywany jest dystansem królewskim. Zarazem – dla nas przynajmniej – to taki dystans, że go w miarę szybko przebiegniesz. I on jest mierzalny, tam w miarę wiadomo, czego się spodziewać. Natomiast biegi ultra to już jest inna bajka. To są różne dystanse, zróżnicowane trasy. Nie ma jednego standardu i w sumie wszystko się może wydarzyć. I dlatego to jest takie ciekawe.

Napisataś kiedyś, że nie uważasz się za feministkę. Ja natomiast myślę,

że to, co piszesz, daje ogromnego kopa wielu dziewczynom i kobietom. Wpływa na to, co robią i myślą, w bieganiu, ale nie tylko.

KG: Nie lubię szufladkowania. Jestem czy nie, nieważne. Czy motywuję inne kobiety? Trochę mam taką nadzieję, w pewnym sensie jest to jeden z celów mojego bloga. Dostaję wiadomości od kobiet, że to, co robię, ma sens, jest prawdziwe i motywujące. Do biegania i w ogóle do tego, żeby brać życie w swoje ręce.

Co jest specyficznego w kobiecym bieganiu?

KG: Mnóstwo rzeczy! Jest wiele różnic między męskim a kobiecym sportem. Są sprawy społeczne, w Polsce ciągle się wychowuje kobiety pod dość konkretną rolę. I owszem, dużo dziewczyn już z tego wychodzi, angażuje się na przykład właśnie w sport, ale społeczeństwo wciąż dziwnie na to patrzy. To jest postawa „fajnie, że wygrałaś bieg, ale jednak mieszkanie musi być ładnie urządzone, musisz umieć gotować, a do tego dobrze wyglądać”. Trochę koloryzuję, ale tylko trochę.

To widać też na zawodach. W Stanach czy w Australii możesz mieć skład facetów i kobiet 50-50 na starcie maratonu. A w Polsce 10 procent kobiet. Jak w zeszłym roku startowałam w Chodzieży w triathlonie, w mojej kategorii wiekowej były dwie kobiety. I faktycznie, mój blog jakoś to przełamuje.

Ale ten wymiar społeczny to nie koniec. Intensywny trening wpływa przecież na ciało, na włosy, na wszystko. Potrafię zmieniać odżywkę do włosów co kilka tygodni i wciąż poszukuję tej idealnej. I z tym się zмага każda kobieta, która dużo trenuje. W cyklu przygotowań do triathlonu często mówimy o dwóch treningach dziennie, to wszystko niszczy cerę, włosy, skórę, paznokcie. No i zmęczenie, które masz ciągle wypisane na twarzy. A przecież chciałoby się ładnie wyglądać.

Z różnic warto jeszcze wymienić te czysto sportowe i fizyczne – kobiety z natury są słabsze, więc jeżeli chcą iść na konkretny wynik, potrzebują więcej treningu siłowego. Na trening z kolei mocno wpływa gospodarka hormonalna i trzeba o tym pamiętać. Dodajmy jeszcze regenerację i dietę oraz różnice w budowie ciała (biodra, skład ciała i relacja między tkanką mięśniową a tłuszczową) i możemy czuć



ARCHIWUM PRYWATNE KASII GORLO

Kasia Gorlo i Bartosz Olszewski, lipiec 2017 r.

się prawdziwymi bohaterkami, gdy w końcu uda się nam dojść do celu!

Bieganie jest dzisiaj w Polsce sportem masowym – to banał. Ale ciekawe są drogi, którymi ludzie do niego dochodzą. Większość ma coś wspólnego ze sportem w podstawówce czy w liceum, ale potem, z reguły na studiach, sport gdzieś znika. Dopóki człowiek jest młody, to wszystko się kręci, aż się okazuje, że ciężko wejść na drugie piętro. I wtedy jest ten charakterystyczny moment „wstania z kanapy”. Wy też tak mieliście?

KG: Ja tak. Tylko że szybciej z tego wyszłam. Pierwsze dwa lata studiów to była impreza non stop: mieszkalam w akademiku i to w akademiku Politechniki. Jedzenie od mamy w słoikach, odsmażane pierogi, rano czekanie, aż pizzerię otworzą, żeby zamówić pizzę na kaca. Na pierwszym roku przytyłam osiem kilo.

I do tego jeszcze paliłam! Ale dość szybko zaczęłam się ogarniać i zaczęłam biegać. Choć na początku było tak, że dobiegałam do parku (jakieś pięćset metrów), wypalałam papierosa i wracałam. I takie to były początki.

BO: Ja trochę inaczej, bo od szóstego roku życia grałam w koszykówkę. Osiedle, czasy Jordana, te klimaty. Aż na studiach się okazało, że trudno już jest zebrać drużynę, żeby pograć. I wtedy się przerzuciłem na bieganie. Łatwiej zorganizować. Zaczęło się od maratonu w Warszawie, a potem już poszło.

Czyli to nie jest tak, że kiedyś mieliście przed sobą ścieżkę, żeby pójść w pełne zawodowstwo?

KG: Nie. Zawodowiec nie tylko żyje ze sportu, ale też – przede wszystkim – robi to od dziecka. A ciężko jest mówić o zawodowstwie, jak się zaczyna w wieku 25 lat z nadwagą.

BO: W pełni „zawodowi” nigdy nie byliśmy, nie byliśmy w klubach, nie mieliśmy trenerów, którzy by nam prowadzili karierę od początku.

Ale blogi dają Wam popularność większą niż ma niejeden olimpijczyk.

BO: Jako blogerzy-sportowcy jesteśmy rozpoznawalni, chyba duża zasługa w tym, że jesteśmy właśnie amatorami, zaczęliśmy sami, od zera, musimy swoje wysiedzieć w pracy, by po godzinach móc zrobić trening. To sprawia, że ludzie się z tobą identyfikują, a jak możesz z kimś się porównać, to łatwiej go polubić, nie czujesz dystansu, jaki jest między profesjonalistą a amatorem.

Ja popularność czuję szczególnie w Warszawie, moim rodzinnym mieście. Uwielbiam biegać tu maratony, bo doping, który dostaję od kibiców, niesie do samej mety! Ale nie tylko w Warszawie. Jak startowałam w biegu Ultravasan-90, to Szwedzi w pewnym momencie kompletnie nie wiedzieli, co się dzieje – tyle osób z Polski weszło na relację *live* i dopingowało.

A jak działa Wasze blogowanie? Daje konkretny zysk finansowy? Czy tylko rozpoznawalność? Czy może aż rozpoznawalność?

BO: Wiele osób chyba myśli, że mamy nie wiadomo jakie miliony z tych blogów i z biegania w ogóle. Wiesz, w internecie widać, że byliśmy miesiąc w Australii. Ale już mało kto wie, że to była nagroda za wygrany bieg Wings for Life. Nie rozumiem, że ja dekadę ciężko na to pracowałam, pisząc i trenując. I to nie jest tak, że Ministerstwo Sportu nam płaci od każdego tekstu za propagowanie sportu.

Choć mogłoby.

BO: I nawet jeden czytelnik literalnie tak myślał. Ale tak to nie działa.

KG: Natomiast różnych propozycji mamy mnóstwo. Codziennie coś trafia na skrzynkę – głównie propozycje barteru. Produkt w zamian za reklamę na blogu. I to są najróżniejsze rzeczy, nie tylko biegowe. Dostaliśmy na przykład ofertę reklamowania alkomatów.

Trochę bez związku.

BO: No właśnie. Z tymi alkomatami to nie wiem, co mielibyśmy zrobić... Nasza „kłauzula sumienia” jest generalnie taka, że wchodzimy we współpracę tam, gdzie naprawdę w coś wierzymy. Bo nie ma chyba →

→ sensu pisać recenzji negatywnej. Z niektórymi firmami współpracujemy też długofalowo i bardzo sobie chwalimy. Chociaż nasze blogi są o bieganiu, a nie o sprzęcie do biegania. Więc tych sponsorowanych rzeczy nie jest u nas znowu tak dużo. Zresztą, jak dasz wpis sponsorowany, to ci od razu zarzucą, że się sprzedałeś...

Podsumowując: blogi dają profity, ale nie da się żyć tylko z nich.

KG: Jeżeli jesteś w tym dobry, rozwijasz się, masz zasięgi i autentyczny kontakt z odbiorcami – to pewnie, przecież wielu ludzi już tak żyje. Warto jednak pamiętać, zanim się założy bloga, że zarobek nie może być głównym celem, bo nic z tego nie wyjdzie. Potrzeba konsekwencji, szczęścia, ale też inwestycji: serwer, domena, zdjęcia, godziny poświęcone pisaniu, szkoleniom. Pewnie jakbym podliczyła lata swoich inwestycji i wiele nieudanych decyzji... nie wiem, czy wyszłabym finansowo na plus, ale dalej to robię, bo to kocham. Blog i bieganie (teraz jeszcze triathlon) to kawał mojego życia i nie wyobrażam sobie innego. Trzeba jeszcze dodać, że u mnie zawsze najpierw będzie trening, a później pisanie, stąd gdy dużo trenuję, jestem mniej aktywna w sieci, a to nie służy popularności.

BO: Ja z pisanem akurat rzadko mam problem. Idzie mi to szybko. Bywa, że mogę w pół godziny usiąść i napisać tekst rano, przed pracą. Na szybkości. I trochę na kolanie – taki już mam styl.

Alte tak jak w samym bieganiu jest „fetyzmaratonu”, tak w pisaniu o bieganiu jest „fetyz profesjonalizmu”. To znaczy myślę, że większość ludzi, która Was czyta, nie da rady realnie skorzystać z Waszych porad... ale i tak czyta. Czy chodzi trochę o ciągnięcie w górę? Czy sztuka blogowania polega na tym, że zawsze piszesz coś bardziej zaawansowanego, niż ludziom się przyda w praktyce?

BO: Tu się nie zgodzę. Po pierwsze, staram się pisać rzeczy, z których sam bym chętnie skorzystał w przeszłości, jak zaczynałem biegać. Po drugie, mam stały

i bardzo konkretny odzew. Ludzie non stop piszą, pytają, wiem, czego nie wiedzą. I to są rzeczy bardzo konkretne: w jaki czas na maraton celować, czy kalkulatory tempa działają i tak dalej. A po trzecie, ludzi nie interesuje samo to, że zrobiłeś trening 5 x 1 km po 3:00 min./km i zakwasileś się na 5 milimoli. Dużo ważniejsze jest to, jak to wszystko godzisz z normalnym życiem. Szczegóły i szczegółiki. Jaki masz plan dnia, co zjadłeś na śniadanie, jaki jest przepis na owsiankę. Tak to działa.

Czyli mimo wszystko jest sens w tym, co ludzie lubią krytykować jako „internetowy narcyzm naszych czasów”. Rola blogera polega na tym, że on pokazuje, jak to wszystko wkladać w codzienność. Nie tylko na bieżni, także w życiu. Jesteście nie tylko parą zawodników i blogerów, ale też parą prywatnie.

KG: Poznaliśmy się już jako sportowcy i blogerzy. W pewnym momencie, gdy tak mocno stawiasz na swój osobisty rozwój, pasję, trudno zbudować szczęśliwy związek z kimś, kto tego świata nie zna, nie rozumie. Nie mówię, że jest to niemożliwe, ale z pewnością trudne, wymaga wielu kompromisów, często poświęcenia jednej ze stron, a przecież wszyscy chcemy być szczęśliwi.

BO: Tak jest. Jak zrobisz dwa ciężkie treningi w ciągu dnia, po drodze jesteś osiem godzin w pracy, wracasz do domu o ósmej, niekoniecznie masz ochotę na wszystko. I potrzebujesz wiedzieć, że ta druga osoba to rozumie. Albo kwestia wakacji. Wakacje to dla nas często obozy treningowe, na których nie ma zmiłuj. Trening rano, trening po południu, w międzyczasie rozciąganie, cała reszta. I to zajmuje większość dnia. Tu nie ma miejsca na to, żeby ktoś nagle wyskoczył z pomysłem, żeby jechać zwiedzać zamki. Taki styl życia jednak sobie wybraliśmy i kochamy.

Nie ma niezdrowej rywalizacji?

BO: Rywalizacji nie...

KG: ...ale napięcia się pojawiają, jak w każdym związku. Są uczucia i emocje – są i napięcia.

Trenujecie razem?

BO: Czasem. Ale pamiętaj, że to się obu stronom musi wpisać w plan. Zwykle rozbiegania niekiedy robimy razem. To się może udać. Dla mnie lekki bieg to jest około 4:30 min./km, ale może też być 4:50-5:00. I wtedy biegniemy z Kasią.

KG: Albo jak Bartek jest dzień po bardzo ciężkim treningu i ledwo za mną nadąża.

BO: Albo jak biegnę 4:00 min./km, a Kasia się podłącza na kilka kilometrów i robi sobie mocny trening tempowy. Albo jak robię bardzo szybkie kółka na stadionie, a Kasia wchodzi na czterysto metrów.

KG: I to się często kończy kłótnią. Ktoś strona zawsze się szybciej zmęczy. I w ogóle, jak jesteś zmęczony, to bardzo łatwo się zirytować.

BO: To na treningach. A jeśli chodzi o zawody – oczywiście się wspieramy, ale też jesteśmy bardzo samodzielni. Jak idziemy na start, to każde sobie daje radę samo, nie ma takiego problemu, że trzeba potrzywać kurtkę czy coś. Ta cała otoczką nie jest niezbędna.

Plany na ten rok już omówiliśmy. A dalsze?

KG: Ja sobie czasem myślę, że będę biegać do czterdziestki. Jeszcze dekadę. Teraz głównie triathlon – a potem się zobaczy.

BO: Ja chcę złamać barierę 2:20 w maratonie. I powalczyć w biegach ultra na topowym poziomie. To jest ambitne, ale wykonalne. Potem może też przejdę do triathlonu. A potem, jak się przestanę ścigać, to chciałbym jeździć po świecie i zwiedzać różne maratony. Czyli tak do sześćdziesiątki.

KG: Bartek się śmieje, ale trudno nam sobie wyobrazić życie bez sportu.

BO: I bez siebie nawzajem.

© Rozmawiał PIOTR STANKIEWICZ

KASIA GORLO jest autorką „Run The World”, najpopularniejszego w Polsce kobiecego bloga o bieganiu.

BARTOSZ OLSZEWSKI jest autorem „Warszawskiego Biegacza”, najpopularniejszego w Polsce męskiego bloga o bieganiu.

ANNA

Dziewit-Meller: *Chłopaki niech płaczą*



A ZATEM IDZIE KONIEC ROKU, BIAŁO-GRANATOWY strój galowy, róża w celofanie albo piwonie dla pań, wymiana nerwowych maili pomiędzy członkami rad rodziców, co kupić w podzięk za całoroczne poświęcenie, trud i wkład, perspektywa dwumiesięcznej wolności, która właśnie się otwiera szeroko, niosąc ze sobą te obietnice, które można zawrzeć w najwspanialszym na świecie słowie „wakacje”. Ostatnie truskawki wyparte zostaną przez czereśnie i maliny, a to wszystko nim nastaną jeżyny i śliwki, piegi na nosach i ramionach podbiegną mocniej melatoniną.

Ten rok szkolny – rok deformy edukacji, rok przepełnionych szkół i lęku przed kumulacją roczników, rok pseudopatriotycznej propagandy lanej na dziecięce głowy kubłami, był również dla mnie bardzo intensywny. Po raz pierwszy od wielu lat, w związku z wydaniem dwóch książek dla dzieci, wróciłam bowiem do szkoły, by na spotkaniach autorskich spotykać się z moimi nowymi czytelnikami. Jestem więc, stojąc u progu wakacji, ubogacona, jakby rzekł prymas Glemp, tym doświadczeniem spotkania z Innym, jakim do tej pory był dla mnie polski uczeń i uczennica. Dużo tej wiedzy przyszło do mnie razem z tymi spotkaniami, zaś o pewnych jej aspektach dyskutowałam ostatnio w Poznaniu w Centrum Kultury Zamek z Joanną Czeczott, redaktorką naczelną genialnego dwumiesięcznika „Kosmos dla Dziewczynek”.

Spotkanie w dużej mierze poświęciliśmy rozmowom o byciu dziewczynką, dziewczyną, kobietą i zmianach, jakie zachodzą w owej feministycznej przestrzeni, ostatecznie jednak najgorętszy moment debaty, w którą zaangażowała się także publiczność, dotyczył chłopców. A właściwie tego, czy aby rychtując kosmos dla dam, dziewczuch i dziewcząt, nie powinnyśmy pomyśleć o tym, jaki kosmos chcemy dać i pokazać chłopcom. Przypomniałam sobie wówczas jeden z paneli podczas ostatniego Kongresu Kultury, zaproponowany i prowadzony przez Joannę

Olech, którego tytuł brzmiał „Dlaczego tracimy chłopców dla kultury”. Bo że ich tracimy – widać gołym okiem. Miejsca takie jak teatry, biblioteki, domy kultury, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, to placówki bardzo mocno sfeminizowane, gdzie i kadra, i odbiorcy to zazwyczaj kobiety. Sama obserwuję to choćby na spotkaniach autorskich – gros publiczności stanowią kobiety w różnym wieku, mężczyźni zaś to niewielki odsetek.

Pytanie z Kongresu należałoby może rozszerzyć o perspektywę historyczną – dlaczego straciliśmy ich już tak wielu i czemu ten trend się nie zatrzymuje? W Poznaniu szukałyśmy przyczyn tego fatalnego dla kultury i dla chłopaków trendu właśnie w owej feminizacji zawodów takich jak bibliotekarki czy animatorki kultury (są to zawody wymagające powołania, a jednocześnie nisko płatne – przypadek? Nie sądzę). Często w szkole podstawowej jedynym facetem w nauczycielskim gronie jest mityczny pan od wufu, który zagarnia dla siebie męską sferę, miejsce na teatrzyki szkolne i dyskusyjne kluby książki robiąc dziewczynkom i swoim koleżankom po fachu.

Joanna Czeczott przywołała słowa Zofii Staneckiej, autorki popularnej serii książeczek o Basi, która spotykając się ze swoimi małymi czytelnikami, pytała ich, kiedy czują się wolni. Mówiła o tym, że dla dziewczynki owa sfera wolności rozciągała się poprzez rozmaite aktywności – od uprawiania sportu, tańca, zabaw na dworze, spotkań z przyjaciółmi, przez twórczość własną, po szereg innych spraw, po które nie wahają się już sięgać. Dla chłopców – w zasmucająco dużej ilości przypadków – wolnością była nieskrępowana możliwość gry na tablecie albo PlayStation. Czasem ktoś mówił o grze w piłkę nożną, ale z rzadka. Z amerykańskich badań publikowanych przez Instytut Gallupa jasno wynika, że rodzice chcący spędzać czas wolny z dziećmi dużo chętniej spędzą go z dziewczynką, ponieważ spektrum możliwości jest znacznie szersze – dziewczynka dziś może robić wszystko – od baletu po futbol amerykański. Stereotypy na temat tego, czym „wypada” interesować się chłopcom, są dużo silniejsze (moja córka chodzi na zajęcia baletowe, chłopca nie widziano tam od lat).

Tracimy chłopców dla kultury, ale tracimy chłopców z oczu w ogóle. Ogromny wysiłek, który wkładamy w zbudowanie silnych i pełnych wiary w siebie dziewczynek, nieco usunął nam z oczu problemy, jakie w dzisiejszym świecie chwiejącej się tradycyjnej męskości napotyka każdy co wrażliwszy chłopiec. Jak to ujęła jedna z uczestniczek poznańskiej dyskusji: „najmniej akceptowaną jednostką będzie w dzisiejszym świecie wrażliwy chłopiec”, i trudno mi się z tym nie zgodzić. ©

TP

„WIECZNY HIOB”

ZBIÓR TEKSTÓW PAWŁA ŚPIEWAKA (publikowanych m.in. w „Tygodniku Powszechnym”) – to rozważania nad biblijną Księgą Hioba oraz miejscem Hioba w filozofii.

Nawet jeżeli Hiob był postacią mityczną, nieistniejącą, to z całą pewnością dogłębnie prawdziwe jest jego doświadczenie bezgranicznego cierpienia, samotności i milczenia wobec głosu Boga.

Hiob to dla filozofów, mędrców religijnych, malarzy i rzeźbiarzy symbol cierpienia – pisze Autor.

Książkę „Wieczny Hiob” można kupić w dobrych księgarniach, a przez internet na www.ksiegarnianatlomackiem.pl.

O spotkaniach z Autorem będziemy informować w kalendarium na stronie TygodnikPowszechny.pl.



An aerial photograph of a construction site. A large yellow tower crane is positioned on the left, its boom extending over a rectangular building under construction. The building's roof is covered with blue corrugated metal sheets. The surrounding area is cluttered with construction materials, including stacks of bricks, wooden planks, and various tools. In the background, other buildings are visible, some with scaffolding. A red rectangular box is overlaid on the top center of the image, containing the word 'REPORTAŻ' in white capital letters.

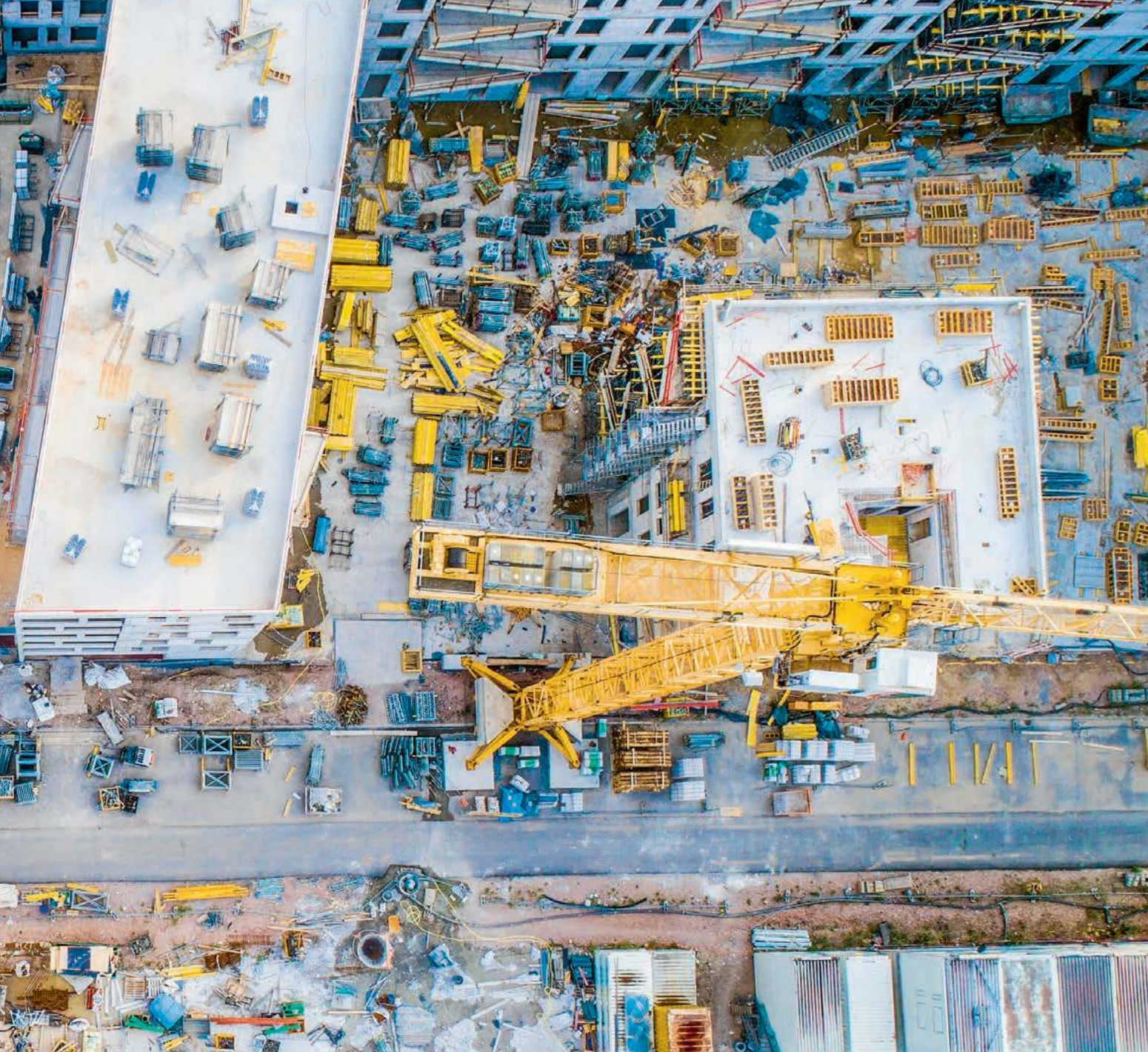
REPORTAŻ

ISTOCK

WIDOK Z ŻURAWIA

W ciasnych kabinach, kilkadziesiąt metrów nad ziemią, operatorzy żurawi budowlanych pracują nawet po 14 godzin dziennie. Zmuszeni przez pracodawców do łamania przepisów bezpieczeństwa – coraz częściej giną.

KRZYSZTOF STORY



SIEDEM WYPADKÓW Z UDZIAŁEM ŻURAWI, w tym trzy śmiertelne – to bilans polskich budów przez ostatnie pół roku.

Najpoważniejszy: 15 września 2017 r. na ulicę Roosevelta w Łodzi runął 35-metrowy dźwig. Zginął operator, miał 23 lata. Do końca walczył z maszyną, dzięki czemu przechyliła się w stronę pustej akuratu drogi, a nie w kierunku placu budowy. Przyczyny wypadku bada prokuratura, mówi się o złym rozłożeniu balastu lub usterce technicznej maszyny.

1 grudnia w Tychach operator zasłabł podczas pracy. Był w podeszłym wieku,

na umowie-zleceniu dorabiał do emerytury. Mimo półtoragodzinnej reanimacji nie udało się go uratować. Dwa tygodnie później, raniąc dwie osoby, przewrócił się samojezdny żuraw w Lublinie.

Inne wypadki: złamane ramię zniszczyło kamienicę i cztery samochody (Gniezno); przenoszony ładunek spadł na pracownika łamiąc mu dwa żebra (Kokotów k. Krakowa); żuraw runął na dach piekarni (Pruszków)...

Niedawno przewodniczącym Komisji Międzyzakładowej Operatorów Żurawi

Wieżowych „Małopolska” został Stefan Kuśnierz. Doświadczony, od 35 lat w zawodzie. Pracował w Niemczech, na Islandii, w Polsce. Spotykamy się na cmentarzu na krakowskim Grębałowie. Tu leży Ryszard Kawa.

Zaciska pięści, mówi szybko: – Końcówka 2017 r. była fatalna. Najpierw Łódź, potem Rysiek i ta historia z Tychów. Ale to jest tylko efekt, to musiało przyjść. Lata zaniedbań w prawie każdym aspekcie naszej pracy. Brak odpowiednich przepisów? U nas to jest brak jakichkolwiek przepi-



Piętnaście godzin

→ Ryszard Kawa był operatorem żurawia budowlanego. Miał ponad 30-letnie doświadczenie. Ostatnie kilkanaście miesięcy pracował przy budowie osiedla Avia w Krakowie. 16 listopada 2017 r. był na placu prawie dziewięć godzin. Około 15.45 hakowy, z którym pracował (hakowy odpowiada za przypięcie ładunku do żurawia), nadał: „Na dzisiaj już kończymy. Cześć!”, i wyłączył radio. Kawa ustawił żuraw w tzw. pozycji wiatrowej. To oznacza koniec pracy, operator może zejść na ziemię.

Ryszard Kawa na ziemię nie dotarł.

Jego nieobecności nie zauważył ani kierownik, ani koledzy z pracy. Plac budowy zamknięto. Kilka minut przed osiemnastą pojawił się tam syn operatora, Darek.

– Wieczorem przyjechałem do domu rodzinnego, miałem spotkać się z tatą. Nie było go, zacząłem się martwić, pojechałem na budowę. Tam był już tylko ochroniarz, nie chciał mnie wpuścić. Zgodził się po półgodzinie, ale zatrzymał mnie 25 metrów od żurawia. Gdyby pozwolił mi wejść... – Darek nie kończy zdania.

Następnego dnia syn Kawy jest na budowie o siódmej rano – 15 godzin po tym, jak ojciec skończył pracę. Jest już jasno, na podeście ok. 4 metrów pod kabiną żurawia (czyli jakieś 25 metrów nad ziemią) dostrzega ciało: – Krzyknąłem tylko do ochroniarza, żeby dzwonił po pomoc. Ja pobiegłem na górę. Na wieży znalazłem tatę. Już nie żył.

– Rysiek musiał spać przy zejściu – mówi Stefan Kuśnierz. – Tam, pod samą obrotnicą żurawia jest bardzo nieprzystępne miejsce. My na wieży nie mamy żadnej asekuracji, zawsze jest ryzyko.

Kawa miał 61 lat. Trzy miesiące później prokuratura ustali, że zmarł około godziny siedemnastej w wyniku upadku i urazu kręgosłupa szyjnego.

Wprost z ulicy

Dłaczego ciało operatora znaleziono dopiero po 15 godzinach, a plac budowy zamknięto bez sprawdzenia, czy nikt na nim nie został?

– Operator nie melduje się codziennie w biurze, po prostu opuszcza budowę. System kart na Avii służył tylko ochronie terenu robót przed osobami nieupoważnionymi – tłumaczy Krzysztof Kozioł, rzecznik Budimexu, generalnego wykonawcy osiedla. Firma nie ma sobie nic do zarzucenia. W jej oświadczeniu czytamy:

„Generalny Wykonawca nie kontroluje każdego pracownika z każdej firmy podwykonawczej. To należy do jego pracodawcy”.

W Polsce niewielu deweloperów posiada własne żurawie. Taniej i prościej wynająć je u podwykonawcy do konkretnego projektu. Ryszard Kawa był zatrudniony przez firmę Kantier z Zielonej Góry – jedną z większych na rynku. – Jedyną ewidencją czasu pracy operatora jest załącznik do faktury dla podwykonawcy. Operator pojawia się w biurze raz na tydzień lub dwa – wyjaśnia rzecznik Kozioł.

Dla operatorów to codzienność. Opisują podobne przypadki: – My wchodzimy na budowę prosto z ulicy. Często nie mam się nawet gdzie przebrać – mówi Szymon Grzyb. Robert Kuśnierz, syn Stefana, dodaje: – Kiedyś zasnąłem w kabinie po pracy. Obudził mnie dopiero telefon żony. Sam byłem, wszystkie światła zgaszone. Po ciemku z wieży schodziłem, 30 metrów w dół.

Nie tylko ewidencja jest problemem. Zły stan żurawi, brak przeszkolonych sygnalistów i hakowych, przekraczanie czasu pracy – to standard na polskich budowlach. Ponad dwa lata temu operatorzy (w tym Ryszard Kawa) założyli własną komisję w Ogólnopolskim Związku Zawodowym Inicjatywa Pracownicza. Chcieli walczyć o swoje.

Przepis, którego nie ma

Rozporządzenie w sprawie BHP przy obsłudze żurawi zostało uchylone w 2013 r. Ówczesny minister gospodarki Janusz Piechociński argumentował, że dokument jest przestarzały i nie uwzględnia nowych rozwiązań technicznych. I chyba słusznie argumentował, bo pochodziły z 20 marca 1954 r.

Nowego rozporządzenia nie przygotowano. Rząd uznał, że nie jest potrzebne. Stefan Kuśnierz: – Od 2013 r. dotyczą nas takie same przepisy jak każdego innego pracownika. A odpowiedzialność mamy ogromną.

– Operator żurawia to bardzo specyficzne stanowisko. Będąc w kabinie musi samodzielnie podejmować bardzo ważne decyzje – przyznaje inspektor Marcin Korta z Okręgowej Inspekcji Pracy w Krakowie. Dopiero w ubiegłym roku, z powodu licznych skarg operatorów, Ministerstwo Rozwoju rozpoczęło pracę nad nowym rozporządzeniem.

Cegły przyjechały

Z oświadczenia Inicjatywy Pracowniczej: „Brak regulacji umożliwia pracodawcom pogarszanie warunków naszej pracy. Ignorowanie zasad BHP powoduje, że każdego roku ginie co najmniej jeden operator”. Sprawdziłem: w ciągu ostatnich 10 lat było kilkadziesiąt poważnych wypadków z udziałem żurawi. Zginęło w nich co najmniej 16 osób.

Z operatorami spotykam się na osiedlu Avia. Widać stąd żuraw, na którym zginął ich kolega. Obok, przy wyjeździe z budowy, wisi żółta płachta z napisem: „Szczuj życie! Bezpieczna praca na wysokości”. Pytam, dlaczego chcą odrębnych przepisów BHP dla operatorów. I ledwo nadążam z notowaniem odpowiedzi.

Stefan Kuśnierz. Kaszkiet, przyciemniane okulary – przewodniczący związku musi wyglądać poważnie: – Ograniczenie czasu pracy! Kierowcy ciężarówek nie mogą jeździć dłużej niż 8 godzin. A my prowadzimy 50-tonowe żurawie i często pracujemy 12–14 godzin dziennie.

Artur Gogler. Głos ma donośny, zwłaszcza przy przekleństwach: – Jakie, k..., przerwy? Chcesz zejść na przerwę, a przez radio słyszysz: „Wiesz, cegły przyjechały, rozładowałbyś...”.

Szymon Grzyb: – Raz zgodziłem się zostać do drugiej w nocy, następnego dnia miałem mieć wolne. Środek nocy, wchodzę do domu, a kierownik dzwoni i pyta, czy będę rano na szóstą, bo on ma beton zamawiony.

Artur Gogler: – Po kryzysie wszystko się udało. Spadły stawki, po dupie dostaliśmy. Ja wyjechałem do Warszawy, robiłem po 12–16 godzin. Czasami spałem w kabinie, nie opłacało się schodzić.

Większość operatorów pracuje na czarno lub na umowie-zleceniu, niektórzy zakładają własną działalność. Kodeks pracy ich nie dotyczy. O warunki zatrudnienia pytam Krzysztofa Mazura, właściciela dużej firmy wynajmującej żurawie: – Sami proszą o takie zasady! Chcą pracować minimum 10 godzin, takie są realia. Firmy budowlane w kontraktach wymagają minimum 250 godzin miesięcznie.

Operator z Tychów, prosi o anonimowość: – Czas pracy przekraczamy codziennie. Kolega zrobił ostatnio 318 godzin w miesiącu. Płatne nadgodziny? Dobry żart. Ja co miesiąc dostaję dwa przelewy. Jeden za to, co w umowie, drugi nieoficjalnie.

Szymon Grzyb: – Większość z nas ma na umowie najniższą krajową. Reszta idzie

pod stołem. Realnie można zarobić od 18 do 25 złotych za godzinę.

Adam Ignaczak, czarne krótkie włosy, tylko z tyłu zapleciony jeden mały dredowarkocz. Do tej pory mówił niewiele: – Cały czas słyszymy, że jest kryzys, że budowa jest po terminie, że trzeba szybciej. A na takiej Avii deweloper zarabia miliony.

Pod wiatr

Robert Kuśnierz jest synem Stefana. Podobni są, choć Stefan trochę wyższy. Historia jak u Kawów – Roberta wciągnął do zawodu ojciec. Dziś młodszy Kuśnierz mówi: – Na nas jest ogromna presja. Żuraw jest sercem budowy. Może nie przyjsć murarz, cieśla – praca idzie dalej. Ale jak zabraknie operatora, to cała budowa staje.

Szymon Grzyb: – Jeden dzień przestoju żurawia to są ogromne koszty – nawet 8 tysięcy złotych. Więc przychodzisz, wieje jak cholera, a kierownik mówi: „Patrz, na tamtej budowie jeżdżą”. Albo „specyfikacji nie przekracza”. Tylko że np. Liebherr w swojej specyfikacji dopuszcza wiatr do 20 metrów na sekundę. To są 72 kilometry na godzinę, ciężko się wtedy chodzi po ulicy. I pewnie, że sam dźwig sobie da radę. Gorzej z ładunkiem.

Robert Kuśnierz: – Jaka presja, pytasz? Wczoraj wiało, odmówiłem pracy. Od dzisiaj szukam nowej.

Swojemu dziecku operatorce by już nie polecił.

Taniec godowy

Operator żurawia nie pracuje sam. Za przypięcie ładunku odpowiada hakowy, za prowadzenie – sygnalista. Przynajmniej w teorii. Bo dzisiaj operatorzy mówią: „Sygnalista twój wróg”.

– Wiesz, kiedyś były obowiązkowe szkolenia, taki facet wiedział, co robi – wspomina Stefan Kuśnierz. – Dzisiaj przychodzi kierownik i mówi: „O, ty to masz ładny, donośny głos. Z żurawiem kiedy pracowałeś? No to jazda po czerwony kask i do roboty”. I potem słyszę przez radio: „obróć się o 360 stopni”. A to ja odpowiadam za ładunek w powietrzu.

Źle zapięty ciężar podniósł kiedyś jego syn. Betonowa płyta spadła na hakowego. Zmiażdżony bark, wstrząśnienie mózgu. – Uratowało mnie jedno – mówi Robert – hakowy był kompletnie pijany.

– Chcesz zobaczyć porządną Bangladesz? – Adam Ignaczak, ten z dredem, wyciąga telefon, odpala filmik. Przez parę minut oglądamy, jak hakowi przepinają



JACEK TARAN DLA „TP”

STEFAN KUŚNIERZ:

Pod obrotnicą żurawia jest bardzo nieprzyjemne miejsce.

My na wieży nie mamy asekuracji, zawsze jest ryzyko.

ładunek (1,5 tony betonowej płyty) z jednego żurawia na drugi. W locie, dwa metry nad ziemią, bez żadnej asekuracji. – Fajny taniec godowy, nie?

Kalesony na joysticku

Szymon Grzyb składa flagę Inicjatywy Pracowniczej. Młody operator należy do najaktywniejszych w związku. Dłuższe brązowe włosy, kozia bródka, mówi dużo i spokojnie. Często wypowiada się w imieniu związku, jeździ na spotkania do Warszawy. Dziś też mówi spokojnie, ale więcej jest w tym czarnego humoru: – Wiatromierz? Nie żartuj. Kiedyś usłyszałem, że pogodę mogą sobie sprawdzić na smartfonie.

No właśnie. Brak przepisów oznacza także brak norm wyposażenia kabiny. Radia najczęściej nie ma, o pomiarze wiatru można zapomnieć. Luksusem bywa fabryczny fotel. Jarek Kuliński dostał kiedyś drewniany taboret.

Adam Ignaczak: – To ja miałem szczęście. Dostałem raz krzeselko biurowe, obrotowe takie. Tylko główny joystick miałem porwany i owinięty kalesonami.

Klimatyzacji też nie ma. Latem metalowa kabina zamienia się w saunę. – Na gorze mamy po 40, 45 stopni. Leje się z nas – mówi Adam i odpala trzeciego już papierosa. – Zimną wodę pijemy tylko na dole. Na gorze jest już ciepła.

– Kiedyś chłopcy zeszli z budowy przez upał – wspomina Szymon. – Właściciel firmy powiedział, że chyba im się w du-

pach poprzewracało. Wolał zapłacić ponad 17 tysięcy kary umownej niż zainwestować w klimatyzator.

– Wcale mu się nie dziwię – broni przedsięwzięcia Krzysztof Mazur. – Montowanie klimatyzacji na trzy tygodnie upałów jest po prostu nieopłacalne, ja też tego nie robię. Poza tym starsze żurawie nie są do tego przystosowane.

Średni wiek żurawia wieżowego w Polsce to około 20 lat. Dzwonię do znajomego operatora z Tychów. Mówi wprost: – W Polsce jeździmy na tym, co Niemcy wyrzucą na złom.

– Żurawie bez hamulców, liny przetrte po trzech budowach. Ale przecież na czwartą jeszcze wystarczy – wylicza Szymon. – Łatwiej jest zmienić operatora niż taką linę. Po tym się poznaje stan żurawia. Na jednej budowie byłem 15. operatorem.

Nawet deweloperzy dostrzegają problem. Po wypadku na Avii Budimex oświadczył, że nie będzie przy nowych kontraktach korzystał z żurawi starszych niż 15 lat. „Poinformowaliśmy podwykonawców o tych wymaganiach” – oświadczył rzecznik firmy.

– Dostaliśmy od Budimexu pytanie o wiek naszych żurawi – potwierdza Mazur. Nowe wymagania krytykuje: – Trzeba być laikiem, żeby sugerować się wyłącznie wiekiem maszyny. W Polsce pracuje dziś dużo bardzo kiepskiej jakości żurawi produkcji hiszpańskiej czy włoskiej. Tymczasem żuraw z Niemiec, nawet 15 lat starszy, będzie dużo bezpieczniejszy. Poza tym w Polsce działa dozór techniczny. Jeśli dopuszczą żuraw do użytku, to znaczy, że niczego mu nie brakuje.

Pytam operatorów o przeglądy techniczne. Wybuchają śmiechem.

Dozór teoretyczny

Stan żurawi kontroluje Urząd Dozoru Technicznego. Co roku inspektor dokonuje przeglądu i wydaje decyzję o pozwoleniu na eksploatację. To odpowiednik przeglądu rejestracyjnego samochodu. Po przeniesieniu żurawia na inną budowę procedurę trzeba powtórzyć. Jednorazowy koszt to około 500 zł. W ten sposób UDT zarabia sam na sobie. Dwa lata temu ujawniono, że średnia pensja pracownika urzędu to blisko 10 tys. zł.

Operatorzy nazywają UDT „pamiętką po PRL-u”. Dwa lata temu Ryszard Kawa mówił „Gazecie Wyborczej”: „Inspektor przechadza się, sprawdza, czy są tabliczki ostrzegawcze, przegląda księgi. Ale co ja

→ mam na górze w kabinie, to już go średnio interesuje”.

Stefan Kuśnierz: – Urzędowi zależy tylko na tym, żeby wykonać jak najwięcej przeglądów, bo mają z tego zysk. Oni się czasami nawet nie pojawiają na placu budowy, a żuraw jest odebrany.

Oprócz kontroli UDT żuraw musi zostać co miesiąc odebrany przez konserwatora. To jednak tylko formalność, bo konserwatora zatrudnia... właściciel maszyny. – I co ten konserwator ma powiedzieć? Szeffie, maszyna nie działa, wstrzymujemy budowę, płacimy kary? – ironizuje Szymek Grzyb.

Rysiek

Śmierć Ryszarda Kawy była nieszczęśliwym wypadkiem. Pokazuje jednak wiele problemów polskiej branży budowlanej. Dla inspektora Marcina Korty z Państwowej Inspekcji Pracy to jeden z bardziej skomplikowanych przypadków w karierze. Postępowanie PIP zakończyło się 13 marca.

Wcześniej okazało się, że żuraw, na którym zginął Rysiek, nie posiadał odbioru technicznego. Poprzednia decyzja była ważna do 30 września. Przez półtora miesiąca maszyna, należąca do firmy Kantier, pracowała nielegalnie. Aż do 17 listopada, kiedy UDT odebrał żuraw w trybie zwykłego przeglądu technicznego.

Inspektor UDT odebrał żuraw zaledwie kilka godzin po tym, jak strażacy ściągnęli ciało operatora z górnego pomostu. Tymczasem, zgodnie z prawem, zgodę na uruchomienie maszyn lub dokonanie zmian w miejscu wypadku śmiertelnego pracodawca może wydać dopiero po uzgodnieniu z prokuratorem i właściwym inspektorem pracy.

– UDT odebrał żuraw w godzinach popołudniowych. Pracodawca poinformował nas, że ma wszystkie zgody i inspektor może wejść na plac budowy – twierdzi Jan Szuro, dyrektor krakowskiego UDT.

– Inspekcja Pracy 17 listopada nie wyraziła zgody na ingerencję w miejscu wypadku – mówi Marcin Korta. – Firma Kantier złamała prawo.

To nie koniec wątpliwości w sprawie. – Mieliliśmy podejrzenia co do badań lekarskich Ryszarda Kawy – tłumaczy Korta. – Sprawdziliśmy: według Małopolskiego Ośrodka Medycyny Pracy takie badania nie miały miejsca.

Nie wiadomo, kto podrobił dokument, ale odpowiedzialność za przedstawienie

Śmierć Ryszarda Kawy, operatora żurawia, była nieszczęśliwym wypadkiem. Pokazuje jednak wiele problemów polskiej branży budowlanej.

falszywych badań spada na firmę Kantier. Z jej właścicielem, Maciejem Czekalskim, próbowałem się skontaktować na kilku etapach powstawania tego tekstu. Bezskutecznie.

– O wszystkich ustaleniach poinformowaliśmy prokuraturę. Nasze postępowanie zakończyło się karą mandatową dla Kantiera – podsumowuje Korta.

Jak rachunki za prąd

Firma Czekalskiego za zatarcie miejsca śmiertelnego wypadku, fałszowanie dokumentów oraz naruszanie czasu pracy i brak dodatkowo płatnych nadgodzin dostała od PIP maksymalną możliwą karę – 5 tys. zł.

– Ja wiem, że inspektorów też to wkurza – denerwuje się Stefan Kuśnierz. – Pięć tysięcy? Duże firmy płacą te kary jak rachunki za prąd. Inspekcja Pracy powinna mieć większe kompetencje. Wiesz, ilu jest w całym Krakowie inspektorów, którzy zajmują się budowlanką? Czterech. Oni nas sami proszą, żebyśmy już nie przysyłali więcej skarg.

Związkowcy postulują uzależnienie wysokości kar od dochodu firmy. Problem jest spory, bo tylko małopolska PIP skontrolowała w 2017 r. 400 placów budowy. Prawie połowa naruszała przepisy. 165 spraw skończyło się mandatami, 4 trafiły do sądu.

– A jest w waszej pracy coś dobrego?

– Widoki – odpowiada Darek, syn Ryszarda Kawy. – Kiedy wschodzi słońce, widzimy wszyscyuteńko, mamy piękną panoramę miasta.

Nowe prawo, martwe prawo

Od kilku miesięcy rząd pracuje nad nowym rozporządzeniem w sprawie BHP pracy przy obsłudze żurawi. Pierwszy projekt opublikowano w sierpniu 2017 r. Ale prace nad nim wciąż się przedłużają. Na początku 2018 r. Aleksandra Serkowska z Ministerstwa Rozwoju zapewniała mnie, że pod koniec stycznia dokument zostanie przekazany do podpisu ministra.

Dziś Ministerstwo Rozwoju już nie istnieje. Najnowsza, trzecia z kolei, wersja rozporządzenia (z 23 lutego) może nie być ostatnią.

– Myślę, że realny termin to końcówka kwietnia – oświadczył 19 marca Jarosław Skarżyński z Ministerstwa Przedsiębiorczości i Technologii, które przejęło projekt. Realny termin podpisania, bo na wejście przepisów w życie trzeba będzie poczekać minimum trzy miesiące. Ten sezon budowlany odbędzie się „po staremu”.

Terminy terminami, ale nowe prawo może niewiele zmienić. Przysnąż to zarówno związkowcy, jak i inspektorzy PIP. Rozporządzenie jest pełne błędów: według ostatniej wersji to pracodawca jest odpowiedzialny za wyposażenie kabiny żurawia m.in. w radio, wiatromierz czy gaśnicę. Nie wiadomo, jak przepis będzie interpretowany.

Stefan Kuśnierz: – To absurd. Wielu operatorów ma własną działalność gospodarczą. Sami mają kupować te gaśnice?

Co zatem zmieni nowy dokument? Wprowadza normy temperatury w kabinie, obowiązkowe oświetlenie żurawia i windy dla konstrukcji powyżej 80 metrów. Najważniejszy dla operatorów jest punkt 19: „Czynności operatora wraz z wejściem i zejściem z żurawia nie mogą być wykonywane przez czas dłuższy niż 8 godzin na dobę”.

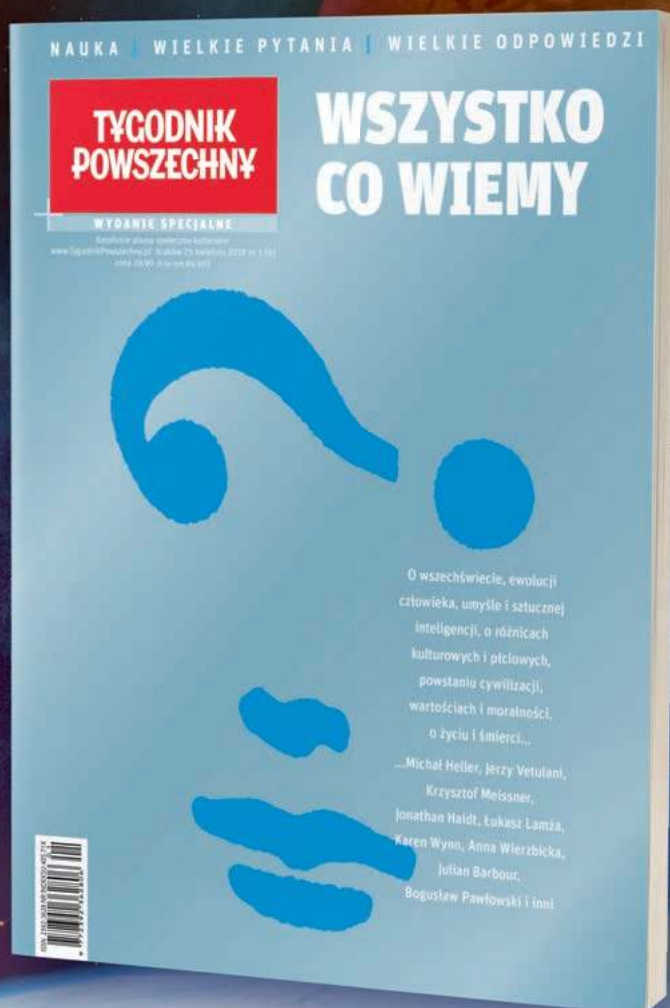
Krzysztof Mazur już teraz krytykuje nowe przepisy: – Osiem godzin pracy dziennie? Wszystkie największe firmy zazwyczaj wynajmują żurawie na minimum 270 godzin miesięcznie. Z obsługą operatorską, którą my musimy zapewnić. To będzie kolejny martwy przepis.

Czyli nie zmieni się nic. Operatorzy nadal będą pracować po 12 godzin, a hakowym nadal będzie mógł zostać każdy w czerwonym kasku. Przynajmniej do kolejnego wypadku.

Choć nawet wypadki niewiele zmieniają. Rozmawiam z Darkiem Kawą. Prokuratura właśnie skontaktowała się z nim po raz pierwszy od zakończenia sekcji zwłok. Pół roku po zdarzeniu śledczy informują, że powołali własnego biegłego w zakresie BHP. Z tego powodu sprawa zostaje zawieszona na 8 miesięcy.

Żuraw, na którym pracował Rysiek, zdemontowano i przeniesiono na inną krakowską budowę tydzień po jego śmierci. Jego operator z pewnością ma piękny widok na miasto. © KRZYSZTOF STORY

Jeszcze w sprzedaży wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”



**Niezastąpiona
lektura na lato!**

Ponad 160 stron przewodnika

**Już w sprzedaży
e-book
[powszech.net/
cowiemy](http://powszech.net/cowiemy)**

**O wszechświecie – skąd się wziął i jaki jest
po tajemnicach wszechświata.**

**O człowieku – i o tym, dlaczego mimo różnic potrafimy się dogadać
Już w salonach prasowych,**

**O umyśle – tym genialnym i tym zwykłym
w e-wydaniu**

**O cywilizacji – jak zmienia nas, nasze umysły i naszą planetę
i podczas**

**O wielkich ideach naukowych i dylematach moralnych
Copernicus Festival!**

Wielkie nazwiska: Heller, Vetulani, Wynn, Wierzbicka, Barbour i wielu innych

ZA KURTYNĄ

Episkopat nie ujawnia wewnętrznych dyskusji. Wiele sygnałów świadczy jednak, że spory są prowadzone, a jeden z ostatnich i szczególnie gorący dotyczy komunii dla osób rozwiedzionych.

ARTUR SPORNIAK



WYTYCZNE ZASKOCZYŁY MNIE. To bardzo dobry dokument – mówi o. Józef Puciłowski, były wieloletni duszpasterz związków niesakramentalnych. – W polskim Kościele słycać było wcześniej krytyczne głosy o „Amoris laetitia”, tymczasem dokument Episkopatu odnosi się do tej adhortacji bardzo pozytywnie. Wytyczne wzywają do bliskości z osobami w sytuacjach nieregularnych – trzeba się nad nimi pochylać, nie krzyczeć na nie, tylko starać się pokazywać Pana Jezusa miłosiernego. To trochę spóźniony apel, ale cieszę się z niego. I myślę że niesakramentalni również się cieszą, a dla mentalności wielu polskich księży to rewolucja – mówi „Tygodnikowi Powszechnemu” dominikanin znany m.in. z tego, że nie boi się wyrażać krytycznych opinii na temat polskiego Kościoła.

Zaskakująca zmiana

Nie tylko on jest zaskoczony. Biuro Prasowe Konferencji Episkopatu zamieściło tekst wytycznych w internecie o godz. 6 rano w niedzielę 10 czerwca. Jeszcze tego samego dnia na stronie włoskiego dziennika „La Stampa” ukazała się obszerna pochwała polskich biskupów Andrei Torniello. „Z dokumentu przebija usiłowanie maksymalnej zgodności Kościoła polskiego ze wskazaniami papieża, mimo że wielu biskupów przy różnych okazjach twierdziło, iż są przeciwni otwarciu się na ewentualne dopuszczenie do sakramentów wiernych żyjących w związkach niesakramentalnych” – napisał redaktor naczelny portalu Vatican Insider.

Z pochwały Torniello cieszy się rzecznik prasowy KEP ks. Paweł Rytel-Andrianik. W rozmowie z „Tygodnikiem” nie potrafi jednak wyjaśnić tej zmiany podejścia Episkopatu. Wytyczne zostały opatrzone przez Biuro Prasowe KEP oficjalnym streszczeniem, w którym znalazło się stwierdzenie: „Dokument nie podejmuje kwestii komunii świętej dla osób żyjących w związkach niesakramentalnych”. Ks. Rytel-Andrianik podkreśla, że zostało ono zamieszczone na wyraźne życzenie biskupów.

Biskupi podczas zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu Polski na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, Lublin, październik 2017 r.

Dlaczego biskupi nie podjęli tematu dostępu do komunii mimo, że zapowiadali, iż będą bronić dotychczasowego nauczania zawartego w adhortacji „*Familiaris consortio*” Jana Pawła II, dopuszczającego do komunii pod warunkiem życia „jak brat i siostra”?

Wiarygodne źródło, do którego dotarliśmy, twierdzi, że Episkopat zmienił nastawienie pod wpływem wyraźnych sugestii ze strony Stolicy Apostolskiej. Nie udało się nam potwierdzić tej informacji. Rzecznik Episkopatu zaprzeczył, że takie naciski były: – Według prawa kościelnego nie ma obowiązku konsultowania ze Stolicą Apostolską, dlatego dokument nie był konsultowany.

Oficjalnie. W Kościele do wielu ustaleń dochodzi jednak nieoficjalnie. Nie trudno wyobrazić sobie prywatny telefon z sekretariatu stanu do któregoś z polskich biskupów...

Można jednak uznać, że nasze źródło potwierdziło wcześniejsze doniesienia Marca Tosattiego. 20 października 2017 r. ten konserwatywny watykanista napisał na swoim blogu, że dotarła do niego wiarygodna informacja, iż nuncjusz apostolski w Polsce abp Salvatore Pennacchio podjął kroki, aby biskupi przyjęli bardziej umiarkowaną wersję tekstu. Ks. Rytel-Andrianik, kontaktując się z Tosattim, także i to doniesienie zdementował.

W każdym razie coś się wydarzyło. Jeszcze na ubiegłorocznym czerwcowym zebraniu plenarnym Episkopatu w Zakopanem arcybiskupi Stanisław Gądecki i Henryk Hoser oraz przewodniczący Rady ds. Rodziny bp Jan Wątroba zapewniali dziennikarzy, że wytyczne powinny być przyjęte na kolejnym, październikowym zebraniu KEP w Lublinie. Redagowanie przeciągnęło się jednak aż o osiem miesięcy. „W kwestii przyjmowania sakramentów świętych przez osoby żyjące w związkach niesakramentalnych biskupi przypominają nauczanie św. Jana Pawła II, którego kontynuatorem jest obecny papież Franciszek” – głosił komunikat z ubiegłorocznego zebrania plenarnego. Dlaczego więc biskupi zrezygnowali z poruszania tego tematu?

– Są trzy drogi: jedna przechyła się w jednym kierunku [zakaz komunii – AS], druga w drugim [otwarcie dostępu do komunii – AS], ale jest też ➔

→ trzecia, która nie podejmuje tej kwestii – odpowiada rzecznik Episkopatu.

Formuła „trzech dróg” – kilkakrotnie powtarzana przez ks. Andrianika w rozmowie z nami – najprawdopodobniej pojawiła się w dyskusjach na forum Episkopatu. Jak to się stało, że ostatecznie przeżyła trzecia droga?

Polski Episkopat przyjął zasadę nieujawniania wewnętrznych dyskusji. Taka postawa była uzasadniona w czasach komunistycznych (chroniła przed mieszaniem się władz w wewnętrzne sprawy Kościoła), dziś stwarza fałszywe wrażenie o jedności biskupów i o braku rzeczywistych problemów. To teatr z zasłoniętą kurtyną. Spróbujmy ją odsłonić.

Akt pierwszy:

Droga przeciwna komunii

W latach 2014 i 2015 w Watykanie odbyły się dwie sesje Synodu Biskupów poświęcone rodzinie. Na obu polska delegacja dała się poznać jako twardy obrońca dotychczasowego podejścia do rozwodników. W 2014 r. przewodniczący polskiej delegacji abp Gądecki, odnosząc się do wysuniętej podczas Synodu propozycji dopuszczania, pod określonymi warunkami, do komunii osób rozwiedzionych i żyjących w ponownych związkach, ocenił, że była to próba „uderzenia w nierozdzielność małżeństwa”, a to pociągnęłoby za sobą także zmiany w rozumieniu sakramentów pokuty i Eucharystii.

Rok później metropolita poznański przedstawił stanowisko całego polskiego Episkopatu. Kościół musi – w duchu miłosierdzia – troszczyć się ze szczególną miłością o to, by osoby znajdujące się w sytuacji nieregularnej nie czuły się odłączone

**Wiarygodne źródło,
do którego dotarliśmy,**
twierdzi, że Episkopat
ostatecznie złagodził swoje
stanowisko wobec komunii
dla osób rozwiedzionych
żyjących w nowych
związkach.

od Kościoła – mówił na Synodzie abp Gądecki – ale w kwestii dopuszczenia ich do komunii „Kościół nie może dać się podporządkować ani sentymentom fałszywego współczucia wobec tych osób, ani też fałszywym – choć popularnym w świecie – wzorcom myślenia”.

Polscy biskupi w komentarzach światowych mediów urosli do miana głównej siły w Kościele konserwującej nauczanie i przeciwstawiającej się reformistycznym dążeniom.

Gdy w marcu 2016 r. Franciszek ogłosił posynodalną adhortację „Amoris laetitia”, w której zasugerował (w słynnym przypisie 351) dostęp do komunii dla osób w sytuacjach nieuregulowanych, polscy biskupi uznali, że ta sugestia nie jest wiążąca.

Adhortacja zaleciła, by episkopaty opracowały wytyczne dostosowujące jej treść do warunków lokalnych. Pojawiły się wytyczne dopuszczające rozwodników do komunii (m.in. biskupów regionu Buenos Aires, diecezji rzymskiej, Malty i Niemiec). Podniósł się alarm środowisk kon-

serwatywnych, które dostrzegły w tych działaniach atak na doktrynę Kościoła. Z uwagą czekano na wytyczne polskie. W środowiskach tradycjonalistycznych spodziewano się, że będzie to mocny głos w obronie doktryny opracowanej przez Jana Pawła II w adhortacji „Familiaris consortio”.

Odpowiedzialny za redakcję wytycznych bp Jan Wątroba w czerwcu 2017 r. przekonywał dziennikarzy, że dokument ma za zadanie jedynie duszpastersko aktualizować wciąż obowiązujące i nie tracące nic ze swej aktualności dyrektorium duszpasterstwa rodzin z 2003 r. Wytyczne mają stanowić do niego załącznik.

Kwestii duszpasterstwa związków niesakramentalnych 62-stronicowe dyrektorium poświęca nieco ponad stronę. Mowa tam m.in. o dopuszczeniu do komunii pod czterema warunkami: niemożliwość zejścia się np. z powodu wychowywania dzieci; zdecydowana wola zaprzestania współżycia seksualnego („Decyzję swoją niech potwierdzą przysięgą przed kapłanem”); uregulowanie ewentualnych krzywd i niesprawiedliwości popełnionych w poprzednim związku oraz uniknięcie zgorszenia (zaleca się zatem przystępowanie do komunii w innym środowisku).

Opublikowane wytyczne jednak nie stanowią dodatku do dyrektorium. Czytamy w ich zakończeniu: „Z całą pewnością trzeba będzie wypracować nowe Dyrektorium Duszpasterstwa Rodzin dla Kościoła w Polsce. W oparciu o nie można będzie przygotować diecezjalne, względnie metropolitalne instrukcje wykonawcze oraz powołać do życia ośrodki służby małżeństwu i rodzinie”.

Akt drugi:

Droga umożliwiająca komunię

W październiku 2017 r. w Lublinie zamiast głosować nad ostatecznym tekstem „biskupi kontynuowali prace nad dokumentami dotyczącymi duszpasterstwa małżeństw i rodzin” – jak głosi komunikat z jesiennego zebrania plenarnego KEP.

W międzyczasie z nakazu papieża w oficjalnym periodyku watykańskim „Acta Apostolicae Sedis” ukazały się wytyczne biskupów regionu Buenos Aires, dopuszczające w niektórych sytuacjach rozwodników do komunii, wraz z odpowiedzią Franciszka, w której stwierdził, że pismo biskupów „jest bardzo dobre i w pełni wyjaśnia sens ósmego rozdziału »Amoris laetitia«”. Nie ma innych interpreta-

8 czerwca br. minęło 46 lat od śmierci

ś.†p.

prof. dr. Antoniego Kępińskiego

Z tej okazji zapraszamy na mszę św. w jego intencji,
która zostanie odprawiona w czwartek 28 czerwca o godz. 15.15
w kościele św. Wojciecha na Rynku Głównym w Krakowie.

BYLI PACJENCI Z KLUBU „ZAWILEC” I REDAKCJA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

cji”. W ten sposób papież oficjalnie potwierdził, że chce szerzej niż dotychczas otworzyć dostęp do komunii.

W Polsce – najprawdopodobniej pod wpływem owej nieoficjalnej interwencji watykańskiej – dyskusja wśród biskupów rozgorzała na nowo. O jej temperaturze może świadczyć przeciek, który pięć dni po lubelskim zebraniu dostał się do włoskich mediów. 19 października Marco Tosatti na stronie lanuovabq.it opublikował obszernie fragmenty tekstu, który – jak twierdził – jest dyskutowanym przez polski Episkopat projektem wytycznych. Np. punkt 44. tekstu miał stwierdzać: „Zdarza się, że osoby, które doświadczyły dramatu rozpadu małżeństwa, zawarły nowy nieformalny związek. Niektóre z nich zobowiązały się do nowych obowiązków zawierając małżeństwo cywilne. W obu przypadkach, przez życie »na sposób małżeński« (*more uxorio*), znajdują się w nieregularnej sytuacji, która uniemożliwia im otrzymanie rozgrzeszenia i przyjęcie Komunii Świętej”. W innym miejscu: „Pozostawanie w grzechu cudzołóstwa nie pozwala im otrzymać rozgrzeszenia i przyjmować Komunii Świętej”.

„Wytyczne, dyskutowane na zebraniu plenarnym biskupów, którzy spotkali się w ubiegłym tygodniu w Lublinie, jasno pokazują, że nauczanie papieża Franciszka o »towarzyszeniu« musi być interpretowane zgodnie z wcześniejszą nauką katolicką” – komentował konserwatywny portal amerykański LifeSiteNews. Portal ujawnił też, że po ukazaniu się ich komentarza skontaktował się z nimi rzecznik polskiego Episkopatu ks. Rytyl-Andrianik, który protestował, że prace nad wytycznymi wciąż trwają, a pojawiające się przecieki „mogą nie być dokładne”.

Wyciek projektu wytycznych – niezależnie od tego, na ile był zgodny z aktualnymi pracami – może świadczyć o tym, że na forum Episkopatu w październiku 2017 r. trwał spór o ostateczny kształt dokumentu. Stawką było wrażenie konfrontacji z papieżem. Osobie, która przekazała konserwatywny projekt Tosattiemu, najprawdopodobniej zależało, by w światowych mediach wybrzmiała „antyfranciszkowa” wymowa wytycznych. I to się udało zrobić. LifeSiteNews pisał: „Polscy biskupi utrzymali silny front w obronie katolickiej nauki podczas pontyfikatu Franciszka”.

Dzisiaj Tornielli komentuje „Tygodnikowi”: – Ujawnione szkice dokumentu

bardzo negatywnie podchodziły do możliwości udzielania sakramentów w różnych przypadkach osobom rozwiedzionym żyjącym w drugim związku. Porównując je z dokumentem końcowym, widać jasno wysiłek szukania zgody z papieżem i przyjęcia jego uważnego i odważnego spojrzenia wobec zranionych rodzin. Między pierwszą redakcją, która wydawała się prawie gotowa, a końcową minął rok. Ten czas pozwala zrozumieć, że wykonano bardzo dużą pracę mediacyjną.

Zapewne aktorów tej mediacji prędko nie poznamy. Ale w wytycznych został dziwny ślad – jak się można domyślać – po projekcie zmierzającym do otwarcia komunii w sytuacjach nieregularnych. W rozdziale 4. zatytułowanym „Wezwanie do pastoralnego rozeznania i logika integracji w świetle VIII rozdziału »Amoris laetitia«” pojawiają się nowe szczegółowe warunki do podjęcia „odpowiedniej decyzji”. Nie jest jednak powiedziane, o jakiej decyzji mowa. „Podjęte rozeznanie może prowadzić do różnych, coraz głębszych form integracji ze wspólnotą kościelną. Powinno ono mieć formę indywidualnego i konsekwentnego, długotrwałego kierownictwa duchowego. Podjęcie odpowiedniej decyzji – wspólnie przez kierownika duchowego i zainteresowaną osobę – powinno być owocem procesu rozeznania, a nie jednego czy nawet kilku powierzchownych spotkań. Wymaga ono także konsultacji z kompetentnym duszpasterzem posługującym przy sądzie biskupim lub w diecezjalnym ośrodku duszpasterstwa rodzin”.

Pytany, o jakiej decyzji mowa, ks. Rytyl-Andrianik odpowiada: – Na przykład podjęcia dzieł charytatywnych, zaangażowania w życie parafialne.

Do tego jednak nie jest obecnie potrzebne spełnianie szczegółowych warunków. Na sugestię, że to droga do komunii, tylko biskupi ostatecznie zrezygnowali z postawienia kropki nad „i”, ucina: – To nadinterpretacja.

Akt trzeci: Droga neutralna

– To furtka, która oznacza: „Nie mówimy wszystkiego” – tak „trzecią drogę” wyjaśnia o. Puciłowski.

– Pozostawia to dużą wolność duszpasterzom i szeroką przestrzeń dla rozeznania konkretnych przypadków – uważa Tornielli.

Choć wytyczne przypominają o ciągłości nauczania i wymieniają dawne doku-

menty, poczynając od encykliki „*Humanae vitae*” Pawła VI, „pisane są” językiem Franciszka. Mówią o „czułości i bliskości” z poranionym człowiekiem. Analizując kryteria duszpasterskie zadane Kościołowi przez papieża: przyjęcie, towarzyszenie, rozeznawanie, integrowanie. Zawsza jest w nich głęboka mądrość: „Duszpasterstwo małżonków musi mieć przede wszystkim na uwadze to, że małżeństwo nie stanowi rzeczywistości dokonanej i skończonej”. Wytyczne mają „pomóc w znalezieniu możliwych dróg odpowiedzi Bogu i w ich rozwoju pośród ograniczeń”. Narzeczeni nie mogą traktować ślubu jako „końca drogi” i trzeba pomóc im w realistycznym podejściu do małżeństwa. W sytuacjach nieregularnych nie rezygnują z drogi prawnej – najpierw wzywają, by ważność małżeństwa sprawdzić w sądzie kościelnym. Wspominają o drodze do komunii poprzez decyzję życia „jak brat i siostra”. Ale też o „okolicznościach zmniejszających odpowiedzialność moralną”. Polskie środowiska tradycjonalistyczne zdążyły już się zgorszyć, że wśród zadań duszpasterskiego rozeznania znalazło się też i takie: „czy osoby żyjące w nieregulowanych związkach zachowują wierność”.

Wytyczne w końcu mówią o konieczności przygotowania księży i struktur kościelnych do nowego rodzaju duszpasterstwa.

– Trzeba się wziąć porządnie do roboty, bo zmiana mentalności wcale nie jest taka prosta – konkluduje o. Puciłowski.

Redagowanie wytycznych, czyli sztuka w trzech aktach, dokonująca się za zamkniętymi drzwiami Episkopatu, ma zatem optymistyczne zakończenie. Teraz wszystko w rękach duszpasterzy.

© © ARTUR SPORNIAK

Współpraca: EDWARD AUGUSTYN

ANTYKWARIAT KWADRYGA

KUPI KSIĄŻKI,
STARE POCZTÓWKI,
MAPY, GRAFIKI.
DOJEŹDZAMY.
TEL. 22 622 11 54

Przedwcześnie odkrycie

MICHAŁ WILK

Doniesienia o manuskrypcie Ewangelii Marka z I wieku zelektryzowały biblistów. Teraz jego zagadka została rozwiązana.

PODEJRZEWANO, ŻE TEN PAPIRUS BĘDZIE pierwszym znanym manuskrypcem Nowego Testamentu z I wieku. Jego medialna historia zaczyna się w listopadzie 2011 r., kiedy dr Scott Carroll z Oklahomy zamieszcza na Twitterze tajemniczego newsa: „Od ponad 100 lat najstarszym znanym fragmentem Nowego Testamentu jest Papirus Rylandsa 457. To się niedługo zmieni. Bądźcie czujni!”.

Papirus Rylandsa, znany jako P52, zawierający fragment Ewangelii Jana, pochodzi z ok. 125 roku. Rzecz w tym, że najstarszą spośród czterech Ewangelii jest Ewangelia Marka. Powstała około 70 roku. I właśnie to „około” od wielu lat jest przedmiotem badań i niekończących się debat. Gdyby miało się okazać, że odkryto fragment tej Ewangelii pochodzący sprzed 70 roku, kilka pytań dotyczących pierwotnego kontekstu historycznego tej księgi zostałoby ostatecznie rozstrzygniętych.

Zacznijmy jednak od początku. 1 lutego 2012 r. w Karolinie Północnej trwa debata Daniela Wallace’a z Bartem Ehrmanem. Wallace jest profesorem Nowego Testamentu w Dallas Theological Seminary i założycielem Center for the Study of New Testament Manuscripts. To najważniejsza obecnie na świecie instytucja zajmująca się digitalizacją manuskryptów Nowego Testamentu w najlepszych standardach technologicznych. W latach 2015-16 ekipa Wallace’a zeskanowała ponad 150 tys. stron manuskryptów znajdujących się w Greckiej Bibliotece Narodowej w Atenach. Niektóre nie były ruszane od XIX wieku. Obecnie są dostępne w cyfrowej bibliotece CSNTM.

Podczas dyskusji z Ehrmanem, równie cenionym specjalistą od krytyki tekstu Nowego Testamentu, Wallace stwierdza, że pewien światowej klasy paleograf upoważnił go do upublicznienia informacji, iż jest w posiadaniu manuskryptu, co do którego istnieją przypuszczenia, że może pochodzić z I wieku. Niecałe dwa miesiące później, 22 marca 2012 r., szef CSNTM za-

mieszcza na blogu post pt. „First-Century Fragment of Mark’s Gospel Found!” („Odnaleziono fragment Ewangelii Marka z pierwszego wieku!”), w którym zapewnia, że szczegóły dotyczące manuskryptu zostaną opublikowane w Wydawnictwie Brill już w 2013 r. Kilka gazet podchwytuje temat i ogłasza odkrycie na miarę Indiany Jonesa. John Farrell opisuje rewelację na łamach „Forbesa”. Wieść wychodzi poza hermetyczny krąg ekspertów i zaczyna żyć własnym życiem.

Tymczasem mija rok i cisza. Zaczynają się spekulacje. Jedni mówią, że dokument ma być poddany czterem niezależnym próbom datowania metodą węgla ¹⁴C. Inni twierdzą, że zostanie przebadany dopiero po udoskonaleniu metody datowania, gdy analiza nie będzie wymagała spalania badanego materiału (sugeruje to sam Wallace, wskazując prof. Marviną Rowe’a z Teksasu jako twórcę innowacji). Inni zaczynają wątpić, że dokument w ogóle istnieje.

Prorocstwo o zburzeniu świątyni

Rok 70 to data przełomowa. Gdyby za sprawą rzekomego papirusu z I wieku udało się ustalić, czy Ewangelia Marka powstała przed nią czy po niej, wiedzielibyśmy więcej na temat jej pierwotnego kontekstu historycznego, a to miałoby znaczenie dla jej interpretacji. W czym rzecz?

17 dnia miesiąca xanthikos (4 maja) 70 roku żołnierze rzymscy pod dowództwem Tytusa, starszego syna cesarza Wespazjana, przystąpili do oblężenia Miasta Dawidowego. Jerozolima upadła 26 września 70 r., a Rzymianie zrównali Świątynię z ziemią. Jeśli przyjmiemy bardzo prawdopodobną hipotezę, że Ewangelia Marka mogła być adresowana do wspólnoty chrześcijan w Rzymie, wówczas już na pierwszy rzut oka narracja ewangeliczna w miarę spójnie pokrywa się z faktami. Jezusowa mowa o zburzeniu Jerozolimy z 13. rozdziału („Widzisz te wielkie budowle? Nie pozostanie tu kamień na kamieniu. Wszystko legnie w gruzach!”; Mk 13, 2) mogłaby być interpretowana jako *vaticinium ex eventu* – prorocstwo przypisane Jezusowi po właściwym zdarzeniu. Samo nawiązanie do „ohydy spustoszenia” (Mk 13, 14) ma prawdopodobnie związek z opisem rzymskich żołnierzy umieszczających swoje sztandary na wschodnim dziedzińcu świątyni (Flawiusz, Bell. VI 316). Zresztą sama metafora pochodzi z tradycji apokaliptycznej: w Księdze Daniela wskazuje na Antiocha IV Epifanesa, który także zbezczeszczył Świątynię Jerozolimską, stawiając w niej posąg Zeusa Olimpijskiego.

Z kolei w czerwcu 71. roku – pomimo trwających jeszcze w Judei walk – w Rzymie został zorganizowany pochód triumfalny Wespazjana i jego synów. Było to spektakularne, a jednocześnie tragiczne widowisko. Flawiusz zanotuje: „Przy pomocy sztuki i wspaniałych urządzeń tak żywo przedstawiono te wydarzenia ludzom, którzy nie byli naoczniymi świadkami, jakby działały się na ich oczach”, ale elementami scen teatralnych odgrywanych na oczach Rzymian były krwawe egzekucje pojmanych przywódców powstania żydowskiego. Bardzo prawdopodobne,



Oxyrhynchus Papyrus 5345 zawierający fragmenty Mk 1,7-9 i 16-18.



ROBERT B. FISHMAN / PAP

Replika płaskorzeźby z Łuku Tytusa: Rzymianie niosą trofea ze świątyni jerozolimskiej, Muzeum Diaspory w Tel Awiwie, luty 2012 r.

że wspólnota judeochrześcijan mieszkających w Rzymie jest w 71 r. naocznym świadkiem tych wydarzeń i dopiero wtedy uzmysławia sobie ogrom tragedii braci Żydów i chrześcijan, którzy pozostali w Jerozolimie.

Jeśli z uwagą przeczytamy Flawiuszowy opis triumfu, bez trudu dostrzeżemy wyraźne podobieństwa z procesem Jezusa w Ewangelii Marka – te same schematy narracji, te same okrzyki i oskarżenia, a w greckim oryginale – te same formuły gramatyczne. Nawet słynna zasłona świątynna... Marek Ewangelista wspomina o niej, że rozdarła się w chwili śmierci Jezusa (Mk 15, 38). U Flawiusza, zgodnie z wojennym zwyczajem, też jest rozdarta, tyle że w 71 r. – niesiona jako trofeum wraz z menorą, świętymi księgami i naczyniami świątynnymi. Ciekawe, że w opisie tuż przed najazdem Rzymian zasłona jest cała. Starożytny historyk nazwie ją „obrazem wszechrzeczy” i zaproponuje jej alegoryczną interpretację: „szkarłat zdawał się wyobrażać ogień, białe płótno lniane – ziemię, błękit – powietrze, purpura – morze” (Flawiusz, Bell. V 5. 4).

Motyw Ewangelisty

Jeśli Ewangelia Marka została napisana po roku 70 do wspólnoty, która była w Rzymie świadkiem triumfalnego pochodu, być może w intencji autora miała być słowem otuchy kierowanym do wspólnoty rzymskiej, ale i próbą spojrzenia na trage-

dię roku 70 przez pryzmat męki i śmierci Jezusa Chrystusa. Jeśli Ewangelia Marka została napisana po roku 70, być może zestawia w antytezie dwa triumfalne pochody: Wespazjana i Jezusa Chrystusa, a tym samym konfrontuje dwa porządki świata: Kościoła i Imperium Rzymskiego. Napięcie między tymi dwoma poziomami boleśnie naznacza życie pierwszych chrześcijan. Jeśli Ewangelia Marka została napisana po roku 70, to tym ciekawsze i prowokujące politycznie są niektóre sceny: od uzdrowienia głuchoniemego śliną (Mk 7, 31-37), które jest zaskakująco podobne do uzdrowień dokonywanych przez Wespazjana („pewien niewidomy domagał się, by cesarz śliną dotknął jego policzków”, Tacyt „Dzieła” 4, 81), po sam moment śmierci Pana: „A setnik (...) gdy zobaczył, w jaki sposób Jezus umarł, stwierdził: »Ten człowiek naprawdę był Synem Boga«” (Mk 15, 39). Co by nie powiedzieć, dla rzymskiego żołnierza jedynym synem boga (łac. *divi filius* – od Oktawiana Augusta jest to tytuł polityczny przysługujący cesarzom) jest nie kto inny jak Wespazjan.

Jeśli... bo część egzegetów utrzymuje bardziej tradycyjną hipotezę, zgodnie z którą Ewangelia Marka miała powstać przed rokiem 70, a wtedy optyka hermeneutyki jest zupełnie inna. Według słynnego świadectwa Papiasza (biskupa Hierapolis z przełomu I i II wieku), zachowanego w „Historii kościelnej” Euzebiusza z Cezarei, „Marek [ewangelista – MW] był komentato-

rem/tłumaczem (gr. *hermēneutēs*) Piotra” (Hist. Eccl. 3, 39, 16). Z tego by wynikało, że Ewangelia Marka to w rzeczywistości zapis nauk św. Piotra wygłoszonych w Rzymie przed męczeńską śmiercią apostoła, a ta nastąpiła ok. 64 r. W 1 Liście św. Piotra, datowanym na późne lata życia apostoła, faktycznie czytamy: „Pozdrawia was wspólnota z Babilonu [tzn. Rzymu – MW] (...) oraz Marek, mój syn” (1 P 5, 13). By nauki najważniejszego spośród apostołów nie zostały zapomniane, trzeba było – wydaje się to całkiem logiczne – spisać je zaraz po męczeńskiej śmierci Piotra. A wtedy motywy prześladowań z 13. rozdziału Ewangelii należałoby czytać przez pryzmat innych wydarzeń – czasów Nerona i prześladowań chrześcijan po pożarze Rzymu z 64 r.

Ale i tu rodzi się mnóstwo pytań. Czy Marek ewangelista i Marek wspomniany w 1 Liście Piotra to jedna i ta sama osoba? Dlaczego Ewangelia przez cały I wiek pozostawała anonimowa? Dlaczego Piotr potrzebował w Rzymie tłumacza, skoro sam pisze swoje listy po grecku? I ostatecznie: kiedy Ewangelia Marka została spisana i jaki jest jej pierwotny kontekst?

Tajemniczy papirus

23 kwietnia 2014 r. domysły odzywają ze zdwojoną siłą, gdy Josh McDowell ogłasza, że domniemany dokument z I wieku zawiera fragment pierwszego rozdziału Ewangelii Marka. Peter Gurry pisze wówczas na swoim blogu: „Mamy wreszcie ➔

→ kogoś, kto twierdzi, że faktycznie widział ten dokument i to dwa razy”. Do tego momentu papirus był jak Yeti. Wszyscy o nim mówią, ale nikt go nie widział.

Raz po raz pojawiają się kolejne głosy i hipotezy – zazwyczaj bez pokrycia w rzeczywistości. Gdy w styczniu 2018 r. Craig Evans twierdzi, że domniemany fragment Ewangelii Marka z I wieku został znaleziony w masce mumii, jego domysły są natychmiast dementowane przez Scotta Carrolla.

Pierwsze informacje o wyczekiwanej publikacji papirusu pojawiają się na blogach 21 maja 2018 r. W 83. tomie serii „Oxyrhynchus Papyri” ma się pojawić wczesny dokument poświadczający tekst Marka. Potem się okaże, że będzie oznaczony numerem 5345 i będzie zawierał Mk 1, 7-9. 16-18. Redaktorami wydania są Dirk Obbink i Daniela Colomo. Obbink wykłada na Oxfordzie, jest jednym z najwybitniejszych specjalistów od papirusów na świecie i dyrektorem serii „Oxyrhynchus Papyri”.

23 maja 2018 r. Peter Gurry ogłasza na portalu „Evangelical Textual Criticism”, że uzyskał dostęp do wydania i jako pierwszy potwierdził, że opublikowany fragment jest datowany nie na pierwszy, ale na drugi lub trzeci wiek. Albo mamy zatem do czynienia z dwoma różnymi dokumentami, albo „ślady wskazujące na pierwszy wiek” zostały błędnie zinterpretowane. Przez kilka godzin wszyscy czekają na odpowiedź Daniela Wallace’a.

Jeszcze tego samego dnia szef CSNTM potwierdza, że dokument, o którym mówił w czasie debaty w 2012 r., to opublikowany „Oxyrhynchus Papyrus 5345”. Tłumaczy, że został wprowadzony w błąd i z wielką klasą przeprosza za zamieszanie.

Zagadka ostatecznie została doprowadzona do finału: Papirus Rylandsa P52 nadal pozostaje najstarszym znanym papirusem Nowego Testamentu, wciąż nie jest znany ani jeden odpis z I wieku.

Gdyby opublikowany 23 maja „Oxyrhynchus Papyrus 5345” pochodził sprzed 70 roku, wiele zagadek z przeszłości znalazłoby rozwiązanie. Dziś już wiemy, że kluczowe pytania o Ewangelię Marka wciąż pozostają otwarte.

© MICHAŁ WILK

Autor jest biblistą, założycielem i redaktorem naczelnym portalu Orygenes.pl.

Sztuka odpuszczania sobie

JACEK PRUSAK SJ

Medytujemy, licząc na wymierne korzyści. W ten jednak sposób nigdy nie odkrywamy medytacji jako drogi życia.

USPOKÓJ SIĘ, PRZESTAŃ SIĘ STRESOWAĆ, ćwicz jogę, otwórz się na wszechświat, spełniaj się... „Byłem w gościnie u mojej przyjaciółki – pisze Fabrice Midal – kiedy ze szkoły wróciła jej córka, »przednastolatka« kipiąca życiem. Miała do opowiedzenia swojej mamie tysiące historii i nie wiedziała, od której zacząć, podskakiwała ze szczęścia, aż miło było patrzeć na jej entuzjazm. Moja przyjaciółka nie pozwoliła jej mówić dalej. »Powinnaś medytować« – poradziła jej. Na co córka zawołała: »Ale mamo, ja jestem spokojna!«. Ta wizja medytacji mnie poraziła... bo medytacja to nie projekt dotyczący mojego dziecka, lecz stan obecności, który wspólnie dzielimy, co daje zupełnie inny obraz praktyki medytacyjnej”.

Slogany, jak te przywołane na początku, w których praktyki duchowe zostają zawłaszczane przez mentalność konsumpcyjną, prowadzą wyłącznie do „duchowego materializmu”. Jak podkreśla Midal, „medytacja od początku będzie skazana na niepowodzenie, jeśli wprowadzimy ją do naszego życia niczym nowe hasło”.

Nie byle kto formułuje to ostrzeżenie. Autor książki „Odpuść sobie i żyj” jest doktorem filozofii Uniwersytetu Paryskiego, autorem kilku bestsellerów, ale przede wszystkim założycielem Zachodniej Szkoły Medytacji oraz jednym z czołowych francuskich nauczycieli medytacji. Medytację praktykuje od ponad 25 lat, od 15 lat uczy innych, jak to robić. Jednak to, co przez medytację rozumie, nie jest tym, za co najczęściej jest brana. „To nie technika, nie ćwiczenia ani jakieś tajemnicze działania: dla mnie medytacja to sztuka życia. Sztuka odpuszczania sobie”. Midal traktuje medytację jak „prosty trening wprowadzający do przyjęcia tej wielkodusznej postawy, którą powinniśmy się nauczyć stosować również na sobie, a raczej przede wszystkim na sobie. Nie postrzegam tego treningu jak ćwiczenia ani jak pracy nad sobą. To nie jest rozkaz, który należy wykonać, ani wyzwanie, któremu trzeba sprostać, to zaproszenie do tego, aby dać się porwać”.

Medytacja, której broni Midal, „staje się etyką: wymaga od nas właściwego zachowania w każdej sytuacji... czyli bycia w pełni obecnym”. W dobie mody na medytację, która „rozwiąże każdy twój problem”, głos Midala jest prorocki. Bo „w gruncie rzeczy medytujemy tylko wówczas, jeśli przestajemy usiłować medytować, pozbywamy się konieczności odniesienia sukcesu, wypełniania powinności, zrealizowania celu, inaczej mówiąc, jeśli zrzucimy z siebie obowiązek życia w strachu przed porażką. (...) Medytować to zostawić siebie w spokoju i pozwolić sobie na to, aby znów stać się człowiekiem”.

Skoro medytacja to nie żadne „przyswajanie techniki” podchodzące pod „ocenę kompetencji”, nie chodzi o to, żeby być jej „wyznawcą”, podążając za jakimś „mistrzem”. To prawda, że istnieją różne podejścia do medytacji, ale, jak podkreśla Midal, „najlepszy sposób to taki, który do nas przemawia, który (...) łączy nas z naszym człowieczeństwem, a jednocześnie z całą ludzkością, który daje nam chęć rozpoczęcia na nowo”.

Nie jest to kolejna książka o tym, jak medytacja zmienia życie, ona opowiada o tym, jak życie staje się medytacją. Medytacja nikogo nie uczyni doskonałym, bo jest ona „aktem życzliwości w stosunku do siebie”, „zebraniem wszystkich rozsypanych elementów, z których się składamy, i zakopaniem topora wojennego”, a nie adorowaniem uduchowionego *alter ego*. Medytacja nie znieczula, nie jest duchowym narkotykiem. Jeśli traktujemy zaś ją poważnie, a nie użytkowo, wtedy dzięki niej odkrywamy, że „droga w głąb siebie nie jest oznakowana jak mapa drogowa. To przygoda”.

Medytuj, ale nie inwestuj w siebie. Może wtedy medytacja zaprowadzi cię poza siebie i otworzy na Absolut. ©©

Fabrice Midal, ODPUŚĆ SOBIE I ŻYJ, przeł. Julia Celer-Szczepaniak, Grupa Wydawnicza Foksal, Warszawa 2018

SZYMON

Hołownia: Jakby religia



OSZAŁAMIAJĄCĄ KARIERĘ W POLSKIEJ KOMUNIKACJI drugiej dekady trzeciego tysiąclecia robi słówko „jakby”. Poświęcił mu ostatnio tekst Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej”. Koledze Czuchnowskiemu jakby trudno odmówić spostrzegawczości.

Rzeczywiście, gdzie ucha nie nadstawisz – opowieści są „jakby o miłości”, ktoś wraca „jakby do domu”, robi zakupy „na stoisku z jakby zdrową żywnością”. To byłoby ciekawe – spróbować zbadać, czy to kolejna głupia językowa moda (ze dwa-trzy lata temu po polszczyźnie pałętało się „bynajmniej”, używane w znaczeniu „przynajmniej”) czy – jak zdaje się sugerować Czuchnowski – w epoce totalnej nadpodaży bodźców i informacji oraz rosnącej popularności zjawiska „faktów alternatywnych” zawiesił nam się system poznawczy. I podświadomie, co następnie wypływa na powierzchnię w języku, podajemy w wątpliwość już nie tylko to, co rzeczywiście wątpliwe, ale wszystko, włącznie z tym, że „jakby jesteśmy”.

Jako genetycznie uwarunkowany publicysta, któremu do życia niezbędne jest wdanie się w co najmniej dwie facebookowe dyskusje tygodniowo, dostrzegam inne retoryczne zjawisko: coraz większa grupa moich adwersarzy odpowiedź na moje gorące wezwania do konkretnego stosowania deklarowanych przez nas (gdy nie trzeba za to realnie zapłacić) ideałów zaczyna od frazy: „Niestety. Bądźmy realistami”. Pisziesz o wprost wynikającej z Ewangelii konieczności troski o uchodźców? „Niestety. Bądźmy realistami – większość z nich i tak wyjedzie z Polski. I lepiej pomagać na miejscu”. Kolejna organizacja działająca na rzecz praw zwierząt ujawniła wstrząsające praktyki pracowników na jednej z przemysłowych farm drobiu w Polsce? „Niestety. Bądźmy realistami – takie jest przeznaczenie tych zwierząt. Człowiek musi jeść mięso, przecież nie jest królikiem. Skoro chcemy mieć tanią żywność, to przy tej skali patologii będą się zdarzać, to wliczone w koszty”. Moja – skądinąd mądra i fajna – koleżanka publikuje na Facebooku sponsorowaną bzdurę o tym, że butelki plastikowe (koleżanka reklamuje producenta wody) szkodzą środowisku mniej niż szklane? „Niestety. Bądźmy realistami. Plastik jest tak powszechny, że nie da się go niczym zastąpić. Poza tym, niestety, jest wygodny, ludzie się przyzwyczaili. Zresztą już tyle tego plastiku jest i jakoś wszyscy jeszcze żyją”. I tak dalej.

To rzecz jasna nie jest wynalazek ani specjalność XXI w., że tzw. realizm (czyli precyzyjnie: wynoszone do poziomu cnoty kunktatorstwo) podkopuje idealizm, a każdy, kto proponuje, żeby się ruszyć, usłyszy co najmniej klika głosów „Niestety. Bądźmy realistami – po co się ruszać w nieznane, skoro coś jest już znane”. Mogę się mylić, ale wydaje mi się jednak, że w tym

stanie, w jakim obecnie znajduje się ludzkość – jak nigdy dotąd ściśle ze sobą połączona, z ziemią doprowadzoną na krawędź przepaści poprzez skrajne wykorzystanie jej zasobów, z tak dramatycznie niesprawiedliwie podzieloną zamożnością i szan-sami – po raz pierwszy w historii „Niestety. Bądźmy realistami” może być początkiem hekatombi.

Gdy używają tej frazy negacjoniści zmiany klimatycznej albo głosiciele paradygmatu bierności wobec narastającego problemu migracji wymuszonych wojną, postępem rolnictwa przemysłowego, urbanizacją świata – może się to zakończyć tąpnięciami, które za pokolenie, dwa lub trzy pochłoną znaczną część gatunku *Homo sapiens*. Dom nam się pali, a my: „Niestety. Bądźmy realistami – domy się czasem palą, ale nie zawsze palą się do końca, poza tym jest przecież wielu ludzi zainteresowanych tym, by nam wmówić, że to pożar” itd. Co ciekawe – z tego powinno nas leczyć chrześcijaństwo. W Ewangelii Jezusa nie ma przecież śladu takiej postawy, Pan nigdy nie mówi: „no co zrobisz, jak nic nie zrobisz”. Zawsze ma program pozytywny, nie uczy kontemplowania ściany, pokazuje drogę wyjścia. Dlatego papież Franciszek ma sto procent racji, mówiąc, że „Ewangelia kończy się na »ale«”. Gdyby Jezus, rozsyłając swoich uczniów, mówił im o realizmie („Idźcie tam, gdzie dacie radę, głoscie wszystkim, którzy będą chcieli słuchać”), do dziś wierzylibyśmy w Lelum i Polelum. Radykalizm to paliwo nośne Dobrej Nowiny, nieodłącznie z nią sprzężone (bo Ewangelia – domagając się radykalnego działania – składa też najbardziej radykalną z obietnic: anihiluje śmiertelność).

I dlatego na zjawisko „Niestety. Bądźmy realistami” powinni zwrócić uwagę nie tylko publicyści, ale i duszpasterze. Opublikowany w ubiegłym tygodniu przez renomowany ośrodek Pew Research Center raport z badań przeprowadzonych w ponad stu krajach świata wskazuje, że Polska jest jednym z państw, w których między grupą obywateli starszych (powyżej 40. roku życia) i młodszych panuje największy rozdźwięk, gdy chodzi o stosunek do religii (pytano o to, jaką rolę religia odgrywa w życiu badanego, jak często się modli, jak często uczestniczy w praktykach – np. 16 proc. Polaków przed czterdziestką stwierdziło, że religia odgrywa bardzo ważną rolę w ich życiu, zaś w grupie 40+ było to 40 proc.; szczegółowe wyniki i omówienie raportu można znaleźć na stronie pewforum.org). W skali świata młodzi ludzie są bardziej (deklaratywnie) religijni niż starsi w dwóch tylko z przebadanych krajów: w Gruzji i w Ghanie.

Zamierzam teraz wgryźć się w raport głębiej, sprawdzić, czy da się wyczytać z niego globalne trendy, i czy rację mają ci komentatorzy, którzy na tej podstawie odrzucają właśnie, że „Polska dołącza do grona najszybciej sekularyzujących się krajów świata”. Jak na razie warto chyba jednak pomedytować sobie nad jednym faktem: młodzi ludzie, którzy z definicji powinni mieć więcej skłonności do radykalizmu i idealizmu, albo z jakichś powodów mają ich dziś mniej niż starsi, albo nie utożsamiają religii (w naszym przypadku: chrześcijaństwa) z radykalizmem i ideałami właśnie.

Z czym ją więc utożsamiają? Czym innym – jak im wmówiono albo do czego sami doszli – jest? ©

KIJÓW CZEKA NA AUTOKEFALIE

Będzie to wstrząs nie tylko religijny, ale także polityczny i społeczny: ukraińskie prawosławie ma ostatecznie uniezależnić się od Moskwy.

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

OD POŁOWY KWIETNIA ŚWIAT PRAWOSŁAWNY czeka na decyzję patriarchy ekumenicznego Bartłomieja w sprawie przyznania Kościołowi prawosławnemu Ukrainy autokefalii – pełnej niezależności kanonicznej w ramach wspólnoty prawosławnej. Wiele wskazuje, że decyzja już zapadła, a odpowiedni tomos (dekret) zostanie ogłoszony jeszcze przed rocznicą chrztu Rusi, obchodzoną 28 lipca.

Wyodrębnienie ukraińskiego Kościoła prawosławnego – i jednocześnie zjednoczenie podzielonych dziś prawosławnych Ukrainy – będzie wstrząsem. Nie można oczekiwać, aby proces tworzenia nowego Kościoła partykularnego przebiegał bez konfliktów. Jedną z przyczyn sporów – ale tylko jedną z wielu – będzie przeciwdziałanie Moskwy: zarówno Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego (RCP), jak też państwa rosyjskiego.

Na razie nie wiadomo, w jaki sposób zostanie powołany nowy Kościół partykularny: czy przez uznanie samostawnego dotychczas Patriarchatu Kijowskiego, czy też przez wyodrębnienie ukraińskich diecezji Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego, uznającego zwierzchność patriarchy Moskwy. Każde z tych rozwiązań ma dobre i złe strony. I każde w inny sposób „zaprogramuje” nieuniknione konflikty.

Najpierw była Ruś Kijowska

Tysiąc lat temu Ruś Kijowska była luźnym konglomeratem księstw plemiennych i republik kupieckich, obejmującym w przybliżeniu terytorium dzisiejszej północno-zachodniej i środkowej Ukrainy, Białorusi oraz północno-zachodniej Rosji (obszar późniejszej Moskiewszczyzny był w X w. marginalnym pograniczem). Jej centrami były Kijów i Nowogród Wielki, a spoiwem – rzeczny szlak handlowy, łączący wschodnią Skandynawię z centrum ówczesnej Europy, Konstantynopolem.

To właśnie związki handlowe (a więc i polityczne) Rusi z Cesarstwem Wschodnim zdecydowały o tym, że w 988 r. książę (monarcha) kijowski Włodzimierz (Włodomyr, Władimir, Valdemaras) przyjął chrześcijaństwo w obrządku wschodnim. Chrześcijaństwo tyleż prawosławne, co katolickie – definitywny rozłam w Kościele powszechnym miał dopiero nadejść.

Centrami powołanej na początku XI w. metropolii kijowskiej były Kijów i Nowogród; dopiero po kilku wiekach zaczęła rosnąć rola pogranicznego Włodzimierza nad Kłajmą, zastąpionego później przez Moskwę. Metropolici kijowscy podporządkowani byli patriarchom ekumenicznym i cieszyli się znaczną autonomią, ale nie autokefalią. Po najazdach mongolskich metropolici kijowscy przenieśli



GLEB GARANICH / REUTERS / FORUM

w 1299 r. swą siedzibę z wyniszczonego Kijowa do Włodzimierza nad Kłajmą.

W 1458 r. – wkrótce po zdobyciu Konstantynopola przez Turków i tym samym upadku Cesarstwa Wschodniego – metropolia moskiewska samowolnie oddzieliła się od kijowskiej, a metropolici kijowscy wrócili do swej nominalnej siedziby, podporządkowanej już Wielkiemu Księstwu Litewskiemu.



Metropolita Filaret, zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Kijowskiego podczas obchodów Wielkanocy z żołnierzami, którzy wyjeżdżają na front we wschodniej Ukrainie, kwiecień 2017 r.

Matka i dziecko

Półtora stulecia później, w 1589 r., metropolici moskiewscy otrzymali godność patriarchów, zaś w 1686 r. – po ugruntowaniu się rosyjskiego władztwa nad Kijowem i lewobrzeżną Ukrainą – Moskwa podporządkowała sobie metropolię kijowską. Zresztą wbrew woli patriarchy ekumenicznego (jego zgoda, wymuszona *ex post*, została cofnięta w 1924 r.).

Jednak – wbrew stanowisku Moskwy – nie stała się ona w ten sposób prawowitym Kościołem-matką metropolii kijowskiej. Nie ma wątpliwości, że to Moskwa jest kanonicznym „dzieckiem” Kijowa, a nie na odwrót. Takie jest też stanowisko Fanaru (to siedziba patriarchatu ekumenicznego oraz jedna z dzielnic Stambułu), wyraźnie potwierdzone w ostatnich miesiącach.

Podczas wojny o niepodległość Ukrainy w latach 1917-21 Dyrektoriat Ukraińskiej Republiki Ludowej proklamował powstanie Ukraińskiego Autokefalicznego Synodalnego Kościoła Prawosławnego, co synod części ukraińskich biskupów prawosławnych potwierdził w maju 1920 r. Kościół ten, po okresie krótkiego rozwoju, został zniszczony przez reżim komunistyczny i przetrwał jedynie na emigracji. ➔

→ Jego „grzechem pierworodnym” pozostało to, że został ustanowiony przez władzę świecką, w dodatku o programie socjalistycznym i co najmniej antyklerykalnym.

Po rozwiązaniu Związku Sowieckiego Kościół autokefaliczny wrócił na Ukrainę, jednak zdobył dość ograniczone poparcie i głównie w obwodach zachodnich. Przyczyną było przede wszystkim to, że metropolita Mstysław, zwierzchnik emigracyjnych autokefalistów, nie zdołał porozumieć się z patriarszym egzarchą Ukrainy metropolitą Filaretem, który po przegraniu walki o tron patriarchy Moskwy dokonał w 1995 r. rozłamu w ukraińskim prawosławiu i ogłosił się patriarchą.

Wydaje się, że Filaret – działający co najmniej w poufny porozumieniu z pierwszym prezydentem Ukrainy Leonidem Krawczukiem – nie chciał zgody z emigracyjnym hierarchą, którego pojęcie o tym, czym ma być Kościół i jak mają wyglądać jego stosunki z państwem, diametralnie różniło się od sowieckiego prawosławia; jego zaś nieodrodnym dzieckiem był samozwańczy patriarcha kijowski.

Trzy Kościoły

W wyniku rozłamu na niepodległej Ukrainie ukształtowały się trzy wielkie struktury prawosławne (oprócz nich są jeszcze niewielkie wspólnoty, niekiedy o sekciarskim charakterze).

Pierwszą z nich jest Ukraiński Kościół Prawosławny (UPC), uznający zwierzchność patriarchów Moskwy, jednak cieszący się szeroką autonomią. Ma on największą sieć diecezjalną i parafialną, najliczniejsze duchowieństwo, a jego wierni początkowo przeważali wśród prawosławnych Ukrainy. UPC jest uznawany przez pozostałe Kościoły prawosławne za prawdziwy Kościół, nie ma więc wątpliwości co do ważności sprawowanych przezeń sakramentów.

Drugą strukturą jest Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Kijowskiego (UPC-KP), którego twórcą i zwierzchnikiem jest wspomniany metropolita Filaret. Ma rozbudowaną sieć duszpasterską i zyskuje coraz liczniejszych wiernych. Inaczej niż UPC, w którym rywalizują orientacje promoskiewska i „narodowa”, Patriarchat Kijowski stoi na stanowisku narodowym, a nawet – nacjonalistycznym.

Trzecia struktura, Ukraiński Autokefaliczny Kościół Prawosławny (UAPC) ma

Rosyjskiemu prawosławiu
trudno będzie pogodzić się
z utratą zwierzchnictwa
nad Kijowem, skoro dotąd
budowało swój prestiż
na tysiącletnim dziedzictwie
chrześcijaństwa kijowskiego.

niewielkie wpływy; także on stoi na stanowisku narodowym.

Ani UPC-KP, ani UAPC nie zostały uznane przez wspólnotę prawosławną – są traktowane jako struktury schizmatyczne, a ważność sprawowanych w nich sakramentów jest podważana.

Według najnowszych danych UPC liczy 52 diecezje i 12 tys. parafii, UPC-KP – 35 diecezji i 5 tys. parafii, zaś UAPC 14 diecezji i ok. tysiąca parafii. Ocena liczby wiernych jest bardzo trudna, gdyż nad Dnieprem świadomość znaczenia podziałów konfesyjnych jest niewielka, zaś praktykowanie w cerkwi, do której jest najbliżej – powszechne. W sondażach prawie jedna trzecia respondentów, uznających się za prawosławnych, zamiast przynależności do jednego z Kościołów deklaruje, że są „po prostu prawosławnymi”. W jakiej mierze są to deklaracje obojętne na spór konfesyjny, a w jakiej odmowa ujawnienia swej afiliacji – nie sposób powiedzieć.

Jednak z różnych danych wynika, że z biegiem lat liczba wiernych UPC-KP rosła, UPC zaś spadała. Wybuch wojny rosyjsko-ukraińskiej przyspieszył ten proces: wiosną tego roku przynależność do UAPC deklarowało już 43 proc. prawosławnych respondentów, a do UPC – tylko 19 proc. Choć są to dane niepełne, bo nie da się przeprowadzić badań na zaanektowanym Krymie i w okupowanej części Donbasu, gdzie niewątpliwie dominują wierni UPC.

W cieniu wojny w Donbasie

Już w pierwszych latach niepodległości w Kijowie (i Lwowie) rzucono hasło „Niepodległe państwo potrzebuje niepodległego Kościoła” i konieczności budowy ukraińskiego Kościoła partykularnego (po ukraińsku: pomisna cerkwa) obżędku wschodniego. Według niektórych

zwolenników tej koncepcji miałyby objąć także grekokatolików.

Wydaje się, że hasło to nie pojawiło się w kręgach kościelnych, lecz wśród patriotycznej inteligencji skupionej wokół prezydenta Krawczuka, szybko jednak zostało podchwyczone przez Patriarchat Kijowski. Krawczuk, a potem Wiktor Juszczenko (prezydent w latach 2005–10), popierali UPC-KP; ten drugi bezskutecznie usiłował skłonić patriarchę ekumenicznego Bartłomieja do przyznania mu autokefalii. Natomiast prezydent Leonid Kuczma (urzędujący w latach 1994–2005), zachowywał dystans wobec sporów religijnych, choć sprzyjał „moskiewskiej” UPC. Wiktor Janukowycz popierał ją już otwarcie. Jednak kwestie konfesyjne pozostawały na marginesie ukraińskiej polityki.

Rosyjska aneksja Krymu i wojna w Donbasie zmieniły sytuację. Wszystko, co rosyjskie, zaczęło być postrzegane przez większą niż kiedykolwiek część Ukraińców jako już nie obce, lecz wrogie. Poparcie Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego oraz części UPC dla antyukraińskiej polityki Kremla stało się jawne dla wszystkich. Zarazem jednak część hierarchów UPC zaczęła popierać zerwanie z patriarchatem Moskwy.

Poroszenko za autokefalią

Władze publiczne nie mogły dłużej lekceważyć polityki wyznaniowej. Dlatego prezydent Petro Poroszenko zdecydował się poprzeć, a może nawet zainspirować petycję o przyznanie autokefalii. Osobiście też rozmawiał w tej sprawie z patriarchą Bartłomiejem na początku kwietnia, krótko przed ogłoszeniem (i poparciem przez władze państwa) tej petycji.

Poroszenko jest pierwszym prezydentem Ukrainy zarazem rzeczywiście religijnym, jak też wierzącym w sposób dość nowoczesny (religijność Janukowycza była szczerą, ale mocno zabobonna, z kolei demonstracyjny udział Juszczenki w praktykach religijnych był głównie instrumentem politycznym). Poroszenko jest wiernym UPC – i ta przynależność konfesyjna stała się dla niego problemem tak duchowym, jak i politycznym, skoro jest prezydentem kraju, z którym Rosja toczy wojnę. Wojnę „hybrydową”, a więc także religijną.

Jednak motywacje polityczno-patriotyczne i *stricte* religijne nie wyczerpują motywacji prezydenta Ukrainy i jego oto-

czenia. Wiosną 2019 r. kraj czekają wybory prezydenckie, a szanse Poroszenki na reelekcję są obecnie nieznaczne. Aby myśleć o zwycięstwie, potrzebuje on wydarzenia, które zatrze wrażenie niezbyt udolnych rządów i przywróci mu zaufanie wyborców. Powołanie autokefalicznego Kościoła prawosławnego znakomicie odpowiadałoby tym potrzebom.

Bartłomiej zmienia zdanie

Patriarchat ekumeniczny w Konstantynopolu długo nie przyjmował do wiadomości istnienia UPC-KP i UAPC jako struktur rozłamowych – choć równocześnie nie uznawał rosyjskiej kategorii „terytorium kanonicznego”, zgodnie z którym obszar byłego Imperium Rosyjskiego (a przynajmniej Związku Sowieckiego) ma pod względem cerkiewnym pozostawać w jurysdykcji patriarchów Moskwy. To stanowisko pozostaje w sprzeczności z tradycyjną dla prawosławia zasadą uzgadniania granic Kościołów partykularnych z granicami państw.

Jednak w kwietniu tego roku Fanar przyjął petycję obu tych Kościołów w sprawie autokefalii – zapowiadając, że rozpatrzy ją „jako jego [tj. ukraińskiego Kościoła – red.] prawdziwy Kościół-matka”. Nawet jeśli nie była to już zapowiedź decyzji pozytywnej, sam fakt był istotną zmianą stanowiska patriarchy Bartłomieja. A także dowodem słabnięcia wpływów patriarchatu Moskwy w Kościele prawosławnym.

Skąd ta zmian? Punktem zwrotnym było prawdopodobnie udaremnienie przez Moskwę w 2016 r. dzieła życia patriarchy Bartłomieja: Soboru Wszechprawosławnego, zwołanego po raz pierwszy od tysiąca lat. Zbojkotowanie go przez delegacje Kościołów Rosji, Gruzji i Bułgarii, a także Patriarchatu Antiocheńskiego (jednego z czterech starożytnych patriarchatów, dziś z siedzibą w Damaszku, a więc ściśle uzależnionego od władz Syrii, które z kolei są silnie zależne od Kremla) odebrało temu soborowi walor powszechności, uczyniło zeń jedną więcej konferencję ekklezjalną.

Moskwa – tak cerkiewna, jak i państwowa – stara się dziś montować koalicję sprzeciwu wobec ukraińskiej autokefalii. Wykorzystuje tu również kanały wpływu na sam Fanar, a przede wszystkim – mniśz republikę Athos (w granicach Grecji), którą od lat obficie finansowała i zasilala kadrami. Jednak opinia innych Kościo-

Jaki będzie zjednoczony ukraiński Kościół prawosławny?

Jak wielką część wiernych i kapłanów zgromadzi?
Jak silny będzie sprzeciw wobec zjednoczenia?

łów prawosławnych nie jest dla patriarchy ekumenicznego wiążąca: to on, jako głowa Kościoła-matki, suwerennie podejmuje decyzje.

Niedługo ją poznamy.

Jedność i rozłamy

Dekret o autokefalii będzie jednak dopiero początkiem procesu zjednoczeniowego.

Samo połączenie UPC-KP i UAPC wymagać będzie zwołania synodu obu Kościołów – choćby w celu ujednolicenia dublujących się sieci diecezjalnych i parafialnych. Trudno będzie uniknąć konfliktów, choćby ambicjonalnych.

Nie wiadomo też, czy na czele nowego Kościoła stanie metropolita, czy jednak patriarcha. A jeśli to drugie, to czy Fanar uzna godność patriarchszą Filareta, czy też ten sędziwy (rocznik 1929) hierarcha usunie się do klasztoru, pozwalając obrać kogoś nowego. Pierwsze rozwiązanie utrudni, drugie zaś – ułatwi przechodzenie do nowego Kościoła parafii i diecezji należących dziś do prawosławia „moskiewskiego” (UPC).

Jeśli wierzyć sondażom, poparcie dla niezależności Kościoła prawosławnego jest na Ukrainie bardzo wysokie. Nikt nie ma jednak wątpliwości, że jego zjednoczenie może nastąpić jedynie przez rozłam w UPC – bo część jego wiernych, kapłanów i biskupów wybierze wierność Moskwie. Można oczekiwać, że UPC zostanie rozwiązana, a jego „promoskiewska” część wejdzie w skład Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego (być może jako egzarchat patriarchszy z ograniczoną autonomią). Tak przynajmniej spekuluje się w Kijowie.

Także i tu nie obyć się bez konfliktów – zwłaszcza tam, gdzie lokalne wspólnoty podzielią się i będą walczyć o świątynie i inne obiekty. Takie konflikty, często

z użyciem przemocy i interwencjami nacjonalistycznych bojówek, miały miejsce podczas rozłamu sprzed ćwierćwiecza. Nie ma powodów, aby sądzić, że teraz uda się ich uniknąć. W te spory i konflikty będą interweniować państwo i partie polityczne, przygotowujące się już do wyborów 2019 r. (wiosennych prezydenckich i jesiennych parlamentarnych). A także – agentura Federacji Rosyjskiej.

Jaki będzie (jeśli będzie, bo wciąż nie mamy pewności) zjednoczony ukraiński Kościół prawosławny? Jak wielką część wiernych i kapłanów zgromadzi? Czy uda mu się przejęcie Ławry Kijowskiej i Ławry Poczażowskiej, dotąd będących ostożkami orientacji promoskiewskiej (ławra to klasztor o szczególnym znaczeniu i roli)? I jak silny będzie sprzeciw wobec zjednoczenia? Bogu jedynie to wiadomo.

Co robi Moskwa?

Rosyjskiemu Kościołowi Prawosławnemu trudno będzie pogodzić się z utratą zwierzchnictwa nad Kijowem.

Nie tylko dlatego, że nie można wykluczyć, iż autokefalia Ukrainy zepchnie Rosyjską Cerkiew na drugie miejsce w świecie prawosławnym (wedle dostępnych danych w Federacji Rosyjskiej jest ok. 14 tys. parafii prawosławnych, podczas gdy trzy struktury istniejące na Ukrainie mają łącznie ok. 18 tys. parafii). Ani nie tylko dlatego, że z pewnością pozbawi to Moskwę dużej części dochodów. Przyczyną sprzeciwu Moskwy będzie przede wszystkim to, że rosyjska Cerkiew buduje swój prestiż na (zawłaszczonym przez siebie) tyśiącletnim dziedzictwie chrześcijaństwa kijowskiego.

To, że patriarchat w Moskwie nie uzna ukraińskiej autokefalii i nie nawiąże kontaktów z nowym Kościołem, można uznać za pewne. Z kolei kontakty między Moskwą a patriarchą Bartłomiejem staną się chłodniejsze – to także wydaje się nieuniknione. Pytanie, do jakiego stopnia – i czy nie dojdzie do zerwania między Moskwą a Fanarem. Czyli do schizmy.

Nie można tego wykluczyć.

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI jest emerytowanym analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie. Autor książek, m.in.: „Historia Ukrainy w XX wieku”, „Trud niepodległości. Ukraina na przełomie tysiącleci”, „Ćwierćwiecze niepodległej Ukrainy. Wymiary transformacji”.



Kandydat na prezydenta Republikańskiej Partii Ludowej Muharrem İnce podczas wiecu w stambulskiej dzielnicy Kadıköy, 8 czerwca 2018 r.

Ustrój Erdoğan

KRZYSZTOF STRACHOTA

Dla prezydenta Turcji nadchodzące wybory mogą przypieczętować ostateczną konsolidację władzy. Dla opozycji to ostatnia szansa na jej odebranie.

TURECKA DEMOKRACJA NIE MA DOBREJ prasy na Zachodzie – samo to sformułowanie brzmi niemal jak oksymoron.

Od lat Recep Tayyip Erdoğan, lider rządzącej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), wieloletni premier, a obecnie prezydent, nazywany „sultanem” czy „tureckim Putinem”, konsoliduje władzę w swych rękach. Zamyka się gazety i stacje telewizyjne, dziennikarze są aresztowani. Podważana jest niezależność sądów. Trwają czystki w aparacie państwa i szkolnictwie. Z kolei wschodnią częścią kraju wstrząsają walki między armią i partyzantką kurdyską, a w głównych miastach regularnie dochodzi do zamachów

organizowanych przez Kurdów lub muzułmańskich radykałów.

I choć można było już o tym zapomnieć (w końcu AKP utrzymuje się przy władzy od 2002 r.), charakter zarzutów formułowanych wobec Erdoğana niewiele różni się od tych wysuwanych wobec rządzących Turcją we wcześniejszych dekadach – także w przeszłości kraj miał poważne problemy z demokracją.

Próba nowego systemu

Turcja szykuje się do wyborów, które mają się odbyć 24 czerwca. Podobnie jak miało to miejsce podczas wszystkich wyborów

w ciągu co najmniej ostatnich dwóch dekad, wszystkie siły polityczne traktują je absolutnie poważnie. Podobnie jak we wszystkich ostatnich wyborach, emocje będą do samego końca. I do samego końca wynik głosowania jest niepewny, ale też – jak dotąd – akceptowany w przypadku porażki.

Tegoroczne głosowanie ma szczególne znaczenie. Są to pierwsze wybory po puczu z 2016 r. i zaostrzeniu sytuacji w Turcji. A także pierwsze organizowane po nowelizacji konstytucji przeprowadzonej na podstawie referendum z miniego roku. W kraju dochodzi właśnie do zmiany systemu politycznego: silnego wzmocnienia władzy prezydenta (m.in. stanie on na czele rządu w miejsce zlikwidowanego urzędu premiera, zyska decydujący wpływ na system sądowniczy, uzyska prawo wydawania dekretów z mocą ustawy) i osłabienia pozostałych instytucji władzy. Jednocześnie odbędą się wybory prezydenckie i parlamentarne – wkrótce po nich rozpoczną się przedłużone do pięciu lat kadencje obu instytucji. Sprzężone ze sobą kampanie powinny dać zwycięzcom pełnię władzy w państwie – i zapewnić bezpieczeństwo ze strony opozycji.

Czerwcowe (oraz lipcowe, o ile dojdzie do II tury wyborów prezydenckich) głosowania mają być kolejnym etapem konsolidacji władzy Erdoğan'a i jego obozu. Polityk mierzy w prezydenturę (po to były przecież zmiany w konstytucji), do parlamentu wprowadzić ma silną ekipę odmłodzonej AKP (na listach nie ma żadnych liczących się postaci z ostatnich lat). To pozwoli mu skupić pełnię władzy. Po raz pierwszy AKP idzie do wyborów w koalicji z opozycyjną do niedawna nacjonalistyczną Partią Ruchu Narodowego (MHP), która nie wystawiła swojego kandydata na prezydenta. Sondaże dają zarówno Erdoğanowi, jak i koalicji nadzieję na wysoki wynik (ok. 44–54 proc. głosów) – wystarczyłoby to do zwycięstwa w parlamencie, ale II tura wyborów prezydenckich byłaby wciąż konieczna.

Nadzieja opozycji

Wybory spotkały się z żywiołową i pozytywną reakcją opozycji – dla niej jest to być może ostatnia okazja do odebrania władzy Erdoğanowi. Doszło do jej precedensowej konsolidacji: w skład koalicji Sojuszu Narodowego weszły m.in. lewicowa i kemalistowska Republikańska Partia Ludowa (CHP), nacjonalistyczna Dobra Partia (İYİ) oraz skrajnie religijna Partia Szczęścia (towarzysze chmurnej młodości Erdoğan'a), które łącznie mogą liczyć na 30–42 proc. głosów. W wyborach prezydenckich nie udało się jednak przełamać ambicji personalnych i wystawić wspólnego kandydata. Najpoważniejszym jest kandydat CHP Muharrem İnce, który rywalizuje m.in. z Meral Akşener, charyzmatyczną liderką İYİ.

Cała nadzieja opozycji wiąże się zatem z doprowadzeniem do drugiej tury. Sojuszowi Narodowemu sprzyja też (wiązana z oskarżaną o związki z terrorystami Partią Pracujących Kurdystanu) prokurdyjska Demokratyczna Partia Ludów (HDP). Może liczyć na 9–13 proc. głosów. Jej kandydatem na prezydenta jest Selahattin Demirtaş – przebywający obecnie w więzieniu o zastrzyżonym reżimie.

Faworytem oczywiście jest Erdoğan i koalicja AKP–MHP. W Turcji jednak (inaczej niż w porównywaną z nią często Rosję) faworyt nie jest pewniakiem: w 2015 r. AKP wygrała wybory, ale – w związku z przepisami ordynacji – nie mogła rządzić samodzielnie i „musiała” wybory powtórzyć.

Także teraz istnieje element niepewności: czy jeśli dojdzie do II tury wyborów

prezydenckich, obóz Erdoğan'a poważy się sfalszować wynik głosowania? Inaczej też niż w przypadku Rosji, w Turcji oskarżenia o takie manipulowanie są świeże; pojawiły się po raz pierwszy przy okazji referendum konstytucyjnego w 2017 r., jednak bez poważnych konsekwencji, np. masowych protestów. Teraz stawka wyborów jest jednak znacznie wyższa.

Autorytet i autorytaryzm

Trwające od 16 lat rządy AKP to czas konsekwentnego demontażu starego systemu republikańskiego w wymiarze instytucjonalnym oraz personalnym (wymiana elit), a jednocześnie budowa „Nowej Turcji”. Powrotu do starego porządku nie ma, co w spektakularny sposób pokazał nieudany pucz w 2016 r. Paradoks tureckiej transformacji, której istotnym elementem jest rosnący autorytaryzm Erdoğan'a, polega na tym, że społeczeństwo faktycznie i po raz pierwszy czuje się suwerenem – zgodnie z postulatami prezydenta. Wydaje się, że tradycyjne struktury, stare partie i podziały ideowe tracą na znaczeniu. W nadchodzących wyborach oskarżany o panislamskie ambicje Erdoğan staje ramię w ramię ze skrajnymi (oskarżanymi czasami wręcz o rasizm) nacjonalistami z MHP.

Idzie przy tym sam – dawno zostawiłszy swoich towarzyszy na przedwczesnych emeryturach. Po drugiej stronie idą laicy kemaliści, których kandydat na prezydenta nie krępuje się deklaracjami religijnymi; idą w sojuszu z nacjonalistami, na czele których stoi ich dawny zapiekły wróg, pani Meral Akşener; idą w sojuszu z Dobrą Partią obrażoną za zdradę islamskich ideałów przez Erdoğan'a; idą osobno, ale w krok z Kurdami z HDP, będącymi – obok radykałów islamskich – czarnym snem kemalistowskiej Republiki.

Taka sytuacja premiuje charyzmatycznego Erdoğan'a, ze wszystkimi konsekwencjami takiego stanu rzeczy – sytuacja, którą sobie wypracował, odpowiadając na potrzeby *de facto* większości społeczeństwa. Cały czas jest to jednak kwestia autorytetu, wciąż jeszcze w mniejszym stopniu brutalnych autorytarnych metod. I o ten autorytet trzeba zabiegać i potwierdzać w kolejnych próbach wyborczych, a w każdej kolejnej – jak dotąd – może on być zakwestionowany.

Inna droga

Jak w tej sytuacji postąpi opozycja? Negatywna personalizacja konfliktu politycz-

nego pozwoliłaby jej stworzyć szeroką koalicję i zmobilizować tych Turków, których łączy wrogość wobec Erdoğan'a (choć już nie zawsze do jego programu). AKP się „nacjonalizuje”, świecka opozycja „islamizuje” – to w silnym państwie wszyscy widzą remedium na narastające zagrożenia. Paradoksalnie, na pierwszy plan nie wybija się gospodarka, choć Turcja balansuje na krawędzi kryzysu gospodarczego (w tym roku lira straciła około 20 proc. wartości w stosunku do głównych walut), a zapowiedzi prezydenta o ręcznym sterowaniu bankiem centralnym tylko pogarszają sytuację.

Najważniejszym tematem kampanii stają się stabilność i bezpieczeństwo, podnoszone zarówno przez władze (które „zapewniają je i chronią”), jak i opozycję (która zamierza je dopiero zapewnić). Jak dotąd, Erdoğan był bardziej wiarygodny, zarówno dla Turków, jak i dla – mimo wszystko – sojuszników. Ostatnio otrzymał również od Stanów Zjednoczonych „prezent” – zapowiedź wycofania amerykańskiego poparcia dla syryjskich Kurdów.

Przez lata rządów AKP wypromowała – przebrzmiały nieco obecnie – własny model transformacji, będący syntezą zachodniej modernizacji i lokalnych (w tym muzułmańskich) tradycji. Dziś jesteśmy skupieni na autorytarnych ciągach Erdoğan'a i łatwo nam pominąć fakt, że transformacja w Turcji faktycznie się dokonała, że jej istotnym (wciąż trudnym do nazwania i oceny) elementem są przemiany społeczne i tożsamościowe. I choć wpisane są one w groźne konsekwencje tureckiej „demokracji suwerennej”, to mają wobec nich charakter autonomiczny. Mimo że Erdoğan spolaryzował społeczeństwo, wydaje się mieć już za sobą najbardziej radykalne pokusy ideologiczne (np. twarda islamizacja *versus* twarda laickość). Jak nigdy wcześniej Turcy są skonsolidowani wokół idei państwowej – co mocno wyróżnia ich kraj na tle większości sąsiadów.

Niezależnie od wyniku najbliższych wyborów, pewne jest jedno: Turcja wciąż będzie podążać swoją drogą, inną niż Rosja, inną niż Europa. ©

KRZYSZTOF STRACHOTA jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, gdzie kieruje działem Kaukazu, Azji Centralnej i Turcji.

Ktokolwiek przyjdzie, będą go oklaskiwać

PAWEŁ PIENIAŻEK Z SYRII

Miasto Manbidż stało się elementem sporu amerykańsko-tureckiego. Jego przegranymi mogą być Kurdowie, którzy od prawie dwóch lat kontrolują ten region.

MANBIDŻ W PÓŁNOCNEJ SYRII JEST zawsze pełen ruchu. Przez wąskie uliczki brną samochody i motorynki, trzeba się przebijając jak przez labirynt.

Kierowca, który ze mną pracuje, zawsze się naprzeklina, bo na drodze panuje chaos. Uliczki są gęsto zastawione sklepami i stoiskami, kręcą się wśród nich liczni przechodnie. Oficjalnie żyje tu dziś 100 tys. ludzi, ale mieszkańcy twierdzą, że faktycznie jest ich znacznie więcej. Może nawet czterokrotnie – to skutek wojny i migracji.

Abdul Mehdi Kemeli sprzedaje świeże soki w centrum miasta. Ma 49 lat. Jego lokal to małe pomieszczenie, gdzie mieszczą się raptem cztery stoliki. W trakcie ramadanu, trwającego jeszcze muzułmańskiego miesiąca postu i modlitwy, zazwyczaj nie otwiera sklepu, bo w Manbidżu większość mieszkańców jest wierząca i poszczą od wschodu do zachodu słońca.

Dylemat wyboru

W tym roku Abdul zrobił jednak wyjątek, bo są też inni klienci. Tuż przed moim przyjściem soki popijało u niego kilku amerykańskich żołnierzy. Siedzieli wygodnie rozłożeni na krzesłach. Czuli się swobodnie i bezpiecznie: byli w mundurach, ale bez kamizelek kuloodpornych, hełmów czy karabinów. Część grupy poszła do sklepu obok. Ich kurdyjski ochroniarz (jedyń z karabinem) chwilę kręcił głową, zapewne oceniając, co ma zrobić – czy iść za tamtymi do sklepu, czy zostać z tymi przy stoliku. W końcu został i usiadł na krześle obok.

– Przyszli tu kiedyś, zasmakowały im moje soki i przychodzą częściej – mówi Abdul Kemeli. Przechwala się, że to dlatego, iż pochodzi z Aleppo, miasta słynącego ze świetnego jedzenia. Mieszkał tam

do 2012 r., więc zapewnia, że wie, jak robić produkty najlepszej jakości, a w Manbidżu – narzeka – z tą jakością bywa różnie. Dlatego z łatwością umiał zaskarbić sobie serca żołnierzy międzynarodowej koalicji ze Stanami Zjednoczonymi na czele, którzy stacjonują w okolicach miasta i wspierają siły kurdyjskie.

Gdy Amerykanie dopijali soki, przed lokalem Kemeliego stał mężczyzna wyglądający na biednego. Spoglądał na nich i narzekał. Rzucił, że woli Turków, bo oni przynajmniej dają pomoc humanitarną, a od Amerykanów żadnej się nie doczekasz. Po czym odszedł.

– Niektórzy chcą, żeby do Manbidżu przyszła Turcja. Inni, żeby wrócił reżim lub Daesh – Abdul Kemeli używa arabskiej nazwy na określenie tzw. Państwa Islamskiego (IS), którego bojownicy kontrolowali to miasto, zanim przejęli je Kurdowie. – A są też tacy, którzy chcą, żeby zostali tu „demokraci”. Masz pomysł, jak to rozwiązać? – dodaje żartobliwie.

Mianem „demokratów” Kemeli określa koalicję milicji kurdyjskich i arabskich, występujących pod nazwą Syryjskie Siły Demokratyczne (SDF). To one, po odbiciu tego regionu w 2016 r. z rąk islamskich ekstremistów, utworzyły Wojskową Radę Manbidżu, która dziś zarządza sprawami miasta.

Pomysłu na to, jak rozwiązać ten dylemat w Manbidżu – ale także w innych miastach tej części Syrii – nie ma jednak nikt.

Pomiędzy frontami

Teraz Manbidż po raz kolejny stał się tematem sporów międzynarodowych. I znowu z tego samego powodu.

Pod koniec sierpnia 2016 r. miasto zostało zajęte przez siły SDF, wspierane z po-



wietrza przez zachodnią koalicję. Podczas walk miało zginąć ponad półtora tysiąca ludzi.

Sukcesy Kurdów, którzy dominują w SDF i je kontrolują, od samego początku były solą w oku sąsiedniej Turcji. Turcy byli przeciwni temu, aby bojownicy SDF wkraczali na wschodni brzeg Eufratu, czyli linię wyznaczoną arbitralnie przez Ankarę. Tymczasem Manbidż jest położony 30 km na zachód od tej rzeki. Gdy wojska SDF zmierzały więc w stronę Manbidżu, aby odbić te terytoria z rąk ekstremistów z IS, Turcja rozpoczęła swoją operację pod nazwą „Tarcza Eufratu”, której celem była walka nie tylko o dzihady-stami, ale też z Kurdami.

Kurdowie byli szybsi – i dziś od północy oraz zachodu Manbidż otaczają wojska tureckie i lojalne wobec nich syryjskie milicje (wywodzące się z Wolnej Armii Syryjskiej), a od południa syryjskie siły rządowe. Od wschodu zaś rozciąga się teren kontrolowany przez SDF. Obecność Amerykanów jest dla SDF ważna – są nie tylko



PAWEŁ PIENIAŻEK

Amerykański konwój w pobliżu Manbidżu, czerwiec 2018 r.

sojusznikami, lecz także żywą gwarancją, że prezydenci Turcji i Syrii, Recep Tayyip Erdoğan i Baszar al-Asad, nie wydadzą rozkazu do ataku.

Mapa drogowa

Na początku czerwca amerykański sekretarz stanu Mike Pompeo spotkał się w Waszyngtonie z ministrem spraw zagranicznych Turcji Mevlütem Çavuşoğlu. Jednym z kluczowych tematów była właśnie przyszłość Manbidżu.

Turcy we współpracy z Amerykanami porozumieli się w sprawie „mapy drogowej”. Nie jest jednak jasne, co ona ma zakładać. Z jednej strony Turcy zapowiedzieli, że prawdopodobnie do końca lata miasto opuszczą obecnie znajdujące się tam siły kurdyjskie, a także zostanie zorganizowana nowa administracja. Z drugiej strony Amerykanie wstrzymują się od komentarzy – i zaznaczają jedynie, że szczegóły „mapy drogowej” są wciąż negocjowane.

Na razie jej jedynym skutkiem jest wycofanie kurdyjskich doradców wojsko-

wych z Powszechnych Jednostek Ochrony (YPG), którzy pomagali trenować milicjantów podległych formalnie Wojskowej Radzie Manbidżu. Przewodniczący Rady Muhammed Abu Adil jest pewien, że to nie jedyny element waszyngtońskiego porozumienia. Nie wyklucza, że kolejnym punktem będą amerykańsko-tureckie patrole na linii frontu w Manbidżu.

„Mapa drogowa” ma zapobiec potencjalnej eskalacji. Po jednej stronie frontu znaleźli się bowiem sojusznicy międzynarodowej koalicji (czyli bojownicy podlegli Wojskowej Radzie), a po drugiej syryjskie milicje antyrządowe, wspierane przez Turków. Ze względu na narastające napięcia między Kurdami i Turcją realna stawała się groźba konfrontacji, w której – koniec końców – naprzeciw siebie mogli stanąć (i do siebie strzelać) żołnierze z dwóch państw należących do NATO: Turcji i USA.

Wątle zaufanie

Komendant Abu Adil twierdzi, że władze Manbidżu są na bieżąco informowane

przez Amerykanów o negocjacjach prowadzonych z Turcją. – Ciągłe spotykamy się z przedstawicielami koalicji. Powtarzają nam, że wciąż nie ma ostatecznego porozumienia, i że jeśli zostanie ono osiągnięte, zostaniemy zawczasu poinformowani – mówi.

Tuż przed moim spotkaniem z Abu Adilem duży amerykański konwój opuścił siedzibę Wojskowej Rady Manbidżu. Właśnie zakończyło się jedno z wielu spotkań, w trakcie których przedstawiciele bojowników są zapewniani, że wszystko jest w porządku.

To również z tego powodu w mieście i jego okolicach często można natknąć się na patrole i konwoje koalicji – czy też właśnie żołnierzy udających się do sklepów lub przechadzających się po mieście. Widać, że to wszystko jest na pokaz. Abu Adil przyznaje, choć nie wprost, że zachodnia koalicja ostentacyjnie rzuca się w oczy, aby uspokoić mieszkańców i dać im poczucie, że nic się nie zmienia.

Porzuceni sojusznicy

Przynajmniej dwa wydarzenia spowodowały, że taka gra pozorów jest najwyraźniej potrzebna. Po pierwsze, prezydent Donald Trump wielokrotnie zapowiadał, że po pokonaniu IS (do czego być może dojdzie jeszcze tego lata) Amerykanie szybko opuszczą Syrię. Czyli pozostawią SDF bez ochrony.

Co to oznacza, pokazała już turecka operacja „Gałązka Oliwna” (i to właśnie drugie kluczowe ostatnio wydarzenie). Jeszcze w styczniu Turcja zaatakowała Kurdów mieszkających w Afrinie, mieście i regionie o tej samej nazwie, położonym w północno-zachodniej Syrii.

Początkowo ofensywa utknęła. Ale koniec końców turecka armia i wspierane przez nią milicje syryjskie (w tym oddziały Wolnej Armii Syryjskiej) przełamały front i ruszyły do przodu, zajmując kolejne terytoria. Zachodnia koalicja nie udzieliła wsparcia swoim kurdyjskim sojusznikom, tłumacząc, że to nie jest jej strefa odpowiedzialności (lecz rosyjska), oraz że jej celem nie jest przeciwstawianie się Turcji, lecz walka z IS. Pozbawieni wsparcia z powietrza Kurdowie stali się łatwym celem dla tureckich samolotów – i w marcu wycofali się z Afrinu.

Oba te wydarzenia nadwątlily zaufanie Kurdów do zachodnich sojuszników. A także poważnie zaniepokoiły mieszkańców północno-wschodniej Syrii.



Wojna (głównie) polityczna

→ Linia frontu wokół Manbidżu jest najmniej „frontowa” ze wszystkich, które widziałem.

W trakcie przynajmniej czterech wizyt od początku roku najpoważniejsze incydenty, jakie zaobserwowałem, to polowanie na królika, strzelanie do balona (podejrzewano, że czai się za nim turecki dron), a także wypadek motocyklowy, bo jeden z bojowników szalał po pustych drogach i nie wyrobił się na zakręcie (poważnie stłukł sobie rękę). Jeden raz w oddali słyszałem kilka strzałów z karabinu.

Do walk dochodzi tu sporadycznie. Głównie z użyciem karabinów, z rzadka moździerzy. Żadna ze stron nie próbuje przekraczać swoich pozycji, które rozgranicza rzeka Sadżur.

Bez wątplenia na to, że jest spokojnie, wpływają regularnie przejeżdżające patrole amerykańskie i francuskie (Francja wysłała tu siły specjalne, których żołnierze współpracują z Amerykanami). Ich pojazdy opancerzone jeżdżą w kolumnach, z wysoko wzniesionymi flagami, aby było widać je z daleka, i żeby nikomu nie przyszło do głowy strzelać. Od kilku miesięcy okolicę patrolują również helikoptery, w parach: jeden amerykański i jeden francuski. W kwietniu osiem kilometrów od linii frontu powstała też amerykańska baza.

Halil Mustafa jest dowódcą podległym Wojskowej Radzie Manbidżu. Odpowiada za odcinek linii frontu na północny wschód od miasta.

Halila, mężczyznę po czterdziestce, spotykam na jednej z pozycji. Przyznaje, że nie dzieje się tu nic nadzwyczajnego. Jedynie po tureckich groźbach, że miasto podzieli losy Afrinu, wzrosła liczba patroli amerykańskich i francuskich. Halil twierdzi, że mają być jasnym sygnałem dla Turków, że Wojskowa Rada Manbidżu jest

Wśród mieszkańców Manbidżu można wyczuć niepewność.

Wielu unika rozmowy lub na pytania dotyczące przyszłości odpowiada wymijająco.

pod ochroną koalicji. A dopóki koalicja rozciąga nad nimi swój parasol ochronny, dopóty trwa spokój.

Dlatego „wojna o Manbidż” toczy się teraz w istocie za granicą, na gruncie politycznym – tam, gdzie spotykają się amerykańscy i tureccy politycy oraz dyplomaci. Na koniec to oni zadecydują o losie tego syryjskiego miasta.

Niepewny biznes

Tymczasem życie w Manbidżu toczy się swoim rytmem. – My o wszystkim dowiadujemy się z mediów, w mieście nie widać żadnych zmian – twierdzi Abdul Kemeli.

Jednak, gdy wsłuchać się w rozmowy, okaże się, że np. sprzedawcy narzekają: biznes idzie gorzej niż choćby rok temu. Powodów wymienia się kilka. W ostatnich miesiącach ze względu na narastające napięcia przejazd między posterunkami kurdyjskimi i tureckimi został utrudniony, jest więcej kontroli. Wielu przeznornie rezygnuje z przekraczania granicy między wrogimi siłami. Wcześniej pobliskie miasta, takie jak Dżarabłus czy Bab, dostarczały handlarzy i klientów.

– Nie jest łatwo o pracę. Ponadto to rolniczy region, a sezon był bardzo zły – dodaje kolejny powód 32-letni Muahmmmed Hejdar.

Jego sklep z pompami wodnymi znajduje się w jednej z wąskich uliczek w centrum miasta, gdzie handluje się podobnymi towarami. Jest tu także wiele warsztatów. Trochę dalej są stoiska z warzywami i ubraniami. To tam ostatnio przechadzali się Amerykanie.

Hejdar mówi, że ludzie niechętnie kupują rzeczy, które nie są pierwszej potrzeby. Z jednej strony nie mają pieniędzy. Z drugiej, boją się o przyszłość miasta. Mimo to mężczyzna jest zadowolony z obecnej władzy w Manbidżu. Twierdzi, że od początku wojny lepiej nie było, bo każda kolejna grupa wносиła tu coś niedobrego. – Wolna Armia Syryjska porывała, zabijała i była skorumpowana. Daesh wprowadził opresję na nowy poziom. Teraz nie jest idealnie, ale przynajmniej jest bezpiecznie i działają usługi komunalne – wyjaśnia.

Hejdar jest przekonany, że jeśli kontrolę nad Manbidżem przejmie Turcja, to nie sama, lecz razem z bojownikami Wolnej Armii Syryjskiej, a tego on bardzo nie chciałby. – Mieliśmy już z nimi do czynienia i widzimy, co robią na terytoriach, które kontrolują – przekonuje.

Po zajęciu Afrinu świat obiegły zdjęcia bojowników Wolnej Armii Syryjskiej szabrujących sklepy. Na terytoriach kontrolowanych przez Turków ma też regularnie dochodzić do starć między różnymi frakcjami tej organizacji.

Cisza przed burzą

Wśród mieszkańców Manbidżu można wyczuć niepewność. Wielu unika rozmowy lub na pytania dotyczące przyszłości odpowiada wymijająco.

Inaczej Abdul Kemali: on mówi tak dużo i szybko, że trudno wstrzelić się w pytanie. Gdy jednak uda się już zapytać, czy obawia się przyścia Turków do Manbidżu, nie odpowiada wprost, lecz krąży wokół tematu. I powtarza, że bieda, głód i ciągła niepewność to główne czynniki, dla których ludzie są gotowi poprzeć coraz to kolejne grupy zajmujące miasto.

– Kto by tu nie przyszedł, ludzie będą go okłaskiwać. To dlatego, że są silniejsi od tych, co byli wcześniej. Zawsze są dwie opcje: pójść do domu i siedzieć cicho albo wyjść na zewnątrz i klaskać – stwierdza.

Abdul twierdzi, że arabska ludność miasta raczej wybiera klaskanie, po prostu płynnie z nurtem wydarzeń.

Czy on też? Na to pytanie nie odpowiada.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 314/17 postępowanie z wniosku Mirosława Duktzy, o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Bergolecu, zm. 29 listopada 1999 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie, oraz Franciszce Bergolec, zm. 29 marca 2017 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. W skład spadku po zmarłym wchodzi ich udziały w zabudowanej nieruchomości położonej w Jeżewie, gm. Kętrzyn.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



OSCAR CORRAL / EFE / FORUM

Statek „Aquarius”, 10 czerwca 2018 r.

Hiszpanie ratują migrantów

MARCIN ŻYŁA

Przy okazji przynębiającej odysei statku „Aquarius” z migrantami na pokładzie ujawnił się w Europie kolejny spór o to, jak radzić sobie z kryzysem na Morzu Śródziemnym.

EUROPA ZNÓW SIĘ KLÓCI O MIGRANTÓW. Symbolem ostatniego sporu stał się statek „Aquarius”, należący do francuskiej organizacji pozarządowej SOS Méditerranée.

Przypomnijmy: 9 i 10 czerwca „Aquarius” podjął z morza u wybrzeży Libii kilkuset migrantów, którzy z północnego wybrzeża Afryki płynęli w kierunku Europy na gumowych pontonach. Potrzebowali pomocy – pogoda na morzu się pogarszała, pontonom ubywało powietrza. Prawdopodobieństwo, że 629 osób utonie, było duże (zaledwie tydzień wcześniej, u wybrzeży Tunezji, w podobnych okolicznościach zginęła setka migrantów).

Włochy: zmiana frontu

Nowy wicepremier i minister spraw wewnętrznych Włoch Matteo Salvini ogło-

sił jednak, że jego kraj zamyka dostęp do swoich portów statkom organizacji pozarządowych. Obie partie tworzące od niedawna koalicję parlamentarną – Liga i Ruch 5 Gwiazd – zapowiadały od dawna zaostrezenie polityki imigracyjnej. Salvini najpierw odwiedził sycylijski port Pozallo, gdzie cumują takie jednostki. Potem napisał na Twitterze: „Od teraz Włochy zaczynają mówić »nie« handlowi ludźmi, »nie« biznesowi nielegalnej imigracji”.

„Aquariusowi” nakazano postój na południu Sycylii. Włosi zażądali od niedalekiej Malty przyjęcia migrantów, jednak władze tej wyspy odmówiły. Dopiero po kilkudziesięciu godzinach nowy premier Hiszpanii Pedro Sánchez ogłosił, że statek może zostawić ludzi w jego kraju. „Uniknięcie humanitarnej katastrofy i zaoferowanie bezpiecznego portu dla tych ludzi jest naszym obowiązkiem”, powiedział.

Włoska straż przybrzeżna dostarczyła migrantom pomarańcze, batoniki zbożowe i chleb, maltańska wodę i makaron – po czym wyprawiono „Aquarius” w dalszy rejs. W kolejnych dniach zła pogoda, m.in. ponadczterometrowe fale sprawiły, że statek płynął w kierunku Hiszpanii wzdłuż wschodnich wybrzeży Sardynii, szukając tam schronienia przed złą pogodą. Do Walencji miał zawinąć w weekend.

Europa: to nie jest rozwiązanie

Skandalu międzynarodowego jednak nie uniknięto. Prezydent Francji Emmanuel Macron zarzucił nowym władzom Włoch „cynizm i nieodpowiedzialność”, a także lekceważenie przepisów dotyczących bezpieczeństwa życia na morzu. Do MSZ w Rzymie wezwano w odpowiedzi francuskiego ambasadora, a włoski premier zażądał od Francji przeprosin. Ale potem emocje opadły. W miniony piątek Macron

spotkał się w Paryżu z premierem Włoch Giuseppe Conte.

To nie koniec. W czasie gdy „Aquarius” czekał na morzu na dyspozycję z Rzymu, ofertę przyjęcia migrantów wystosowali burmistrzowie kilku włoskich miast (m.in. Neapolu, Palermo, Reggio de Calabria i Bari), Barcelony, a także władze Korsyki. Nawet obecny burmistrz włoskiej Lampedusy Salvatore Martello, uznawany za sceptycznego wobec imigrantów, skrytykował rząd swojego kraju. Jeśli chce on zmieniać zasady postępowania z migrantami, mówił Martello, powinien to najpierw uzgodnić z Europą – inaczej „ryzykujemy anarchią, która jest przeciwieństwem ducha wspólnoty”.

Polityków skrytykował też od razu kard. Francesco Montenegro, szef włoskiego Caritasu i biskup diecezji agrygenckiej, w skład której wchodzi Lampedusa. „Europa musi zaakceptować, że nikt nie jest w stanie powstrzymać ruchów migracyjnych, że mają one znaczenie epokowe” – oświadczył.

Hiszpania: zlikwidować płot

W miniony czwartek minister spraw wewnętrznych Hiszpanii wezwał do likwidacji zasieków i 6-metrowej wysokości płotu z drutem kolczastym, które chronią dostępu do hiszpańskich eksklaw Ceuta i Melilla w północnej Afryce. Fernando Grande-Marlaska zapowiedział, że zrobi „wszystko, co w jego mocy”, aby te bariery usunąć i skupić się na tym, aby migranci nie musieli opuszczać swoich krajów zamieszkania. „To nieracjonalne i nie do zaakceptowania – patrzeć na ludzi przeskakujących przez płot”, ogłosił minister.

I choć mówimy tu o zupełnie innej skali zjawiska (według ONZ na Morzu Śródziemnym od początku roku zginęły 784 osoby, w tym samym czasie podczas przeprawy przez hiszpańskie zasieki rannych zostało 25 migrantów), w sensie symbolicznym obie deklaracje nowych hiszpańskich władz są bardzo mocne. Mury i zamykanie portów – zdają się mówić Hiszpanie – nie działają, nie powstrzymają demograficznego naporu migracji w następnych dekadach, a w biznes przemysłników ludzi – którego wartość ONZ wycenia na 7 mld dolarów – można uderzyć inaczej, tak aby jego ofiary nie cierpiały dodatkowo.

Wciąż niewiele jest jednak w Europie polityków, którzy byłby w stanie powiedzieć to głośno. ©P

Atmosfera okazjonalnie toksyczna

DARIUSZ ROSIAK

Brytyjskiej lewicy trudno odciąć się od postaw antyżydowskich. Wygląda na to, że dopóki Partią Pracy będzie kierował Jeremy Corbyn, brytyjscy Żydzi będą uznawali ją za formację skażoną antysemityzmem.



Demonstracja środowisk żydowskich przeciwko antysemityzmowi w Partii Pracy, Londyn, marzec 2018 r.

PRZEZ SPORĄ CZĘŚĆ XX STULECIA BRYTYJSCY Żydzi głosowali na Partię Pracy. Wydawało się to naturalnym wyborem – zwłaszcza dla tysięcy biednych Żydów, którzy przybywali do Wielkiej Brytanii z Rosji na przełomie XIX i XX w. Wszak labourzyści wspierali imigranckie mniejszości, bronili praw robotników i – jak na czasy, w których otwarty antysemityzm był normą w Europie – wykazywali nadzwyczajną tolerancję wobec Żydów.

Po II wojnie światowej i Holokauście antysemityzm stał się w Wielkiej Brytanii postawą nieakceptowalną publicznie – co nie znaczy, że nieobecna. W napisanym w 1945 r. esej „Antysemityzm w Wielkiej Brytanii” George Orwell opisywał podskórny antysemityzm wśród Brytyjczyków. Twierdził, że wyrasta on na dwóch stereotypach. Pierwszy to przypisywanie Żydom cech wyzyskiwaczy i krwio pijców, drugi – określanie ich mianem wrogów lokalnej kultury, kosmopolitów i lekkoduchów, niepewnych zwłaszcza w sytuacji zagrożenia państwa, w którym żyją.

Pierwszy stereotyp bazował na sukcesie materialnym, jaki odnosili brytyjscy Żydzi. W ciągu kilku dekad zmienili też swoje preferencje polityczne: o ile pół wieku temu ponad 60 proc. z nich głosowało na Partię Pracy, to dziś prawie 70 proc. wybiera Partię Konserwatywną,

a na tę pierwszą głos oddaje regularnie tylko nieco ponad 20 proc.

W ostatnich dwóch latach proces odchodzenia Żydów od Partii Pracy nabiera przyspieszenia. Winą za to obarczają człowieka, który od czasu, gdy został jej liderem, wyciągnął Partię Pracy znad politycznej przepaści.

Ekscentryczny paleosocjalista

Jeremy Corbyn to niezwykła postać – nawet jak na brytyjską politykę, w której od ekscentryków roi się w każdym pokoleniu. Od 1983 r., gdy został posłem Izby Gmin, regularnie buntował się przeciw oficjalnej linii Partii Pracy. W okresie, gdy labourzyści modernizowali swój program, aby przypodobać się centrowemu elektoratowi, i uciekali jak najdalej od posądzeń o sympatię do socjalizmu, Corbyn nawoływał do renacjonalizacji przemysłu i podniesienia podatków dla najbogatszych.

Był też otwarcie antyamerykański, opowiadał się za jednostronną likwidacją brytyjskiego arsenału nuklearnego, wspierał ideę zjednoczenia Irlandii (kontrwywiad MI5 otworzył dochodzenie w sprawie związków Corbyna z członkami IRA). Był też otwarcie antyizraelski: nazywał „przjaciółmi” aktywistów palestyńskiej organizacji Hamas i libańskiego Hezbollahu. Po latach wielokrotnie przeproszał i za-

pewniał, że nie użyłby znów takiego określenia. Co nie przeszkadzało mu – także współcześnie – brać udziału w marszach u boku osób związanych z organizacjami uznawanymi przez Londyn za terrorystyczne.

Corbyn nie zmienił poglądów wraz z upadkiem komunizmu na świecie – tkwił w paleosocjalizmie i nie chciał tego zmieniać. Nie zamierzał też reformować swych poglądów na temat Izraela, którego był otwartym wrogiem.

Mimo to, dzięki wsparciu szeregowych członków partii – zmęczonych plastikową polityką Tony’ego Blaira i Gordona Browna – w 2015 r. wygrał rywalizację o szefostwo partii. Zaś w wyborach parlamentarnych w 2017 r. – wbrew przewidywaniom – partia pod jego wodzą uniemożliwiła torysom zdobycie większości parlamentarnej, co umocniło jego pozycję.

Partyjny przegląd postaw

Tymczasem rok wcześniej, w 2016 r., dwa wydarzenia zmusiły go do konfrontacji ze zjawiskiem antysemityzmu w Partii Pracy.

Najpierw Naz Shah, posłanka z Bradford, zaproponowała na swoim profilu na Facebooku „przeniesienie” Izraela do USA – jako sposób na rozwiązanie konfliktu bliskowschodniego. Przy okazji światło

dzienne ujrzały jej inne posty, w których porównywała Izrael do nazistów. Corbyn jednoznacznie skrytykował posłankę, za-wieszono ją w prawach członka partii.

Na nieszczęście dla labourzystów do debaty włączył się były burmistrz Londynu Ken Livingstone, znany z poglądów skrajnie lewicowych i antyizraelskich. Livingstone bronił Shah, twierdził, że w Partii Pracy nie ma żadnego antysemity, i dorzucił, że Hitler był syjonistą, bo przez pierwsze lata po objęciu władzy miał opowiadać się za relokacją Żydów do Palestyny, „zanim zwariował i wymordował 6 mln Żydów”.

W partii zawrzało. Kilku labourzystów wzywało Corbyna, by wyrzucił Livingstone'a za słowa, które niektórzy rozumieli jako usprawiedliwienie Hitlera. Corbyn nie wyrzucił, ale zawiesił swego wieloletniego politycznego przyjaciela – i w kwietniu 2016 r. zarządził wewnątrzpartyjny przegląd postaw członków partii wobec Żydów i antysemityzmu.

Przegląd poprowadziła Shami Chakrabarti, była dyrektor organizacji Liberty, broniącej praw człowieka. W końcowym raporcie stwierdzono, że w Partii Pracy nie ma systemowego antysemityzmu, ale występuje „okazjonalnie toksyczna atmosfera”. Przy okazji pojawiały się kolejne przykłady tych „toksyn”: członkowie klubu Partii Pracy na uniwersytecie w Oxfordzie dyskutowali, czy przypadkiem Żydzi nie sfalszowali brytyjskich wyborów, i uznali, że ataki na Żydów w Europie to usprawiedliwiona reakcja na izraelską blokadę Strefy Gazy.

Mimo rekomendacji Chakrabarti, by członkowie partii unikali stosowania antysemickich klisz i porównań sytuacji Izraela i Palestyńczyków do okresu II wojny światowej, w kolejnych miesiącach pojawiały się nowe kompromitujące wypowiedzi. Jeden z członków został zawieszony po stwierdzeniu, że „Żydzi finansowali handel niewolnikami i cukrem”. Inny rozpowszechniał antysemickie treści na Facebooku. Na jednej z lokalnych konferencji partyjnych mówca wzywał do dyskusji, czy Holocaust naprawdę się wydarzył.

Wymiar polityczny

Swoistą wisienką na torcie okazała się historia, która wyszła na jaw trzy miesiące temu. Dotyczy graffiti, które ukazało się w 2012 r. na jednym z budynków osiedla Tower Hamlets w Londynie. Jak przy-

znał sam autor graffiti, Mear One, przedstawiało ono grupę bankierów grających w „Monopol” na plecach ciemniejących robotników. Autor dzieła o tytule „Wolność ludzkości” zaklinał się, że mural nie ma wymowy antysemickiej. Ale z jakichś powodów bankierzy wyglądali jak żywcem wyjęci z przedwojennych antysemickich karykatur, a ciała ciemniejących – zapewne dla podkreślenia efektu – były czarne i brązowe.

Po publicznych protestach mural został szybko usunięty – na co oburzeniem zareagował ówczesny szeregowy poseł Jeremy Corbyn. Pocieszył autora muralu, porównując jego cierpienie do meksykańskiego malarza-komunisty Diego Riveri, którego obraz zniszczył Rockefeller, „bo był na nim Lenin”.

Po ujawnieniu tej sprawy – dopiero w marcu tego roku – Corbyn wykonał to, co zwykle w podobnych wypadkach: przeprosił za błąd przeszłości i zadeklarował, że w Partii Pracy nie ma miejsca na antysemityzm. Jednak wielu brytyjskich Żydów nie do końca to przekonuje. Przed parlamentem odbyła się demonstracja przeciw przejawom antysemityzmu w Partii Pracy, kilka organizacji żydowskich też wyraziło dezaprobatę dla Corbyna i wezwało go do autentycznego zmierzenia się z problemem.

Tym bardziej że sprawa ma wymiar nie tylko społeczny, ale też polityczny: w majowych wyborach lokalnych zdecydowana większość brytyjskich Żydów, otwarcie zachęcanych do tego przez swych przywódców, oddała głosy na torysów i liberałów. Symbolem tych wyborów stała się londyńska dzielnica Barnet. Jeszcze kilka tygodni przed głosowaniem zdawało się, że zdobycie kontroli nad nią przez radnych Partii Pracy jest osiągalne, ale wskutek kampanii środowisk żydowskich (Żydzi stanowią kilkanaście procent mieszkańców okręgu) labourzyści przegrali z kretesem – i przyznali potem, że powodem klęski były przejawy antysemityzmu w partii oraz niejednoznaczna reakcja jej władz.

Teraz atmosferę ma oczyścić odejście Livingstone'a. Były burmistrz stwierdził, że mógłby udowodnić, iż nie jest antysemitą, ale wciągałoby to labourzystów w nową debatę na temat, którego najchętniej by nie poruszać. A może znając nastroje w partii Livingstone odszedł sam, aby uniknąć wyrzucenia, co byłoby dla niego upokorzeniem.

Lewica i antysemityzm

To po części paradoks, że tak silnie nacechowana emocjami debata na temat antysemityzmu toczy się akurat w Wielkiej Brytanii. Bo historia Żydów w tym kraju – żyje ich tu 260 tys. – jest zapisem ogromnego sukcesu integracyjnego: większość to dobrze sytuowani przedstawiciele klasy średniej, profesjonaliści znakomicie osadzeni w społeczeństwie.

W przeciwieństwie do Francji czy Belgii wyjście dziś na ulicę w kipie czy tradycyjnym ubraniu religijnym nie wiąże się tu z ryzykiem pobicia czy ataku terrorystycznego. Mimo sporej liczby brytyjskich muzułmanów (prawie 2,8 mln), nie dochodzi do motywowanych religijnie ataków na Żydów. Nie ma też – jak np. w Niemczech – ataków dokonywanych przez muzułmanów, którzy przybyli po 2015 r. wraz z falą uchodźców. W takich londyńskich dzielnicach jak Golders Green czy Stamford Hill religijnych Żydów widać na ulicach i nikomu to nie przeszkadza.

Antysemityzm Partii Pracy jest więc elementem szerszego zjawiska – wrogości do Żydów części lewicy, która nie potrafi i niespecjalnie się stara odróżnić krytykę Izraela od antysemityzmu. Europejska lewica od wielu dekad próbuje wcisnąć syjonizm w ramy kolonializmu i rasizmu, gdzie Palestyńczycy mogą występować tylko jako ofiary, a Żydzi wyłącznie jako kolonialiści i imperialiści.

Dla zwolenników tego poglądu odwoływanie się do II wojny światowej, porównywanie Żydów do nazistów, a Izraela do państwa realizującego apartheid, czy stosowanie karykaturalnych stereotypów o bogactwie Żydów jest konsekwencją przekonania, że syjonizm to rasizm, a Izrael dokonuje systemowej eksterminacji Palestyńczyków.

Wielu ludzi lewicy autentycznie nie rozumie, dlaczego zarzuca im się antysemityzm – przecież, jak tłumaczą, oni krytykują państwo Izrael, a do Żydów nic nie mają. A wystarczyłoby wrócić do eseju Orwella z 1945 r. – i zapytać, jak proponuje autor, „dlaczego antysemityzm wydaje mi się atrakcyjny?”. Dlaczego tak łatwo krytykować Żydów, odwołując się do antysemickich stereotypów i porównań z nazistami?

Jednak, aby zadać takie pytania, lewica musiałaby przemyśleć swoje podejście nie tylko do Żydów i Izraela, lecz także do kapitalizmu i rasizmu. A na to się nie zanoszą. ©

REWOLUCJONISTA MORALNY

Chciał wolności dla Polski i dla każdego człowieka.
Ale niepodległości nie doczekał. Sto lat temu zmarł Edward Abramowski,
jeden z najciekawszych polskich myślicieli.

REMIGIUSZ OKRASKA

POSIADACZ ZIEMSKI, KTÓREGO LEWICOWĄ „agitkę” rozchwytywali proletariusze. Socjalista, który krytykował Marksa. Żyjący z rodzinnego majątku współtwórca potężnej inicjatywy gospodarczej. Samouk bez matury, który otrzymał katedrę profesorską. Krytyk państwowego przymusu, który wzywał do odbudowy niepodległej Polski.

10 lat po jego śmierci Maria Dąbrowska pisała: „Nie dzieje się w Polsce nic na prawdę wielkiego, mądrego i dobrego, co by nie było przeniknięte świadomości albo podświadomości ideami Edwarda Abramowskiego”.

Robotnice płakały

Urodził się w 1868 r. w Stefaninie, w ówczesnej guberni kijowskiej, w zamożnej rodzinie ziemiańskiej. Matka zmarła, gdy miał 10 lat. Wkrótce rodzina przeniosła się do Warszawy; tam ich prywatną nauczycielką była m.in. Maria Konopnicka.

Jako 15-latek debiutował na łamach „Zorzy”, pisma poświęconego „sprawom oświaty, dobrobytu i rozwoju społecznego ludu”. Oto refleksja chłopca: „mam (...) obowiązki dla wszystkich pracujących ludzi; mam obowiązek dla rolników, bo z ich pracy jem chleb; mam obowiązki dla rzemieślników, bo z ich pracy mam odzienie, obuwie, dom, sprzęty, narzędzia itd. (...). Mam więc wszystko od ludzi: ży-

cie, dobrobyt, naukę. (...) jeżeli ja im za to wszystko, co od nich mam, nic nie dam, jeżeli nie spłacę mego długu (...) kim więc będę? Próżniakiem, darmozjadem, niewdzięcznym, więc człowiekiem podłym bez czci żadnej”.

Jako nastolatek wszedł w krąg nielegalnej partii Proletariat. W 1885 r. wyjechał do gimnazjum do Krakowa. Nie przystąpił do matury, został wolnym słuchaczem na Wydziale Przyrodniczym UJ. Współtworzył kółka socjalistyczne, przemyczał „bibułę”. Gdy policja wpadła na ich trop, uciekł do Genewy i tam studiował fizykę, filozofię i nauki społeczne. Poznał emigracyjnych działaczy. W 1889 r. przerwał studia i wrócił do Warszawy, z misją odbudowy struktur socjalistycznych rozbitych aresztowaniami. Dzięki dochodom z dzierżawy rodzinnego majątku mógł się temu poświęcić.

Współtworzył II Proletariat. Ale przeciwny stosowaniu terroru, odszedł i założył Zjednoczenie Robotnicze. Był doradcą strajku murarzy warszawskich (wygranego). Pisał teksty agitacyjne – „Dzień roboczy”, „Rewolucja robotnicza” – rozchwytywane przez robotników. Adolf Kiełza wspominał, że robotnice-bielizniarki płakały ze wzruszenia, gdy na zebraniu czytano jego „Sprawę robotniczą”.

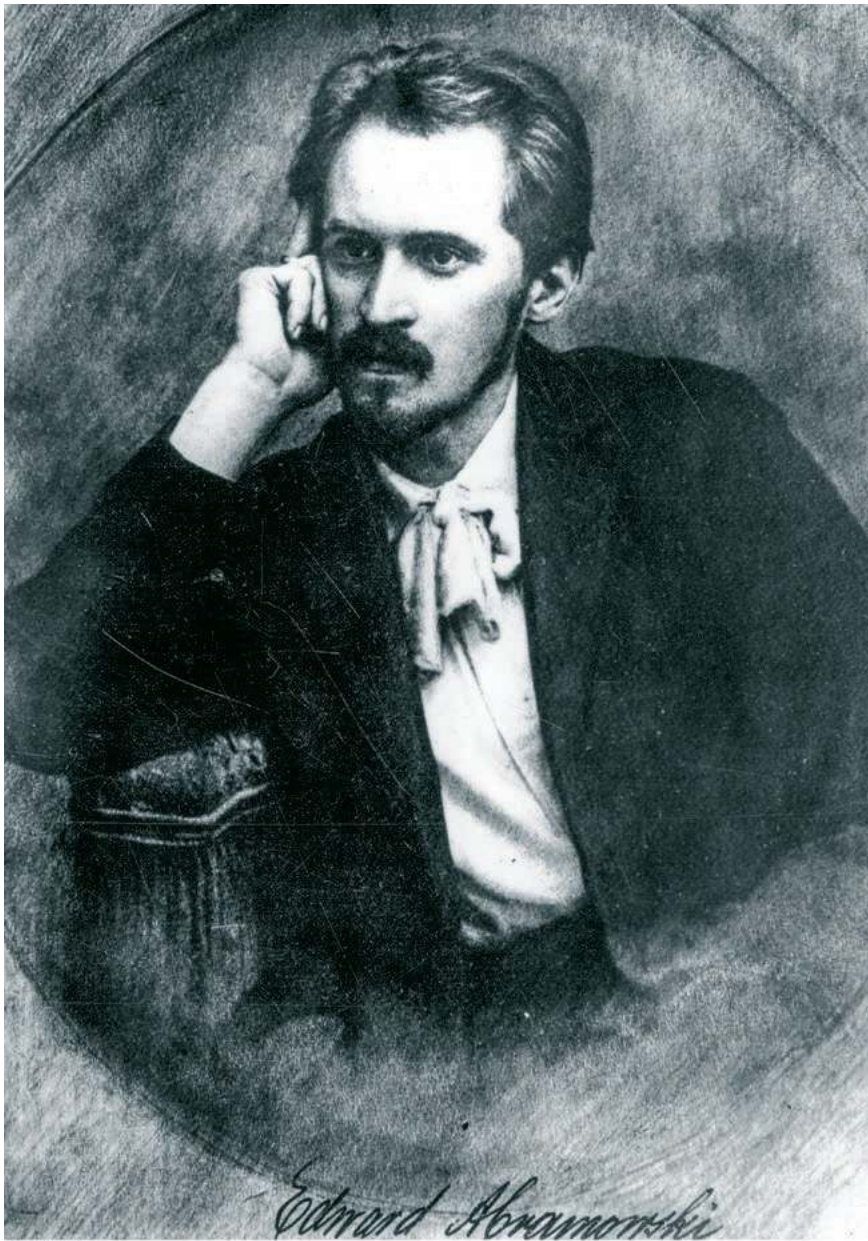
Poślubił Stanisławę Motz, działaczkę socjalistyczną. Policja deptała im po piętach,

ukrywali się. W 1892 r. Stanisława zmarła przy porodzie. Edward przeżył załamanie, targnął się na życie, w ostatniej chwili został uratowany. Ale pojawiła się gruźlica...

Niepodległość i socjalizm

Na lewicy należał do prekursorów postulatu walki o niepodległość. W 1892 r. przekonywał: „jeśli chcemy zdobyć takie swobody i prawa polityczne, jakich nam potrzeba, to musimy (...) zdobyć Polskę niepodległą”. Wkrótce, w listopadzie 1892 r., wziął udział w założycielskim zjeździe Polskiej Partii Socjalistycznej. Poparł wpisanie do programu postulatu niepodległości. Część działaczy nie eksponowała go, Abramowski przeciwnie. W 1893 r. pisał: „Lud polski jest wielki, bo na miliony się liczy. (...) A gdy lud wielki i potężny zapagnie gorąco wolność swą odzyskać – odzyska ją zawsze. (...) lud pomści swoje krzywdy, rozbije swoje kajdany i znów będzie wolna, niepodległa Polska, bez cara, bez panów”.

W drugiej połowie lat 90. XIX w. odszedł od marksowskiej ortodoksji. Karol Marks przekonywał, że byt społeczny określa świadomość, zatem zmiana ustroju zaowocuje „ulepszeniem” człowieka. Abramowski zaś uważał, że za mało tu docenienia wolnej woli, i że to świadomość określa byt. „Pogląd, iż nowy ustrój społeczny może powstać bez poprzedzającej go re-



Edward Abramowski, ok. 1910–1917

wolucji moralnej, nazywa Abramowski absurdem socjologicznym” – pisał Romuald Jezierski.

Nie wystarczy przejąć władzę – przez rewolucję czy wybory – aby nastał lepszy świat. Abramowski pisał: „Zagadnienie historyczne socjalizmu (...) staje się zarazem jego zagadnieniem praktycznym: dokonania tej rewolucji moralnej w duszach ludzkich”. Bez tego, poza zmianą nazw i sloganów, wszystko zostanie po staremu.

Przepowiednie

A jaki będzie socjalizm wprowadzony bez „rewolucji moralnej”? Na wiele lat przed przewrotem bolszewickim w Rosji Abramowski przewidywał – w książkach „Za-

gadnienia socjalizmu” (1899 r.), „Etyka a rewolucja” (1900 r.) i „Socjalizm a państwo” (1904 r.) – że dawnych kapitalistów w roli wyzyskiwaczy zastąpi kasta dysponentów środków produkcji związana ze strukturą władzy. Wysztytował wiarę w odgórność i przymus: „Jest to teoria uszlachetniających, zbawczych wpływów knuta policyjnego, jeżeli ten knut znajduje się w rękach ożywionych ideą wolności i dobra ludzi”.

Leszek Kołakowski wskazywał potem, że „rezultatem komunizmu w tych warunkach, jak pisał Abramowski w 1897 roku, może być tylko nowa formacja klasowa, w której antagonizm między społeczeństwem a uprzywilejowaną warstwą urzęd-

ników zajmie miejsce dawnych podziałów klasowych i która, co więcej, nie będzie mogła utrzymać się bez skrajnie despotycznych i policyjnych form rządzenia”.

Abramowski wypracował alternatywę – wizję „socjalizmu bezpieczeństwa”. Bliiska anarchizmowi, zakładała istnienie odgórnej struktury, lecz ograniczonej do minimum. Socjalizm nie oznaczał tu upaństwowienia, lecz uspołecznienie: środków produkcji, instytucji, życia publicznego. Miałby to być ustrój, w którym władzę i kontrolę sprawują nie partyjni liderzy czy kasta urzędników, lecz społeczeństwo. Zorganizowane oddolnie, od najniższego szczebla, naprawdę demokratyczne.

Ku lepszemu światu

„Rewolucja moralna” – to brzmi jak termin z języka religijnego. Małgorzata Augustyniak pisała: „Realizacja tego ideału jest niemożliwa w »samolubnej osobniczości«, gdyż jedną z jego podstaw jest braterstwo ludzi. Abramowski postawił (...) tezę, że moralność ma ścisły związek z życiem społecznym”. Jej polem miały być zatem związki zawodowe, stowarzyszenia, kasy samopomocowe. A zwłaszcza spółdzielnie, bo one uczą gospodarowania w duchu współpracy, a nie rywalizacji, i są załącznikiem gospodarki uspołecznionej.

Pod koniec XIX w. Abramowski tworzył „koła etyczne” i „komuny”. Gdy wybuchła rewolucja 1905 r., był autorem deklaracji Polskiego Związku Ludowego. Projekt programu głosił, że PZL podejmie „szerzenie stowarzyszeń opartych na zasadach demokratyzmu i kooperacji, które by powołały jak najszerze masy ludowe do pracy twórczej w zakresie swoich interesów zbiorowych”, nie przez reformy „narzucone z góry, lecz przez samodzielne reformowanie się społeczeństwa metodą kooperatyizmu”.

W 1905 r. powstał najsłynniejszy jego tekst: „Zmowa powszechna przeciw rządowi”. To manifest „walki o wolność Polski i o wolność każdego człowieka w Polsce”.

Propagował bojkot instytucji zaborczych – niepłacenie podatków, ignorowanie carskich sądów, nieposyłanie dzieci do szkół – aby w ten sposób walczyć o wolność narodową i swobody. Instytucje alternatywne – własne polubowne sądy, niezależne placówki oświatowe, formacje samoobrony ludowej itp. – miały tworzyć zręby niepodległości, w ustroju ultrademokratycznym.

→ Także w 1905 r. powstał Związek Towarzystw Samopomocy Społecznej. „Pierwsze miejsce wśród nich miały zająć stowarzyszenia spółdzielcze, jako najlepsza szkoła samopomocy i uspołecznienia robotników i włościan”; w tym celu Abramowski utworzył „sekcję, która przekształcała się w Towarzystwo Kooperatystów” – wspominał jego współpracownik i późniejszy prezydent RP Stanisław Wojciechowski.

Ruszyła praca organizacyjna, która szybko zaowocowała ruchem zrzeszającym dziesiątki tysięcy ludzi i sukcesami ekonomicznymi. A także wychowywaniem „nowych ludzi”. Oskar Lange pisał w 1928 r., że w kooperatyzmie Abramowski widział „czynnik wysoce rewolucyjny, którego powołaniem jest obalenie, a raczej wyparcie, ustroju kapitalistycznego. (...) Kooperatywa jest również zrzeszeniem o charakterze na wskroś demokratycznym. (...) wszystkie jej kapitały stanowią wspólność jej członków. (...) Jest ona również kuźnią, w której odbywa się ciągła rewolucja moralna człowieka. Członkowie jej uczą się codziennie nowej moralności, solidarności i braterstwa, poznają olbrzymią potęgę współdziałania”.

U kresu

W 1910 r. Abramowski stworzył Instytut Psychologiczny. Kontynuował w ten sposób zainteresowania z ostatniej dekady XIX w., gdy napisał kilka książek i tekstów z tej dziedziny, publikowanych m.in. w renomowanych pismach francuskich. W 1915 r. został kierownikiem Katedry Psychologii na Uniwersytecie Warszawskim, co było dowodem uznania – wszak nie miał ani matury, ani ukończonych studiów.

Wcześniej, w 1912 r., był jednym z animatorów zakopiańskiego zjazdu środowisk niepodległościowych. Po wybuchu I wojny światowej poparł Polską Organizację Wojskową i Legiony Piłsudskiego. Nie porzucając wizji „uspołecznionego państwa-minimum”, optował za Polską mającą objąć także ziemie ważne dla narodowej historii i kultury, przy zagwarantowaniu wszelkich praw innym grupom etnicznym. Jeszcze wiosną 1914 r. gromił „pomniejszych ojczyzny”, pisząc: „Boją się oni wszystkiego, (...) gotowi są ustąpić z własnego domu na pierwsze wezwanie, na pierwszą groźbę. (...) Bismarck wysyłał ich ironicznie do Monte Carlo. Rusińscy przewodnicy w Galicji wyrzucają ich za San; litewscy »nacionaliści« wskazują



Ilustracja z broszury Neli Samotyhowej o Edwardzie Abramowskim, z połowy lat 30. XX wieku

im bez ceremonii, że mają wynosić się nie tylko z Litwy, ale i z całej Suwalszczyzny. Cześć wreszcie pędzą ich ze Śląska Cieszyńskiego”.

Nela Samotyhowa wspominała: „W czasach wojny, gdy we wszystkich spotęgował się niepomiarne instynkt samozachowawczy, gdy wyjałowieni i zeschnięci duchowo, oszczędnie zamykali się w sobie, by przetrwać – on rozrzucił siebie i gorzał jakimś ogniem natchnionej życzliwości dla świata”.

Ale choroba była bezlitosna. Zmarł 21 czerwca 1918 r., mając dopiero 50 lat.

Siła przyciągania

O mało kim można jednak z taką pewnością powiedzieć, że „nie wszystek umarł”. A już na pewno o mało kim z ludzi, którzy nie pełnili oficjalnych funkcji, nie dbali o zaszczyty, a w swoich poglądach szli często pod prąd. Bohdan Cywiński pisał, że „w odbiorze społecznym stał się nie tylko profesorem, ale i mędrcem”. W kręgach lewicowych i spółdzielczych był najbardziej poczytnym autorem. W ruchu kooperatywnym uważano go za głównego patrona. Jego myślami inspirowała się młodzież lewicowa z miast i wsi.

A także ludzie z elit. Jak wspomniany Wojciechowski. Albo czołowy ideolog sanacji Adam Skwarczyński, który odwoływał się do „rewolucji moralnej”, nie wierząc, że silną Polskę można oprzeć tylko na nakazach. Józef Beck, który zanim został szefem MSZ, organizował samorząd terytorialny, czerpał garściami z wizji „re-

publiki kooperatywnej”. Najdłużej żyjący z uczniów Abramowskiego, działacz spółdzielczy Jan Wolski, w PRL został dysydem. Odwoływali się do niego np. prof. Helena Radlińska (specjalistka od pomocy społecznej), prof. Zofia Daszyńska-Golińska (socjolożka), prof. Konstanty Krzeczkowski (autorytet od ubezpieczeń społecznych i biograf Abramowskiego).

Także wśród ludzi kultury byli „abramowszczacy”, jak Władysław Orkan czy Maria Dąbrowska, jego „wyznawczyni” od młodości. W II RP poświęciła mu broszurę i cykl tekstów w „Wiadomościach Literackich”, sportretowała w „Nocach i dniach” (jako Tytusa Niechcica).

No i oczywiście Stefan Żeromski. Przyjaciel Abramowskiego, przywoływał jego tezy w swej publicystyce. W „Dziejach grzechu” sportretował go jako postać twórcy kooperatyw, a w „Przedwiośnie” wprost oddał mu cześć, w rozmowie Baryki z Gajowcem: „Oto – Edward Abramowski. Nauczał i wierzyliśmy mu ślepo, stworzyliśmy dzięki jego nauce wiele rzeczy i dzieł wysoce wartościowych. Zorganizowaliśmy masę ludzi w doskonałe stowarzyszenia. Ludzi ciemnych przetworzyliśmy na światłych obywateli. (...) Nienawidził państwa z jego wojskiem i wojną, z sądem i policją, (...) i nakazywał ludziom organizować się w związki wolne. Patrzę na jego kochany portret i powtarzam (...): śpij spokojnie, jasny duchu! Pracujemy dzień i noc, bez wytchnienia, szerzimy i spełniamy twe marzenia, tylko zgola inaczej, wprost inaczej, w wolnym państwie polskim”.

W duchu Solidarności

Mijały epoki, a po jego dorobek wciąż sięgano. Czytano i komentowano w kręgu KOR-u i opozycji demokratycznej w PRL. Niektórzy miłośnicy Abramowskiego są przekonani, że „Program Samorządnej Rzeczypospolitej”, uchwalony w 1981 r. na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność”, był inspirowany także jego wizjami.

Wojciech Giełżyński – w latach 80. opozycyjny publicysta, zresztą syn ucznia Abramowskiego – tak pisał w 1986 r.: „Gdyby przyszedł na świat w osiemdziesiąt lat później, byłby ideologiem »Solidarności«, jej duchowym – a może i politycznym – przywódcą. Ten związek ludzi uciskanych i ruch patriotycznego protestu (...) jest jak gdyby materializacją jego myśli i intuicji”.

© REMIGIUSZ OKRASKA

WOJCIECH

Bonowicz: Koc w kratę



PISAĆ SIĘ NIE CHCE. I TO NIE CHCE SIĘ TAK DA-
lece, że od razu podlega to obiektywizacji.
Nie napisałbym na pewno, że „mi się nie
chce”; znaczyłoby to przecież, że w świecie
pracowitych nagle odkryłem siebie samego
jako lenia, w środowisku zdolnych – nie-
zdolnego, wśród niewyczerpanych i pełnych energii – wyczer-
panego, z wyobraźnią jak flak. A przecież niczego takiego nie
odkryłem, to odkrycie nadal przede mną, odsuwam je w czasie,
jak mogę, a prawdopodobnie mogę jeszcze długo. Rzekłbym na-
wet, nieco bardziej oficjalnie, że podjąłem już pewne kroki, żeby
tego odkrycia nie odkryć; są na to odpowiednie medykamenty.

Pisać się nie chce z powodu istnienia tak wielu osób i rzeczy,
które nie oczekują naszego pisania – choćby nawet uważnego,
starannego i pomysłowego – lecz jedynie niepiszącej uwagi.
Domyślcie się zapewne, jeśli czytacie tę rubrykę dostatecznie
długo, że znów chodzi o kota Leona. (Na przykład, bo oczywi-
ście chodzi też o coś innego). O, właśnie przyszedł, gapi się to
na mnie, to na klawiaturę, to w sufit, pod którym lekki powiew
z otwartego balkonu niepokojąco kołysze pajęczyną. Polujemy?
Niestety, bracie, to tylko kołysanie nieożywionej formy, zapolo-
wać nie ma na co. Od czasu do czasu wpuszczam do mieszkania
grube muchy, żeby zaspokoić myśliwskie tęsknoty Leona (lu-
dziom skłonny jestem odmówić tego prawa, ale kotu?), dziś jed-
nak, jak na złość, grube muchy latają nisko, trzeciego piętra nie
sięgając. W ogóle parter byłby chyba dla kota psychicznie lep-
szy, ale ja nie o tym. Leon okręcił się i położył na kocu w kratę,

co to jest chyba starszy ode mnie, niedawno przynieśliśmy go
z mieszkania mamy, bo mama nie żyje od ponad roku i trzeba
powoli sprzątać. Na tym kocu w kratę musiałem leżeć jako ber-
beć jeszcze, a żyję pół wieku.

Pisać się nie chce, choć na spotkania z pisarzami wciąż przy-
chodzą ludzie i mówią, żeby jednak pisać. Ich roześmiane, sku-
pione, znudzone, zdezorientowane twarze same domagają się
opisów. Także to, jak zaplatają ręce i nogi, jak kręcą się na krze-
ślach, żeby przynieść ulgę kręgosłupom, jak robią młynka pal-
cami, poprawiają włosy i zdejmują z ramion te, które im wy-
padły. Opisu domagają się ich uszy, u każdego i każdej inne (bo
u kotów akurat podobne). Ktoś jest na tym świecie sam jak palec,
ktoś inny – jak palec w wielopalczastej dłoni. U jednego ta dłoń
jest nieustannie czymś zajęta, macha z okna, podaje talerz z tru-
skawkami w śmietanie, u innego – zaciska się w pięść. Z jednego
miejsca drogi rozchodzą się w tak wielu kierunkach, że opis, je-
śli miałby być wiarygodny, musiałby pobiec we wszystkich tych
kierunkach naraz. Kot Leon leży na kocu, wstaje z koca, odcho-
dzi, nie oglądając się, a koc zostaje i zostaje też na nim ja, mały
smyk, co jeszcze nie umie mówić, ale szybko się uczy.

Pisać się nie chce, bo w ogóle słów brak. Coś nieuchronnie
nadchodzi, może niekoniecznie katastrofa, może zwykła bu-
rza, która zawsze zjawia się, gdy ktoś sieje wiatr. Siewców wia-
tru coraz więcej, nie tylko w naszych stronach. Usiedli dupami
na zamkach z piasku i twierdzą, że budują. Może zawsze było
ich tyle samo, nie wiem. Może lękać się nie ma o co. Zamy-
kamy oczy i już nie ma złego luda. Tłum na rynku je, pije, beka,
śmieje się, nudzi, plotkuje – wszystko w porządku. Jest chleb
i do chleba, jest i mięso dla kota. Czym się martwić?

Kot Leon jeszcze raz przedelfował, żeby sprawdzić, czy na
pewno nici z polowania. Może i pisać się nie chce, ale na grubą,
pozłacaną muchę to bym z nim zapolował, gdyby tylko raczyła
się zjawić. Jest dość rozpowszechniony pogląd, że pisarz, który
zajmuje się pisarską niemożnością, niebawem zamilknie, a fe-
lietoniści, którzy własną niemoc tematyzuje, już właściwie się
skończył. Nic bardziej mylnego. A nawet jeśli by tak było, to co
z tego? Ten felieton nie jest o tym. ©



Adam Hochschild gościem podcastu „Tygodnika Powszechnego”

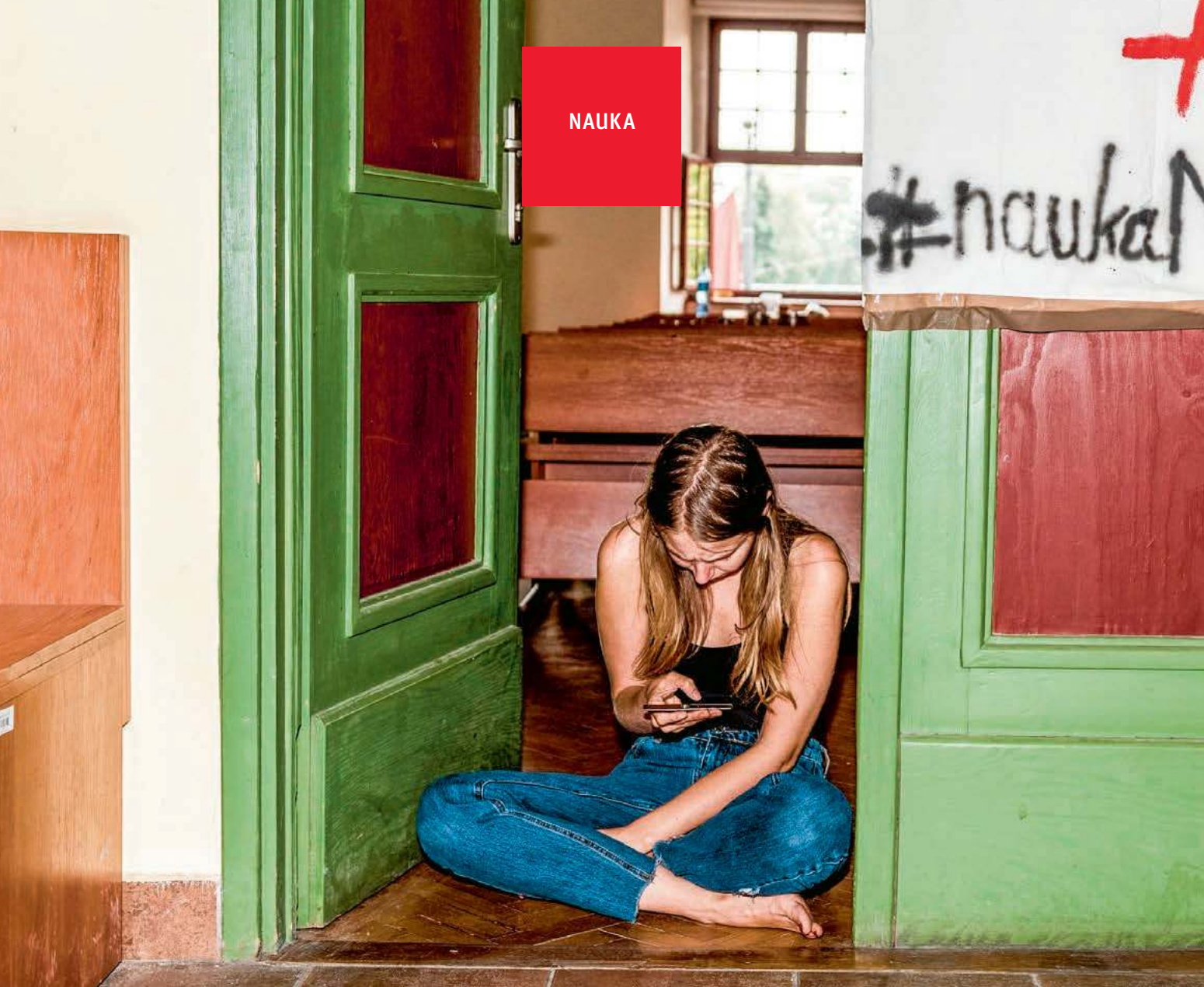


Gdybym nie wiedział, jak świat wyglądał 200 lat temu, nie byłbym takim optymistą – mówię
w rozmowie z Katarzyną Trzeciak i Michałem Sowińskim wielokrotnie nagradzany amerykański
pisarz, dziennikarz i uczestnik ruchów na rzecz praw obywatelskich Adam Hochschild
w najnowszym odcinku podcastu „Book's not dead”.

Odcinka mogą Państwo wysłuchać na stronie www.TygodnikPowszechny.pl
lub na soundcloud.com/booksnotdead.

By nie przeoczyć kolejnych odcinków, kliknij w „OBSERWUJĘ/FOLLOW”





NAUKA

Strajk studentów Uniwersytetu Wrocławskiego, 10 czerwca 2018 r.

STRAŻNICY ŚWIĘTEGO OGNI

Drodzy koledzy! Znamy się nie od dziś.
Pisałem już dla Was o serialach, polityce i UFO nad Polską.
Jedna rzecz nie daje mi jednak spokoju.
Dlaczego moje teksty nigdy nie trafiają do działu „Nauka”?
Czyżbyście słuchali Jarosława Gowina?

MARCIN NAPIÓRKOWSKI



TOMASZ PIETRZYK / AGENCIA GAZETA

CZY W TYM DZIALE JEST MIEJSCE TYLKO na raporty z frontu biologii, fizyki i astronomii, a teksty moje i kolegów po fachu skazane są na tułanie się po „Kraju”, „Kulturze”, a nawet „Wierze”? Czy w naszej zbiorowej wyobraźni humaniści nie są już naukowcami?

Do postawienia tych pytań ośmieliły mnie ostatnie wydarzenia. Kwestia definicji (dobrej) nauki leży wszak u podstaw gorącej debaty wokół przygotowywanej pod auspicjami Jarosława Gowina nowej ustawy o szkolnictwie wyższym. Problem „odmienności” humanistyki czy jej „nieprzystawalności” do zawartych w ustawie rozwiązań podnosi wielu krytyków reformy. Nie przypadkiem ważną rolę odgrywa wśród nich Komitet Kryzysowy Humanistyki Polskiej. Także wśród studentów i wykładowców protestujących w ostat-

nich dniach na akademickich kampusach prym wiodą humaniści, podkreślający, że rolą uniwersytetu jest nie tylko nauczanie, badanie i publikowanie, lecz także kształtowanie debaty publicznej czy wychowywanie lokalnych elit.

Jestem naukowcem (chyba). Podszedłem więc do sprawy naukowo. Indywidualną wątpliwość („dlaczego moje teksty nie trafiają do działu Nauka?”) zamieniłem na poważne pytanie badawcze: „Czy humaniści (w poczet których włączymy również adeptów nauk społecznych) są naukowcami?”. Oto wynik badań.

Gdy Arystoteles walczył z Baconem

Czy to, co robią humaniści, można nazwać nauką? To pytanie dość stare, a zarazem zaskakująco nowe, jeżeli wziąć pod uwagę oczywistość podziału, jaki dziś uznajemy.

Takie przeciwstawienie nie miałoby żadnego sensu dla Arystotelesa, który – gdyby nałożyć nań współczesne ramy dyscyplin – zajmował się między innymi etyką, meteorologią, politologią, psychologią, fizyką, biologią i astronomią. Również średniowieczni erudyci, których celem było zgromadzenie całości ludzkiej wiedzy, byliby pewnie zaskoczeni pytaniem o granice nauki lub o własną tożsamość.

Ale już w XVII wieku podział między „starożytnymi” i „nowożytnymi” (jak wówczas nazywano praprzodków dzisiejszych „humanów” i „ściśłowców”) był na tyle oczywisty, że mógł posłużyć za kanwę satyry. W „Bitwie książek” Jonathana Swifta możemy przeczytać, jak Arystoteles i Homer przypuszczają atak na Kartezjusza i Bacona. Potem spór odnowił się na XIX-wiecznych niemieckich uniwersytetach w postaci starć pozytywistów i antypozytywistów, koncepcji odrębności „nauk o duchu” czy – do pewnego stopnia – ekonomicznej „dysputy o metodzie”.

Ale chwila! Właśnie uświadomiłem sobie, że zacząłem opowiadać o historii problemu, zamiast od razu przejść do rzeczy. Czy to przypadkiem nie jest kluczowa różnica między „humanistami” i „naukowcami”? Dla fizyka historia fizyki jest niezwykle ciekawostką. Dla filozofa stanowi esencję jego tożsamości.

Tę różnicę między humanistami i naukowcami opisuje celnie Harald Weinrich, niemiecki literaturoznawca. We współczesnej nauce, zwraca uwagę, prestiżem cieszy się ten, kto prowadzi badania i uzyskuje nowe wyniki.

Oczywiście, nauka wciąż jest przedsięwzięciem „kumulatywnym”. W dalszym ciągu obowiązuje w niej sformułowana przez Bernarda z Chartres i przejęta przez Izaaka Newtona zasada „widziałem dalej, gdyż stanąłem na ramionach gigantów”. Nie przypadkiem te słowa stały się mottem Google Scholar. Z pamięci naukowców, tłumaczy Weinrich, nie zniknęła cała stara wiedza. „Jednakże wiedza związana z nazwiskami wielkich dawnych uczonych osadzona jest albo w powszechnych praktykach badawczych, albo w szczegółach technicznych poszczególnych dziedzin, a przeto można ją uznać za niewidoczną, latentną. W widocznej postaci ta naukowa pamięć historyczna ujawnia się głównie przy obchodach rozmaitych uroczystości, na co dzień zaś pielęgnowana jest jedynie przez wyspecjalizowanych historyków poszczególnych dziedzin nauki”.

„Humanisci” zapatrzeni są w przeszłość. A w nowoczesnej nauce liczy się wyłącznie podążanie do przodu. Taką wizję odzwierciedla, o czym głośno przy okazji sporów o nową ustawę, system oceniania naukowców. Liczą się tylko teksty wydane w ostatnich latach, artykuły w czasopiśmie naukowych są ważniejsze niż monografie, żywot wielu publikacji jest krótkotrwały. Mają one szybko posłużyć kolejnym badaczom do wyprodukowania nowej wiedzy. To raczej błyskawiczna sztafeta z podawaniem pałeczki niż wizja strażników świętego ognia. Humanisci, którzy marzą o napisaniu dzieła ponadczasowego, a każdą opowieść muszą zaczynać od Arystotelesa, faktycznie trochę nie pasują do obowiązującego systemu przyznawania punktów.

Czy mówimy tym samym językiem?

Wróćmy do współczesności. XX-wieczna odłona sporu o naukowość humanistyki związana jest z nazwiskiem C.P. Snowa – pisarza i fizyka. W roku 1959 r. Snow wygłosił wykład pt. „Dwie kultury”, wydany także drukiem, wzbudzając znaczne zainteresowanie i utrwalając podział między „humanistami” i „naukowcami”, którzy pozbawieni są wspólnego języka.

Ilustruje to najczęściej cytowany fragment jego książki: „Uczestniczyłem wielokrotnie w spotkaniach ludzi, którzy wedle kryteriów tradycyjnej kultury odebrali staranne wykształcenie i którzy z niemalą lubością wyrażali swoje zdumienie ignorancją naukowców. W kilku przypadkach ➔

→ nie wytrzymałem i zadałem zebranym pytanie, jak wielu z nich potrafiłoby opisać drugie prawo termodynamiki. Powiało chłodem: nikt nie potrafił. A przecież pytałem o coś, co jest naukowym odpowiednikiem pytania: Czy czytałeś któreś z dzieł Szekspira? Obecnie sądzę, że nawet gdybym zadał prostsze pytanie – na przykład: co rozumiesz przez masę albo przyspieszenie – które jest naukowym odpowiednikiem pytania »czy umiesz czytać?« – zaledwie jeden na dziesięciu z owych starannie wykształconych ludzi miałby poczucie, że mówimy tym samym językiem”.

Niestety, system edukacji wygląda trochę tak, jakby pisano go używając książki Snowa jako podręcznika. Już w szkołach średnich dzieli się uczniów na humanistów i ścisłowców, pogłębiając wzajemne nieporozumienia, a nawet opartą na pogardzie wrogość. Jedni i drudzy zamiast się wstydić, chętnie się ignorancją. Nie muszę czytać – jestem ścisłowcem; matematyka to nie dla mnie – jestem humanistą.

Tymczasem Snow, przywoływany czasem – błędnie – jako apologeta podziału lub wyraźny zwolennik przewagi „naukowców” nad „humanistami”, jednoznacznie stwierdza, że opisywana polaryzacja przynosi same straty zarówno jednostkom, jak i społeczeństwu. Jego koncepcję przyjęło jednak wielu autorów, w tym tych przekonanych nie tylko o wyższości nauk ścisłych nad humanistycznymi, lecz wręcz o szkodliwości humanistyki.

Modne bzdury

Jednym z najważniejszych dokonań współczesnej humanistyki jest zwrócenie uwagi na społeczny i kulturowy charakter wiedzy, w tym wiedzy naukowej. Uczeń, wskazując współcześni teoretycy nauki, także są ludźmi – uwikłanymi w konflikty, relacje władzy, we własną pleć, rasę i klasę. Produkowana przez nich wiedza nie ma więc charakteru absolutnego, lecz relatywny – musi być odczytywana w kontekście czasów, w których powstała.

Takie spostrzeżenie nie spodobało się wielu „naukowcom”, dla których oznaczało, że „humaniści” podważają jakikolwiek obiektywizm, zastępując go całkowitą dowolnością. W ten sposób rozgorzała debata, znana jako *Science wars*. Trzeba uczciwie powiedzieć, że koledzy „humaniści” często sami proszą się o lanie, przedstawiając swe tezy w prowokacyjny

Humaniści, którzy każdą opowieść muszą zaczynać od Arystotelesa,

faktycznie trochę nie pasują do obowiązującego systemu przyznawania punktów.

sposób lub dbając bardziej o ich brzmienie i literacki polot niż o precyzję wypowiedzi.

Czym innym jest bowiem powiedzieć, że „język opisu wpływa na to, co jesteśmy w stanie dostrzec”, czym innym zaś stwierdzić, że „rzeczywistość nie istnieje”. Najgorszy cios zadał reputacji „humanistów” brak pokory i krytycyzmu, który ujawnił się przy okazji tak zwanej sprawy Sokala.

W roku 1996 fizyk Alan Sokal opublikował artykuł w czasopiśmie „Social Text”, drukującym zwykle awangardę postmodernizmu. Niestety, nie był to bezprecedensowy przykład przerzucania mostów między „naukowcami” i „humanistami”, lecz błyskotliwa prowokacja. Tekst pod mądrze brzmiącym tytułem „Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce kwantowej grawitacji” (polski przekład można znaleźć w książce „Modne bzdury”) był mieszanką kompletnych bzdur i pomysłowych gier słownych.

Przedrzeżniając tuzów filozofii postmodernistycznej, Sokal krytykował naukę jako podporządkowaną militarystom, kapitalistom i dyktatorowi patriarchy, wzywając do oczyszczenia jej z „elementów autorytarnych i elitarnych” oraz do uzupełnienia dydaktyki nauk przyrodniczych zgodnie z wynikami „krytyk feministek, obrońców praw mniejszości seksualnych, wielokulturowców i ekologów”. Sokal twierdził potem, że jego tekst „łączy najgorsze pomyłki dotyczące nauki z nadzwyczaj niepożądanym myśleniem o filozofii i polityce”. Wśród grzechów, parodiowanych w swojej pracy, wymienia „odwołania do autorytetu zamiast logiki, przedstawienie spekulatywnych koncepcji jako dobrze potwierdzonych teorii naukowych, naciągane, a nawet absurdalne analogie, pomieszanie znaczenia słów w języku naukowym i potocznym”.

Dla wielu odbiorców afery Sokala stanowiła nie tylko ostateczny dowód na nienaukowość humanistyki, ale też przesłankę, by uznać ją za przedsięwzięcie ja-

lowe i szkodliwe. Cesarz jest nagi. W humanistycznym czasopiśmie każdy może opublikować dowolną bzdurę. Nie ma co dalej finansować wydziałów humanistycznych, klasy o takim profilu należy czym prędzej zamknąć.

Niebezpieczny podział

Osobiście uważam, że parodia Sokala jest naprawdę celnie wymierzonym prztyczkiem, piętnującym rzeczywiste, ciężkie przywary współczesnej humanistyki. Głosów obrony ze środowiska humanistów nie będę tu przytaczał, bo po takiej demaskacji mogą nie wypaść zbyt wiarygodnie.

Nim jednak ostatecznie wyrzucimy „humanistów” z działu „Nauka”, warto przyjrzeć się reakcjom na sprawę Sokala w kręgu „naukowców”. Jeden z najciekawszych, najobszerniejszych głosów krytycznych względem radykalnej wersji hipotezy dwóch kultur przyszedł ze strony Stephena Jaya Goulda – paleontologa, popularyzatora nauki, przez lata jednego z najwytrwalszych żołnierzy na froncie walki z pseudonauką.

W książce „The Hedgehog, the Fox, and the Magister's Pox” Gould pokazuje, że wygnanie humanistów opiera się często na przekłamaniach i nieprawomocnych uproszczeniach, dotyczących zarówno historii, jak i współczesności. W społecznym odbiorze funkcjonuje na przykład fałszywa wizja wieków średnich, w których „humaniści” (wspierani przez Kościół) utrzymywali ciemnotę i zabobon, symbolizowany chociażby przez wiarę w to, że Ziemia jest płaska. Taka wizja przednowoczesnej nauki nie znajduje potwierdzenia w źródłach.

Gould odnosi się też wprost do sprawy Sokala, którego znał zresztą osobiście. Tekst Sokala ukazał się bez recenzji i miał raczej status „listu do redakcji” niż artykułu naukowego. „Czy Sokal obnażył całe pole studiów nad nauką jako bandę pozerów i ignorantów? Nie sądzę. Wykazał tylko pychę i lenistwo konkretnych redaktorów »Social Text«” – pisze Gould. Byli oni tak zachwyceni faktem, że dawny przeciwnik „nawrócił się na postmodernizm”, że postanowili wydrukować jego tekst, chociaż go nie rozumieli.

Ważną okolicznością łagodzącą, pomijaną zwykle przez entuzjastów Sokala, jest także fakt, że w warstwie nieodnoszącej się do fizyki tekst zawierał wiele spostrzeżeń prawdziwych lub uznawanych za słuszne w kręgach postmodernistów. Nawet sam

Sokal przyznawał, że jego artykuł „zawiera pewne idee – o związkach między naukowcami i instytucjami wojskowymi, o ideologicznych przesądach w nauce, o dydaktyce nauk przyrodniczych – z którymi się częściowo zgadzamy, pod warunkiem że są one starannie sformułowane”.

Być może na sprawę Sokala należałoby więc spojrzeć nie jako na ostateczny dowód na słuszność „wypchnięcia humanistów”, lecz przykład błędnego koła. Ze względu na przyjęty przez obie strony podział redaktorzy „Social Text” nie uznali za stosowne wysłać tekstu do recenzji przez fizyka, ponieważ stwierdzili, że Sokal ma w tej mierze wystarczające kompetencje, a naukowa treść jego wypowiedzi dotyczy w tym przypadku jedynie „części humanistycznej” tekstu. Ta zaś, skompilowana z poglądów samych postmodernistów, wydała im się jak najbardziej sensowna.

Nie chcę tu wybielać siebie i kolegów. Nie ma usprawiedliwienia dla pseudonaukowego żargonu i zastępowania pracy badawczej ideologią. Sądzę jednak, że niezależnie od wytknięcia naszych przywar, sprawa Sokala ujawnia problematyczność nie samej humanistyki, lecz ostrego, binarnego podziału, który pozwala humanistom na całkowity analfabetyzm matematyczny, a fizykom – na zbywanie szyderstwami wszelkich wzmianek o politycznym czy ekonomicznym uwikłaniu ich dyscypliny.

Już sam C.P. Snow dostrzegał problematyczność zaproponowanego przez siebie podziału na dwie kultury. „Liczba »2« jest bardzo niebezpieczną liczbą: to właśnie dlatego dialektyka stanowi metodę tak niebezpieczną. Do prób dzielenia cegółowiek przez dwa powinniśmy podchodzić z najwyższą podejrzliwością” – pisał. Może jest więc tak, że symboliczne wykluczenie humanistów z obszaru nauki ukrywa bardziej skomplikowane problemy?

Podział na „humanistów” i „naukowców” maskuje znacznie większe rozdrobienie nowoczesnego społeczeństwa, w którym każdy z nas godzi się na pozycję eksperta jedynie w bardzo wąskiej dziedzinie własnej specjalizacji. Także na uniwersytetach specjalizacja jest obecnie nieskończenie bardziej precyzyjna niż dychotomiczny podział na „naukę” i „humanistykę”. Każdy z nas ma tu swoją niewielką niszę, wyznaczaną tabliczkami na drzwiach katedr i coraz egzotyczniejszymi tytułami naukowych konferencji i branżowych czasopism. Sensownie mo-

Dla fizyka historia fizyki jest najwyższą ciekawostką.

Dla filozofa stanowi esencję jego tożsamości.

zemy się wypowiadać jedynie w granicach własnej wąskiej specjalizacji. Nie zawsze w ogóle rozumiemy, o czym mówią do nas koledzy z sąsiedniego pokoju czy budynku, nie wspominając już o systematycznym śledzeniu wyników ich badań.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę całe spektrum ścieżek kariery dostępnych we współczesnym społeczeństwie, okaże się, że między „naukowcami” i „humanistami” jest więcej podobieństw, niż się wydaje zwolennikom binarnego podziału. Akademicka humanistyka i nauki społeczne, jeżeli nie chcą zupełnie osunąć się w publicystykę, powinny wszak opierać się na stawianiu pytań badawczych i odpowiadaniu na nie w oparciu o pewien materiał. Krytyka źródeł, wykopaliska archeologiczne, analiza i interpretacja dzieł literackich wcale nie są tak odległe od modelu „naukowego”, jak by się mogło wydawać, że nie wspomnę już o socjologii i psychologii, którym czasem bliżej do fizyki niż do filologii. Wiele wskazuje na to, że rozwój nareździ do błyskawicznej analizy ilościowej, algorytmów i sztucznej inteligencji jeszcze ten podział zaburzy, dostarczając humanistom możliwości stawiania bardziej precyzyjnych pytań badawczych i udzielania na nie bardziej „wymiernych” czy „twardych” odpowiedzi. Wygląda na to, że pomoc dla „humanistów” pogrążonych sprawą Sokala nadejdzie z nieoczekiwanej strony.

Rozsądzą nas maszyny

„The Fuzzy and the Techie” to bestseller „Financial Times”. Scott Hartley – przedsiębiorca specjalizujący się w finansowaniu start-upów, który wcześniej pracował m.in. dla Google’a i Facebooka – przekonuje w nim, że humaniści będą niezwykle potrzebni w cyfrowym świecie. Powszechna dostępność i prostota wykorzystania narzędzi informatycznych sprawia, że świat komputerów się demokratyzuje. Żeby stworzyć stronę internetową (a coraz częściej nawet aplikację mobilną), nie trzeba już wpisywać kolejnych linii kodu. Nie-

zbędną umiejętnością staje się raczej przeszukiwanie i wykorzystywanie bibliotek zawierających gotowe czy półgotowe rozwiązania (choć są to oczywiście biblioteki innego rodzaju niż te, do których przywykli „humaniści”). Kluczowego znaczenia nabiera w tym kontekście nie tylko sprawność programistyczna, lecz także umiejętność przewidywania zachowań użytkownika, tworzenia wartościowych treści, pracy ze społecznościami. A to wszystko kompetencje, które – jak przekonuje Hartley – leżą raczej po stronie „humanów”.

Podobnego zdania jest Christian Madsbjerg, autor książki „Sensemaking: The Power of the Humanities in the Age of the Algorithm”. W świecie, w którym zbieranie i analizowanie danych stało się łatwiejsze niż kiedykolwiek, będziemy coraz bardziej potrzebować specjalistów zdolnych odczytać i zrozumieć ich sens. Absolwenci studiów humanistycznych i społecznych coraz ściślej współpracować będą z architektami, inżynierami, a nawet lekarzami, tworząc świat bardziej ludzki, lepiej dostosowany do naszych potrzeb i odporniejszy na nasze błędy.

Najciekawsze pole dla humanistów otwiera się w badaniach nad sztuczną inteligencją, robotyzacją i uczeniem maszynowym. Bo paradoksalnie znaczenie humanistyki ujawnia się w pełni dopiero w obliczu maszyn. Zmuszających do zadania pytania o człowieczeństwo, brane dotychczas za oczywiste.

Naturalnie, zasypywanie przepaści oznacza, jak słusznie zauważa Hartley, ciężką pracę i przemyślenie własnych dyscyplin, także po stronie humanistów. Fascynujemy się historią własnej dyscypliny. Rozumiemy więc, jak bardzo humanistyka zmieniała się na przestrzeni stuleci.

Rozsądnie jest uznać, że zmiany muszą zachodzić nadal. Tymczasem ignorancja naukowa, połączona z obsesyjnym wręcz przywiązaniem do tradycji niebezpiecznie często staje się wizytówką humanistów. Matematyczny analfabeta niewiele wyczyta z najciekawszych nawet danych. Bez łaciny można dziś sobie poradzić – może jej miejsce zająć powinna podstawowa umiejętność programowania.

Tylko zmieniając się, odnajdziemy własną tożsamość. Tylko idąc naprzód powrócimy tam, skąd wyszliśmy – trafimy na powrót do działu „Nauka” w tygodniku, na półkach księgarń, a także w wyobraźni społeczeństwa i politycznych reformatorów.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

MONOLOG NIEWYPOWIEDZIANY

Lektura „Dziennika 1957–1958” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego to specyficzne doświadczenie. Intymne zapiski pozwalają dzień po dniu śledzić jego dylematy osobiste, kłopoty z pisaniem, a nawet sny.

GRZEGORZ BOGDAŁ

TEKST WYDANEGO WŁAŚNIE „DZIENNIKA” Herlinga-Grudzińskiego nie był przeznaczony do publikacji. Na pytanie, dlaczego mimo to się ukazał, i to zaledwie 18 lat po śmierci autora, próżno szukać odpowiedzi we wstępie autorstwa Włodzimierza Boleckiego, znawcy twórczości Grudzińskiego, w posłowie córki pisarza Marty Herling – albo w opisach wydawcy.

Zastanawiająca jest beztroska, z jaką zgodnie zaznaczają oni, że odnaleziony w neapolitańskim archiwum dziarsz był sekretny i „adresowany tylko do siebie”, ale decyzję o jego opublikowaniu pozostawiają bez przekonującego wyjaśnienia. Można wręcz odnieść wrażenie, że właśnie sekret jest czymś, co z natury domaga się ujawnienia: „samo istnienie dziennika usprawiedliwia też jego wydanie w serii tekstów odnalezionych w archiwum” – napisała Marta Herling. Na pewno „sekretny” sprzeda się lepiej. Ale co innego zostaje w takich przypadkach, niż naiwnie pytać: „Po co?”.

Stosunek Grudzińskiego do dzienników intymnych przeznaczonych do druku był sceptyczny, widział w tym grę udaremniającą zamiar prawdomówności: „człowiek może (choć nie zawsze potrafi) być szczerzy tylko z samym sobą, a z chwilą, kiedy zaczyna się zwierzać, nie jest w stanie oprzeć się pokusie komponowania samego siebie na obraz i podobieństwo kogoś drugiego już – kogoś, kim nie jest, lecz chciałby być w oczach innych” – pisał w eseju z 1953 r. poświęconym XVII-wiecznemu „Dziennikowi” Samuela Pepysa. Jasne jest zatem, że dziennikiem z lat 1957–58 nie zamierzał z nikim się dzielić – w przeciwnym razie zrobiłby to sam. Przede wszystkim zaś nazywa go w jednej z notek „prywatnym”, „nie przeznaczonym do czytania przez nikogo”, i trudno byłoby doszukiwać się w tym kokieterii.

O skomplikowanej biografii autora „Innego świata” wiadomo niemało, z tym że jest to wiedza rozproszona. Dużo informacji zawiera rozmowa z córką Grudzińskiego dla „Dużego Formatu” z 2009 r., przedrukowana w „Dzienniku 1957–1958”. Dobrym źródłem informacji osobistych jest też „Krótki przewodnik po sobie samym”. W dwóch tomach wywiadu rzeki z Boleckim („Rozmowy w Neapolu” i „Rozmowy w Dragonie”) z kolei autor opowiedział szczegółowo o wielu trudnych sprawach, m.in. pobycie w łagrze w Jercowie, emigracji, samobójczej śmierci pierwszej żony, Krystyny. Nieustannie poruszał je też, wprost lub aluzyjnie, w najbardziej osobistych tekstach – opowiadaniach, gdzie obsesyjnie wręcz nawracają pewne motywy, a z napięciem między tym, co jawne, i tym, co ukryte, wyłania się los człowieka.

Tam i z powrotem

Herling-Grudziński urodził się w 1919 r. w rodzinie żydowskiej. Nieodgadniony pozostanie jego stosunek do własnego pochodzenia – ilekroć pojawiał się ten temat, pisarz zaznaczał, że jego rodzina była całkowicie zasymilowana, jakby odrzucała tę część swojej tożsamości. W „Dzienniku 1957–1958” pytał sam siebie, czy nigdy nie wyzwolił się z tego kompleksu pochodzenia. Wracał do tego zagadnienia w opowiadaniach z lat 80. i 90., takich jak „Święty smok”, o grupie włoskich chłopów, którzy dokonują konwersji na judaizm, czy w ostatnim ukończonym przed śmiercią „Podzwonnym dla dzwonnika”, o uratowanym z pogromu żydowskim dziecku, które zostało franciszkaninem.

Gustaw Herling-Grudziński, wrzesień 2000 r.



→ w Kielcach, gdzie uczęszczał do gimnazjum. „Manifestu komunistycznego”, ukrytego w niemieckim wydaniu Szekspira, policja nie znalazła. W dorosłym już życiu przyznawał, że bliski jest mu etos socjalistyczny. Postrzegał chyba siebie trochę tak jak swojego przyjaciela pisarza, Ignazia Silonego – chrześcijanina bez Kościoła i socjalistę bez partii.

W latach 30. doświadczył pierwszej istotnej porażki – Jan Twardowski (przyszły ksiądz) odrzucił jego nadesłaną do czasopisma „Kuznia Młodych” nowelę „Rozrachunek” z komentarzem: „konstrukcja doskonała, ale treść słaba i banalna”. Za to już na studiach polonistycznych w Warszawie realizował się jako krytyk literacki i autor listów miłosnych, pisanych dla zarobku „kucharkom, lafiryndom i złodziejom”. Po wybuchu wojny został współzałożycielem PLAN-u (Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej). W ramach konspiracyjnej „roboty” przedostał się do okupowanego przez Sowie- tów Lwowa, a później do Grodna. Uciekł, ostrzeżony w marcu 1940 r., że może zostać aresztowany, i ukrywał się na wsi. Znalazł przemytników, którzy mieli go przerzucić na Litwę: po drodze okazało się, że jeden z nich – nazwiskiem Mickiewicz – był na usługach NKWD i go zadenuncjował.

Tak Herling trafił najpierw do więzienia w Grodnie, gdzie dostał wyrok pięciu lat za „zamiar walki przeciw ZSRR” oraz „działalność na rzecz wywiadu niemieckiego” (z powodu brzmienia nazwiska), następnie do Witebska, potem do dwóch kolejnych i wreszcie do łagru w Jercowie pod Archangielskiem. Pomimo podpisania układu Sikorski-Majski w lipcu 1941 r. – przewidywał on m.in. amnestię dla więźniów polskich w ZSRR – nie został zwolniony. W ramach protestu rozpoczął więc z grupą więźniów głodówkę. Na wolność wyszedł w styczniu 1942 r. Pobytowi w łagrze poświęcił „Inny świat”, który ukazał się z przedmową Bertranda Russella po angielsku i po polsku (w Londynie) odpowiednio w 1951 i 1953 r. Ta poruszająca, oszczędna stylistycznie relacja z przeżyć obozowych autora jest zapewne też jego najbardziej znaną książką. Unosi się nad nią duch powinności: Grudziński wspominał, że kiedy został zwolniony, żegnający go przyjaciele „ciągle powtarzali, nie wiedząc zresztą, że będę kiedyś pisarzem, »opowiedz to, co przeżyliśmy, i co przeżyłś razem z nami«”.

Zanim to zrobił, jeszcze niejedną raz mógł stracić życie. Po półtoramiesięcznej wędrówce dotarł „u kresu sił, w łachach obozowych, wygłodniały, pokryty wrzodami” do 10. Dywizji Piechoty Armii gen. Andersa. W rozmowie z Józefem Czap- skim nazwał ją „armią więźniów dowo- dzoną przez więźnia i odbudowaną za oporną zgodą nadzorców więziennych”. Razem z nią, przez Irak, Palestynę i Egipt, dotarł do Włoch w grudniu 1943 r. Trzy miesiące spędził w szpitalu, złożony go-

i podjął współpracę z „Wiadomościami” Mieczysława Grydzewskiego. Tych kilka londyńskich lat to bodaj najciemniejszy okres w jego życiu. Nie tylko z powodu ciężkiej sytuacji materialnej. Echa tego czasu da się rozpoznać w ponurym, pozbawionym nadziei „Zeszytach Williama Mouldinga, emeryta”, opowiadaniu o ostatnim kacie Anglii i jednej z jego ofiar – kobiecie.

W Londynie w 1952 r. Krystyna popełniła samobójstwo, dwa tygodnie po tym, jak Herling wyjechał do Monachium, gdzie



Gustaw Herling-Grudziński z żoną Lidią na warszawskiej Starówce, maj 1991 r.

rażką tyfusową; tutaj też przyjął chrzest w marcu 1944 r.

Podczas rekonwalescencji w Sorrento poznał filozofa Benedetto Crocego i jego córkę Lidię – swoją późniejszą drugą żonę. Nawiązali wtedy korespondencję, podobno byli w sobie zakochani. W maju 1944 r. Herling wziął udział w bitwie o Monte Cassino, za co odznaczono go Virtutti Militari, ale też przez pomyłkę wciągnięto na listę poległych. Po zakoń- czonej kampanii zdecydował się pozostać na emigracji, w Rzymie, i poślubił malarzkę Krystynę Stojanowską, poznaną jeszcze w Iraku, w kantynie wojskowej. Na wieść o tym zrozpaczona Lidia Croce zniszczyła otrzymane listy.

Śluchając siebie

Po przeniesieniu redakcji „Kultury” Je- rzego Giedroycia (Herling był jej współza- łożycielem) z Włoch do Francji pod koniec lat 40. wyjechał wraz z żoną do Londynu

dostał pracę w Radiu Wolna Europa. Była to już jej trzecia próba samobójcza. Nieba- wem odebrał sobie też życie Andrzej Cioł- kosz, tłumacz „Innego świata” na angielski, jedyny syn przyjaciół Herlinga. Ta druga tragedia zbliżyła go do jego matki, która widziała w nim przybranego syna. Przewi- dział zresztą, że choć 17 lat młodszy od niej, umrze wcześniej, a nawet odgadł rok swo- jej śmierci w „Zimie w zaświatach” – au- tobiograficznym opowiadaniu m.in. o po- wolnym odchodzeniu Lidii Ciołkoszowej.

Odnowiona w Monachium relacja z Li- dią Croce pomogła mu się wydobyć z pi- jaństwa i rozpacz po śmierci Krystyny. W 1954 r. wzięli ślub, urodził się im syn, a w 1956 r. zamieszkali na stałe w Ne- apolu. To miasto w cieniu Wezuwiusza męczyło Grudzińskiego, ale również fa- scynowało i dostarczało inspiracji; tutaj stworzył najważniejsze dzieła: „Dziennik pisany nocą” – nazwany przez siebie *opus magnum*, spełniającym wszy- stkie ambicje

pisarskie – oraz opowiadania, z biegiem lat coraz bardziej osobiste.

„Dziennik 1957–1958” nie jest „literackim kuriozum” ani „buchalterią”, jak pisał na łamach „Tygodnika” o „Kronosie” Gombrowicza Jerzy Franczak. To dobrze prowadzona kronika nowego-starego etapu w życiu – przeszłość bowiem nie zniknęła wraz z zaangażowaniem w kolejny związek i zmianą miejsca zamieszkania. Owszem, zapiski te nie powinny się były ukazać, nie oznacza to jednak, że są pozbawione zalet: najważniejszą z nich jest możliwość śledzenia z dnia na dzień (z kilkumiesięczną przerwą), poniekąd „na żywo”, jeszcze bez filtra nałożonego przez dystans czasowy, życia pisarza.

Czytelnik znajduje się tu w roli (będę uparty: niechcianego) obserwatora. Inaczej niż w przeznaczonym dla szerokiej publiczności „Dzienniku pisanym nocą”, gdzie dał dojść do głosu „historii spuszczonej z łańcucha”, samemu usuwając się w cień, tutaj Herling zajmował się głównie sobą, szkicując swoisty autoportret z tłem. Skrupulatnie odnotowywał częste zmiany nastroju wpływające na aktywność twórczą („kiedy dobrze mi się pisze, gorzej mi się żyje i *vice versa*”), analizował swoje emocje, zapisywał sny, w których przychodzili do niego bliscy zmarli. Po ich lekturze nie sposób nie poczuć się jak złodziej, jeśli pamięta się słowa: „wolno go [sen – GB] jedynie opowiedzieć, w miarę dokładnie, mając za jedynego słuchacza samego siebie”.

W rozmowach z Boleckim autor przyznawał co prawda, że np. przez wiele lat po śmierci Krystyny współżył z nią w snach, ale jest to mimo wszystko co innego niż dokładne poznawanie treści nieerotycznych nawet snów z „Dziennika 1957...”. Wiedza o tym, że Grudziński miewał sny kończące się wytryskiem, nie odmienił czyjego spojrzenia na jego opowiadania lub postać, co najwyżej wywoła u kogoś spragnionego „momentów” tanią ekscytację – obcą temu autorowi.

Przebrania

Kto by zresztą szukał kontrowersyjnych, mrocznych czy perwersyjnych tematów, prędzej i więcej znajdzie ich w opowiadaniach Herlinga. Pełno w nich odrażających zbrodni, samobójstw, tajemniczych zaburzeń świadomości. Są też opętania, kazirodzstwo, ludzie żyjący na obrzeżach społeczeństwa: hipnotyzer-medium zakopujący ofiary w przydomowym ogródku czy była zakonnica, która wciąż nosi habit

i przyjmuje kochanków na cmentarzu. To oryginalne, XX-wieczne opowieści grozy, inspirowane twórczością Stendhala („Kroniki włoskie”), Henry’ego Jamesa czy E.A. Poe’go. Kunszt Herlinga sprawia, że nie zślizgują się one w kicz, nigdy też nie są dopowiadane do końca. Eksplorowanie tematów z pogranicza normalności i rzeczywistości było dla niego sposobem na zbliżanie się do tajemnicy egzystencji, nieosiągalnej również dlatego, że zatrzymywał się w odpowiednim miejscu – nie próbował

Stosunek Herlinga-Grudzińskiego do dzienników intymnych

przeznaczonych do druku był sceptyczny, widział w tym grę udaremniającą zamiar prawdomówności.

powiedzieć za dużo, zwłaszcza o bohaterze historii.

Herling mieszał w opowiadaniach prawdę ze zmyśleniem. Wprowadzał pierwszoosobowego narratora, którego można utożsamiać z nim samym. To był jego sposób na zrealizowanie potrzeby publicznego wyznania, wypowiedzenia lęków i niepokojów – stąd też powracające w tytułach określenia gatunkowe, zwłaszcza „opowieść”, ale też „monolog” lub „spowiedź”. Kronikarską, oszczędną formę, udającą relację z prawdziwych wypadków, łączył z treścią wymykającą się niekiedy zasadzie prawdopodobieństwa, ale jedynie dlatego, że podporządkowywał ją nie logice ziemskiej, lecz logice zaświatów. Te zaś uważał za coś w rodzaju snu – a może sen za coś bliskiego zaświatom. Oba służyły jednemu: ponownemu nawiązaniu kontaktu z utraconą kobietą. Wraca ona pod różnymi postaciami, bywa, że rozpoznaje jej rysy w czyjejś twarzy. Śmierć nie kończy tu miłości i pożądania.

Przedwczesne odejście Krystyny odcisnęło piętno na całym życiu i twórczości Grudzińskiego, czasami w stopniu obsesyjnym, podporządkowując zwłaszcza późne utwory wciąż na nowo opowiadanej historii nieodmiennej żałoby. W tej uporczywości nawracających obrazów, nastrojów i ducha – zdarza się, że i upiora

– ukochanej jest coś z nawiedzenia: łaska miesza się tu z obłędem.

Kto wobec tego zna biografię i opowiadania Herlinga, ten bez „Dziennika 1957–1958” domyśli się, że jego związek z Lidią Croce musiał być trudny. Podobnie żadną rewelacją nie jest fakt, że najważniejsza dla niego była praca własna, a np. obowiązki dla Radia Wolna Europa nazywał odrabianiem pańszczyzny. Nie wiele pożytku wyniknie także z poznania fragmentów zniszczonego przez Grudzińskiego fragmentu pisanego wówczas „Czarnego stawu”. Deklaratywne dialogi i fabuła rodem z nieudanej powieści psychologicznej z międzywojnia nijak się mają do języka i zagadnień, które wkrótce potem zawarł w swych pierwszych znakomitych opowiadaniach: „Księciu niezłomnym” czy „Wieży”. We wstępie jako datę śmierci Krystyny Stojanowskiej podano (błędnie?) 1953 r., podczas gdy w przypisie kilka stron dalej jest już 1952.

Po co nam to było

Marta Herling wspominała, że jej ojciec był „zamknięty w gabinecie, zamknięty w sobie, zamknięty w pisarstwie”. Z jej opowieści wyłania się obraz człowieka nieprzystępnego, małowómnego, zajętego własnymi sprawami; dopiero w późniejszym okresie ich kontakt się ożywił.

W kontraście do tego czytelnicy „Dziennika 1957–1958” dostali Herlinga otwartego, mówiącego wprost, chwilami nudnego, kiedy opisuje wycieczki po Włoszech, lub nieprzyjemnego, gdy w niewybredny sposób wypowiada się o homoseksualistach. Przy okazji zdradzone zostały jego intymne refleksje i rozterki. Zabrakło jednak konsekwencji i w paru miejscach, dotyczących osób z rodziny, opuszczono fragmenty tekstu.

„W człowieku istnieje i powinna istnieć strefa, gdzie nic prócz Boga nie potrafi i nie ma prawa go osiągnąć” – pisał Herling w rozważaniu o dzienniku osobistym jako gatunku. Dobrze byłoby wierzyć, że jest tak naprawdę, i że kogoś to obchodzi.

© P GRZEGORZ BOGDAŁ

Gustaw Herling-Grudziński, **DZIENNIK 1957–1958**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018.

Korzystałem m.in. z: Włodzimierz Bolecki „»Inny świat« Gustawa Herlinga-Grudzińskiego”; Ewa Bieńkowska „Pisarz i los. O twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego”.

*Biesy, czerwiec 2018 r.**Hamlet, czerwiec 2018 r.*

Wbrew zwątpieniom

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Oto prawdziwy teatr miejski. Od początku dyrekcji Jacka Głomba miał ambicję być częścią życia miasta, stać się teatrem legnickim w sensie głębokim i poważnym.

ZESPOŁOWOŚĆ TO OD DAWNA MIT POLSKIEGO teatru. Można by nawet powiedzieć: mit założycielski, bo o zespole teatralnym mówi się w Polsce jako o kluczowym elemencie tożsamości rodzimej sceny, a jej nowoczesne dzieje przez lata opowiadano, kładąc nacisk właśnie na zespołowość. Z tej perspektywy może się wydawać paradoksem, że Teatr im. Mordziejewskiej w Legnicy nosi imię wielkiej gwiazdy. Ale jest też w tym głęboka logika, bo wielka aktorka wywodziła się wszak z krakowskiego zespołu Stanisława Koźmiana, który z aktorskimi solistkami walczył, nie z powodów ideologicznych, ale praktycznych: nie mogąc sobie pozwolić na sprowadzanie „gwiazd” i utrzymywanie (jak byśmy dziś powiedzieli) celebrytów, uczynił z wyrównanego zespołu jedną z naczelnych zasad swojego programu i praktyki artystycznej. O teatrze krakowskim od lat 70. XIX w. niemal do znużenia pisano, że nie ma w nim słabych ogniw, że jego aktorzy tworzą jednolitą, przekonywającą całość, a jeśli zdarzają się

wyjątkowe osiągnięcia indywidualne, to są one ściśle z ową całością powiązane. Patronka legnickiej sceny w takim właśnie zespole osiągała zawodową dojrzałość, a noszący dziś jej imię teatr tamten krakowski ideał w pełni realizuje.

W życiu zespołu teatralnego sprawą kluczową jest czas. W środowisku wciąż powtarza się twierdzenie Bohdana Korzeniewskiego, że zespół żyje równie krótko, co przeciętny pies – góra kilkanaście lat. Tymczasem bardzo rasowo teatralny „pies” legnicki żyje już wyjątkowo długo (pod dyrekcją Głomba od 1994 r.), a co najdziwniejsze – wcale nie wygląda na swój wiek. Jest pełen wigoru, energii, wydaje się głodny nowych przygód i doświadczeń. Może więc Korzeniewski nie miał do końca racji? A może, co nieustannie podnosi się jako argument na rzecz utrzymania stałych zespołów jako podstawy polskiego życia teatralnego, to wspierająca je, mądrze zarządzana, stała instytucja przedłuża im życie, wzmacnia energię, pozwala na konieczne odnawianie sił, bez zrywania ciągłości

i niszczenia już wypracowanych wartości? W Legnicy to powtarzane często wyznaczenie wiary traci swój życzeniowy cień, przestaje być mitem, wciela się w pracujący na scenie aktorski kolektyw złożony z wybitnych indywidualności skomponowanych w całość o wyrazistym charakterze.

Z tym charakterem jest ten problem, że choć jego specyfikę odczuwa się jako oczywistą, to jej opisanie wcale nie jest łatwe. Redaktor naczelny „Dialogu” i wielce doświadczony krytyk Jacek Sieradzki mówi, że istnieje coś takiego jak „legnickie granie”. Podpytywany wieczorem na Rynku w Legnicy o to, co by się nań składało, wskazał na swoisty dystans związany z sytuacją scenicznego opowiadania i połączony z konsekwentnym unikaniem zarówno aktorskiej prywatności, jak i autoironicznego negowania własnych wypowiedzi, tak charakterystycznych dla teatru „krytycznego”.

Ta diagnoza wydaje mi się bardzo trafna (i dlatego pozwalam ją sobie bez autoryzacji zapożyczyć). Jednak w świetle tego, co widzieliśmy w Legnicy między 8 a 10 czerwca 2018 r. podczas „Maratonu Teatralnego”, w czasie którego jedno po drugim pokazano sześć przedstawień zrealizowanych w dobiegającym końca, jubileuszowym sezonie (40-lecie zawodowej sceny i 175-lecie budynku), wymaga pewnej rewizji.

Licznie przybyli do Legnicy goście z nieodowierzaniem patrzyli na aktorów, którzy po kilkugodzinnych „Biesach” w reżyserii Głomba z pełnym zaangażowaniem grali „Wierną watahę” autorskiego, reży-



Krzywicka/Krew, czerwiec 2018 r.



Maraton/Tren, czerwiec 2018 r.

serskiego i aktorskiego duetu Paweł Wołak i Katarzyna Dworak, a dzień później po „Hamlecie” (inscenizacja Jacek Głomb, reżyseria Krzysztof Kopka) dawali z siebie wszystko w niezwykle wymagającej „Iliadzie. Wojnie” według Alessandra Baricca w reżyserii Łukasza Kosa (dzień wcześniej zagrano jeszcze „Krzywicką/Krew” Julii Holewińskiej w reżyserii Aliny Moś-Kerger i monodram Pawła Palcata „Maraton/Tren”).

Nie wiem, czy jest w Polsce inny teatr, który podjąłby się takiego „wykonu” i jeszcze mu sprostał, utrzymując do końca tak wysoki poziom sztuki, rzemiosła i energii. Jacek Głomb wyróżniony w tym roku Nagrodą im. Zygmunta Hübnera i uznany „Człowiekiem Teatru 2018”, z właściwym sobie brakiem fałszywej skromności uważa, że takiego teatru nie ma.

Mit ucieleśniony

Tak więc chociaż termin „legnickie granie” dobrze opisuje aktorstwo „epickie” w takich znakomitych w swoim gatunku przedstawieniach „opowieściowych”, jak „Wierna wataha” czy „Iliada. Wojna”, o tyle w przypadku bardziej tradycyjnie inscenizacyjno-dramatycznych „Biesów” czy „Hamleta” jednak nie wystarcza.

W tym zespole jest bowiem jeszcze pewien rodzaj mocy i wyrazistości środków aktorskich i inscenizacyjnych, niestroniących od silnej ekspresji i wybijania akcentów: dźwiękowych, świetlnych, a nawet barwnych i fakturowych (jak w scenie walki Achillesa w zapełnianej trupami rzece, w której Paweł Palcat polewa swoją

twarz i ciało kolejnymi warstwami farby). Zespół legnicki nie boi się wyrazistości, przed którą zdaje się cofać wielu innych inscenizatorów i aktorów. Znakomicie nad nią panuje, nie pozwalając na osunięcie się jej w łatwą nadekspresję. Krzyk, tupot, mocne gesty, sceny brutalnych walk i gwałtów, których wiele w przedstawieniach Teatru Modrzejewskiej, są zatrzymywane na granicy przesady (czasem tuż przed nią) przez artystyczną świadomość zespołu. To właśnie przynależność do niego, działanie w całości, jaką tworzy (a stanowią ją nie tylko aktorzy i realizatorzy, ale też zespół techniczny i – choć może zabrzmi to dziwnie – miejsca gry), sprawia, że to, co gdzie indziej mogłoby grozić manierą i przesadą, w Legnicy staje się mocą. Mocą teatru.

Dział tu coś jeszcze – rzadko spotykane, a tak niezwykle istotne połączenie indywidualności, współtworzących zespół jako swoistą ludzką kompozycję. Lekko ironiczne ciepło Anity Poddebniak łagodzi zdecydowanie Roberta Gulaczyka i Mateusza Krzyka, które z kolei otaczane jest skupionym rozedrganiem (wiem, że to paradoks) Rafała Cielucha i dojrzałą siłą Pawła Wolaka, a dopełniane wyciszoną pewnością siebie Pawła Palcata kontrapunktowaną rozgłosną niepewnością Alberta Pyśka. Zdystansowana mądrość Bogdana Grzeszczaka znajduje harmonijne dopełnienie w mądrze łagodnej emocjonalności Magdaleny Drab, niemal desperackim zdecydowaniu Katarzyny Dworak i równie desperackim niezdecydowaniu Grzegorza Wojdona.

Można by wymieniać dalej, bo każda aktorka i każdy aktor tego zespołu wnosi do niego swoją indywidualność, jednocześnie tworząc ją i rozwijając jako aktorską osobowość o własnych cechach, stale obecnych w wielości kreacji. Wielość i jedność współpracujące w zgodzie – dawny ideał harmonii – wydają się w tym zespole żyć w sposób, który wydawał mi się już dziś niemal niemożliwy.

Miasto-teatr

Zespół artystyczny Teatru im. Modrzejewskiej nie jest całością zamkniętą w sobie i żyjącą własnym życiem. Od początku dyrekcji Jacka Głomba miał ambicję bycia częścią życia miasta, stania się teatrem legnickim w sensie głębokim i poważnym. Głomb wielokrotnie, właściwie przy każdej okazji, podkreśla, że pracuje w konkretnym miejscu i w konkretnej społeczności, których złożona historia i teraźniejszość wyznaczają jego myślenie o prowadzonej przez niego placówce, jej charakterze i zadaniach. Sam historyk z wykształcenia, w wielu swoich przedstawieniach (z legendarną już „Balladą o Zakaczwawiu” na czele) odwoływał się do historii lokalnej, by przekształcać ją w opowieść mityczną lub dramat o niemal szekspirowskim zakroju.

Wielokrotnie też powtarzał, że trudna historia Legnicy, miasta przez stulecia niemieckiego, potem polskiego, ale ze społecznością wielokulturowych przesiedleńców, do 1993 r. zajmowanego częściowo przez armię radziecką i nazywanego „Małą Moskwą”, stanowi dla niego szczególną inspirację i wyjątkowy punkt odniesienia. ➔



Wierna wataha, czerwiec 2018 r.



Iliada. Wojna, czerwiec 2018 r.

→ Realizował też konsekwentnie plan wpiśnięcia teatru w topografię miasta, inscenizując przez lata kolejne przedstawienia w przestrzeniach nieteatralnych: po-fabrycznych halach, dawnych koszarach, zrujnowanych kinach i salach widowiskowych.

Dziś utracił dostęp do wielu z tych miejsc, o czym nieustannie opowiada ze zrozumiałym żalem i słuszną pretensją, ale przynajmniej jedno z nich – Scena na Nowym Świecie – nadal pozwala przekonać się, jak bardzo miejsce współtworzy teatr. Przestrzeń tej sceny, urządzonej w niemal zrujnowanej, prawie pustej skorupie sali widowiskowej (kiedyś były tu kolejno: żydowska restauracja, niemiecki teatr i polski dom kultury), to jeden z najważniejszych aktorów „Hamleta” i „Wiernej watahy”, natychmiast budzący zawodową zazdrość siedzących na widowni reżyserów.

Miejskość legnickiego teatru nie na samej przestrzeni i lokalnych historiach polega. W uzasadnieniu przyznania Kamyka Puzyny, nagrody redakcji „Dialogu”, czytamy, że chodzi o „wieloletnią cierpliwą pracę, dzięki której powstał wyjątkowy teatr mocno związany z miastem i jego mieszkańcami, a także głęboko angażujący się w sprawy kraju”, co wskazuje na związek o wiele silniejszy. Jacek Głomb nazwał go „przymierzem z widzami”, podkreślając, że swój teatr współtworzy z publicznością. Współtworzy nie w tym sensie, że dostosowuje się do jej wypowiedzianych oczekiwań i pragnień, ale w tym – o wiele trudniejszym – że długofalową

pracą uczy publiczność siebie i sam się uczy od niej. Szanuje publiczność, ale jej nie podlega. Nieustannie, od lat praktykuje sztukę słuchania i wypowiadania różnorodnych doświadczeń, perspektyw i poglądów, będącą wszak podstawą tego, co w nowożytnej kulturze europejskiej ufundowało dramat jako jedno z najważniejszych narzędzi kultury i życia społecznego naszego kontynentu.

W tym sensie teatr legnicki jest teatrem prawdziwie dramatycznym – teatrem wielu głosów, respektującym prawo do własnego sądu i opowiedzenia swojej historii.

Międzymiejsce

Ktoś niechętny mógłby mi w tym momencie zarzucić, że idealizuję. Bywam w Legnicy raczej od święta, widziałem specjalny „wyczyn”, uległem elokwencji dyrektora oraz energii aktorów – i kreuję wymarzony obraz, który z codzienną rzeczywistością może mało ma wspólnego. Z natury nie jestem podejrzliwy i oczywiście chcę w legnickie ucieleśnienie mitu uwierzyć. Ale to nie chciejstwo decyduje o tym, że wyjechałem z Dolnego Śląska (nie po raz pierwszy) odbudowany w wierze w pewien typ teatru, który w innych miejscach, zwłaszcza tych największych, istnieje albo w nostalgicznych opowieściach o przeszłości, albo w obłudnych deklaracjach, albo w nieustannej budowie, często nierozumnie niszczonej przez krótkowzroczne władze żyjące w nerwowym rytmie kadencji i kolejnych wyborów.

O realności efektów 24-letniej pracy Jacka Głomba, jego zespołu i jego publiczności nie decyduje jeden, najświetniejszy nawet *showcase*, kilka nagród czy festiwalowe sukcesy. Rozstrzygają o niej owe 24 lata, oznaczające po prostu, że w Legnicy istnieje wcale nie mała grupa widzów dosłownie wychowanych przez tę scenę. Rozstrzyga „legnickie granie”, pracujący tu i wywodzący się stąd wybitni aktorzy, a także „dramaty Modrzejewskiej” (teatr wydał już dwa tomy antologii tekstów dramatycznych napisanych na jego zamówienie). Tworzy tę realność także legnicki model teatru, który na mapie kultury polskiej nie oznacza już tylko specyficznej pozycji lokalnej o oddźwięku krajowym, ale jest (i to nie od dziś) propozycją pewnego typu placówki artystycznej, społecznej i (tak, też) politycznej o charakterze alternatywnym wobec tego, co zwłaszcza w ostatnich latach trzyma nas w kleszczach dominującego konfliktu.

Jacek Głomb i prowadzony przez niego teatr stanowią coś, co nazwałbym „szczęśliwym kłopotem”. Destabilizują proste i właśnie dlatego silnie działające podziały, pracują w poprzek taktycznych sojuszy i strategicznych kampanii. Krytyczni wobec „teatralnego postmodernizmu”, w jakiejś mierze nawet tradycjonalistyczni, chwilami wręcz świadomie anachroniczni, nie zgłaszali jednak akcesu do szeregów „teatralnych konserwatystów”, nawet wtedy, gdy nie było to – jak dziś – koniunkturalnie wskazane. Wprawdzie w roku 2012 Głomb i jego troje bliźkich współpracowników ogłosiło „Ma-

nifest kontrrewolucyjny”, przeciwstawiający porządnie zrobiony teatr indywidualnych opowieści „inwazji sztuki skrawków i zlepków”, ale choć wzbudził on radość na prawicy, to tematy, które w Legnicy podejmowano, i sposób, w jaki je opowiadano, nigdy nie pozwoliły jej uznać Głomby za swojego. Gdy zaś po ostatnich wyborach zaangażował się w działalność Komitetu Obrony Demokracji, to już w ogóle o jakimkolwiek sojuszu nie ma co mówić.

Ta pozycja pomiędzy opozycjami nadrzednego dramatu polskiego, utrzymywana jako mocno zaznaczone miejsce własne, a nie jako lawirowanie wśród zmieniających się układów sił, wskazuje na jedną z ważnych możliwości osiągnięcia społecznego znaczenia teatru w dzisiejszej Polsce w inny sposób niż ten, o jakim mówi się i jaki realizuje najczęściej. Podkreślam: nie chodzi mi o zastępowanie jednej drogi (nazwijmy ją w uproszczeniu – teatrem krytycznym, świadomie naruszającym tabu i atakującym wspólnotowe stereotypy) inną, ale o zauważenie znaczenia tego stosunkowo prostego, a w Legnicy skutecznie działającego mechanizmu, polegającego na tym, że politycznie ustanawiane (także przez silną wzajemną opozycję) fronty jednności są demontowane i podważane przez wielość i złożoność, stanowiące podstawową siłę teatru dramatycznego i publicznego.

Nawet jeśli nie atakuje więc frontalnie tego, co tworzy polityczny stan trzymający nas w klinczu, to przez spotkanie z nim odnajduje możliwość wspólnoty niewymuszającej zgody, myślenia niedualistycznego, podmiotowości nieokreślonej przez skandowane na stadionach i ćwiczone na strzelnicach postawy wojownicze.

I nawet jeśli w zakończeniu znakomitem „Wiernej watahy” padają słowa, że liczy się stado, a nie pojedynczy wilk, to wszystko, czego doświadczyliśmy w trakcie „Maratonu/Trenu”, im przeczy. Dla legnickiej drużyny teatralnej właśnie pojedynczy wilk się liczy, a to, nad czym pracuje, to zgromadzenie stada, które tę pojedynczość wzmacnia, a nie zabija.

© DARIUSZ KOŚNISKI

Sztuka nowego świata

PIOTR KOSIEWSKI

Wbrew lękom rozmaitych konserwatystów europejska tradycja wcale nie ginie, lecz staje się częścią uniwersalnej opowieści. Ważnej także dla tych, którzy swe korzenie mają w innych częściach świata.

HASŁO TEGOROCZNEGO BERLIŃSKIEGO Biennale Sztuki Współczesnej „Nie potrzebujemy kolejnego bohatera” wydaje się prowokacją. Południowoafrykańska kuratorka Gabi Ngcobo sięgnęła po tekst piosenki Tiny Turner, pochodzącej z głośnego niegdyś postapokaliptycznego filmu „Mad Max pod Kopułą Gromu” (z 1985 r.). Powstał on w czasie poprzedzającym wielkie zmiany, które ukształtowały obecny świat. I dobrze wpisywał się w ówczesny stan oczekiwania, poczucie wyczerpywania się dotychczasowych ideologii, odrzucania dominujących jeszcze niedawno modeli politycznych i społecznych. Był to czas rządów Ronalda Reagana i Margaret Thatcher, neoliberalnego, a jednocześnie konserwatywnego zwrotu, amerykańsko-sowieckiego wyścigu zbrojeń i epidemii AIDS.

Dzisiaj też odczuwamy schyłek, tym razem świata powstałego po przełomie 1989 r. Oczekiwanie na zmianę, na pomysł na nowe ułożenie świata, na pojawienie się nowych ideologii i wielkich narracji.

„Z daleka od ruin / Z daleka od szczątków / Tym razem nie możemy popełnić tego samego błędu” – przekonywała w 1985 r. Tina Turner.

Bohater niepotrzebny

Twórcy tegorocznego Biennale namawiają: nie szukajmy nowego bohatera, tego, który nas zbawi. Nie poszukujmy nowych, wielkich narracji, które ponownie, ale lepiej urządzią nasz świat. Nie twórzmy spójnych, całościowych opowieści o współczesności ani o przeszłości, bo niosą ze sobą wykluczenia, pomijanie, marginalizację. Zostawmy przestrzeń na wielość, zróżnicowanie, różnorodność polityczną i kulturową. Potrzebujemy – jak można przeczytać w tekście programowym tegorocznego Biennale – „różnych konfiguracji wiedzy i siły umożli-

wiających nam pogodzenie sprzeczności i zrozumienie skomplikowania naszego czasu”. Zwróćmy zatem uwagę na rozmaite aktywności, strategie działania. Z wielości czyniąc, także w sztuce, siłę.

Biennale pokazuje, że sztuka jest jedną z przestrzeni pozwalających na różnorodność, wielość strategii artystycznych, równouprawnienie technik, miejscem zarówno na malarstwo, tradycyjne techniki graficzne, jak i wideo, fotografię, animację komputerową. Niekoherencja jest zaletą, a nie wadą, a to, co archaiczne, może okazać się atutem. Jednocześnie, w porównaniu z poprzednimi edycjami, Biennale tegoroczne jest mniejsze, zarówno pod względem liczby twórców – zaledwie 46 artystów i kolektywów, jak i skali samych wystaw. Ma bardziej ludzki format.

Ostatnia edycja weneckiego Biennale czy documenta X w Kassel pokazywały, że świat coraz bardziej odchodzi od zachodniocentrycznego postrzegania sztuki. Artysty i artystki o nieeuropejskich korzeniach stali się równoprawną częścią dzisiejszej sceny artystycznej. Są wśród nich zarówno potomkowie emigrantów, jak i twórcy urodzeni i często nadal mieszkający poza Europą i Ameryką Północną (samo miejsce zamieszkania staje się coraz mniej istotne). Obecność kobiet jest dziś oczywistością, podobnie jak np. twórców utożsamiających się z kulturą LGBT.

Tyehimba Jess, autor zbioru wierszy „Olio” (za który w 2017 r. otrzymał Pulitzerza), przekonuje, że dla wielu Afroamerykanów po zniesieniu niewolnictwa pierwszym prawdziwym doświadczeniem wolności była muzyka. Być może to właśnie kultura ma wpisany w siebie emancypacyjny potencjał. Oczywiście, nie zastąpi innych wymiarów emancypacji: społecznej, ekonomicznej, politycznej. Jednak to właśnie kultura nadaje

→ dotychczas marginalizowanym widoczność, pozwala im zaistnieć na równych prawach w przestrzeni publicznej.

Szybkość zmian, nieustanne pojawianie się nowych nazwisk może wywoływać konfuzję. Pozbawia bowiem bezpiecznego komfortu kontaktu z twórczością dobrze oswojoną. I wymaga nieustannej otwartości. Po opublikowaniu listy artystów, którzy mieli znaleźć się na tegorocznym Biennale, pojawiły się zarzuty, że są nieznani. „Dla nas było to dziwne stwierdzenie – podkreśla jego kuratorka. – Znamy, oni znają siebie i są znani tam, skąd pochodzą”.

Problem jest inny – to Europa postrzega siebie jako centrum. I uznaje za nieznanych tych, o których jeszcze nie słyszała. Zresztą ten proces włączania do głównego nurtu przebiega bardzo szybko. W Berlinie można zobaczyć prace Lubaina Himida, zdobywcy Nagrody Turnera za 2017 r., jak i Luke’a Willisa Thompsona – nowozelandzkiego artysty nominowanego w tym roku do tej prestiżowej nagrody. W Berlinie znalazły się obrazy Lynette Yiadom-Boakye, Brytyjki wywodzącej się z Ghany, dziś jednej z najciekawszych malarzek młodszej generacji, i prace Kolumbijczyka Oscara Murillo. Jest też odkrywana po latach afroamerykańska artystka Mildred Thompson, tworząca ciekawe abstrakcyjne obrazy, rzeźby i grafiki.

Pokazano wreszcie na Biennale rzadko prezentowane prace na papierze tragicz-

Twórcy tegorocznego Biennale namawiają:
zostawmy przestrzeń
na wielość, zróżnicowanie,
różnorodność polityczną
i kulturową.

nie zmarłej w 1985 r. kubańsko-amerykańskiej artystki Any Mendiety, uznawanej dziś za jedną z kluczowych twórczyń lat 70. i 80. ubiegłego wieku (równolegle w berlińskim Gropius Bau do 22 lipca można oglądać bardzo dobrą wystawę prac filmowych i zdjęć tej artystki).

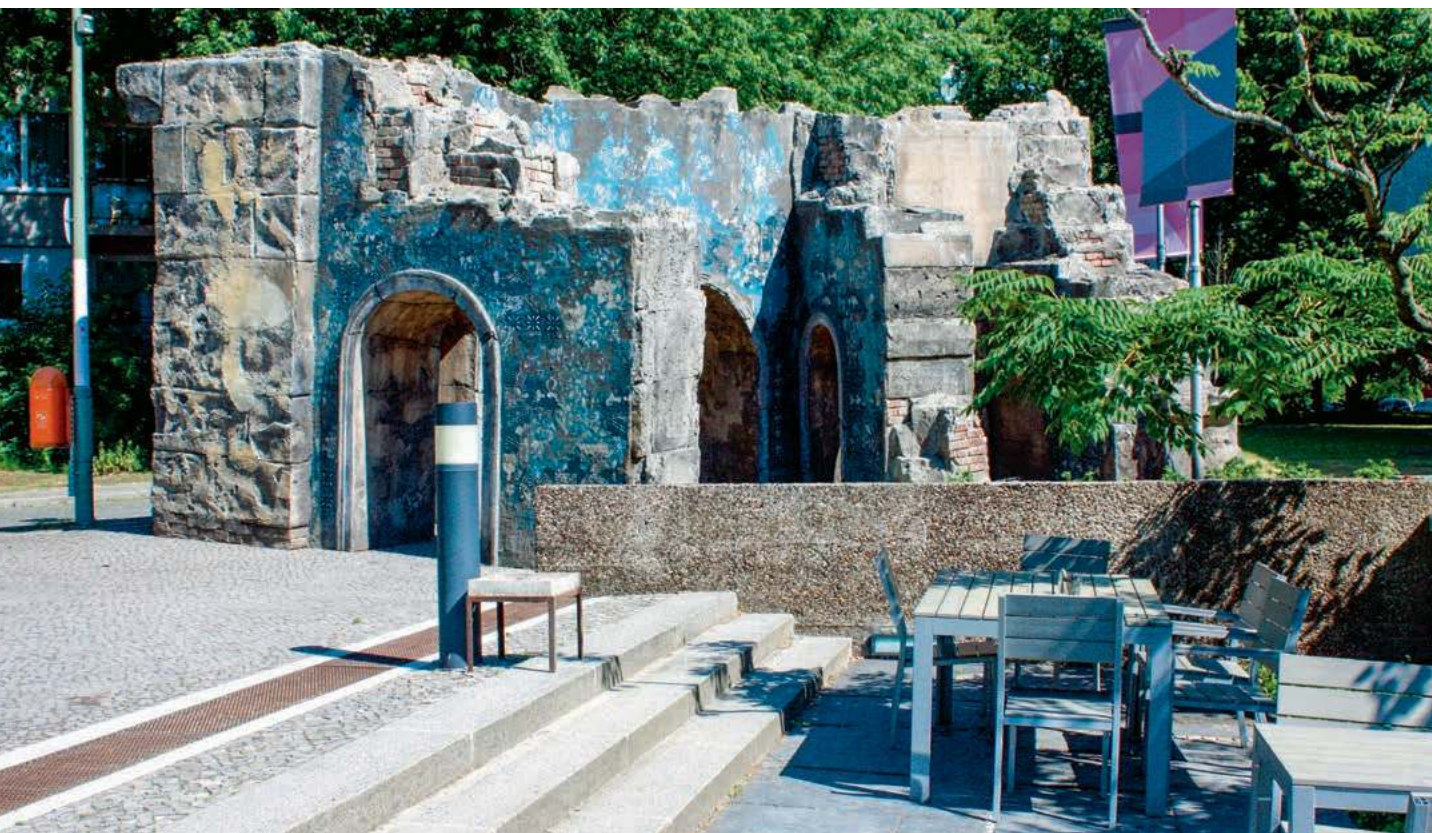
Dwa pałace i miasto

Przed gmachem berlińskiej Akademii Sztuki można zobaczyć ruiny jakiejś barokowej budowli. Wyglądają jak jedna z pozostałości po wojennych zniszczeniach. To praca Firelei Báez „19° 36' 16.89" N, 72° 13' 6.95" W) / (52.4042° N, 13.0385° E)". Artystka stworzyła architektoniczną fantazję, ale – o czym informuje jej tytuł, będący jednocześnie geograficznymi namiarami – odwołującą się do bardzo konkretnych, realnych budowli. Jedna to Sanssouci, letni pałac Fryderyka Wielkiego wzniesiony w latach 1745-47 w Poczdamie. Druga to Pałac Sans-Souci w Milocie, zbu-

dowany przez króla Henriego Christophe’a w latach 1810-13. Dwie rezydencje, będące świadectwem modernizacyjnych zmian: Prus wczesnego oświecenia i niepodległościowej rewolucji na Haiti oraz aspiracji dwóch władców. I fascynacji – w obu przypadkach – obcymi wzorami. Z Pałacem w Milocie wiąże się jeszcze jeden problem – kolonializm. Naśladownictwo europejskich wzorów miało podkreślać odrębność Haitańczyków. Pom-pée Valentin Vastey, pisarz, polityk i królewski doradca, powiedział: „wzniesiony przez potomków Afrykanów, pokazuje, że nie straciliśmy architektonicznego smaku i geniuszu naszych przodków”.

Firelei Báez stworzyła też inną pracę, już w samym budynku Akademii. „For Marie-Louise Coidavid” – kolejny fragment, tym razem wnętrza pałacu – z kominem, szczątkami rokokowych sztukaterii oraz uszkodzonym portretem żony króla Henriego Christophe’a. Artystka nie tylko wraca do pamięci o czasach kolonialnych, ale też stawia pytanie o miejsce w niej kobiet.

Kolonialne dziedzictwo to jeden z kluczowych wątków tegorocznego Biennale. Jak podkreśla Gabi Ngcobo: „postkolonialne warunki są codzienną rzeczywistością miejsc, z których pochodzimy. To pewnego rodzaju codzienne negocjacje z duchami przeszłości, które powracają, by nawiedzać teraźniejszość”. Jednak samo





PIOTR KOSIEWSKI X4



Dineo Seshee Bopape, *Untitled (Of Occult Instability) [Feelings]*, 2016–18, instalacja
Po lewej: Sam Samiee, *The Unfinished Copernican Revolution*, instalacja (fragment)

Biennale nie jest manifestacją twórców o postkolonialnych korzeniach (i oni nie chcą być tak jedynie postrzegani). Jest raczej przypomnieniem, że żyjemy w postkolonialnej rzeczywistości. Świat, w tym Europa, są inne po tym doświadczeniu (co w Polsce nadal jest rzadko dostrzegane). Ta sytuacja wymusza przemyślenie m.in. dotychczasowych narracji o przeszłości,

zwłaszcza pisanych z pozycji siły, posiadanej niegdyś władzy.

Jest jeszcze jedna, ważna perspektywa wpisana w Biennale: Berlina, jego historii i dnia dzisiejszego. Znaczący jest już sam wybór miejsc, w których zorganizowano wystawy. Jednym jest wspomniana już Akademia Sztuk Pięknych, założona w 1696 r. i będąca jedną z najstarszych instytucji kulturalnych w Europie. Drugim KW Institute for Contemporary Art (organizator Biennale), powstały zaraz po upadku muru berlińskiego i będący jednym z symboli nowego, kosmopolitycznego Berlina i nowych demokratycznych Niemiec. Trzecim zaś ZK/U – Center for Art and Urbanistics na terenie dawnej stacji kolejowej w berlińskiej dzielnicy Moabit – instytucja założona przed kilkoma laty i prowadzona przez kolektyw artystów. Te trzy miejsca to symbole trzech epok: formułującej się nowoczesności, globalizacji po 1989 roku i wreszcie świata czasu kryzysów.

Pojedyncze spojrzenia

Jeśli Biennale pokazuje zmierzch europocentryzmu, to jednocześnie – paradoksalnie – zdaje się przywracać znaczenie

europejskiej kulturze. „Illusions Vol. II, Oedipus” Grady Kilomba, portugalskiej artystki o zachodnioafrykańskich korzeniach, to powrót do historii Edypa. Poszczególne sceny są odgrywane przez aktorów o wielu odcieniach skóry. Jednak sam mit pozostaje niezmienny – jest to opowieść o miłości, pożądaniu, seksualności, zdradzie. Autorka kanonicznemu tekstowi przywraca znaczenie, pokazuje jego ponadczasowy wymiar – nie chce go jedynie pieczołowicie przechowywać na bibliotecznej półce, lecz na nowo odczytać i za jego pomocą stawiać pytania o współczesność.

Wbrew lękom rozmaitych konserwatystów, europejska tradycja nie ginie, lecz staje się częścią uniwersalnej opowieści, ważnej także dla tych, którzy swe korzenie mają w innych częściach świata. I być może ten proces – uznawania europejskiego dorobku za własny – tak naprawdę niepokoi obrońców „tradycyjnych europejskich wartości” i „tradycyjnej europejskiej kultury”. Oni bowiem nie potrafią im nadać aktualnego sensu. Tymczasem, jak parafrazowano na Biennale słowa zmarłej Niny Simone, kultura powinna być zawsze odzwierciedleniem czasu, w którym żyjemy.

© PIOTR KOSIEWSKI

Współpraca ROBERT ZAKRZEWSKI



Firelei Báez,

For Marie-Louise Coidavid, exiled, keeper of order, 2018, instalacja

Po lewej: 19° 36' 16.89" N, 72° 13' 6.95" W = / 52.4042° N, 13.0385° E, 2018, instalacja

10. BERLIŃSKIE BIENNALE SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ, Berlin, czynne do 18 września br.
Kurator Gabi Ngcobo

Sprostowanie

Pan Piotr Mucharski
Redaktor Naczelny
Tygodnika Powszechnego

Szanowny Panie Redaktorze,
W związku z artykułem pt. „Dobry serial”, autorstwa Kaliny Błażejowskiej, opublikowanym w „Tygodniku Powszechnym” na stronie 75 w wydaniu z dnia 27 maja 2018 r., nr 22 (3594), na podstawie przepisu art. 31a ustawy prawo prasowe Rzecznik Prasowy Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego wnosi o zamieszczenie sprostowania o następującej treści: „Nieprawdą jest, że minister kultury Piotr Gliński powiedział, iż szkoda mu czasu na kulturę”.

Uzasadnienie:

Artykuł opublikowany w wydaniu z dnia 27 maja 2018 r. na stronie 75 „Tygodnika Powszechnego” w wydaniu nr 22 (3594), autorstwa Kaliny Błażejowskiej zawiera nieprawdziwą informację: „Minister kultury otwarcie przyznaje, że na kulturę szkoda mu czasu: nie śledzi ani polskiej kinematografii, ani telewizji – nawet tej, którą nadzoruje”. Minister kultury Piotr Gliński nigdy nie mówił, że „szkoda mu czasu na kulturę”. Autorka artykułu nie podała okoliczności, miejsca ani daty, kiedy miałyby paść takie słowa. W związku z przytoczonym cytatem proszę o opublikowanie powyższego sprostowania.

Z poważaniem
Rzecznik Prasowy MKiDN
Anna Bocian

OD REDAKCJI: Zgodnie z wymogiem art. 32 p. 6 Prawa Prasowego do powyższego sprostowania możemy się odnieść dopiero w kolejnym numerze, co też uczynimy.



Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM
| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

Dezorientacja kota

ANITA PIOTROWSKA

Okazały klon rosnący przy jednym z bliźniaczych domów daje gospodarzom upragniony cień, podczas gdy ich sąsiadom odbiera słoneczne światło. Staje się zarzewiem konfliktu, a z czasem czymś jeszcze większym.

WISLANDZKIM KINIE NATURA RZADKO pozostaje obojętna. Weźmy choćby pokazywane u nas niedawno „Barany” Grímura Hákonarsona, gdzie odwieczny konflikt sędziwych braci wpisany został w surowe górzyste przestrzenie, łącząc nierozzerwalnym węzłem losy ludzi i zwierząt. Film „W cieniu drzewa” rozgrywa się co prawda na przedmieściach Reykjavíku, ale już w samym tytule skrywa naturalny porządek rzeczy. Okazały klon rosnący przy jednym z bliźniaczych domów daje gospodarzom upragniony cień, podczas gdy ich sąsiadom odbiera słoneczne światło. Staje się zarzewiem konfliktu, a z czasem czymś jeszcze większym.

W Polsce dyskusja wokół wycinki miałyby zapewne kontekst polityczny, podczas gdy dla bohaterów Hafsteinn Gunnar Sigurdssona to sprawa egzystencjalna, związana z poczuciem indywidualnej wolności, ale też z wielkim wyzwaniem, jakim dla ludzkich słabości okazuje się rozumny kompromis. W cieniu inkryminowanego drzewa rozgrywają się więc tragedie wielkie i małe, wynikające przede wszystkim z rozpadu więzi – małżeńskich, rodzinnych, sąsiedzkich. Nie radząc sobie w relacjach z innymi ludźmi, bohaterowie filmu inwestują emocjonalnie również w zwierzęta. I, jakkolwiek dziwacznie to zabrzmie, wszystkim przyjdzie zapłacić za to jakąś cenę.

Sigurdsson swój trzeci film buduje na przecięciu ekscentryzmu i banału. Seks uprawiany przez głośnych sąsiadów i cień rzucany przez rozłożyste konary uruchamiają ciąg zdarzeń tyleż zabawnych, co dramatycznych. Atli (w tej roli Steinþór Hróar Steinþórsson) podczas bezsennej nocy zostaje przyłapany przez żonę na oglądaniu pornografii, w dodatku ze sobą i dawną przyjaciółką w rolach głównych. Wyrzucony z domu, znajduje tymczasowe schronienie u rodziców, trafiając w sam

środek sąsiedzkiej waśni o wspomniany klon. Twórca „Innej drogi” dokonuje tu karkołomnego połączenia dwóch różnych wątków i stylów filmowego opowiadania: sceny z życia małżeńskiego, czyli beznadziejne próby Atiego, by wyjaśnić „nieporozumienie”, uratować swój związek, a przynajmniej utrzymać kontakt z córeczką, przenikają się z ekstrawagancką historią dwóch skłóconych par, dla których walka o drzewo stała się wyrazem głęboko skrywanych cierpień.

W tym miejscu można by zarzucić scenarzystom nadmierny „symetryzm”. Tak jak rodzice głównego bohatera cierpią z powodu tajemniczej śmierci starszego syna, tak ich młodszy sąsiedzi przeżywają frustrację z powodu swojej bezdzietności. Lecz choć podobne doświadczenia – utraty i braku – mogłyby ich ostatecz-



nie połączyć (łatwo wyobrazić sobie hollywoodzki film na podobny temat), w świecie Sigurdssona napędzają tylko spiralę bezsensownej zemsty.

Islandzki reżyser najlepiej radzi sobie w podpatrywaniu rozmaitych drobiazgów, neurotycznych reakcji czy międzysąsiedzkich złośliwości, aczkolwiek przedstawia je w bardzo migotliwym świetle. Zebranie wspólnoty mieszkaniowej może mieć potencjał komediowy, ale już koszenie trawnika przez nie lubianego sąsiada nakręca atmosferę rodem z thrillera. To zderzenie rozmaitych tonacji stało się cechą charakterystyczną skandynawskiego kina. Słychać je nawet na ścieżce dźwiękowej. Dudniąca, industrialna muzyka sąsiaduje ze wzruszającymi pieśniami w wykonaniu męskiego chóru, gdzie stary Baldvin (gra go znany z „Baranów” Sigurður Sigurjónsson) próbuje uśmierzyć ojcowską żalobę. I to właśnie warstwa dźwiękowa przeprowadza nas do nieoczekiwanego finału.

Oglądając „W cieniu drzewa”, można poczuć się niczym tytułowy bohater skeczu Monty Pythona, znanego u nas jako „Dezorientacja kota”. Reżyser trzyma nas przez większą część filmu w emocjonalnym zawieszeniu, serwując ciąg mniej lub bardziej intrygujących obyczajowych obrazków z życia islandzkich szaraków, by na koniec zamienić

wszystko w absurdalny, choć w tym przypadku również makabryczny spektakl. Dotychczasowa obojętność ustępuje miejsca zaskoczeniu i grozie. Raz zadzierzgnięty łańcuch złej woli produkuje ogniwa coraz bardziej toksyczne, oplata bohaterów coraz ciśnie, prowadząc do groteskowej erupcji.

Jesteśmy, jakby nie było, w kraju bulgoczących wulkanów. Pozorny spokój tamtejszego pejzażu, również w jego wersji zasiedlonej, jak i ciągły deficyt naturalnego światła, doskonale wyczuwa Monika Lenczewska, pochodząca z Polski autorka zdjęć, celowo beznamietnych i wyblakłych. Jeśli coś rozjaśnia ten ponury międzyludzki krajobraz, to specyficzny humor o cierpkim, nieoczywistym posmaku. Takie pomieszanie nastrojów ma komplikować nasze nastawienie wobec bohaterów. Bywają oni podli, irytujący, bezmyślni, lecz przy tym wszystkim jednak ludzcy. Kiedy jednak sam reżyser sięga po ostre narzędzia, rodem z krwawego thrillera, i zaczyna bawić się swoimi bohaterami, nasze współczucie zostaje wystawione na bardzo ciężką próbę. ©

W CIENIU DRZEW (UNDIR TRÉNU)

– reż. *Hafsteinn Gunnar Sigurðsson*.

Prod. Islandia/Francja 2017.

Dystryb. M2 Films.

W kinach od 22 czerwca.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [23 – 29 VI]

1. Pod opieką wiecznego słońca



Dokumentalny, reż. Witalij Manski, Łotwa/Czechy/Korea Północna/Niemcy/Rosja 2015, Canal+ Discovery, 23 VI, 14.00

W kraju Kim Dzong Una stężenie absurdu jest tak wielkie, że nawet wyreżyserowana w najdrobniejszych szczegółach pokazówka mimowolnie odśladania zakamuflowaną prawdę. Znany rosyjski dokumentalista towarzyszy z kamerą „idealnej rodzinie” z Pjongjangu, przemycając do filmu to wszystko, co wymknęło się decydującemu spod kontroli.

2. Łagodna



Dramat, reż. Siergiej Łożnica, Rosja/Francja/Niemcy/Holandia/Litwa 2017, Canal+, 27 VI, 0.35

Wybitny ukraiński reżyser po swojemu interpretuje opowiadanie Dostojewskiego, wykorzystując do tego zarówno temperament dokumentalisty, jak i surrealistyczną wyobraźnię. Oczami głównej bohaterki, granej przez Wasiłinę Makowcewą, oglądamy degrengoladę współczesnej, choć zarazem odwiecznej w swoich grzechach Rosji.

3. Happy End



Komediodramat, reż. Michael Haneke, Austria/Francja/Niemcy 2017, Cineman VOD

Tytuł filmu jest oczywiście ironiczny. Prorok europejskiego kina w formie łżejszej niż zazwyczaj dokonuje błyskotliwej rekapitulacji swej twórczości. Raz jeszcze opowiada o kryzysie rodziny, zmierzchu starej Europy, sprostytuowaniu sztuki i życiu w audiowizualnym matriksie. W rolach głównych również znani skądinąd Isabelle Huppert i Jean-Louis Trintignant.

4. Bardzo dziki kraj



Serial dokumentalny, reż. Maclain Way, Chapman Way, USA 2018, Netflix

„Kim są ci ludzie i jak długo tu zostaną?” – sześciodcinkowa historia sekty Osho pokazuje, w jaki sposób kontrowersyjny hinduski guru Bhagwan Shree Rajneesh rozwinął swoją działalność w USA. Komuna stworzona przez niego w 1981 r. na ranchu w stanie Oregon stała się polem eksperymentu, który po dziś dzień wywołuje wielkie emocje i prowokuje pytania.



M2 FILMS / MATERIAŁY PRASOWE

JAN

Klata:

Problem reprezentacji



NIE, PROSZĘ SIĘ USPOKOIĆ, NIE DAĆ SIĘ NABRAĆ tytułem: nie będę pisał o pilce nożnej na narodowym poziomie, sam się stawiam do pionu, są na szacownych łamach teższe pióra od piłki.

Wyjedźmy z Rosji do Hongkongu, bo tam właśnie zmagano się ostatnio z problemem reprezentacji, który zmierzono, zważono i policzono, a następnie ogłoszono wyroki czterech miesięcy pozbawienia wolności dla dwóch zasłużonych filmowców. Zarzuty? Przechowywanie 230 000 fałszywych banknotów różnych walut. Szkopuł w tym, że były to rekwizyty w wielokrotnie nagradzanym thrillerze szpiegowskim „Trivisa”. Filmie *nota bene* zabronionym w kontynentalnych Chinach, gdyż znalazły się w nim sceny przedstawiające chińskich oficjeli przyjmujących łapówki. W gotówce, jak rozumiem. W tej gotówce, która była dowodem na przestępstwo filmowców. Środowisko filmowców Hongkongu jest oburzone, nazwało wyrok bezprecedensowym w historii kinematografii, zwracając uwagę na możliwe reperkusje dla lokalnego przemysłu filmowego. Cho-

dzi zapewne o to, że w Hongkongu będzie można zrobić „Walkę o ogień” lub „Goryle we mgle”, ale już „Koloru pieniędzy II” Scorsese tam nie nakręci. Może robimy kolejny krok w kierunku społeczeństwa bezgotówkowego, ale mnie zajmuje jednak nie ekonomia, tylko problem *mimesis*. Jak pamiętamy, zagadnienie do pasji fascynujące również Daniela Olbrychskiego oraz jego szablę.

Ciekawe, czy w Hongkongu koncertował kiedyś zespół The Residents, słynący z występowania w tym samym czasie w dwóch różnych krajach. Nie było to trudne, zważywszy że nikt nie zna twarzy artystów, zasłanianych maskami przedstawiającymi gałki oczne w cylindrach. Myślę, że lokalny wymiar sprawiedliwości wyspy w delcie Rzeki Perłowej mógłby coś w sprawie Residentsów zrobić, ukarać tych fałszywych. Jestem pewien, że z entuzjazmem w Hongkongu przyjęty zostałby francuski performer Rémi Gaillard, przebijający się a to za kangura na polu golfowym, a to ślimaka przechodzącego na pasach. Swego czasu, elegancko wcieliwszy się w piłkarza, odbierał z rąk prezydenta Chiraca medal dla zdobywcy Pucharu Francji, później był także reprezentacyjnym siatkarzem oraz tenisistą, ba! wystąpił nawet w kulturowym konkursie Mister Universum, ale dość krótko. Zdaje się, że największym zainteresowaniem hongkońskich władz cieszyłby się Rémi Gaillard jako... fotoradar. Tak, tak, z sukcesem wypróbował jakże daleko idącą strategię reprezentacji na ulicach Francji – oto prawdziwie olśniewający film akcji. Warto rzucić okiem. Francuscy policjanci nie byli zachwyceni, ale internetu jeszcze nie zablokowali. Może wymiar sprawiedliwości w Hongkongu coś z tym wreszcie zrobi. ©

Lektor:

Poeta ludu bękartów



■ Breyten Breytenbach, **CIAŁO WĘDROWNE (SERMONES AD MORTUOS)**

Przełożył z afrikaans Jerzy Koch.

Wydawnictwo a5, Kraków 2018, ss. 174.

Biblioteka Poetycka pod redakcją Ryszarda Krynickiego, tom 103.

BREYTEN BREYTENBACH, URODZONY W 1939 R. W POŁUDNIOWOAFRYKAŃSKIEJ PROWINCJI PRZYLĄDKOWEJ, BYŁ CHYBA PIERWSZYM AUTOREM TWO- RZĄCYM W AFRIKAANS, KTÓRY DOCZekał się u nas książki – w 1980 r. w Wydawnictwie Literackim ukazał się wybór jego wierszy w przekładzie Andrzeja Dąbrowski. Poślowie miało formę listu do poety: „Drogi Breytenie – pisał tłumacz – obawiam się,

że ta książka zostanie Cię jeszcze w więzieniu”... Tak się też stało; Breytenbach, od 1961 r. mieszkający w Paryżu, gdzie poznał swoją żonę – Wietnamkę, wróg apartheidu zaangażowany w działalność polityczną, został aresztowany w 1975 r. podczas nielegalnego pobytu w kraju, otrzymał dziewięć- letni wyrok za „działalność terrorystyczną” i zwolniono go dopiero po siedmiu latach.

Walka z apartheidem i drakońska kara przyniosły mu światowy rozgłos, jednak Breytenbach już wtedy był przede wszystkim jedną z czołowych postaci literackiej sceny swojego kraju i znakomitym lirykiem. W ubiegłym roku otrzymał Międzynarodową Nagrodę im. Zbigniewa Herberta, a tom przygotowany przez Jerzego Kocha, najwybitniejszego polskiego badacza literatury południowoafrykańskiej, otwiera serię prezentującą laureatów tej nagrody. „Jesteśmy ludem bękartów o bękartim języku... To jest dobre i piękne”. Te prowokacyjne słowa Breytenbacha cytuje autor posłowania, tłumacząc pewien paradoks: oto język afrikaans, kojarzący się nam z ideologią apartheidu, jest w istocie jej zaprzeczeniem. „To język szczególnie – tłumaczy Koch

– materialny i mięsisty, XVII-, XVIII-wieczny miszmasz tego, co germańskie i koiśańskie (hotentockie), hinduskie i indonezyjskie...”. Dla Breytenbacha językiem domowym jest francuski, pisze także po angielsku, a po wyjściu z więzienia próbował pozostać przy angielszczyźnie, szybko jednak uznał, że wiersze pisać może tylko w afrikaans. Wybór przygotowany przez Jerzego Kocha zawiera przede wszystkim utwory z ostatniego ćwierćwiecza. Pokazuje poetę refleksyj- nad czasem, przemijaniem i śmiercią, wciąż jednak nie- słychanie mocno osadzonego w materialnej przestrzeni, w konkrety – czy jest to po- wracający wciąż pejzaż kraju dzieciństwa, czy też oderwane od natury wielkie miasto. A na pierwszej i ostatniej stronie okładki zobaczymy obrazy Breytenbacha – bo jest on także malarzem. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Mundial znad blatu



DZIESIĘĆ. PO TYLE JUŻ WIDZIAŁEM CZEREŚNIE. Ponieważ przyjąłem zasadę, że nie jadę owoców o cenie dwucyfrowej, bo to jednak skandal, to jeszcze złotówka dzieli mnie od dnia, kiedy kupię kilo, umyję je, chociaż dzieci nie patrzą, i odzyskam na krótką chwilę doświadczenie błogości, jaką niosły co roku ostatnie tygodnie szkoły. Działo się wtedy na jałowym biegu, spędzając czas na nudzie w kątach boiska lub – w późniejszej fazie edukacji – na desperackich próbach nadrobienia miłosnych zabiegów, zanim na dwa miesiące koleżanka miała zniknąć z codziennego horyzontu. Są tacy, co nawet przed maturą, mimo chimerycznej młodości, nie hołdowali zasadzie „co z oczu, to z serca”.

Czereśnie zżerane na ławce garściami z papierowej torebki, do której co lepiej wychowani wypluwali pestki. Zżerane do książek i do meczu. Wtedy jeszcze potrafiłem się tym interesować, zanim wszystko się tak „sprofesjonalizowało”, aż odeszła mi chęć oddawania choćby ćwierci uwagi przedsięwzięciu tyleż okrutnemu (chcielibyście, żeby wasz syn czy chłopak poszedł do fizycznej roboty tydzień po tym, jak wywalił sobie bark?), co cynicznemu. Gapię się na to z daleka, znad kuchennego blatu. Podobno grali taki mecz Maroko-Iran. Jakże mi zapachniało miętą i suszoną limonką, kardamonem i szafranem, zdecydowanie optuję w tej parze za remisem. A zaraz potem Hiszpania-Portugalia, tu dylematów jest jeszcze więcej. Między wytrawną, tnącą język jak zyletka manzanillą a białym portem, które mieszanę mniej więcej pół na pół z tonikiem jest pocieszczeniem w lepkie krakowskie wieczory, dzwoniąc kostkami lodu na moje daremne żale. Między rybami z Morza Śródziemnego a tymi z Atlantyku. Odruchowo wrzucamy Portugalię do jednego worka z jej sąsiadką i innymi krajami śródziemnomorskimi, chociaż w ścisłym sensie do nich nie należy nie tylko z powodu całkiem osobnego baroku.

Wiedział o tym dobrze dawny portugalski satrapa Salazar: kiedy w połowie lat 70. amerykański lekarz i biolog Ancel Keys kończył swoje badania nad tym, co potem zyskało nazwę „diety śródziemnomorskiej”, doszedł do wniosku, że zwyczajnie Portugalczyków idealnie pasują do wzorca. Jednak Salazar wymógł na nim, żeby swój kraj wyłączyć z tej koncepcji – przede wszystkim dlatego, że rozumiał, iż owa dieta opisuje pewien wybrany wycinek rzeczywistości jedzeniowej, konkretnie: strawę dla ubogich, prostą i przaśną. A jak każdy dyktator, był Salazar mi-

łośnikiem dumy, chwały i wysoko zatkniętych sztandarów, nie chciał więc, aby jego państwo było na świecie kojarzone z żarciem biedaków i prostaków.

Z dietą śródziemnomorską jest zresztą ostatnio większy kłopot. Prestiżowy „New England Journal of Medicine” ogłosił parę dni temu, że wycofuje fundamentalny artykuł sprzed pięciu lat, w którym na podstawie porządnym – jak się wydawało wtedy – badań na siedmiu tysiącach Hiszpanów udowodniono, że stosowanie tej diety o 30 proc. zmniejsza ryzyko zawału i udaru. Badacze musieli połknąć żabę – udowodniono im znaczne uchybienia przy doborze próby losowej, krótko mówiąc: nie była wcale ona tak losowa, żeby można było mówić o eksperymencie kontrolowanym. Nowy tekst, uwzględniający „niesolidność” próby, prowadzi do mniej więcej tego samego, ale zawiera bardziej miękkie sformułowania, nie ma już mowy o pewności, że kto leje oliwę i zjada owoce, tego lichy się nie ima.

Wieść o tym rozniosła się szeroko po mediach. Nie umiem się zdziwić, taka jest bowiem potrzeba naukowego pewnika, nawet kiedy korzyści z jedzenia mało, chudo, warzywne i liściasto są po prostu życiowo ewidentne. Zamiast zostawić nasz kapitał zaufania do uczonych w kwestii tego, że trzeba dalej się szczepić, szukamy potwierdzenia, że ćwiartka melona będzie lepsza na deser od lodów z polewą ciasteczkową. Albo miska czereśni zamiast nachosów z sosem serowym do meczu. Właśnie, pójdę sprawdzić, co moi koledzy pogryzają. A wynik? Nie ma znaczenia, porto czy manzanilla na dziś – bez różnicy. ©P

Jednym z filarów włoskiej kuchni są lasagne, a nie ma lasagni bez beszamelu, czyli rzeczy spoza „diety śródziemnomorskiej”. W lecie często bawię się w wersje warzywne, odrobinę lżejsze, ale i tak dające miły ciężar w brzuchu. Dopóki na targach jeszcze jest dobra, młoda botwina, możemy zrobić tak: buraczki z pęczka **botwiny** kroimy w cienkie słupki i dusimy na dwóch łyżkach **masła** z ząbkami **czosnku**, podlewając odrobiną wody, pod przykryciem, ok. 10 minut. Listki i łodygi drobno siekamy i dusimy osobno 2-3 minuty na **oliwie**, dodając obficie świeżego **tymianku**. Kroimy w talarki 3 małe **cukinie**, krótko smażymy na oliwie – tylko tyle, żeby lekko zmiękły. Osobno dusimy na **maśle** drobno posiekaną dużą **cebulę**, kiedy się zeszkli, wsypujemy 2 łyżki **cukru trzcinowego** i trochę wody (lub **białego wina**) i dalej delikatnie smażymy, aż się skarmelizuje. Robimy beszamel z ok. 600 ml **mleka**, 60 g **masła** i 60 g **mąki**, pod koniec wkruszamy doń 100 g **sera typu rokopół**.

Układamy warstwami w nasmarowanej solidnie masłem brytfance: beszamel, płaty makaronu, buraczki, beszamel, znów płaty, potem cukinia i cebula, znów beszamel, dalej płaty, duszone liście botwinki, znów płaty, na wierzch beszamel i jeszcze surowa

cukinia pokrojona w cienkie talarki dla ozdoby.

Wierzch można jeszcze posypać parmezanem. Pieczemy w 180 stopniach ok. 40 minut, aż ładnie się zacznie złocić na wierzchu. Smakuje najlepiej, jak trochę osiądzie. Nie żałujcie tymianku, on się kocha z buraczkiem.





OTO CZŁOWIEK

Celebryta? Multimilioner? Idol?

Słup reklamowy?

Podatkowy przestępca?

Pozbawiona emocji

maszyna do wygrywania?

Trzydziestolatek

z umysłowością dwunastolatka?

Zanim osądzicie – śpieszcie się
kochać Leo Messiego.

MICHAŁ OKOŃSKI



*Lionel Messi na ścianach
biednej dzielnicy Karaczi,
Pakistan, czerwiec 2018 r.*

AKHTAR SOOMRO / REUTERS / FORUM

O TYM, JAKI JEST NAPRAWDĘ LEO MESSI, WIADOMO BARDZO NIEWIELE: jak wszyscy wielcy piłkarze naszych czasów żyje w wieży z kości słoniowej, a wszelkie wiadomości na jego temat kontrolują spece od wizerunku. Podobno, niezależnie od reżimu zdrowego odżywiania narzuconego mu przez klub, najbardziej lubi pizzę z dużą ilością sera i słodkie napoje gazowane. Podobno spędza każdą wolną chwilę grając na playstation, wirtualne porażki przyjmując zresztą równie kiepsko jak te w realu. Podobno nie miał zielonego pojęcia, co podpisuje, gdy ojciec podsuwał mu dokumenty, dzięki którym uniknął zapłacenia fiskusowi śmiesznej w skali jego zarobków kwoty 4,1 mln euro. Czyżby rzeczywiście nigdy nie dorósł?

Jego historia naprawdę mogła się potoczyć inaczej – tak samo zresztą jak historia kraju, z którego pochodzi. Sto lat temu Argentyniacy tworzyli społeczeństwo rozwijające się najdynamiczniej w świecie, otwarte na imigrantów (wśród których byli włoscy pradiadkowie Messiego) i pełne optymizmu – nikaraguański poeta Rúben Darío określił ich wtedy mianem „janke-sów południa”. W 1928 r. ósma gospodarka świata, po fiasku „trzeciej drogi” charyzmatycznego prezydenta Peróna, po serii zamachów stanu, po „brudnej wojnie” junty z narodem i absurdalnym konflikcie zbrojnym z Wielką Brytanią, a w końcu po hiperinflacji i krachu finansowym, pod względem produktu krajowego brutto lokuje się dziś w szóstej dziesiątce. Jeśli idzie o rozwiane marzenia, z pewnością zajmuje miejsce w ścisłej czołówce.

W Argentynie nie spełniło się tak wiele nadziei, że opowieść o jeszcze jednym zmarnowanym talencie nie zrobiłaby już żadnego wrażenia.

Pchła bierze zastrzyki

O tym, jak wiele potrafi, jako pierwszy przekonał się Salvador Ricardo Aparicio, trener zajmujący się pracą z dziećmi na jednym z przedmieść Rosario. Kiedy pewnego dnia do jego szkoły przyszło tylko 13 chłopców i brakowało jednego, by rozegrać tradycyjnie kończący trening mecz siedmiu na siedmiu, postanowił doprosić bawiącego się w pył przed frontem zdezelowanej trybuny czterolatka (ponoć za namową pilnującej go babci). Ustawił chłopca na skrzydle, żeby w razie nagłego ataku płaczu szybko zdjąć go z boiska. Nie zdziwił się, kiedy dzieciak zignorował pierwszą zagrana w jego kierunku piłkę, później jednak oniemiał, bo kiedy kolejny raz futbolówka znalazła się w pobliżu lewej nogi malca, ten trącił ją, a potem popędził do przodu, mijając kolejnych rywali w zdumiewająco płynnym dryblingu. W domu nikt go tego nie uczył.

Talent „Pchły” zachwycał kolejnych szkoleniowców w równym stopniu, co martwił ich jego wzrost: jako siedmiolatek mierzył zaledwie 122 cm, a kiedy skończył 10 lat, urosł tylko o 5 cm. Endokrynolog orzekł, że jego organizm nie produkuje wystarczająco dużej dawki hormonów. Potrzebna była kuracja, wymagająca codziennych zastrzyków – problem w tym, że kosztowna. ➔

→ Kiedy jego dotychczasowy klub z Rosario ocalał się ze wsparciem leczenia, ojciec młodzieńca zaczął rozglądać się za innymi możliwościami, a w końcu kasetą prezentująca umiejętności Messiego dotarła przez ocean do Barcelony, gdzie przekonała działaczy na tyle, by ściągnęli go na testy.

Barcelona już wtedy działała jednak jak korporacja. Pierwszej drużynie nie szło zbyt dobrze, doświadczenia z grającymi tu wcześniej Argentyńczykami były różne, sprowadzanie tak młodego zawodnika, w dodatku z rodzicami, wydawało się ekonomicznie nieopłacalne, zwłaszcza że trzeba było kontynuować jego kurację hormonalną. W końcu, po prawie trzech miesiącach niepewności, dyrektor techniczny klubu Carles Rexach wybrał się na piwo z prowadzącym sprawę Messiego pośrednikiem. Przy stoliku w jakiejś knajpce, na podanej przez kelnera serwetce zadeklarował, że zamierza sprowadzić chłopca na stałe. Kiedy wiadomość dotarła za ocean, ojciec młodego zawodnika wyruszył w 60-kilometrową pielgrzymkę dziękczynną do sanktuarium maryjnego w San Nicolás.

Mały wielki człowiek

Wszystko, co wydarzyło się później, jest już nieusuwalną częścią historii piłki nożnej. Leo Messi stał się podstawowym zawodnikiem Barcelony trenowanej wówczas przez Pepa Guardiolo. Wraz z grupą innych, jak ich określił Marek Bieńczyk, „małych wielkich ludzi”, tworzył najlepszą (może obok Ajaksu Rinusa Michelsa) drużynę klubową w dziejach, grającą tzw. tiki-takę, czyli cierpliwie wymieniającą dziesiątki podań, a kiedy rywal był już tym kompletnie skołowany, dobijając go błyskawiczną zmianą tempa i niespodziewanym wykończeniem akcji. Tiki-taka była systemem wysoce ustrukturyzowanym, więc nieprzewidywalność Messiego, zdolnego do nagłego wyeliminowania z gry kilku rywali jednym dryblingiem, stanowiła jego kluczowy atut. Indywidualizm Argentyńczyka powodował, że „gra zespołu była mniej mechaniczna, nie mówiąc już o tym, że lepiej się ją oglądało” – pisze o tym badacz dziejów taktyki piłkarskiej i autor historii argentyńskiego futbolu Jonathan Wilson.

Początkowo ustawiany na prawym skrzydle, decyzją Guardioli zaczął pełnić w drużynie rolę tzw. fałszywej dziewiątki: teoretycznie był napastnikiem, ale obdarzonym przez trenera swobodą ruchów: cofającym się do środka pola w poszukiwaniu piłki, wyciągającym za sobą obrońców, otwierającym w ten sposób wolną przestrzeń dla kolegów. I strzelającym mnóstwo, nawet po 50 bramek rocznie. Próba opisanie tych najpiękniejszych, kończących rajdy, po których klaskali nawet kibice przeciwników, wydaje się z góry skazana na niepowodzenie.

Spróbujmy chociaż z jedną, strzeloną w meczu Barcelona-Getafe w 2007 r., biorąc za usprawiedliwienie fakt, że antropolog kultury Dariusz Czaja pisał o niej kiedyś w kategoriach Świętej Narracji o Cudownym Zdarzeniu, które ustanowiło „sakralny punkt zero, od którego zaczyna się nowy etap w historii futbolu”. Argentyńczyk minął wówczas jednego rywala, potem puścił piłkę nogami drugiego, gwałtownie przyspieszył, a po jakichś 25 metrach znalazł się naprzeciwko kolejnej dwójki przeciwników (trzeci, daremnie próbujący dotrzeć do

Wielu traktuje go jak mesjasza.

Wiwatują na jego widok, ale za parę dni będą wołać „ukrzyżuj”, na boisku zaś jego najbliżsi pogrążą się w drzemce. Kiedy wszystko się skończy, zostanie sam.

kroku, usiłował łapać go za koszulkę), ale tych także wyminął, wpadł w pole karne, objechał bramkarza i z ostrego już kąta przerzucił piłkę nad kolejnym obrońcą. Była to akcja, która wydawała się kopiować rajd najsłynniejszego dotąd argentyńskiego piłkarza, Diego Maradony, z rozgrywanego podczas mundialu w 1986 r. meczu z Anglią. Spór, która była doskonalsza – jak zauważa Wilson – kojarzy się z legendą o wczesnych latach futbolu znad La Platy i piłkarzu strzelającym cudowną bramkę po indywidualnej akcji, później zaś zacierającym pozostawione przez siebie ślady w boiskowym pyłu, by nikt nigdy nie powtórzył tego aktu wirtuozerii.

„Czy mamy zwinąć manatki i zająć się czymś innym? – chrypiał trener reprezentacji Argentyny Alfio Basile po innym голу Messiego, strzelonym 11 lat temu w meczu z Meksykiem. – Czy po zobaczeniu takiej bramki możemy w ogóle grać w piłkę?”.

Za mało argentyński

A przecież opowieść o człowieku, który przeprowadził wszystkie te akcje i który wygrywał z Barceloną Ligę Mistrzów, o licznych mistrzostwach i pucharach Hiszpanii nie wspominając, jest zarazem opowieścią o człowieku, który wciąż nie może się spełnić w drużynie narodowej i którego pogrążeni w nostalgii za świetlaną przeszłością rodacy traktują z wielką rezerwą.

Część powodów tej sytuacji jest zwyczajnie sportowa: liczni eksperci podkreślają, że gdy Messi dostaje piłkę w Barcelonie, podaje ją do kolegi i rusza na wolne pole, gdzie mógłby ewentualnie otrzymać ją po raz kolejny. W Argentynie, kiedy dostaje piłkę, pozostali stają i czekają, aż zrobi coś wyjątkowego.

Kuszące wydaje się w tym miejscu malowanie obrazu Atlasa, na którego barkach spoczywają losy ojczyzny („W tym nieszczytnym kraju największą radość dawał sport” – napisał kiedyś Carlos Fontanarrosa, więc zdanie o losach ojczyzny nie wydaje się przesadne), choć można się także zastanawiać, czy ów Atlas nie działa na pozostałych paralizująco i czy kilku co najmniej reprezentantów Argentyny nie byłoby w stanie odgrywać większej roli w drużynie, gdyby nie piętno jego osobowości.

Ale są i głębsze powody dystansu rodaków. Żeby je zrozumieć, warto cofnąć się o sto lat i spojrzeć na okładkę „Billiken” – pierwszego w dziejach Argentyny czasopisma dla dzieci. Nie przedstawia ona bynajmniej wzorowego ucznia w marynarskim mundurku, tylko poobijanego i rozzochranego łobuziaka ze szmacianką. W argentyńskiej kulturze taki bohater – *pibe* – jest jednym z najważniejszych. Mówimy o kimś, kto wyrasta ze społecznych nizin i kto uczył się futbolu na ulicach bądź na nierównych, ciasnych placach, zwanych *potreros* (rozmiary takiego placu wymuszały rozwijanie raczej techniki niż kondycji). O kimś, kto musi przedzierać się przez życie z mieszaniną uroku i sprytu, i kogo – nie ukrywajmy – niekoniecznie obchodzą zasady fair play. „Uczciwość jest dla uprzywilejowanych” – można streścić credo ułatwiające start w nowym świecie przyjeżdżającym do Argentyny w XIX i XX w. imigrantom albo miejscowym z interioru, próbującym wywalczyć sobie miejsce wśród wielkich posiadaczy ziemskich albo kontrolujących przemysł i handel Brytyjczyków.

Kiedy w latach 20. i 30. XX wieku argentyńskie społeczeństwo zmieniało się z wiejsko-rolniczego na miejsko-przemysłowe, a masowa emigracja z Europy wywoływała polityczne niepokoje, trzeba było szukać spoiwa narodowej tożsamości. Miejsce pełniących dotąd tę funkcję gauczów zaczęli pełnić piłkarze. Historia późniejszych związków między sytuacją w kraju a tym, jaki futbol uprawiają Argentyńczycy, jest fascynująca (mówiąc najkrócej: kiedy społeczeństwo pełne było optymizmu, piłkarze grali najpiękniej w świecie, kreśląc figury tanga na boisku i poza nim, podczas wieczornych zabaw; kiedy kraj pogrążał się w chaosie, a społeczeństwo traciło złudzenia – na murawie dominował antyfutbol, brutalne faule i cynizm), jedno się wszakże nie zmienia: wszyscy najwięksi piłkarze Argentyny, ergo wszyscy najwięksi idole tutejszego społeczeństwa, to właśnie *pibe*.

Ten obcy

Najbardziej klasycznym przykładem był oczywiście uwielbiany do dziś przez Argentyńczyków Maradona: urodzony w nędzy, jako dwulatek wpadł do szamba, a później przez całe życie rozpaczliwie się mიაռ, próbując – odwołując się do słów, które wykrzyczał wówczas ratujący go wujek – „trzymać głowę ponad głównem”. Piłkarz, który także w tym sensie był symbolem Argentyny i którego wielki talent kazał rodakom godzić się nie tylko z golem strzelonym ręką w meczu z Anglikami (to przecież przykład *vivezy* – owego sprytu, który tak wychwalają...), ale i z licznymi skandalami, tolerować uzależnienie od kokainy i powiązania z camorrą w czasach kilku lat gry we Włoszech, a w końcu przyjąć do wiadomości udział w aferze dopingowej podczas mistrzostw świata w 1994 r. *Pibe* ma prawo nigdy nie dorosnąć.

Otóż Messiego nie sposób jednak uznać za *pibe* i dziecko *potreros*. Status społeczny jego rodziny jest wyraźnie lepszy, a o tym, że wyjechał do Katalonii jako 13-latek i zamiast na ulicy szlifował swój talent w luksusowej akademii Barcelony, już wspomnieliśmy. Owszem, rodacy wymagają od niego tyle, co od Maradony (czyli zdobycia dla kraju mistrzostwa świata, co tamtemu udało się w 1986 r.), ale wybaczą znacznie mniej, puszczając mimo uszu uwagę pisarza Eduarda Sacheriego: „Messi nie ponosi żadnej odpowiedzialności, że my, Argentyńczycy, nie potrafimy przepracować żałoby po Diego”. Słowa o żałobie nie są bynajmniej retoryczną przesadą: w żyjącym przeszłością kraju na wieść o wykluczeniu Maradony z mundialu w 1994 r. za doping telewizja nadawała kompilacje jego najpiękniejszych

Ronaldo to Superman,
o boskim ciele
i nadnaturalnych
zdolnościach. **Messi jest
raczej Harrym Potterem
albo Piotrusiem Panem,**
który pozostaje na zawsze
w świecie dzieciństwa.

akcji, ilustrowane patetyczną muzyką, zupełnie jakby umarł, a nie przyjmował nie-dozwolone substancje.

Dlaczego nie śpiewa hymnu przed meczem reprezentacji, pytają o Messiego ci sami ludzie, którzy płakali wówczas po Maradonie, choć hymnu nie śpiewa wielu jego kolegów. Dlaczego tak rzadko się uśmiecha, chcą wiedzieć, chociaż ponuraków w argentyńskiej kadrze jest znacznie więcej. I dlaczego jest taki osobny.

„Kiedy reszta drużyny próbowała szukać pocieszenia w swoim towarzystwie, Messi stał samotnie pośrodku boiska – oddzielony od innych i świadomością własnego talentu, i związanych z nim oczekiwań

– pisał Wilson po przegranym przez Argentynę z Chile finale Copa América 2015. – Jego twarz tonęła w smutku. Po zejściu do szatni wybuchnął płaczem i płakał jeszcze, gdy wiozący drużynę autobus dojechał do hotelu. Ogrom krytyk i obelg, którym musiał stawić czoło w kolejnych dniach, był tyleż przewidywalny, co niesprawiedliwy. To prawda: ani w finale mundialu 2014, ani w finale Copa América nie zagrał wielkiego spotkania, ale z drugiej strony w obu tych meczach niemal cała energia rywali skupiała się na wyłączeniu go z gry; czy w takiej sytuacji ktoś inny nie mógł przejąć pałeczki?”

Najlepszy piłkarz Argentyny jest jak jej najlepszy pisarz, Jorge Luis Borges: obcy we własnym kraju.

Mozart i Messi

Najlepszy piłkarz Argentyny czy... świata? Kwestia „Ronaldo czy Messi?” towarzyszy nam od dekady, od 10 lat też zawodnicy Realu i Barcelony na zmianę wygrywają plebiscyty na najlepszego (mają ich po pięć). Zarabiają przy tym stosownie do prezentowanego poziomu sportowego: między 80 a 100 milionów dolarów rocznie, mieszcząc się w gronie najlepiej opłacanych celebrytów globu. Sławy, która ich otacza, nie sposób przełizczyć na pieniądzu.

Nie sposób też nie zastanawiać się nad wpływem, jaki ci dwaj wielcy sportowcy wywierają na miliony młodych ludzi, wieszających nad łóżkiem plakaty, noszących koszulki, idących do szkoły z plecakami, piórnikiem czy zeszytami z ich podobiznami. Z jakimi bohaterami mitycznymi mogą się kojarzyć? Czy Ronaldo nie jest kimś w rodzaju Supermana, o boskim ciele i nadnaturalnych zdolnościach? Czy Messi nie przypomina raczej Harry’ego Pottera, z jednej strony bardziej zwyczajnego, z drugiej, jak Piotruś Pan, na zawsze pozostającego w świecie dzieciństwa, wolnego np. od towarzyszącej portugalskiemu rywalowi seksualizacji?

→

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

MICHAŁ OKOŃSKI **Futbol jest okrutny**



Komentarze mundialowe czytaj na stronie „TP” i na blogu „Futbol jest okrutny”: okonski.blog.tygodnikpowszechny.pl

→ Odpowiedź na pytanie, który lepszy, brzmi w każdym razie: Messi. Argentyńczyk ustępuje oczywiście Portugalczykowi szybkością i siłą, a jego bramki są mniej efektowne, ale jest bardziej wszechstronny, więcej widzi, gra bardziej zespołowo.

Dariusz Czaja nie bał się porównywać go do Mozarta, nie tylko ze względu na mizerną posturę, bycie cudownym dzieckiem, rolę ojca w rozwoju jego talentu czy syndrom Piotrusia Pana. Píše o słowie „Mozart” jako kumulacji często podkreślanych cech tego kompozytora: lekkości, łatwości, improwizacyjnej swobody. O tym, że muzyka jakby spływała na twórcę „Don Giovanniego”, że tworzył niemal od niechcenia, jak dziecko. Kto kiedykolwiek uświadomił sobie, ile goli dla swoich drużyn Messi wykreował „z niczego”, rozpoczynając akcję gdzieś z dala od bramki przeciwnika, który zdawał się kompletnie panować nad sytuacją, ten wie, o czym mowa.

Nieznosny ciężar bytu

A jednak jest w tych zdaniach o lekkości coś zwodniczego. W najlepszej z licznych biografii Argentyńczyka, pióra Guillema Ballague’a, Carles Rexach, a więc człowiek, który przed laty sprowadził Messiego do Barcelony, zwraca uwagę na ważny problem (problem, dodajmy, dotyczący dziś także np. najlepszego polskiego piłkarza, Roberta Lewandowskiego): niezależnie od związanego z upływem lat starzenia się organizmu, z każdym kolejnym rokiem zwiększa się ciężar na zawodniku presja, a zmniejsza się radość, jaką daje udział w sportowym widowisku. „Gdy masz 20 lat, grasz z pełną swobodą – mówi Rexach. – Wyglupiasz się, ile tylko dusza zapagnie. Potem stopniowo spada na ciebie odpowiedzialność za wygrywanie meczów. Musisz wygrywać je w pojedynkę”.

Zjawisko to, towarzyszące Messiemu od wielu lat, ze szczególną siłą obserwowaliśmy właśnie podczas mistrzostw świata w Brazylii, zwłaszcza gdy w trakcie finału z Niemcami (z wysiłku? ze stresu?) wymiotował na boisko. Podobnie było podczas opisywanego przez Wilsona Copa América. Na mundialu w Rosji, stanowiącym – zważywszy na wiek 31-letniego dziś piłkarza – ostatnią szansę wygrania czegoś z Argentyną i dla Argentyny, będzie to widać jeszcze wyraźniej. W tym sensie zdanie wybite na okładkę jednej z książek o nim – że ostatni raz odczuwał presję, gdy miał osiem lat, a od tamtej pory gra dla przyjemności – jest oczywistą brednią sporządzoną przez piarowców.

Wszyscy pamiętający Messiego z dzieciństwa opisują go jako samotnika. W szatni Barcelony, onieśmielony, początkowo przebiegał się na korytarzu. W późniejszych latach również często uderzały jego małomówność i dystans. Guardiola wspomina, że Argentyńczykowi łatwiej było wysłać mu esemesa niż podejść i zapytać. „Może po prostu taki miał charakter, choć kusząca byłaby interpretacja, że to jego geniusz izolował go od otoczenia: że uświadomił sobie, iż potrafi robić coś, czego nikt inny nie potrafi, że to odróżnia go od innych, a może nawet nakłada jakiś rodzaj odpowiedzialności za rozwój swojego talentu” – pisał o tym Wilson, wtórując niejako interpretacji Rexacha.

Tak czy inaczej, opowieści o klawym życiu piłkarza wypadają włożyć między bajki.

Najlepszy piłkarz świata

Wspominając o mitycznych bohaterach, nie wymieniłem jeszcze jednego. Wielu traktuje przecież Messiego jak mesjasza. Wielu wiwatuje na jego widok, ale równie wielu niemal na-

tychmiast woła „ukrzyżuj”. Na boisku najbliżsi mu ludzie pograżają się w drzemce. Kiedy wszystko się kończy, zostaje sam. Czy jego historia rzeczywiście mogła się potoczyć inaczej?

Rosario, w którym się urodził, nie widziało go nigdy w meczu ligi argentyńskiej, ale widziało Maradonę, który kończył karierę w miejscowym Newell’s Old Boys. Kiedy miasto witało „boskiego Diego” jako najlepszego piłkarza świata, odpowiedział, że najlepszy już tu grał. Miał na myśli Tomása Felipe Carlovicha, zwanego „El Trinche”.

To właśnie Carlovich, kolejny *pibe* wychowany na *potreros*, wybrał inaczej niż Maradona czy Messi: kiedy zaczynał grę w pierwszej lidze i wielka kariera zdawała się leżeć u jego stóp, znalazł się w kadrze na wyjazdowy mecz. Przyszedł na miejsce odjazdu klubowego autobusu sporo przed czasem. Usiadł z tyłu, chwilę czekał, aż zjawi się reszta drużyny, ale w końcu, znużony, opuścił autokar i poszedł pokopać piłkę ze znajomymi z dzielnicy. Wśród opowieści na jego temat jest i ta, że zmusił sędziego do pokazania mu czerwonej kartki, bo tylko w ten sposób mógł zdążyć do domu na przyjęcie z okazji Dnia Matki.

Ci, którzy widzieli go w akcji (a są wśród nich największe autorytety argentyńskiej piłki, z byłym trenerem reprezentacji, prowadzącym na mundialu w Rosji Kolumbię José Pekermanem), twierdzą, że jego talent był faktycznie niebywały – problem w tym, że nigdy nie chciał oddalać się zbyt od rodziców, przyjaciół i knajpy, do której lubił zajrzeć po meczu. „Człowiek, który wychodzi na murawę i widzi przed sobą 60 czy 100 tysięcy widzów, nie może cieszyć się grą – twierdził sam Carlovich w jednym z nielicznych wywiadów. – Po prostu nie może grać, w ogóle. Ci wszyscy ludzie na trybunach, ich oczekiwania, ich obelgi...”.

Carlovich jest legendą także dlatego, że nie zachowały się żadne filmy z jego meczów. Kiedy nie mógł już grać, pracował jako murarz, ale wkrótce zaczął chorować na osteoporozę. Żeby sfinansować jego leczenie, w Argentynie organizowano mecze charytatywne, a w trakcie jednego z nich ktoś z dziennikarzy zapytał siedzącego na trybunie „El Trinche”, czy gdyby mógł jeszcze raz przeżyć swoje życie, chciałby coś zmienić. „Nie, proszę pana, proszę mnie o to nie pytać” – odpowiedział łamiącym się głosem, a potem zaczął płakać.

Czy istnieje szansa na zadanie podobnego pytania Messiemu? Czy odpowiedź mogłaby brzmieć tak samo? Czy tak samo by płakał? Dla Carlovicha od talentu ważniejsza była wolność – i jego wybór miał swoją cenę. Maradona wolność próbował sobie wywalczyć, nie rezygnując z talentu – i płacił straszliwie, a jego życie po zakończeniu kariery znaczący pobyty w klinikach psychiatrycznych i walka z uzależnieniem od narkotyków. Messi swoją wolność ograniczył do rozmiarów boiska. Ale przecież w końcu będzie musiał z niego zejść.

Na mundialu w Rosji jest rozliczany z goli i z tego, jak prowadzi Argentynę, ten nieszczęsny kraj straconych nadziei, do zwycięstwa. Jeśli mu się nie uda (a samemu udać mu się przecież nie może), ów multimilioner, celebryta i słup reklamowy znów stanie się kozłem ofiarnym.

© P MICHAŁ OKOŃSKI

Korzystałem m.in. z „Aniółów o brudnych twarzach. Piłkarskiej historii Argentyny” Jonathana Wilsona, która ukazała się właśnie w moim przekładzie nakładem wydawnictwa SQN, oraz z wydanej przez tę samą oficynę książki „Messi. Biografia” Guillema Ballague’a.

STANISŁAW

Mancewicz:

Pomiędzy sztucznym a naturalnym



OGŁOSZENIE PRZEZ JAROSŁAWA GOWINA NARODOWEJ strategii rozwoju sztucznej inteligencji jest znakomitą powodem do rozważań nad tutejszą specyfiką przyswajania cudzych wynalazków. Chcielibyśmy na początku rzec, że wizja funkcjonowania

sztucznej inteligencji w Polsce pobudza naszą ciekawość dlatego, że środowisko Gowina jest z gruntu antyinteligentne. Wieloletnia, narodowa strategia rozwoju antyinteligentności, stosowana w praktyce, miałaby się zatem przerodzić w strategię rozwoju inteligencji sztucznej? Tak odczytujemy te zamiary, najpewniej sensownie.

Cóż to mogłoby oznaczać w wersji tutejszej? Dalipan, nie wiadomo. Czy inteligentne maszyny miałyby – to chyba oczywiste – zwalczać inteligentnych ludzi, by oszczędzić czasu zapracowanym kolegom wicepremiera Gowina? A co będzie, gdy maszyny się zbuntują, zapiszą do salonu elit i rozpoczną arcyinteligentne zwalczanie ćwierćinteligentów?

Wypadałoby też zapytać, jak projekt strategii rozwoju sztucznej inteligencji ma się do odrazy, jaką koledzy pana Gowina odczuwają na dźwięk słowa „nowoczesność”. Przecież niemal zewsząd, ze wszystkich środowisk skupionych wokół Gospodarza słychać o szkodliwości nowoczesności, że oto należy pielęgnować dawność i tradycję, że należy za wszelką cenę sprzeciwiać się wpływowi śmiertelnych trucizn zdrazieckiego Zachodu, że swojskość i przesady muszą wreszcie zwyciężyć. Sztuczna inteligencja, oczywiście jeżeli słowo „in-

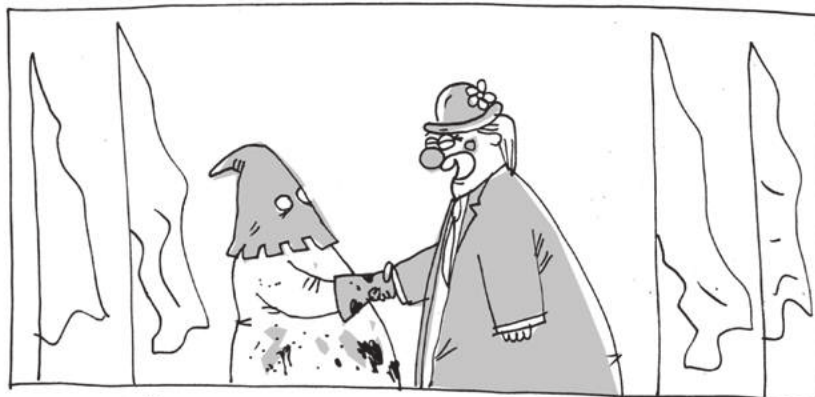
teligencja” jest w tej zbitce użyte świadomie, nie poradzi sobie z tym zestawem mniemań.

Wspomniana na początku specyfika przyswajania, czy raczej próbowania w przyswajaniu cudzych pomysłów, miała ostatnio swój dzień objawienia. Zaczniemy od ciekawości, bo tak chyba należy rozumieć inicjatywę prezydenta w formułowaniu pytań do referendum konstytucyjnego. Pytać to znaczy być ciekawym – stwierdzamy inteligentnie i na gorąco, zaś być ciekawym to znaczy być inteligentnym – zauważamy rezolutnie, bo oto ciekawość idzie przed wiedzą – tak mniemy. Zważywszy jednak, że mamy do czynienia z prezydentem, a nie z operatorem wózka widłowego, zasadne wydawałoby się założenie, że najwyższy urzędnik w państwie jednak to i owo o konstytucji wie. Tymczasem zestaw pytań przezeń ogłoszony skłania nas do postawienia diagnozy, że mianowicie przyswojenie, czym jest konstytucja, to jednak w Polsce kwestia przyszłości. Raczej dalszej niż bliższej.

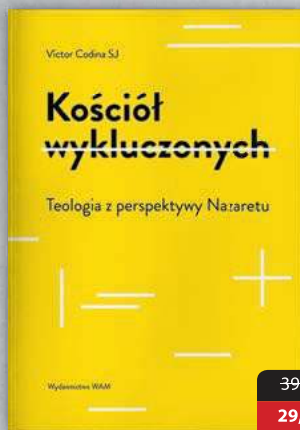
Jeżeli ktoś uważa, że opinia ta jest niesprawiedliwa, że jest wzięta z sufitu i niepoparta żadnym faktem, ten niech obejrzy sobie scenę z udziałem obojga prezydentostwa w barze szybkiej obsługi. Co ciekawe, a jest to wtręt, ów bar z sukcesem zastąpił aule uniwersyteckie wypełnione rzeszami konstytucjonalistów, nieodwiedzane przez pana prezydenta w odróżnieniu od stacji narciarskich czy imprez, na których zawzięcie tańczy, śpiewa i recytuje.

Oto nigdy i nigdzie dotąd prezydent na temat konstytucji nie powiedział tak wiele, mówiąc równocześnie tak niewiele, jak we wspomnianym barze. Podobnież jego małżonka. Trudno jednak nie zwrócić uwagi na *de facto* pierwsze słowa wypowiedziane, odkąd pełni funkcję tzw. pierwszej damy. Było to wyrażenie kosmicznego zdumienia w reakcji na pytanie zadane przez przypadkową obywatelkę, dlaczego oto jej mąż konstytucję łamie. Niemal identycznym zdziwieniem i malującym się poczuciem krzywdy zareagował jej mąż, a była to także pierwsza werbalna reakcja prezydenta kraju na kierowane wobec niego zarzuty o niekonstytucyjności jego poczynań. To wszystko może sugerować, że pan prezydent z żoną po prostu nie wiedzą, o co – jak mówi młodzież – kaman. Nie ciekawią nas za bardzo fasony garsonka, nie ciekawią nas narciarze ani tancerze, ale zaiste odmiany i poziom oderwania od rzeczywistości już owszem. To jest nasza specjalność i tu, i teraz. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



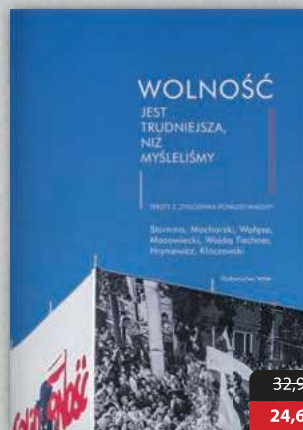
HISTORYCZNE SPOTKANIE DLA POKOJU

POZNAJ NOWOŚCI **WYDAWNICTWA WAM**RABAT **-25%**

39,90 zł

29,92 zł

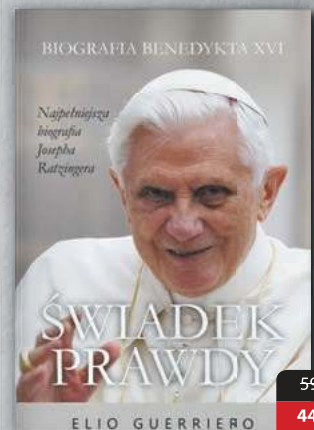
Kościół wraca do prostoty Nazaretu. Ludzie wykluczeni, ubodzy, żyjący na marginesie są uprzywilejowanym źródłem refleksji Kościoła. Niezwykle odważna książka teologa pracującego w południowoamerykańskich slumsach.



32,90 zł

24,67 zł

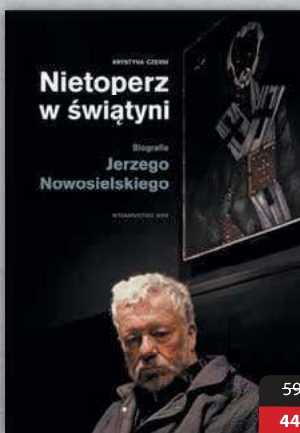
Wybitni intelektualści i prawie 20 lat wolnej Polski: Tischner, Stomma, Kłoczowski, Wajda, Modzelewski. Teksty publikowane po 1989 roku na łamach „Tygodnika Powszechnego” nie straciły na aktualności.



59,90 zł

44,92 zł

Niezwykle bogaty obraz jednej z najważniejszych postaci Kościoła ostatnich dziesięcioleci. Monografia pewnej epoki – epoki Ratzingera.



59,90 zł

44,92 zł

Mystyk, malarz i grzesznik. Fascynująca opowieść o Jerzym Nowosielskim, w którego sztuce cała rzeczywistość podlega uświęceniu.

MANDO

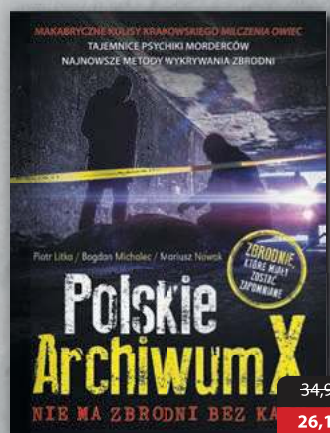


39,90 zł

29,92 zł

Wizjoner, który wymyślił życie. Nie tylko swoje. Pierwsza pełna biografia Piotra Skrzyneckiego.

patronaty honorowe



34,90 zł

26,17 zł

Współtwórcy krakowskiego „Archiwum X”, w toku wielu śledztw przeszli szkołę, w której lekcje prowadzili najokrutniejsi przestępcy. Ta książka jest tego świadectwem.

**Camino de Santiago. Między historią, legendą i mitem**

Historia i legenda, które wzajemnie się przenikają. Poczuj wyjątkową atmosferę Camino i odkryj fenomen jedyne w swoim rodzaju szlaku.

34,90 zł

26,17 zł

Camino Portugués

Wszystkie informacje potrzebne do zaplanowania i przejścia najchętniej wybieranej przez Polaków drogi do Santiago de Compostela, uwzględniając różne warianty trasy.

44,90 zł

33,67 zł

Camino de Santiago

Nowe, zaktualizowane wydanie najdokładniejszego i najbardziej kompletnego polskiego przewodnika po Camino de Santiago.

44,90 zł

33,67 zł

ZAMÓWIENIA
KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA



zamowienia@wydawnictwowam.pl
tel. 12 62 93 260

Przy zamówieniu prosimy podać kod **TP38**
Przy zakupie od **50 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**

GOŚCIE FESTIWALU 2018:

KAMILA BUCHALSKA
ANDRZEJ GOWARZEWSKI
ŁUKASZ DZIEDZIC
MAGDA HEYDEL
MAYA JASANOFF
LENA KITSOPOULOU
ZOFIA KRÓL
WOJCIECH KUCZOK
JANUSZ MARGAŃSKI
AMANDA
MICHALOPOULOU

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

MAGAZYN
CONRAD 02

„TP” 26/2018

JAN-WERNER MÜLLER
BOGNA ŚWIĄTKOWSKA
AGATA SZYDŁOWSKA
WELLS TOWER
THOMAS URBAN
DAVID VANN
MARCIN WICHA

CONRAD 2018

CONRAD

02

2018

CONRAD FESTIVAL

Festiwal Conrada 22 – 28 października 2018



GRZEGORZ JANKOWICZ

Kategorie, które wybraliśmy na tytuły poszczególnych dni dziesiątej edycji Festiwalu Conrada – Poprawność, Popularność, Popęd, Populizm, Popkultura, Popłoch i Popyt – można przyporządkować do różnych dyscyplin nauki: politologii, psychologii, ekonomii etc. Każda z tych nauk ma właściwy sobie język służący do opisu zjawisk współczesnego świata. Gdy wymyślaliśmy tegoroczną siatkę pojęć, nie chodziło nam jednak o to, by stworzyć koalicję nauk i wykorzystać ich połączone siły do jeszcze wnikliwszej analizy rzeczywistości. Choć możliwość taka jest kusząca, postawiliśmy przed sobą inny cel.

Kluczową dla nas dziedziną jest literatura. To z jej perspektywy, a mówiąc ściślej: z jej wnętrza, spoglądamy na świat, to za pomocą jej języka inicjujemy kolejne dyskusje o najważniejszych w naszym przekonaniu problemach, z którymi mierzą się dziś tak jednostki, jak i całe wspólnoty. Dlaczego właśnie ona – literatura? Dlatego, że ukazuje rzeczywistość w całej złożoności, nie dążąc do natychmiastowej oceny, a wręcz ją powstrzymując, by możliwe stało się zaobserwowanie tych aspektów naszego doświadczenia, które zazwyczaj umykają. Mówiąc inaczej: jest lekcją uwagi, dzięki której możemy więcej percypować i rozumieć.

Zaproponowane przez nas pojęcia – jak zauważa Janusz Margański w szkicu o Ernieście Wilimowskim – mogą posłużyć do opisu zachowania organizmów żywych w kulturze, a zarazem są nazwami symptomów rozmaitych chorób (egzystencjalnych, psychicznych, politycznych...), na które owe organizmy zapadają. Z podobnych kategorii literatura tworzy matryce generujące opowieści. O czyichś emocjach opowiada za pomocą figury popędu albo popłochu, wskazując na obecność w naszym wnętrzu sił, nad którymi nie mamy pełnej kontroli, a które wpływają na podejmowane przez nas decyzje, determinują nasze postępowanie, ukierunkowują interakcje ze światem i z innymi. W ten sposób literatura coś przed nami odsłania, coś nam przybliża.

Nikt nikomu nie może zagwarantować lekturowego sukcesu, ale zdarza się, że po przeczytaniu powieści lub opowiadania, eseju lub wiersza pokrywa zamrażniętego morza wewnątrz nas pęka, dzięki czemu udaje nam się poczuć i zrozumieć sens jakiegось doświadczenia. Festiwal Conrada jest dla wszystkich, ale najbardziej dla tych, którzy owego sensu nie potrafią i nie chcą się wyrzec.

©© GRZEGORZ JANKOWICZ

DYREKTOR PROGRAMOWY FESTIWALU CONRADA

W NUMERZE



03

MICHAŁ SUTOWSKI
Populizm nasz powszedni



16

KAMILA BUCHALSKA
Świat bez upiększeń



07

AGATA SZYDŁOWSKA
Krój narodowy



20

DAVID VANN
Legenda o niewinności



10

JANUSZ MARGAŃSKI
Sztuka znikania



24

ZOFIA KRÓL
Z której strony wieje wiatr?



14

PROGRAM
Festiwal Conrada 2018:
POP



27

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI
Marynarze wszystkich krajów,
łączcie się!

Redakcja Grzegorz Jankowicz
Okładka Marek Zalejski
// foto Hulton Archive / Getty Images

Skład Artur Strzelecki
Fotoedycja Grażyna Makara,
Edward Augustyn



CONRAD FESTIVAL Organizatorzy:

KRAKÓW
UNIVERSITY OF LITERATURE

kbf★



www.conradfestival.com

Zespół Festiwalu Conrada:

Dyrektor artystyczny – Michał Paweł Markowski

Dyrektor programowy – Grzegorz Jankowicz

Menedżer Festiwalu – Urszula Chwalba (uchwalba@biurofestiwalowe.pl)

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



NARODOWY
PROGRAM
ROZWOJU
CZYTELNICTWA

Populizm nasz powszedni

MICHAŁ SUTOWSKI

Z populizmem, mogłoby się wydawać, jest jak z pornografią według sędziego Pottera Stewarta: „rozpoznamy, kiedy go widzimy”. Bo to chyba oczywiste: Kaczyńskiego, Orbána czy Trumpa wiele różni, ale na pierwszy rzut oka widać, że to populiści.

Ten wielki fenomen współczesności to intelektualna zagwozdzka, z którą mierzymy się od dawna. Palicho, że od dwóch co najmniej dekad służy za cep do okładania po głowie politycznych przeciwników, skoro nawet akademiccy badacze nie mogą się z nim uporać. Z tezą, że „widmo krąży po Europie, widmo populizmu”, autorzy opasłego tomiszczka pod redakcją Ghity Ionescu i Ernesta Gellnera godzili się już w 1969 r., ale nie mogli ustalić wspólnej definicji tego terminu.

Do dziś używa się go w różnych, nieraz sprzecznych znaczeniach, częściej z intencją polemiczną niż poznawczą. Według

mnie najprecyzyjniej ujął tę kwestię amerykańsko-niemiecki politolog z Uniwersytetu Princeton Jan-Werner Müller. Jego esej „Co to jest populizm?” świetnie porządkuje rzecz pojęciowo, zaś wcześniejsze i obszerniejsze dzieło – „Przeciw demokracji. Idee polityczne XX wieku w Europie” – podsuwa historyczne analogie, tropy i konteksty populizmu.

Czysty naród

Zacznijmy od poznawczych manowców, by później wyjść na prostą. Zdaniem Müllera cztery najpopularniejsze dziś rozumienia populizmu więcej zaciemniają, niż wyjaśniają. →

Buckeberg, Niemcy, 1935 r.



→ Po pierwsze, wątek klasowy, a więc populizm jako ruch pewnych warstw społecznych, np. uboższego chłopstwa czy drobnych przedsiębiorców (choćby ze statystyk wyborczych wiemy, że partie populistyczne często łączą zróżnicowane elektoraty, a do tego w różnych krajach orientują się na zupełnie inne grupy – od klasy średniej na Węgrzech po masy biednych w Ameryce Łacińskiej).

Po drugie, utożsamienie populizmu z demagogią i odwołaniami do potrzeb „prostego człowieka” w kontrze do elit (rozwiązania uproszczone czy „nieodpowiedzialne” znajdziemy w ofercie każdej opcji politycznej, zaś napięcie między interesami partykularnymi i dobrem wspólnym to element każdego działania zbiorowego).

Po trzecie, wyjaśnienia psychologiczne („polityka resentymentu”, motywowana uprzedzeniami, czy „irracjonalna”, względnie emocjonalna i „wroga rozumowi”, to również zjawisko raczej powszechne niż specyficzne, abstrahując od rozmycia i skrzywień ideologicznych wszystkich tych pojęć).

Wreszcie, po czwarte, interpretacja historyczna przez auto-definicję (jako populistyczne przedstawiały się w przeszłości najprzeróżniejsze ruchy: np. drobni farmerzy z amerykańskiego Południa pod koniec wieku XIX czy rzecznicy rdzennej ludności Boliwii z początku wieku obecnego).

Czym zatem jest populizm? Jak pisze Müller, to „szczególny rodzaj moralizującej wyobraźni politycznej i taki sposób postrzegania świata politycznego, który ustawia moralnie czysty i w pełni zjednoczony – choć (...) zupełnie fikcyjny – naród czy lud naprzeciw elitom, ukazywanym jako skorumpowane bądź z innego powodu gorsze moralnie” (wszystkie cytaty w moim tłumaczeniu). To jednak nie wszystko: „Oprócz bycia przeciwko elitom, populiści zawsze są przeciwni pluralizmowi: twierdzą, że to oni i tylko oni reprezentują naród. Ich polityczni konkurenci to tylko część niemoralnej, skorumpowanej elity, a przynajmniej tak populiści twierdzą, kiedy sami nie mają władzy; tworząc rząd, nie uznają już niczego takiego jak prawowita opozycja”.

Za francuskim filozofem Claude’em Lefortem Müller wskazuje, że ów reprezentowany przez populistów prawdziwy, czysty naród to jednak fikcja, którą „trzeba najpierw »wydestylować« z całkowitej sumy faktycznych obywateli”. Za tym wszystkim stoi zaś charakterystyczne „przekonanie, że wspólnota polityczna nie powinna być podzielona i że możliwe jest, by naród był jednością i miał – wspólnego dla wszystkich – jednego prawdziwego reprezentanta. Zasadnicza teza populizmu jest zatem umoralnioną formą antypluralizmu”. Dodajmy wreszcie, że „populizm zakłada argumentację *pars pro toto* i roszczenie do wyłącznej reprezentacji, przy czym jedno i drugie rozumiane jest w sensie moralnym przeciwstawionym empirycznemu”.

Populizm zatem to nie ideologia, choć często odwołuje się do różnych doktryn, języków i tradycji, w Europie częściej prawicowych, w Ameryce Łacińskiej – lewicowych. Przecistawia

lud elitom, ale nie chodzi tu o empiryczne warstwy społeczne ani ich interesy materialne (wszak Donald Trump nie pochodzi z ludu), lecz o kategorie moralne i estetyczne, wytwarzane instrumentami polityki.

Nie chodzi też o wolę ludu/narodu, którą można zmierzyć np. w sondażu, referendum czy po prostu wyborach, ale o jego substancję, którą populistyczny lider definiuje i z którą siebie utożsamia. Stąd np. wygrana populisty w wyborach tylko potwierdza jego prawo do reprezentacji (a nie jest jego źródłem), zaś porażka jest symptomem „pomyłki” lub wprost instytucjonalnego oszustwa (fałszerstwo, manipulacja mediów, etc). Utożsamienie oznacza z kolei tyle, że lider nie rządzi „z woli ludu, przez lud i dla ludu”, lecz jako lud/naród, on nim po prostu jest. Nie przypadkiem w Wenezueli głoszono hasło, że „wraz z Chávезem rządzi naród”.

Dalej, ten naród jest monolitem, a nie pluralistyczną całością czy, nie daj Boże, wielością. Jego „elity”, ale także odmienicy, dysydenci czy krytycy zostają po prostu z narodu wypisani. Świetnym przykładem syntezy takiego wykluczenia był stosunek amerykańskiej prawicy do Baracka Obamy: uosabiał on jednocześnie skorumpowaną i wyalienowaną elitę Wschodniego Wybrzeża oraz – jako rzekomo nieurodzony na terytorium Stanów Zjednoczonych – „obcoplemieńca”. Wreszcie, roszczenie populistów do reprezentacji jest wyłączne. O ile okupujący Wall Street mówili: „jesteśmy 99 procentami” (narodu), a manifestanci z Lipska w 1989 r.: „my także jesteśmy narodem”, o tyle populiści mówią: „to my (i tylko my!) jesteśmy narodem”.

Destylacja ludu

Czy tak rozumiany populizm to zjawisko nowe? Jan-Werner Müller na temat historycznych korzeni populizmu pisze niewiele, acz zarówno w jego eseju, jak i w „Przeciw demokracji” znajdziemy kilka pożytecznych tropów prowadzących nas do jego ideowych źródeł i przyczyn powstania. Przede wszystkim populizm, jak niemal wszystkie dziś nurty polityczne, powołuje się na demokratyczny ideał. W „Co to jest populizm?” czytamy, że „wciąż »demokracja« pozostaje najwyższą polityczną nagrodą, skoro nawet rządy autorytarne płacą ogromne sumy lobbystom i ekspertom od PR-u, by zagwarantować sobie uznanie przez międzynarodowe organizacje i zachodnie elity za prawdziwe demokracje”. W tym sensie także i nasi bohaterowie są nieodrodnymi dziećmi XX w., „gdy wraz z nastaniem »masowej demokracji« pojawiła się potrzeba masowej legitymizacji”. Od tamtego czasu – to już słowa wstępu do „Przeciw demokracji” – „nawet polityczne eksperymenty odcinające się od demokracji liberalnej – z jednej strony realny socjalizm i komunistyczne społeczeństwo przyszłości, jakie obiecywał, z drugiej faszyzm – odwoływały się do pewnych demokratycznych wartości. Czasem nawet twierdziły, że to one reprezentują prawdziwą demokrację”.

I tu dochodzimy do sprawy kluczowej: demokrację dawało się już wówczas pomyśleć w oderwaniu od empirycznego wyboru

JAN-WERNER MÜLLER:

Populizm to szczególny rodzaj moralizującej wyobraźni politycznej i taki sposób postrzegania świata politycznego, który ustawia moralnie czysty i w pełni zjednoczony – choć zupełnie fikcyjny – naród czy lud naprzeciw elitom.



ANTOINETTE DOYEN / LEEIMAGE / EAST NEWS

JAN-WERNER MÜLLER

(ur. 1970) – niemiecki historyk i politolog. Profesor na Wydziale Politycznym Uniwersytetu Princeton w USA. Współpracuje z ważnymi tytułami prasowymi na całym świecie, m.in. „Die Zeit”, „Süddeutsche Zeitung”, „The London Review of Books”, „Foreign Affairs” czy „The Guardian”. W swojej pracy zajmuje się przede wszystkim historią totalitaryzmów europejskich XX w. Autor wielu publikacji, na polski przełożono dwie: „Przeciw demokracji. Idee polityczne XX wieku w Europie” (2016) oraz „Co to jest populizm?” (2017).

czy sondaży, za to w związku z symboliczną „substancją”. Jak pisał już w 1923 r. cytowany przez Müllera Carl Schmitt: „Oddany nawet przez 100 milionów prywatnych osób głos nie jest wolą ludu ani opinią publiczną. Wolę ludu można przez akklamację, przez oczywistą, jednoznaczną obecność wyrazić równie dobrze, a nawet lepiej niż przez odwoływanie się do statystycznej metody obliczania głosów, tak troskliwie udoskonalanej od przeszło półwiecza. Im silniejsze stają się przekonania demokratyczne, tym bardziej upowszechnia się poczucie, że demokracja oznacza coś więcej niż tylko system rejestrowania głosów oddanych tajnie w wyborach. Z perspektywy demokracji bezpośredniej nie tylko w technicznym, lecz także w witalnym sensie parlament jako instytucja liberalnej proveniencji wydaje się sztuczną maszyną. Metody dyktatorskie i cezariańskie natomiast mogą nie tylko mieć ugruntowanie w akklamacji ludu, lecz także stanowić bezpośredni wyraz substancji i siły demokracji” (przeł. Marek A. Cichocki).

Schmitt zatem dał wyraz kluczowemu napięciu, z jakim mierzą się populiści dziś: napięciu między symboliczną „substancją” a empiryczną podstawą ludu. Żeby je znieść, naród trzeba – jak się

rzekło – odpowiednio „wydestylować”. Historycznie robiono to na dwa sposoby, które odpowiadały dwóm typom reżimów: aktywistycznemu (w stylu faszystowskich Włoch) i zachowawczemu (w rodzaju Portugalii Salazara). W pierwszym przypadku zakładano, że naród to wspólnota wyobrażona i poczęta w wyniku aktu woli – woli przywódcy, dodajmy, z którą obywatele powinni się zidentyfikować w efekcie narodowej pedagogiki o powszechnym zasięgu. W drugim przypadku chodziło przede wszystkim o zakonserwowanie starej struktury społecznej z jej systemem przywilejów – pedagogika miała być bardziej tradycyjna i nastawiona raczej na demobilizację polityczną, posłuszeństwo i konformizm.

Te dwa sposoby „destylacji ludu” – jego rekonstrukcja wokół projektu oraz konserwacja układu przywilejów i hamowanie spontanicznych trendów społecznych – to bieguny, między którymi oscylują współczesne reżimy populistyczne. W zależności od potrzeb i zastanego układu sił mogą aranżować „rewolucję demograficzną klasy średniej”, promować „genetyczny patriotyzm”, względnie powstrzymywać zalew nihilizmu, *gender* i multikulturalizmu.



Grunt pod populizm

→ Wśród idei politycznych XX w., które budzą skojarzenia z dzisiejszą sytuacją i zarazem tworzą kontekst populistycznej fali, warto wymienić jeszcze cztery. Po pierwsze, „kryzys demokracji” (zwłaszcza tej reprezentacyjnej). Diagnoz dezintegracji społeczeństwa i załamania się dyscypliny społecznej, bezsilności przywódców i alienacji obywateli z początku lat 70. trudno nie czytać z poczuciem *déjà vu*, podobnie jak diagnoz Samuela Huntingtona o „ludziach, którzy chcą zbyt wiele od rządu i zbyt wielkiego udziału w rządzie” (przeł. MS). Po drugie, fantazja technokratyczna z tego samego okresu, która przez ostatnie czterdzieści lat zamieniła się w powszechną praktykę: niewiara w możliwość dobroczynnej ingerencji państwa np. w gospodarkę i postulaty zostawienia polityki biurokratom, które najpełniej wyraził wówczas Niklas Luhmann, przyniosły w końcu politykę, gdzie „rzeczy mają się dokładnie tak, jak się muszą mieć”.

Trzecia, może najważniejsza kwestia, to wyczerpanie się legitymacji „etosu konstytucyjnego”. Systemy powojennej Europy po doświadczeniu dwóch wojen światowych i Zagłady budowano w strachu przed nieograniczoną dynamiką polityki i nieskrępowanymi masami. Stąd wzięły się powszechne ograniczenia suwerenności parlamentów przez sądownictwo konstytucyjne, organizacje międzynarodowe, ale także konserwatywną nadbudowę „prawa naturalnego”, kulturę konsensusu i „oddramatyzowanie” polityki. Krótko mówiąc: nie wszystko było wolno ludowi i reprezentującej go władzy. Tylko że ćwierć wieku po wojnie zaczęto już zapominać dlaczego, a gorset dyscypliny kolejne pokolenia wyraźnie uwierał. Europie Wschodniej ów etos konstytucyjny zaaplikowano z opóźnieniem, bo dopiero po 1989 r. Później też, ale za to szybciej, zaczął się on wyczerpywać u nas – jako mniej zakorzeniony, pozbawiony pamięci swych źródeł, zdaniem wielu wprost narzucony.

Wreszcie, czwarta kwestia to specyfika trendów ideowych naszego regionu od połowy lat 70. Na kryzys państwowego socjalizmu i wyczerpanie się projektu rewizjonistycznego w Czechosłowacji dysydenci zareagowali wezwaniem do życia w prawdzie i obrony indywidualnej godności, zamieniając politykę na „moralność stosowaną w praktyce”, moralność, która „nie ma usprawniać funkcjonowania społeczeństwa”, jak mówił Jan Patočka, lecz „pomóc człowiekowi być człowiekiem”. Inny dysydent, Václav Benda, postulował budowanie „równoległej polis”, a więc struktury podobnej do tego, co poznaliśmy za sprawą KOR, ale tam nie zdołała ona rozwinąć skrzydeł. W Polsce poszło lepiej – odpowiadano samoorganizacją społeczną i naciśnięciem na władzę państwową w duchu „nowego ewolucjonizmu” Adama Michnika, którego kulminacją była eksplozja masowego ruchu społecznego. Po jego stłumieniu zostało z niego jednak elitarne, kadrowe podziemie, masom zaś moralizacja polityki w skali narodowej.

Mamy zatem załamanie form reprezentacji diagnozowane od prawie półwiecza i pochod neoliberalnej technokracji, których łącznym skutkiem jest zbiorowe poczucie braku sprawczości – to problemy trapiące cały świat zachodni. Legitymacja demokracji konstytucyjnej dostała niejako rykoszetem, gdy dostrzeżono, że dawne reguły ograniczają wolę suwerena, ale już nie ekscesy kapitału czy samowolę elit. I jeszcze nasz kontekst lokalny, gdzie na gruzach ruchów społecznych politykę zamieniono w jednostkową (dla elit) lub zbiorową (dla mas) moralność. A skoro do tego „żaden z instytucjonalnych pomysłów dysydentów nie przetrwał roku 1989”, skoro zanikł ideał „zbiorowej autonomii”, a w życiu publicznym za sprawą integracji europejskiej konsensus liderów politycznych i urzędników ważniejszy był od demokratycznych wyborów – grunt pod politykę populistyczną okazał się wymarzony, choćby PKB rosło, bezrobocie spadało, a Pendolino śmigało po środkowo-europejskich torach.

Nowa umowa społeczna

Jan-Werner Müller wskazuje, że powojenny porządek przetrwał rewoltę 1968 r. i ofensywę neoliberalistów, mimo że przeorały one społeczeństwa do głębi. Czy przetrwa falę populizmów? I aspiracje roku 1968, i rewolucja neoliberalna dały się na tamtym gruncie przyswoić – poprzez język i politykę praw człowieka z jednej, a globalną technokrację z drugiej strony – bo w obu przypadkach chodziło o ograniczenie woli suwerena jako podmiotu zbiorowego.

Współczesny populizm jest za to wymierzony w samo sedno etosu konstytucyjnego w jego liberalnej wersji znanej od 1968 r. Uderza w ograniczony prawem mandat władzy, w zasadę ciągłych negocjacji oraz poszerzanie praw i granic wspólnoty, wreszcie w zasadę społecznego pluralizmu. Czy te wartości da się uratować?

W swej ostatniej książce Jan-Werner Müller zdaje się być optymistą. Na własne pytanie „Jaka jest alternatywa?” odpowiada, że to „podejście, które umożliwi włączenie ludziom obecnie wykluczonym – których niektórzy socjolodzy nazywają »zbędnymi« – i jednocześnie zatrzyma wychodzenie ludzi bardzo wpływowych i bogatych z systemu”. Nazywa to „nową umową społeczną”. Kierunek sensowny, ale mapę do tego drogowskazu musimy dorysować już sami. ©

MICHAŁ SUTOWSKI (1985) – politolog, publicysta, tłumacz, absolwent kolegium MISH Uniwersytetu Warszawskiego. Członek zespołu Krytyki Politycznej oraz Instytutu Studiów Zaawansowanych. Autor wywiadu rzeki z Agatą Bielik-Robson „Żyj i pozwól żyć”, z Ludwiką Wujec „Związki przyjacielskie” oraz z Agnieszką Graff „Jestem stąd”. Redaktor „Pism politycznych” Jacka Kuronia oraz „Pism politycznych” Stanisława Brzozowskiego. Przetłóżył m.in. „Co to jest pluralizm?” Jana-Wernera Müllera oraz „Gotowi na przemoc” Pawła Brykczyńskiego. W 2016 r. wydał zbiór wywiadów politycznych „Rok dobrej zmiany”.

POPULIZM JEST CIENIEM POLITYKI

przedstawicielskiej – jak przekonuje Jan-Werner Müller – i pojawia się tam, gdzie ten rodzaj rządów popada w kryzys. Występuje również przeciwko demokracji, ponieważ podstawowym gestem tych, którzy się nim posługują, jest wykluczenie z przestrzeni społecznej wielości i złożoności. Rozum populistyczny postrzega i przedstawia rzeczywistość jako miejsce, w którym uobecniona oraz zrealizowana zostaje wola ludu, nie tego empirycznego, lecz symbolicznego, będącego bardziej przedmiotem wiary niżli realną zbiorowością. Czy demokracja przetrwa falę populizmu? Czy możemy się mu skutecznie przeciwstawić?

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA: *Chciałbym, żeby czcionka Brygada 1918 stała się dla nas przedmiotem dumy, także na 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Chciałbym, żebyśmy jej używali.*
Pałac Prezydencki, 29 maja 2018 r.

Krój narodowy

AGATA SZYDŁOWSKA

Kształt czcionki może być nośnikiem treści ideologicznych i jako taki stanowi niezbywalną część naszego symbolicznego imaginarium narodowego.



MARK ZALEJSKI

W wtorek, 29 maja 2018 r. w Pałacu Prezydenckim odbyła się uroczysta prezentacja zdigitalizowanego kroju pisma o nazwie Brygada 1918. Jest to ogólnodostępny font, który powstał na podstawie zachowanego w formie metalowych matryc przedwojennego kroju o nazwie Brygada. Jako że do lat 60. XX w. na terenach Polski powstało zaledwie kilka oryginalnych krojów, odnalezienie zapomnianego zabytku rodzimej sztuki projektowania liter stało się w kręgach specjalistów – projektantów i typografów – nie lada wydarzeniem. Wysiłek włożony w „przetłumaczenie” form tych liter na „język” cyfrowy pozwoli uchronić Brygadę przed zapomnieniem i da jej nowe życie, gdyż teraz każdy użytkownik komputera będzie mógł się nią posługiwać. Pracę tę wykonali projektanci Mateusz Machalski, Borys Kosmyńska i Przemysław Hoffer. Podstawą były matryce odnalezione w magazynach Muzeum Książki Artystycznej w Łodzi, które w swoim czasie uratowało przed złomowaniem zbioru z zamykanej Odlewni Czcionek w Warszawie. Projekt zrealizowano w ramach programu „Niepodległa” prowadzonego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Font patriotyczny

Prace nad zachowaniem rodzimego dziedzictwa typograficznego są godne uznania, ale ciekawsza niż samo wydarzenie jest opowieść, która towarzyszyła prezentacji starego-nowego kroju. Prezentują-

cym był sam prezydent RP Andrzej Duda, który zwrócił uwagę, że zdigitalizowanie Brygady 1918 powinno być dla nas powodem do dumy, zwłaszcza w kontekście stulecia odzyskania niepodległości. Zapowiedział również, że od tej chwili wszystkie uroczyste dokumenty w Kancelarii Prezydenta będą pisane fontem patriotycznym. Wyraził też nadzieję, że czcionka wejdzie do powszechnego użytku i będzie stosowana w pracach naukowych oraz książkach.

Łatwo byłoby zignorować wypowiedzi prezydenta i potraktować je jako patriotyczną mowę-trawę, gdyby nie wskazywały na szersze zjawisko, które ma w Polsce długą historię. Sam fakt, że premierę fontu zorganizowano w Pałacu Prezydenckim, świadczy o tym, że krój pisma jest elementem symbolicznego imaginarium narodowego. Dzieje się tak zapewne dzięki prostemu skojarzeniu: pismo to język, który w potocznej świadomości tożsamy jest z wyznacznikiem i zarazem nośnikiem tożsamości narodowej. Dość przypomnieć niedawne ataki o charakterze ksenofobicznym, w których pojawiło się hasło: „tu jest Polska, tu się mówi po polsku”. Nie jest to jednak wyłącznie nasza specyfika. Języki, granice między nimi i hierarchie, które tworzą (języki urzędowe a dialekty), są takimi samymi konstrukcjami jak narody. Nie ma nic naturalnego w przekonaniu, że granice zasięgu języka pokrywają się z granicami państwowymi.

Traktowanie języka jako wyznacznika i nośnika narodowości sprawia, że w Pol-

sce od ponad stu lat trwają próby wynalezienia „narodowej czcionki”, czyli form liter, w których zakłęta byłaby polska tożsamość narodowa. Premiera Brygady 1918, połączenie tego wydarzenia z obchodami rocznicy odzyskania przez nasz kraj niepodległości oraz nadzieja wyrażona przez prezydenta RP, że krój ten trafi pod strzechy i stanie się „polską czcionką” używaną do składania prac naukowych i książek – wszystko to składa się na najnowszy rozdział tej opowieści.

Polskie czcionkolejnictwo

Splot warunków gospodarczych, politycznych i kulturowych sprawił, że na ziemiach polskich – w przeciwieństwie chociażby do Niemiec czy Francji – nie rozwinęło się dobrze czcionkolejnictwo, czyli rzemiosło polegające na obmyślaniu i tworzeniu nowego materiału drukarskiego. W konsekwencji tutejsze drukarnie posługiwały się zwykle matrycami z importu. Innymi słowy, polskie teksty składane były za pomocą liter projektowanych w innych krajach. Problem ten zauważył Joachim Lelewel, który w pracy „Bibliograficznych ksiąg dwoje” z 1823 r. argumentował, że dla polskiego języka „własnych potrzeba druków”.

Temat polskiej czcionki powrócił po odzyskaniu niepodległości, kiedy na fali patriotycznego wzmoczenia intelektualności, typografowie i drukarze zaczęli apelować na łamach prasy branżowej o pilne stworzenie narodowego kroju pisma. Wpisywało się to w szersze zjawisko sztuki →

GRAŻYNA MAKARA



MARCIN WICHA (ur. 1972) – grafik, projektant, eseista, pisarz, autor książek dla dzieci. Publikował między innymi w „Autoportrecie”, „Literaturze na Świecie” i „Tygodniku Powszechnym”, w którym także przez kilka lat prezentował cotygodniowe komentarze rysunkowe. W 2015 r. wydał tom autobiograficznej prozy „Jak przestałem kochać design”, dwa lata później „Rzeczy, których nie wyrzuciłem”, za którą otrzymał Paszport „Polityki”. Autor kilku książek dla dzieci.

ŁUKASZ DZIEDZIC / FACEBOOK



ŁUKASZ DZIEDZIC (ur. 1967) – typograf. Zaprojektował litery używane m.in. przez Empik, American Airlines, Rząd Szkocji, Associated Press, Red Bull Music Academy, Kultura.pl, Goethe Institut i setki innych. Jego krój Lato jest jednym z najpopularniejszych na świecie darmowych fontów, ma ponad 3000 znaków w 18 odmianach – cyrylicę, grekę, możliwość pisania we wszystkich alfabetach opartych na alfabecie łacińskim. Jego font More Pro stosujemy na stronie www.TygodnikPowszechny.pl

KRÓJ, CZCIONKA, FONT. Pisząc na komputerze, choćby krótkie notatki, dokonujemy wyboru czcionki. Na pozór decyzja ta jest błaha; podejmujemy ją jednak szybko, niemal machinalnie, jeśli nad czymkolwiek się w tym kontekście zastanawiamy, to co najwyżej nad walorami estetycznymi danego fontu. W rzeczywistości jednak krój może być nośnikiem najprzeróżniejszych treści, w tym znaczeń o charakterze ideologicznym. W jaki sposób czcionka staje się częścią naszego symbolicznego imaginariusium narodowego i co to oznacza dla nas jako użytkowników pisma?

⇒ „państwowotwórczej”, która miała zaspokajać zarówno symboliczne (afirmacja polskości), jak i polityczne potrzeby. Chodziło m.in. o konsolidację pod wspólnym narodowym sztandarem członków bardzo niejednorodnej zbiorowości, zróżnicowanej klasowo, a na dodatek jeszcze do niedawna wchodzącej w skład trzech różnych organizmów państwowych. Nie mniej ważne było stworzenie wizerunku nowoczesnego narodu za pomocą czegoś, co dzisiaj nazwalibyśmy polityką kulturalną. II Rzeczpospolita miała jawić się jako kraj nowoczesny i kosmopolityczny, równoprawny członek europejskiej rodziny. Jednocześnie ważne było podkreślenie odrębności Polski, kraju posiadającego oryginalną kulturę, czyli „zasługującego” na autonomię państwową.

Właśnie w tym kontekście podjęto dyskusję na temat stworzenia polskiego kroju pisma. Jej początki miały czysto teoretyczny charakter. Dywagowano nad tym, jak zabrać się do tego dzieła i na czym oprzeć „polskość” liter. Zadanie było trudne. W przeciwieństwie do architektów i rzemieślników projektanci czcionek nie mogli skorzystać z pomocy sztuki ludowej, przechowującej – jak wierzone – prądnego ducha narodu. Wzorce ludowe mogły co najwyżej posłużyć jako inspiracja do stworzenia ozdobnych liter na okładki lub afisze. Do zaprojektowania czcionek funkcjonalnych, służących do druku długich tekstów, nie nadawały się.

Szukano więc dalej. Wyzwanie podjął warszawski typograf, Adam Półtawski, który wpadł na pomysł, by opracować formy liter kroju narodowego w oparciu o analizę kolumny tekstu polskiego, złożonego obcymi krajami. Zauważył w niej pewne mankamenty. Okazało się, że taki łam nie daje efektu jednolitej szarości, co dla uważnego typografa jest występkiem przeciwko estetyce składu. Półtawski postanowił zaradzić temu, modyfikując niektóre litery, by „zalepić” białe dziury powstałe w kolumnie. Efektem stała się dość klasyczna antykwą, oparta na francuskich oświeceniowych wzorach. Nazwano ją Antykwą Półtawskiego i szybko okrzyknięto wybitnym dziełem. Bibliotekarz i specjalista w dziedzinie nauk o książce Jan Muszkowski na łamach czasopisma „Grafika” nazwał Antykwę Półtawskiego dziejowym osiągnięciem, „wyłuskując[ym] raz na zawsze istot[ę] polskości czcionki z mglistych zasłon frazesu”. Pochwałą i zachwytem nie było

końca. Mimo że krój Półtawskiego nie był jedynym międzywojennym podejściem do projektu pisma narodowego, został uznany za najlepszą realizację idei polskiej czcionki.

Wypisani ze wspólnoty

Po takich fanfarach można by się spodziewać czegoś naprawdę spektakularnego – typograficznego pomnika na miarę niemieckiego pisma gotyckiego (które co do swej genezy niemieckie nie jest; w XIX w. zostało uznane za niemiecki krój narodowy). Podczas gdy Półtawski wziął banalną antykwę, zmienił kształt kilku liter i ogłosił, że oto mamy pismo narodowe. Jednak aplauz, który temu towarzyszył, a także kręta droga dochodzenia do owego „wyłuskania istoty polskości czcionki”, świadczą, że Półtawskiemu udało się zaspokoić pewną symboliczną potrzebę.

Szarość łamu czcionki Półtawskiego zdaje się tylko pretekstem. Najciekawszy jest jej typograficzny kontekst. W przeciwieństwie do innych łacińskich krojów narodowych (jak wspomniane pismo gotyckie czy charakterystyczne pismo irlandzkie, które współcześnie znamy przede wszystkim z opakowań masła czy szyldów irish pubów), formy tej czcionki niewiele różniły się od kosmopolitycznej, oświeceniowej antykwy francuskiej, opartej na liternictwie rzymskim. Taką decyzję można potraktować jako symboliczny akces do oświeceniowej kultury Zachodu. Na terenach polskich z powodzeniem funkcjonował bowiem konglomerat różnych pism i skryptów: używano czcionek gotyckich i antykwę, pisano cyrylicą i pismem hebrajskim. Wybór antykwę, czyli pisma ówczesnie kojarzącego się z nowoczesnością – w przeciwieństwie do „unurzanego” w romantyzmie gotyku niemieckiego – musiał być świadomą deklaracją ideologiczną. Co więcej, w państwie wieloetnicznym, w którym współwystępowały trzy kultury pisma (łacińska, cyrylicą i pismo hebrajskie), wciągnięcie na sztandary konkretnego – łacińskiego – kroju było równoznaczne z wyrzuceniem poza granice wspólnoty narodowej użytkowników innych skryptów.

Wątek ten został zresztą twórczo przeinaczony w tekście zamieszczonym w broszurze poświęconej Brygadzie 1918, gdzie mowa jest o związku tego kroju „z historyczną potrzebą posiadania narodowego pisma, po scaleniu ziem polskich z trzech



Oryginalny zbiór matryc czcionki Brygada 1918 z zamkniętej w latach 90. XX w. Odlewni Czcionek w Warszawie.



AGATA SZTYDŁOWSKA / FACEBOOK

AGATA SZTYDŁOWSKA (ur. 1983) – krytyczka designu, kuratorka. Współpracuje z kwartalnikiem „2+3D” oraz „Monitor Magazine”. Wykłada historię designu w ponażńskiej School of Form oraz warszawskiej Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych. Współpracuje także z Akademią Sztuk Pięknych w Katowicach. Wydała książki „Miliard rzeczy dookoła. Agata Sztydłowska rozmawia z polskimi projektantami graficznymi”, „Paneuropa, Kometa, Hel. Szkice z historii projektowania liter w Polsce”, a w 2017 r. „Od solidarycy do TypoPolo. Typografia a tożsamości zbiorowe w Polsce po roku 1989”. Mieszka w Delhi.



EUKASZ CYNALSKI / AG

BOGNA ŚWIĄTKOWSKA (ur. 1967) – dziennikarka i promotorka kultury, współpracowała z „Brulionem” i „Życiem Warszawy”. W latach dziewięćdziesiątych prowadziła pierwsze audycje o muzyce hip-hopowej. W latach 1999-2002 redaktorka naczelna miesięcznika „Machina”. Od 2002 r. jest prezesem założonej przez siebie fundacji Bęc Zmiana.

cza antykwy. Dlatego pismo takie jako nośnik treści ideologicznych ma swoje ograniczenia. Radykalne ingerencje w tradycyjne formy liter powodują słabą czytelność i – w konsekwencji – odrzucenie danego kroju.

Jednak „oczywistość” i pozorna transparentność antykwy mają też swoje zalety, jeśli dostrzeżemy w niej nośnik ideologicznych treści. Jak argumentuje geograf Tim Edensor, codzienne nawyki, rytuały, style życia (których częścią jest predylekcja do określonego kształtu liter), ustanawiają poczucie przynależności narodowej. Zdajemy sobie z tego sprawę dopiero wówczas, →

zaborów, gdzie posługiwano się dotąd cyrylicą, gotykiem i innymi pismami bez polskich znaków diakrytycznych”. To nieprawda. Polskie znaki diakrytyczne były obecne w materiałach drukarskich od momentu ich stworzenia, a opracowanie pisma narodowego nie było aktem emancypacji, lecz – przeciwnie – być może nieświadomym, ale jednak jednoznacznym gestem wykluczenia obywateli, którzy używali innych skryptów. Zacytowany fragment sugeruje, jakoby zaborcy narzucali nam swoje litery (cyrylicę i gotyk), wobec czego po odzyskaniu niepodległości trzeba było zaprojektować własną czcionkę, byśmy mogli pisać po naszymu. Wystarczy pobieżny rzut oka na jakikolwiek druk w języku polskim sprzed 1918 r., by przekonać się o nieprawdziwości tej tezy.

Nie rzucim czcionki

Pomysły na stworzenie „czcionki narodowej” powróciły na przełomie XX i XXI w. w homogenicznej etnicznie i językowo III Rzeczypospolitej. Próbę opracowania pisma, którym mieliby posługiwać się wszyscy Polacy, podjął krakowski projektant Tomasz Węna, który w 2010 r. opublikował krój Apolonia. Widać w nim silne inspiracje pomysłami Półtawskiego, co świadczy o tym, że trudno jest wymyślić starą, dobrą, rzymską antykę od nowa, na dodatek tak, by zaspokajała

symboliczną potrzebę narodowej identyfikacji.

Współcześnie, kiedy typografowie i zwykli użytkownicy komputerów mają do dyspozycji setki lub tysiące fontów z polskimi znakami, a sami projektanci pism funkcjonują na globalnym rynku, idea stworzenia pisma dla jednego narodu wydaje się przestarzała i utopijna. Zwykły użytkownik zapewne nie dostrzeże różnicy między łamem zapisanym „polskim krojem” a tym samym łamem inną czcionką. Zatem w szerszym kontekście współczesne powodzenie pism narodowych może opierać się zapewne jedynie na patriotycznym marketingu, czyli przekonaniu Polaków, że potrzebujemy własnego pisma.

Całość komplikuje fakt, że pismo tekstowe, czyli takie, które służy do składu dłuższych form (książek, artykułów), okazuje się być bardzo oporne na zmiany. Dość spojrzeć na starożytne rzymskie inskrypcje – formy liter niemal nie różnią się od wielkich liter w niniejszym tekście. W historii Europy pojawiały się wielkie i radykalne reformy pisma: jak wprowadzenie łacinki w miejsce pisma arabsko-perskiego w Turcji Kemala Atatürka czy niespodziewane porzucenie pisma gotyckiego, zadekretowane przez administrację Adolfa Hitlera w 1941 r. Były to jednak raczej wyjątki potwierdzające regułę długiego trwania pisma łacińskiego, a zwłaszcza

→ gdy dochodzi do wstrząsu lub destabilizacji. Zauważylibyśmy znaczenie antykwy dla naszego poczucia tożsamości, dopiero w chwili, w której ktoś próbowałby nam ją zabrać i siłą zastąpić innym pismem.

Pytanie jednak brzmi: o jakiej tożsamości mówimy? Zaryzykowałabym odpowiedź, że nie chodzi tutaj o tożsamość narodową, lecz pragnienie bycia częścią zachodniej kultury łacińskiej. Związek między przynależnością do większych obszarów kulturowych a pismem widać dobrze w krajach, które są mniej homogeniczne kulturowo niż Polska. Chociażby we współczesnej Serbii współistnieją dwa skrypty: łacinka używana jest przez liberałów, a cyrylica – przez zakorzenionych w prawosławiu konserwatystów.

Cichy symbol

Niezmiennność, neutralność i transparenca pisma łacińskiego powodują, że jego wymiar ideowy jest głęboko ukryty, przez co słabo sprawdza się ona w roli ideologicznej flagi, którą można machać wtedy, gdy chcemy zmanifestować tożsamość lub poglądy. W tej roli dużo lepiej sprawdzają się pisma akcydensowe – bardziej ozdobne, swobodne i wyraziste, nieobarczone rygiem czytelności i ergonomii. Takim pismem jest chociażby spontanicznie tworzona na bazie znaku Solidarności solidaryca, o którą toczą boje konserwatywny NSZZ „Solidarność” i różne grupy, które widzą w niej symbol emancypacji: feministki, ruchy LGBT+ czy lokatorzy. Za rządów PO solidaryca chętnie obsadzana była w roli symbolu narodowego. Projektowane na zlecenie prezydenta Bronisława Komorowskiego znaki, na przykład z okazji obchodów 25-lecia wyborów z 1989 r., były zapewne próbą stworzenia rozpoznawalnej na całym świecie identyfikacji wizualnej Polski, nawiązującej do sukcesu transformacji i pokojowych przemian demokratycznych. Jednocześnie było to podejście do stworzenia centrowej, konsolidującej cały naród symboliki. Jak wiemy, próby te zakończyły się fiaskiem.

Współcześnie, zgodnie z aktualną polityką historyczną, Kancelaria Prezydenta sięga po zabytek typografii z dwudziestolecia międzywojennego, z tak popularnymi obecnie konotacjami militarnymi. Niezależnie jednak od tego, w jak bardzo przepełnionym narodowymi sentymentami kontekście byłaby przedstawiana Brygada 1918, warto pamiętać, że jest to wciąż antykwa, czyli cichy, lecz wytrwały symbol przynależności do zachodniej kultury oświecenia. ©

Sztuka znikania

JANUSZ MARGAŃSKI

Ernest Wilimowski – jeden z najwybitniejszych piłkarzy w historii futbolu – zniknął kilka razy. Zanim zniknął ostatecznie, zdobył 1175 bramek, zajmując trzecie miejsce w światowym rankingu strzelców wszech czasów.

Najpierw zniknął z 1FC Katowitz, niemieckiego klubu działającego na polskim Śląsku, gdzie na jego talencie poznał się Georg Joschke, były piłkarz, żołnierz Freikorpsu i prezes klubu. Zniknął, ale z miejsca wypłynął, i to zwycięsko: najpierw w Ruchu Wielkie Hajduki (obecnie Chorzów), a zaraz potem w reprezentacji Polski. Zgarnął z Ruchem cztery tytuły Mistrza Polski. Podczas Pucharu Świata w Strasburgu strzelił Brazylijczykom cztery bramki. Triumfował, był gwiazdorem, ale po kolejnych sześciu latach z powodu wojny znowu zniknął, zresztą razem z Ruchem Chorzów, reprezentacją i całą Polską, dla której w 21 meczach zdążył zdobyć 21 bramek.

Niebawem znowu wypłynął: w kolejnych niemieckich klubach na niemieckim już Śląsku i w reprezentacji III Rzeszy. I znów triumfalnie. Pomógł zrehabilitować się Fussball Nationalmannschaft, która wcześniej ośmieliła

się przegrać mecz ze Szwajcarami i to w dniu urodzin Adolfa Hitlera. Wyrwał ją z kryzysu tak skutecznie, że nie przegrała żadnego spotkania z jego udziałem. W ośmiu meczach strzelił 13 bramek. W tym samym czasie z jedenastką TSV 1860 München zdobył Puchar Tschammera. Ale i tak zniknął. Tym razem z III Rzeszą. Zniknął z okładek „Kickera” i innych pism, choć po wojnie jeszcze grał w niemieckiej lidze. Chciał wziąć udział w zwycięskich dla Fussball Nationalmannschaft Mistrzostwach Świata w 1954 r., ale nie został powołany.

Inskrypcja

Wojna się skończyła, a znikanie bynajmniej. Choć zepchnięty na margines, Wilimowski wciąż zniknął, jakby odstawka nie wystarczała. Zniknął radykalnie, tak że do dziś w zasobach niemieckiej federacji piłkarskiej (DFB) trudno znaleźć jakiekolwiek materiały na jego temat. Z Polski też zniknął, i też z instytucjonalną pomocą: w latach 50. z pre-



medytacją wymazano go z mediów, a bezpieka spreparowała jego nekrolog. Usunięto go też ze zdjęcia upamiętniającego wielki mecz z Brazylijczykami w Strasburgu (pierwszy mecz reprezentacji Polski na mundialu), a we wzmiankach pomijano jego nazwisko, było niebyło strzelca 4 bramek (wymieniano co najwyżej autora pierwszej, Fryderyka Scherfkego, zawodnika Warty Poznań, skądinąd Niemca). Próżno go również szukać w księdze pamiątkowej 1FC Kattowitz, wydanej z Polski do Niemiec.

Znikanie i pojawianie się – podobnie jak przypomnienie i zapomnienie – działa jak chiasm albo jak idiom. Coś otwiera, ale od razu też zapętla i zamyka. Figura znikania i pojawiania się jest niedostępna, ale za to nieźle służy opowiadaniu. Łączy bowiem to, co wprost niełączliwe. Potrzebuje jed-

nak wypełnienia, a to oczywiście zależy od układu współrzędnych. Ten zaś chyba dobrze wyznacza POP, patronujący tegorocznej edycji Festiwalu Conrada. Popęd, popyt, populacja, populizm, popłoch, popularność, popkultura tworzą inskrypcję, która pozwala w jakiejś mierze uchwycić zachowanie organizmów żywych w kulturze, a zarazem jest symptomem tego zachowania. Co ważniejsze, inskrypcja ta odsłania tkanę, na którą rzuca się żądny przygód opowiadacz i która szczęśliwie pozwala mu spełnić wolę opowiadania, skoro *narrare necesse est*. Co przyjem-

ERNST WILIMOWSKI grywał w polskich i niemieckich klubach piłkarskich. Więcej: występował z sukcesami zarówno w reprezentacji Polski, jak i reprezentacji III Rzeszy. Uwielbiany i łżony, wynoszony na piedestał i odrzucany, podejmował decyzje, które na zmianę przynosiły mu korzyści i kłopoty. Przypominamy jego historię, by wyciągnąć z niej lekcję na temat mechanizmów, które wciąż determinują nasze życie – tak prywatne, jak i publiczne. Wilimowski jest figurą, za pomocą której można ukazać najważniejsze napięcia kulturowe, społeczne, polityczne i ideologiczne XX i XXI w. W dyskusji na temat Wilimowskiego wezmą udział Andrzej Gowański, Wojciech Kuczek, Janusz Margański i Thomas Urban.

niejsze, pozwala zajmująco opowiedzieć o kimś, kto dzięki popędowi wchodzi w świat i albo zyskuje popularność, albo z miejsca wywołuje popłoch.

Popęd i popularność

Popęd Wilimowskiego uruchomiła matka. Wypchnęła go na boisko 1FC Kattowitz, niemieckiego klubu na polskim już Śląsku, gdzie dziewięcioletnim chłopakiem zajął się Georg Joschke. Wilimowski wspierał ten klub, mimo że ambicje sportowe łączył z kulturalnymi i może politycznymi, trwając przy swojej niemieckości. Niedługo jednak wspierał, bo w 1933 r. zgarnął go Ruch Wielkie Hajduki i to zaraz po meczu, w którym Ezi – taki przydomek zyskał ze względu na swe umiejętności – fenomenalnie ogrywał obrońców swojego przyszłego zespołu.

W inskrypcji POP historia ta układa się niemal sama. Matka Niemka, *primo voto* Pradella, po śmierci pierwszego męża wychodzi za Polaka Romana Wilimowskiego, gorliwego polskiego patriotę działającego na Śląsku, na który wkracza odrdzona Polska. Młody chłopak chce się przebić, ale szybko sobie uświadamia, że w niemieckim klubie grającym na terenie Polski nie ma szans, że wielkiej kariery w nim nie zrobi. Upewnia się o tym po wielkim skandalu z 1927 r., gdy drużyna 1FC Kattowitz opuszcza boisko, protestując przeciwko matactwom sędziego w meczu decydującym o mistrzostwie Ligi. Wilimowski przechodzi więc do klubu polskiego. I to takiego, który grupuje byłych powstańców śląskich, zwalczanych wcześniej przez prezesa 1FC. Przy okazji załatwia pracę bezrobotnemu ojczymowi.

Jego popęd nie znał oporu. Ezi wskoczył do klubu, który był na wznoszącej fali. Jak wspomniałem: z Ruchem zdobył cztery Mistrzostwa Polski. Od razu też trafił do reprezentacji. Popularność, media – stał się bohaterem kielkującej wtedy popkultury. Nikomu nie przeszkadzało, że był brzydki: z odstającymi uszami, krępy, niski. Gdy zniknął z 1FC Kattowitz, przepadła też jego brzydota. Przestała się liczyć. Podobnie jak to, że ponoć bywał chamski. Portret został z czasem uzupełniony o szczerzy śmiech, którym częstował pokonanych bramkarzy. Do tego sześć palców u prawej stopy. Może dzięki temu ustanowił do dziś niepobity rekord 10 bramek →

Ernest Wilimowski (pierwszy z prawej)
Świętochłowice, 3 maja 1935 r.



MATEUSZ WŁODARCZYK / FORUM

ANDRZEJ GÓRZEWSKI (ur. 1945) – dziennikarz i historyk sportowy. Był reporterem i publicystą „Sportu” i „Sportowca”. Akredytowany przy wszystkich najważniejszych imprezach sportowych lat 70. i 80. Od 1991 r. jako pomysłodawca i założyciel wydawnictwa GiA w Katowicach wydaje cykl książek „Encyklopedia piłkarska”. Jest autorem kilkunastu książek publicystycznych i historycznych poświęconych piłce nożnej. Za swoją pracę wyróżniony nagrodą klubową Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (1978, 1979).



WOJTEK ŁASKI / EAST NEWS

WOJCIECH KUCZEK (ur. 1972) – prozaik, poeta, scenarzysta, krytyk filmowy, absolwent filmoznawstwa na Uniwersytecie Śląskim. W latach 90. współtworzył śląską grupę poetycką „Na Dziko”. Debiutował w 1996 r. tomikiem poetyckim „Opowieści samowite”. W 1999 r. wydał zbiór opowiadań „Opowieści słychane”, za który był nominowany do Nagrody Nike. Otrzymał ją w 2004 r. za głośną powieść „Gnój”, nagrodzoną także Paszportem „Polityki”. W 2003 r. powstał na jej podstawie film „Pręgi” Magdaleny Piekorz, do którego stworzył scenariusz. Reżyserka i pisarz spotkali się na planie jeszcze dwukrotnie – przy pracy nad filmem „Senność” na podstawie powieści Kuczoka o tym samym tytule (2008) oraz przy „Zbliżeniach” (2014), którego pisarz był współscenarzystą. Autor wydał w sumie kilkanaście książek, w tym zbiory opowiadań, esejów, szkiców podróżniczych oraz sennik; ostatnio powieść „Czarna” (2017). Jest również znanym speleologiem – ma na swoim koncie kilkanaście odkrytych jaskiń w Polsce i Europie. Kibic Ruchu Chorzów.

→ strzelonych w jednym meczu (przeciwko łódzkiej drużynie). Potem, już podczas wojny, 7 golami rozłożył drużynę SS. To tworzyło aurę niezwykłości.

Nie miało znaczenia, że popęd nie rzadko wzmacniał alkoholem, skoro w pojedynkę potrafił okiwać całe formacje obronne przeciwników i strzelać bramki. Zdarzało mu się nie pamiętać, komu i ile, ale dzięki temu stawał się bardziej „nasz”: polski i swojski. Popularność z kolei wzmacniała popęd, również wybujały popęd płciowy. Wilimowski miał niebываłe powodzenie i kolejne partnerki znajdował nawet w najbardziej, jeśli tak wolno powiedzieć, ekstremalnych sytuacjach.

Popyt i popłoch

Ta popularność wywołała popyt. Po pamiętnym meczu w Strasburgu widzieli go u siebie Francuzi i Brazylijczycy. Zachwycał się nim słynny Leonidas, zęby ostrzył Sepp Herberger, który po Anchlussie montował *wunderteam* dla Tysiącletniej Rzeszy. Ale nie tylko piłkarski rynek obserwował Wilimowskiego. Popyt był powszechny.

Ezi twierdził, że nie interesuje się polityką. Do wolności wystarczał mu może hektar zielonej murawy i dwa razy po 45 minut plus, przy odrobinie szczęścia, dogrywka. Myślał, że wykorzysta nacjonalizm i je przeszkoczy, że zatrudni do swoich celów szowinizm, którym była podszta popularność. Nie przewidział jednak, że to polityka się nim posłuży. W Polsce był bożyszczem; kreowano go na bohatera narodowego. W konsekracji przeszkadzało jednak pochodzenie. Bo Ślązak, a do tego Niemiec. Nie on jeden. Niechęć do mocnych śląskich klubów pielęgnowali niektórzy działacze PZPN, mimo że z klubów tych rekrutowała się ponad połowa reprezentacji. Wilimowski padł ofiarą tych konfliktów. Odwołano go z drużyny na olimpiadę w Berlinie, decyzję motywując jego pijaństwem.

Ale mimo podjazdów i utarczek, wciąż o niego zabiegano – respektując reguły poprawności lub nie. Zbliżała się wojna, nastąpiło patriotyczne wzmoczenie, populizm uruchomił popyt na popularność. W meczu z Węgrami, ostatnim meczu przed wojną, Wilimowski uratował reprezentację Polski przed klęską, strzelając 3 bramki. Z miłości do Polski? Przed kolejną klęską, pięć dni później, 1 września 1939 r., nikt nikogo już uratować nie mógł. Planowany na 3 września mecz z Bułgarią

już się nie odbył. Powstał popłoch, ale popęd został.

Reprezentant III Rzeszy

Jak działa popęd na wojnie, gdy dominuje popłoch, gdy populacje są dziesiątkowane, gdy o popularność trudno, a popyt jest tylko na mięso armatnie?

Dawny patron Eziego, Georg Joschke triumfował. Został miejscowym kreisleiterem, reaktywował 1FC Kattowitz i mógł spełnić marzenie o wielkiej drużynie, nie tylko na miarę śląskiej Gauligi. Kazał zamknąć Ruch i zgarnął część zawodników. Niewykluczone, że dla Wilimowskiego miał specjalne zadanie. Ten wołał jednak nie czekać i czmychnął w głąb Rzeszy. Podobno obawiał się zemsty Joschkego.

Gra w reprezentacji III Rzeszy była nie tylko zaszczytem i honorem, choć do jego obrony zbyt wielu okazji nie było, skoro Fussball Nationalmannschaft mógł grać jedynie z reprezentacjami krajów satelickich i neutralnych, takich jak Szwecja i Szwajcaria. Przede wszystkim gra chroniła przed wysyłką na front. Herberger, sam członek NSDAP, któremu w 1934 r. Führer powierzył misję zbudowania drużyny narodowej, bardzo dbał o piłkarzy, którzy mieli zwyciężać i świecić przykładem. Z męstwem na boisku też jednak nie mogli przesadzać, bo jako wzorowi synowie Niemiec mogli zostać powołani do wojska, czego domagali się niektórzy działacze NSDAP. Na początku popularność rzeczywiście ratowała przed wysyłką na front i stawiała tymczasową barierę popytowi na mięso armatnie, ale później wydatnie temu popytowi sprzyjała. Ta zależność między popularnością i popytem (i, pośrednio, populacją) – tyleż wygodna, co kłopotliwa – została jednak kategorycznie anulowana, gdy minister Joseph Goebbels ogłosił wojnę totalną, zapewne nieprzypadkowo w Pałacu Sportów, zawieszając przy tym rozgrywki piłkarskie.

Swoją karierę piłkarską podczas wojny Wilimowski tłumaczył inaczej: chciał uratować matkę, która choć Niemka, trafiła do obozu koncentracyjnego, rzekomo za romans z jeńcem, rosyjskim Żydem. Faktem jest, że z obozu udało się ją wydostać, prawdopodobnie dzięki Hermannowi Grafowi, asowi Luftwaffe, a zarazem piłkarzowi i pupilowi marszałka Göringa. A może za jego decyzjami stały wszystkie wymienione wyżej powody?

Wilimowski pompował swoją popularność i wielokrotnie pozował fotografom

■ Wilimowski twierdził, że nie interesuje się polityką. Do wolności wystarczył mu może hektar zielonej murawy i dwa razy po 45 minut plus, przy odrobinie szczęścia, dogrywka.

„Der Kicker” czy „Sport Illustrierte”. Czy robił to z miłości do futbolu? Rozgrywki piłkarskie na poziomie korpusów trwały niemal do końca wojny, pod ostrzałem nacierających aliantów. Ezi konsekwentnie w nich uczestniczył, choćby jako zawodnik Pariser Soldatenelf. Ale tu inskrypcja POP chyba już nie działa.

Herold nowej Europy

Po wojnie nagle wszystko znieruchomiało. Popęd był, ale do Wilimowskiego – w Polsce – przylgnęła etykieta zdrajcy. Podobnie patrzono na innych kolegów z przedwojennego Ruchu. Niektórzy po kłopotach czy nawet represjach, które objęły cały Śląsk, jakoś się spełniali w niższych ligach. Gerard Cieślik, wiadomo, mimo służby w Wehrmachcie został bohaterem narodowym, bo strzelił Sowietałom pamiętną bramkę. W Niemczech z kolei Fritz Walter, kolega Wilimowskiego z Fussball Nationalmannschaft, sięgnął w 1954 r. jako kapitan niemieckiej drużyny po Mistrzostwo Świata, drużyny prowadzonej przez Seppa Herbergera, który kontynuował świetną trenerską karierę i nikt mu nie wypominał aktywnego członkostwa w NSDAP. Chyba tylko Hermann Graf przepadł, bo po wyjściu z gułagu dał się zaprząć do sowieckiej propagandy. I nie pomogło to, że przed wojną był piłkarską gwiazdą.

Wilimowski chciał do Francji. Coś go ciągnęło do Strasburga, gdzie przed laty wbił 4 gole Brazylijczykom, ale tam wytrzymali z nim tylko dwa tygodnie. Podobno pił. Grywał w pomniejszych klubach. W późniejszych latach prowadził kolekturę totalizatora. Grał, grał namiętnie. I zniknął. Miał może szansę ponownie pojawić się w Polsce, ale go odepchnęli. I to najwięksi. Kazimierz Górski nie wykazał się refleksem, gdy Wilimowski zagadnął go w Niemczech: Górski tłumaczył się potem, że pilnował go agent

bezpieki. Ezi dostał też na odlew od wielkiego Bohdana Tomaszewskiego, który nazwał go zdrajcą (właśnie dlatego Wilimowski nie przyjechał na planowany na Śląsku jubileusz).

W Niemczech też nikt nie chciał o nim pamiętać. Może przez Helmuta Schöna, którego Wilimowski wygryzł z pozycji lewego łącznika w reprezentacji III Rzeszy? Tak, tego Helmuta Schöna, który po Seppie Herbergerze objął Fussball Nationalmannschaft i zdobył Mistrzostwo Świata (kosztem Polaków!) w 1974 r. Schön ani słowem nie mówi o swoim rywalu we wspomnieniach. Jedynie wielki Fritz Walter ciepło go wspomina.

Czy można by nieco inaczej odczytać POP inskrypcję? Czy w tym nowym, innym odczytaniu Wilimowski pozbyłby się etykiety zdrajcy i nie zostałby wymazany? Taką sugestię podsuwa Karl-Heinz Haarle, zięć Wilimowskiego, a zarazem współautor (obok Georga Kachela) poświęconej mu książki „Die Lebensgeschichte des Fussball-Altnationalspielers Ernst Willimowski”. Kreuje bowiem Wilimowskiego na herolda nowej Europy, Europy bez granic, czyli – w domyśle – bez państw narodowych. I robi to tym łatwiej, że pomija milczeniem wojenną historię Wilimowskiego, o której wciąż niewiele wiadomo, choć na pewno – jak wynika z dokumentów poświadczających jego służbę wojskową – nie był on strażnikiem w obozie koncentracyjnym, co zarzucały mu komunistyczne władze Polski, budując jego czarną legendę.

A więc może rzeczywiście był heroldem nowej Europy? Niektórzy kibice dzisiaj łatwiej wybaczą zmianę barw narodowych niż klubowych. A może to zły kierunek, skoro są też kibice, zdecydowanie utrudniający inną lekturę inskrypcji POP, broniący uparcie tej obowiązkowej? Lektury obowiązkowe są, jak wiadomo, najtrudniejsze, a na pewno najmniej wdzięczne. Zresztą sama inskrypcja POP pozwala, co prawda, opisać zachowanie żywych organizmów w kulturze, ale zarazem kasuje wszystko, co wykracza poza jej wirtualności: walory, pieniądze i pożądaną swobodę, nie bywałą piłkarską swobodę, którą chłonęli Ślązacy, Niemcy i Polacy, gdy Wilimowski podczas wojny przyjeżdżał na Śląsk rozgrywać mecze jako reprezentant III Rzeszy.

Inskrypcja kasuje swobodę, ale tym samym umożliwia i promuje sztukę znikania. Stawia wszak przed kategorycznym wyborem: albo świat, albo opowieść, albo romans, albo roman. Uśmierca, ale unieśmiertelnia.



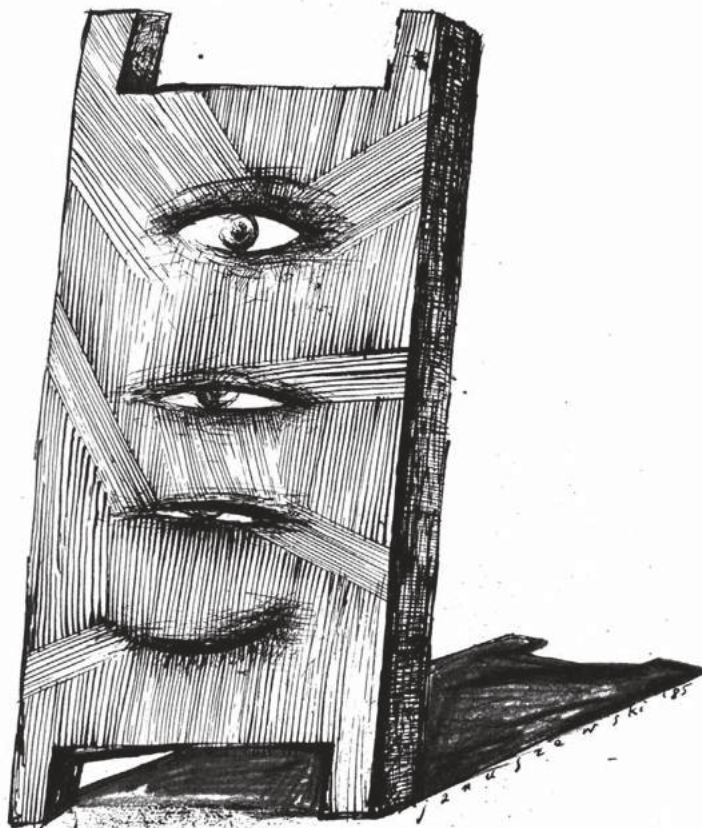
WOJCIECH STROZYK / REPORTER

JANUSZ MARGAŃSKI (ur. 1956) – tłumacz, literaturoznawca i scenarzysta, członek Polskiej Akademii Filmowej. Przetłumaczył kilkadziesiąt książek z zakresu filozofii, teologii oraz teorii literatury, filmu, teatru i literatury pięknej (m.in. J. Derrida, R. Rorty’ego, P. Ricoeura, G. Deleuze’a, E. Levinasa, G. Didi-Hubermana, Z. Bauman, M. Prousta, P.K. Dicka). Laureat nagrody „Literatury na Świecie”. Jest autorem książek: „Gombrowicz, wieczny debiutant” (2001) i „Geografia pragnień. Opowieść o Gombrowiczu” (2005). Współredaktor wydania krytycznego dzieł Witolda Gombrowicza. Piszze teksty dla teatru i filmu. Za scenariusz „Wymyku” (2011) otrzymał nagrodę na 36. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni oraz nominację do Polskiej Nagrody Filmowej „Orły” 2012.



DAVID CHALIMONUK / AG

THOMAS URBAN (ur. 1954) – niemiecki dziennikarz i pisarz, były korespondent gazety „Süddeutsche Zeitung” w Warszawie i Kijowie. Studia podyplomowe w latach 80. kończył w Moskwie, gdzie współpracował z radzieckimi dysydentami, za co został aresztowany przez KGB. Pracował dla agencji prasowych Associated Press (AP) w Nowym Jorku i Deutsche Presse-Agentur (dpa) w Hamburgu. Jest autorem kilkunastu książek naukowych i publicystycznych opisujących historię relacji polsko-niemieckich, m.in.: „Niemcy w Polsce. Historia mniejszości w XX wieku” (1994), „Od Krakowa po Gdańsk. Wędrówka przez dzieje polsko-niemieckie” (2002) czy „Utracone Ojczyzny. Wypędzenia Niemców i Polaków w XX wieku” (2007).



ZYG MUNT JANUSZEWSKI

Poniedziałek, 22 X**■ POPRAWNOŚĆ****12.30 Lekcja czytania**

z Jackiem Leociakiem
Tekst: Leo Lipski „Sarni braciszek”
Miejsce: Pawilon Wyspiańskiego

13.00 O prawdzie i fałszu

Spotkanie z Wojciechem Jagielskim
Prowadzenie: Anna Goc
Miejsce: Pałac Czeczotka

14.30 O Polsce i Polakach

Dyskusja: Olga Drenda, Ewa Gorzadek, Adam Leszczyński
Prowadzenie: Jacek Żakowski
Miejsce: Pałac Czeczotka

16.00 O polskich Żydach

Dyskusja: Anna Bikont, Magdalena Kicińska, Jacek Leociak
Prowadzenie: Michał Okoński
Miejsce: Pałac Czeczotka

18.00 O chłopskiej formie życia

Dyskusja: Andrzej Mencwel, Marian Pilot
Prowadzenie: Inga Iwasiów
Miejsce: Pałac Czeczotka

20.00 O elitach

Dyskusja: Agata Bielik-Robson, Michał Paweł Markowski, Małgorzata Szpakowska
Prowadzenie: Maciej Gdula
Miejsce: Pałac Czeczotka

Wtorek, 23 X**■ POPULARNOŚĆ****11.30 Lekcja czytania**

z Małgorzatą Szpakowską
Tekst: Stanisław Lem
„XXI podróż Ijona Tichego”
Miejsce: Pawilon Wyspiańskiego

13.00 O Bergmanie

Dyskusja: Stig Björkman, Marie Nyreröd
Prowadzenie: Jan Balbierz
Miejsce: Pałac Czeczotka

14.30 O komiksach filozofów

Dyskusja: Łukasz Musiał, Roma Sendyka
Prowadzenie: Tomasz Pindel
Miejsce: Pałac Czeczotka

16.00 O przegranej

Spotkanie z Miljenko Jergoviciem
Prowadzenie: Magdalena Petryńska
Miejsce: Pałac Czeczotka

18.00 O ruchu

Dyskusja: Jennifer Croft, Olga Tokarczuk
Prowadzenie: Szymon Kloska
Miejsce: Pałac Czeczotka

20.00 O buncie

Spotkanie z Larsem Saabye Christensenem
Prowadzenie: Sylwia Chutnik
Miejsce: Pałac Czeczotka

Środa, 24 X**■ POPĘD****11.30 Lekcja czytania**

z Michałem Pawłem Markowskim
Tekst: Max Blecher „Zabliźnione serca”
Miejsce: Klinika Kardiologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie

13.00 O płynnej formie świata

Dyskusja: Joanna Kornaś, Doris Mironescu
Prowadzenie: Paulina Subocz
Miejsce: Pałac Czeczotka

14.30 O erotyce

Spotkanie z Almudeną Grandes
Prowadzenie: Marta Eloy Cichocka
Miejsce: Pałac Czeczotka

16.00 O reprezentacji narodowej

Dyskusja: Andrzej Gowarzewski, Wojciech Kuczek, Thomas Urban
Prowadzenie: Janusz Margański
Miejsce: Pałac Czeczotka

18.00 O impulsach

Spotkanie z Wellsem Towerem
Prowadzenie: Zofia Król
Miejsce: Pałac Czeczotka

20.00 O polskości jako poezji

Dyskusja: Jan Kapela, Ilona Witkowska, Bohdan Zadura
Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
Miejsce: Pałac Czeczotka

Czwartek, 25 X

■ POPULIZM

11.30 Lekcja czytania
z Magdaleną Barbaruk
Tekst: Olga Tokarczuk „Bieguni”
Miejsce: Pawilon Wyspiańskiego

13.00 O mistyfikacjach
Dyskusja: Robert Kuśmirowski,
Agnieszka Taborska
Prowadzenie: Natalia Palich
Miejsce: Pałac Czeczotka

14.30 O konflikcie
Dyskusja: Lena Kitsopoulou,
Amanda Michalopoulou,
Prowadzenie: Kamila Buchalska
Miejsce: Pałac Czeczotka

16.00 O mapach
Dyskusja: Thomas Reinertsen
Berg, Edward Brooke-Hitching
Prowadzenie: Magdalena Barbaruk
Miejsce: Pałac Czeczotka

18.00 O sprzeciwie wobec demokracji
Spotkanie z Janem-Wernerem Müllerem
Prowadzenie: Michał Paweł Markowski
Miejsce: Pałac Czeczotka

20.00 O grzechach z przeszłości
Spotkanie z Elisabeth Åsbrink
Prowadzenie: Maciej Zaremba
Miejsce: Pałac Czeczotka

Piątek, 26 X

■ POPKULTURA

11.30 Lekcja czytania
z Marcinem Wichą
Tekst: Michaił Zoszczenko „Agitator”
Miejsce: Pawilon Wyspiańskiego

13.00 O Conradzie i globalizacji
Spotkanie z Mayą Jasanoff
Prowadzenie: Magda Heydel
Miejsce: Pałac Czeczotka

14.30 O kopistach
Dyskusja: Małgorzata Łukasiewicz,
Andrzej Sosnowski
Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
Miejsce: Pałac Czeczotka

**16.00 O ptakach recytujących
eposy narodowe**
Spotkanie z Michałem Ajvazem
Prowadzenie: Joanna Grochocka,
Tomasz Wiśniewski
Miejsce: Pałac Czeczotka

18.00 O kroju narodowym
Dyskusja: Łukasz Dziedzic, Agata
Szydłowska, Marcin Wicha
Prowadzenie: Bogna Świątkowska
Miejsce: Pałac Czeczotka

20.00 O głosie
Spotkanie z Mladenem Dolarem
Prowadzenie: Jacek Poniedziałek
Miejsce: Pałac Czeczotka

Sobota, 27 X

■ POPŁOCH

11.30 Szkoła czytania
Warsztaty: Jak rozpoznać fikcję?
Prowadzenie: Agnieszka Taborska
Miejsce: Pawilon Wyspiańskiego

13.30 O samobójstwie
Spotkanie z Davidem Vannem
Prowadzenie: Michał Sowiński
Miejsce: Pałac Czeczotka

15.00 O zawodach
Spotkanie z Pavolem Rankovem
Prowadzenie: Aleksandra Hudymać
Miejsce: Pałac Czeczotka

16.30 Gala Nagrody Goncourtów
Miejsce: Pałac Czeczotka

18.00 O cierpieniu
Spotkanie z Martínem Caparrósem
Prowadzenie: Magdalena Kicińska
Miejsce: Pałac Czeczotka

20.00 O wyzysku
Spotkanie z Arundhati Roy
Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
Miejsce: Pałac Czeczotka

21.30 O wierszach filmowych
Dyskusja: Darek Foks, Bronka Nowicka
Prowadzenie: Jakub Kornhauser
Miejsce: Kino Pod Baranami

Niedziela, 28 X

■ POPYT

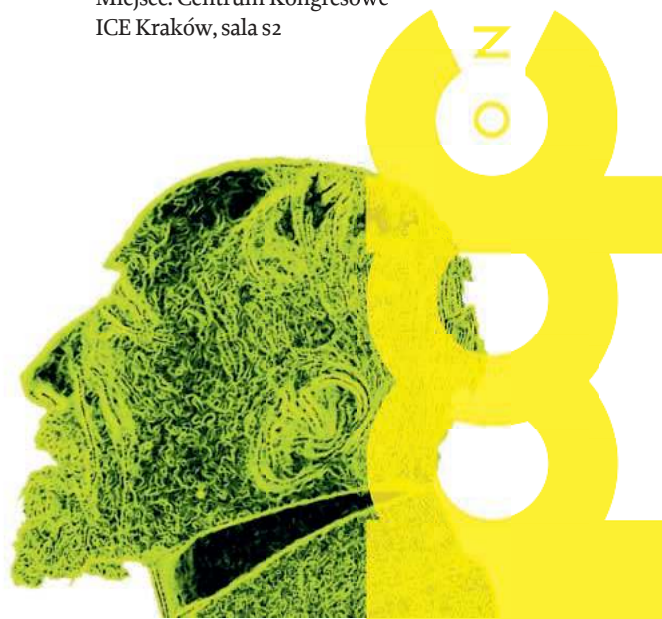
11.30 Szkoła czytania
Warsztaty: Jak rozpoznać prawdę?
Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
Miejsce: Pawilon Wyspiańskiego

13.00 O niechęci mediów do poezji
Dyskusja: Anna Kałuża, Piotr Nesterowicz,
Agnieszka Wolny-Hamkało
Prowadzenie: Darek Foks
Miejsce: Pałac Czeczotka

14.30 O fake newsach
Spotkanie z Jackiem Wernerem
Prowadzenie: Justyna Suchecka
Miejsce: Pałac Czeczotka

**16.00 O nominowanych
do Nagrody Conrada**
Dyskusja: [Nazwiska nominowanych
poznamy 1 października]
Prowadzenie: Michał Sowiński
Miejsce: Pałac Czeczotka

20.30 Gala Nagrody Conrada
Wykład mistrzowski: Arundhati Roy
Miejsce: Centrum Kongresowe
ICE Kraków, sala s2



Organizatorzy zastrzegają sobie prawo
do zmiany programu.
Aktualna wersja znajduje się na stronie
internetowej Festiwalu Conrada:
www.conradfestival.com

Świat bez upiększeń

KAMILA BUCHALSKA

Te dwie pisarki opowiadają nie tylko o swoim kraju i zamieszkującym go społeczeństwie, ale też o współczesnym człowieku, któremu życie wymknęło się z rąk.

Nazwiska stawiają opór, język potrafi się na nich połamać. Skojarzenia: wakacyjne albo szkolne, czyli albo błękit i plaża, albo nuda i oderwanie od rzeczywistości. W omówieniach i recenzjach zajmuje niewiele miejsca, w gazecie trudno o niej przeczytać, a gdy już pojawi się na festiwalu literackim (co nie zdarza się często), przyciąga licznych pasjonatów. Są tacy, którzy – gdy zdarzy się okazja – drżącymi rękami kupują ją na metry, opowiadając przy tym o swoich pierwszych doświadczeniach (i skąd się one właściwie wzięły). Większość jednak nie ma o niej pojęcia. Gdy pada pytanie o jej znajomość, odpowiedź najczęściej brzmi: „nie, niby skąd?”.

Współczesna literatura grecka onieśmiela. Wydaje się wręcz, że sama Grecja pozostaje zbyt daleka i obca, że nic nas z nią nie łączy, a już najmniej literatura. Czy w ogóle możemy coś w niej dla siebie znaleźć?

Artystka skandalu

Kiedy maszynopis ląduje na moim biurku, jest gorący lipiec, a ja naprawdę chciałabym być gdzie indziej. Ale wydruk z jakiegoś powodu zachęca. Intryguje przylepiona na nim żółta karteczka ze skreślonym niedbale: „Zobacz, czy idziemy w tym kierunku”. Wiatrak przegrywa walkę z upałem, rozkładam kartki, lecz zanim dotrę choćby do połowy, już wiem, że owszem, idziemy w tym kierunku.

Gdzie po raz ostatni czytałam coś podobnego? Cała seria skojarzeń, głównie amerykańskich: Flannery O'Connor, Charles Bukowski, William Burroughs, Erskine

Caldwell. Ale też wczesny Stasiuk, ten z „Murów Hebronu”. Podobne, ale to tylko skojarzenia, które nie są w stanie opisać leżącego przede mną niewielkiego, tłumaczonego z nowogreckiego zbioru opowiadań artystki, która bywa także pisarką.

Lena Kitsopoulou – w Grecji to nazwisko mocno sprzęgnięte jest ze słowem „skandal”. Jedni są oburzeni, inni zachwyceni, niemniej poruszeni wszyscy. I nie bez powodu.

Urodzona w Atenach w latach 70., Kitsopoulou już jako dziecko – co w tamtych czasach nie było wcale oczywiste – sporo podróżowała, uczyła się języków, gry na fortepianie, bywała w teatrze, chodziła na koncerty i wystawy. Młodość artystki to śpiew, malarstwo, szkolny teatr, wreszcie Teatro Technis, szkoła założona w 1942 r. przez legendarnego reżysera Karolos Kouna. W rozmowie z Ewą T. Szyler (znakomitą tłumaczką języka nowogreckiego) Kitsopoulou wspominała studia jako czas pełen euforii, zwieńczony zresztą sukcesem – zaproszeniem do zespołu teatralnego Amore.

W 1997 r. zadebiutowała w filmie – był to obraz Dimitrisa Athanitis „Nie lubię diabła” – a za rolę w nim otrzymała nagrodę dla najlepszej aktorki podczas Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Salonikach. Sypnęły się propozycje – kino, telewizja, teatr. Najczęściej wybierała teatr kosztem telewizji, ale aktorstwo stało się nie do zniesienia z powodu despotycznych reżyserów i pracy po kilkanaście godzin dziennie. Na typowe wypalenie zawodowe lekarstwem okazało się pisanie, któremu, jak sama twierdzi, oddawała się od zawsze. Tak w 2006 r. powstały „Nietoperze”, które wylądowały na moim biurku

latem 2013 r. – debiut pisarski Leny Kitsopoulou, debiut translatorski Alicji Biaduń (obecnie Koteckiej).

Książkę zauważono w Grecji. Poczytne pismo literackie „Diavazo” doceniło zbiór i przyznało autorce nagrodę za najlepszy debiut. Głosy krytyki były oczywiście zróżnicowane: jedni zwracali uwagę na precyzyjny, prosty język, drudzy na szokującą tematykę, ale talentu nie odmówił Lenie nikt. Po „Nietoperzach” pojawiły się kolejne teksty, jak choćby „M.E.R.U.L.A.”, w 2009 r. wystawiona na deskach Teatru Narodowego, co było przy okazji reżyserским debiutem artystki. To historia młodej kobiety, która – zgodnie ze społecznymi oczekiwaniami – ma być zadowolona ze wszystkiego. Problem? Na problemy są pigułki i wizyty u psychologa, bo płacz jest przecież taki nieestosowny. Bohaterka dziwi się, z jakiego powodu nie może poczuć gniewu, skoro tak wiele rzeczy ją wkurza, i dlaczego nikt nie akceptuje choroby, skoro to wszystko jest niezbywalną częścią ludzkiego życia.

Niełatwa czułość

„M.E.R.U.L.A.” nie tylko obnaża i wyśmiewa współczesne greckie społeczeństwo – krytyczne ostrze Kitsopoulou wymierzone jest również w dyktat wszechobecnej pozytywności, przymusu mówienia tylko o rzeczach przyjemnych, czym zagłaskuje się rzeczywistość. W „Nietoperzach” i mającym światową premierę w polskim wydaniu opowiadaniu „Aqua velva” przemoc odzyskuje swoje miejsce – mocno osadzone w rzeczywistości, wszechobecne i przytłaczająco zwyczajne.

Chyba właśnie to szokuje czytelników: opis świata bez upiększeń, świata skon-



TOMASZ WALKOW / WROCLAW.PL

fliktowanego, ale zarazem opis niepozabawiony humoru, choć jego odcień zbliża się do absolutnej czerni. Matka zabija niepełnosprawne dziecko, sympatyczny wujek robi dziewczynce coś bardzo dziwnego, czego dorośli starają się nie dostrzegać, dorastająca siostra budzi w bracie emocje, które potrafi on wyrazić jedynie poprzez agresję. To nie są pokrzepiające opowieści! Wbrew współczesnej tendencji do polaryzacji, napędzanej niepokojem i poczuciem pustki, Lena Kitsopoulou nie tworzy jednej, potencjalnie słusznej wizji świata. Jej teksty to głęboka, pełna refleksji i humoru polemika z reżimem „ojczyzny – religii – rodziny”, świętej triady tradycyjnego greckiego społeczeństwa, na której wychowano całe pokolenia.

Nie chodzi jednak o to, by pytać wciąż od nowa o przyczyny zła – to ostatnie jest tuż obok, zwyczajne, płaskie, banalne. Rodzi je strach, ten sam, który napędza i nas. Jednocześnie są w tej prozie elementy często przypisywane literaturze czeskiej: empatia i czułość. I nie ma w tym nic dziwnego, choć wartości te trudno na pierwszy (czasem nawet i na drugi) rzut oka dostrzec, gdyż autorka nie narzuca ich wprost, niczego też nam nie ułatwia. Dla

LENA KITSOPOULOU (ur. 1971) – grecka pisarka, aktorka, reżyserka i projektantka. Ukończyła aktorstwo i współpracowała m.in. z greckim Teatrem Narodowym, Państwowym Teatrem Północnej Grecji oraz Teatrem Sztuki. W 2006 r. debiutowała zbiorem opowiadań „Nietoperze” (pol. wyd. 2013), które szybko doczekały się teatralnej inscenizacji. W 2009 r. napisała sztukę „M.E.R.U.L.A.”. W 2010 r. ukazał się jej kolejny tom opowiadań „Bezkrzesne drogi”. Często jako publicystka zabiera głos w ważnych sprawach społecznych.

■ **Nazwisko Lena Kitsopoulou w Grecji sprzęgnięte jest ze słowem „skandal”.** Jedni się oburzają, inni zachwycają, niemniej poruszeni są wszyscy. I nie bez powodu.

przerażonych tym, że coacherski kontent szalbiersko i po kabotyńsku próbuje się nazywać dzisiaj literaturą, „Nietoperze” będą znakomitą odtrutką. Spora w tym zasługa języka, równie soczystego, klarownego i precyzyjnego w przekładzie, co w oryginale.

Greckie fatum

Książka Amandy Michalopoulou nie trafia już na moje biurko, sama chcę podążać w jej kierunku, więc czytam angielski przekład autorstwa Karen Emmerich. Być może dlatego moje skojarzenia wciąż wychylają się w stronę kręgu anglosaskiego. A może po prostu dziwnym trafem literatura anglojęzyczna jest dla nas najmniej obca z obcych?

Amandę Michalopoulou określono w Polsce, dość niefortunnie, mianem „greckiej Ferrante”. Mnie z kolei jej proza robi to, co zwykle teksty Zadie Smith – nie pozwala złapać oddechu i przerwać. U Michalopoulou mniej jednak ironii, za to nad bohaterkami zawisa fatum. Maria i Anna mają po dziewięć lat, obie są w Grecji „nowe”, obie mieszkają z matkami, Maria wróciła z nigeryjskiej Ikeji, Anna – z Pariza. Jak ich matki przeżywają powrót do →



D. TSOUNPLEKAS / CONRAD FESTIVAL

AMANDA MICHALOPOULOU (ur. 1966) – grecka dziennikarka, romanistka i prozaiczka, autorka książek dla dzieci. Studiowała filologię francuską w Atenach oraz dziennikarstwo w Paryżu. Przez wiele lat publikowała artykuły w gazecie „Kathimerini” (1990–2008). Zadebiutowała w 1994 r. zbiorem opowiadań „Na zewnątrz życie jest kolorowe”. W 2016 r. ukazała się po polsku jej powieść „Dlaczego zabiłam moją najlepszą przyjaciółkę”.

■ Jak przystało na postmodernistkę z urodzenia, Amanda Michalopoulou nie boi się demaskacji. Bezwstydnie pozostawia tropy i wskazuje, gdzie można zacząć własne śledztwo.

→ kraju rządzonego przez juntę pułkowników? Dziewczyny nie rozumieją rozpaczki najbliższych im kobiet, dlatego z ich perspektywy matka Marii wciąż tylko gotuje i na nic nie ma siły, a matka Anny udaje, że nadal mieszka we Francji.

Etapy transformacji kraju wyznaczają bieg fabuły; rewolucje i konflikty społeczne odmierzają etapy w życiu Marii i Anny. Grecka polityka lat 80. XX w. jest dynamiczna; ludzie pragną kolejnych zmian, które mogłyby popchnąć kraj do przodu – aż na skraj przepaści. To samo dzieje się z dziewczynami, które niebawem staną się kobietami. Podobnie jak politycy (oraz wszyscy pozostali obywatele), miotają się bez celu, próbując okiełznać narastające napięcie, którego źródłem są konflikty wewnętrzne i zewnętrzne. Etykiety przestają pasować do zawartości opakowań, przyjaźń traci swą strukturę, morderstwo zostaje zdetronizowane, jawi się już tylko jako element tła.

Michalopoulou, również atenska z urodzenia, to nad wyraz płodna twórczyni: pisze powieści, opowiadania i książki dla dzieci. Jej teksty ukazywały się na łamach takich czasopism jak „Harvard Review”, „PEN Magazine”, „World Literature Today”, „Asymptote” czy „The Guardian”. Uznawana za jeden z ważniejszych literackich głosów współczesnej Grecji, zdobyła wszystkie najważniejsze wyróżnienia literackie w swoim kraju, w tym nagrodę przyznaną przez redakcję czasopisma „Revmata”, magazynu „Diavazo” oraz nagrodę Akademii Ateńskiej. Wielokrotna laureatka literackich grantów, przekładana na 14 języków. Słowem – literacka sława.

Jednak zapytana o jej miejsce w literaturze światowej, opowiada o swojej osobności: „Zawsze czułam się bardzo samotna w literaturze, jako człowiek, który siedzi i pisze. Oczywiście mam zaplecze kulturowe oraz literackie, ale nie czuję, żebym należała do kategorii »pisarka«, »grecka pisarka« albo »młoda pisarka poniżej trzydziestego piątego roku życia«”.

Gry w literaturę

Rzeczywiście, trudno jednoznacznie przypisać i skatalogować jej twórczość. Wydaje się, że jedyne adekwatne kryterium to po prostu wysoka jakość. Z „Dlaczego zabiłam moją najlepszą przyjaciółkę?” (polski przekład również autorstwa Alicji Koteckiej) uczyniła rodzaj gry. Dla literaturoznawców czy innych wyznawców intertekstu-

DWIE PISARKI GRECKIE, których utwory, choć różne pod względem formalnym i fabularnym, łączy stosunek do współczesnego społeczeństwa: pozostają wobec niego nieufne, choć nie chcą trzymać wobec niego dystansu. Przeciwnie – zbliżają się do jego przedstawicieli tak bardzo, jak to tylko możliwe, by uchwycić i opisać charakter łączących ich relacji. Lęk, zwątpienie, zmęczenie, smutek, gniew, zniecierpliwienie – oto podstawowe emocje, których doświadczają bohaterowie tej prozy, nieustannie próbujący sobie poradzić z konfliktem – zarówno wewnętrznym, jak i zewnętrznym – będącym fundamentem życiowego doświadczenia.



ARCHIWUM PRYWATNE

KAMILA BUCHALSKA – urodzona w Dolinie Baryczy. Wydawczyni, redaktorka, współwłaścicielka i redaktorka naczelna wydawnictwa Książkowe Klimaty. Na studiach pisała sporo o intertekstualności w cRPG, ale zamiast ludolożką, została edytką. W branży książkowej pracuje od 2008 r., bywała też księgarką, copywriterką i promotorką kultury, głównie w obszarze indie LARP-ów.

alności każdy trop, jaki Michalopoulou pozostawia w tekście, to prawdziwa kopalnia skojarzeń i odniesień. Z samych cytowanych w tekście dzieł można złożyć niezłą biblioteczkę, ale oko puszczane jest tu do czytelnika bardzo subtelnie. „No, jeśli bardzo to lubisz...” – zdaje się sugerować.

Ci zaś spośród czytelników, dla których tego rodzaju zabawy to pretensjonalne gierki, nie poczują się wykluczeni. Krótko mówiąc – owszem, mamy tu do czynienia z grą, co nie znaczy, że zostają do niej zaproszeni wyłącznie członkinie i członkowie hermetycznego zakonu.

Na samym tekście się jednak nie kończy. W przeciwieństwie do pisarzy i pisarek, dla których wplatanie do utworów tytułów innych dzieł jest niemalże erotycznym fetyszem, Amanda Michalopoulou poszła o krok dalej. Jak przystało na postmodernistkę z urodzenia, nie boi się demaskacji. Przeciwnie: bezwstydnie pozostawia tropy, podpowiada, gdzie można zacząć własne śledztwo. I tak dowiadujemy się, że jedna z jej bohaterek, Anna Horn, rzekomo stworzyła cykl „konceptyjnych polaroidów”, a „na wystawie *Loops* (Pętla) w Mydlarni wykonała instalację z wyschniętych traw pokrytych zieloną farbą fluorescencyjną”. Pojawiło się nawet kilka tekstów teoretycznych autorstwa Anny, ale już jej nekrologu nie udało się opublikować, bo w międzyczasie powstała „Dlaczego zabiłam...” i cała misterna intryga została zniszczona.

Jednak najcenniejsze w tym wszystkim nie są artystyczne figle, ale sama opowieść i snujący ją głos. Ten sam, który opowiada o etycznym aspekcie pisania i o tym, jak piszący może zrozumieć swoich bohaterów: próbować czuć to samo, mówić ich językiem. „Przychodzi mi to spontanicznie, to niestosowanie dydaktyzmu, podążanie za głosem bohaterów, to niekaranie ich, kiedy robią coś złego, albo wywyższanie do roli herosów, kiedy są po prostu dobrzy, jak to się robi z bohaterami w operach mydlanych” – mówi pisarka.

Ten sam głos stanowczo daje do zrozumienia, że nie wierzy w literaturę narodową. Bo przecież Kafkę czytamy nie ze względu na jego pochodzenie, lecz na wartość jego prozy. Co ciekawe, ogromna grupa polskich czytelników zna i ceni pewnego grecko-amerykańskiego pisarza, który – choć osadza swoich bohaterów w różnych zakątkach świata – pozostaje pisarzem głęboko greckim.

To dobry początek.

©

Legenda o niewinności

DAVID VANN:

Kocham wolność bardziej niż cokolwiek innego. Brzmi to naiwnie, ale literatura jest dla mnie formą wolności, inaczej bym się nią nie zajmował. W pisaniu wspaniale jest to, że mogę pracować sam i nikt mi niczego nie narzuca.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Dlaczego ludzie tak często marzą o ucieczce od cywilizacji?

DAVID VANN: Cała kultura Zachodu skazana jest mitem o Edenie. Gdy sobie nie radzimy w życiu, roimy o stanie pierwotnej niewinności. W amerykańskiej kulturze wzmocnili to pragnienie transcendentaliści – Ralph Waldo Emerson i Henry David Thoreau, w których sam się zaczytywałem, gdy byłem nastolatkiem. Z tego wyrosła cała XX-wieczna kontrkultura. Dlatego nawet ateści wierzą w metafizyczne dobro ukryte w człowieku. A gdy nie potrafią go znaleźć, zwracają się w stronę natury – to ich ostatnia deska ratunku.

Jak bohaterowie Twoich książek.

Dla mnie natura jest wyłącznie lustrem, które odbija emocje patrzącego. Dlatego jeśli ktoś skrywa w sobie coś potwornego, zobaczy to również w krajobrazie.

Gary, bohater powieści „Caribou Island”, ucieka na Alaskę. Chce zacząć wszystko od nowa, marzy też o samowystarczalności.

Podobnie Jim w „Legendzie o samobójstwie”. Każdego z nich napędza to samo marzenie o dotarciu do raju, dla którego dzika natura ma być bramą. A chodzi oczywiście o ucieczkę przed samym sobą.

W amerykańskiej literaturze istnieje silny topos człowieka okiełznującego naturę. Ty burzysz ten mit.

Łatwo to uchwycić, gdy się patrzy z zewnątrz. W Stanach panuje fałszywe przekonanie, że nasza literatura ma zdecydowanie wielkomiejski charakter. A przecież

większość amerykańskiej klasyki dzieje się właśnie na prowincji albo wręcz na obrzeżach cywilizacji.

To ważna dla mnie tradycja, którą jednak próbuję przekroczyć, pokazując, że naturalny czy też pierwotny krajobraz nie istnieje. Jak w „Krwawym południku” Cormaca McCarthy’ego, gdzie góry są zbudowane nie z kamienia, lecz ze strachu. Mnie też nie obchodzi geologia, ale emocje, którymi obrasta.

Możemy patrzeć na tę samą górę czy zatokę, a każdy z nas opisze ją zupełnie inaczej. To mówi dużo o naszej psychice – zarówno jej świadomych, jak i nieświadomych warstwach.

W Twoich powieściach przyroda jest surowa i obojętna.

Próbuję zerwać z naiwnym, ale głęboko zakorzenionym w amerykańskiej kulturze mitem, że jest czymś dobrym, czymś, co nam sprzyja. W tym sensie moje opisy przyrody są głęboko antyamerykańskie, bo dla mnie to wyłącznie dekoracje dla dramatu.

Twoje powieści mają coś z greckiej tragedii.

Moi bohaterowie działają impulsywnie, poza własną świadomością. Nie wiedzą, co popycha ich do działania, czują jednak cięgłą potrzebę ucieczki.

Co czyni ich jeszcze bardziej nie-szczęśliwymi. Możliwy jest inny scenariusz?

Dobre pytanie. Nieustannie je sobie zadaję, bo właśnie szykuję łódź na dwumiesięczny rejs.

KIKO HUESCA / EFE / FORUM

Samotny?

Tak, ale na szczęście nie mam romantycznych złudzeń, przynajmniej żadnych poważniejszych. Wiem, czego mogę się spodziewać, bo pływam samotnie od lat. Większość takiego rejsu to ciężka i mało wdzięczna praca. Nie oczekuję żadnego zespolenia z naturą, po prostu lubię być sam na morzu.

Pozbyłeś się młodzińskich marzeń?

Nie, ciągle je w sobie mam, ale nie wierzę, że zdołam je zrealizować.

Trochę smutno.





Wcale nie. Często robimy rzeczy, co do których nie mamy większych złudzeń. To daje poczucie wolności.

Wolność może być kolejną niebezpieczną fantazją.

Wiele w naszym życiu zależy od tego, jak zdefiniujemy to słowo. Żeby poczuć się wolnym, niedawno sprzedałem dom w Nowej Zelandii. Nie chciałem siedzieć cały czas w jednym miejscu, do tego na końcu świata, gdzie nikt z bliskich nie mógł mnie odwiedzić. Ale w moim przypadku, przynajmniej taką mam nadzieję, nie jest to destrukcyjne. Mój ojciec miał

obsesję na punkcie wolności. Był dentystą, ale nienawidził swojej pracy i całe życie marzył, żeby zostać rybakiem.

Od czego chciał być wolny, poza byciem dentystą?

Od chrześcijaństwa, do którego zmuszała go matka. Całe życie unikał chodzenia do kościoła, ale do końca czuł się z tego powodu winny. Chciał się też uwolnić od piekła pierwszego małżeństwa. Niestety, ożenił się po raz drugi i popełnił dokładnie te same błędy. Wyjechał na Alaskę, żeby odciąć się od wszystkich, ale jednocześnie rozpaczliwie potrzebował relacji →

DAVID VANN (ur. 1966) – amerykański prozaik, autor opowiadań i powieści. Wykłada na Uniwersytecie w Warwick. W 2011 r. otrzymał grant Guggenheim Fellowships. Debiutował w 2008 r. zbiorem opowiadań „Legenda o samobójstwie” (pol. wyd. 2018), który powstawał przez kilkanaście lat i jest częściowo autobiograficzną opowieścią o samobójstwie ojca pisarza. Od tego czasu wydał sześć kolejnych książek. Otrzymał wiele prestiżowych nagród w USA i na świecie, m.in. California Book Award (2008) czy St. Francis College Literary Prize (2013). Jego prozę przetłumaczono na 23 języki.

→ z ludźmi. Staram się unikać tych błędów i cieszyć się tym, co robię. Mam spotkania autorskie na całym świecie, dlatego dużo podróżuję. Wykładałam na uczelni w Warwick tylko dwa miesiące w roku, więc pozostałe dziesięć mogę być gdziekolwiek i tam pisać kolejne książki.

Przez tysiąclecia nie istniało pojęcie „wolnego czasu”. Mamy go od niedawna, co paradoksalnie często nas unieszczęśliwia.

Kocham wolność bardziej niż cokolwiek innego. Brzmi to naiwnie, ale literatura jest dla mnie formą wolności, inaczej bym się nią nie zajmował. W pisaniu wspaniale jest to, że mogę pracować sam i nikt mi niczego nie każe. Z drugiej strony uwielbiam świat literacki, kocham rozmawiać o książkach, ale najczęściej nie mam z kim. Gdy podczas rejsów spotykam Amerykanów, to zwykle okazują się bogatymi, konserwatywnymi przygłupami. W dodatku nie znoszę morskich opowieści. Ludzie, z którymi chcę się spotykać, mieszkają na kampusach albo w europejskich miastach. Dlatego tak bardzo lubię festiwale literackie, jednak wciąż nie wiem, jak połączyć to z samotniczym życiem na morzu.

Twój ojciec popełnił samobójstwo, gdy byłeś dzieckiem. Twoja debiutancka książka „Legenda o samobójstwie” opowiada o tym wprost. Minęło już 10 lat od jej premiery.

Ta powieść wciąż jest dla mnie świeża i dalej chętnie o niej rozmawiam. Zanim udało mi się ją opublikować, minęło 12 lat, więc skończyłem ją pisać 22 lata temu. A samo pisanie zajęło mi kolejną dekadę, wszystko zatem zaczęło się 33 lata temu. Mimo to wciąż nie myślę o niej w kategoriach przeszłości. Podobnie mam z innymi moimi książkami, które składają się na to, kim jestem. Nie zastanawiasz się, czy twoja ręka albo noga jest stara – jest częścią ciebie tu i teraz.

Jednak coś się chyba wydarzyło przez te 33 lata.

Wydanie „Legendy o samobójstwie” zmieniło wszystko. Ostatnia dekada to najlepszy okres w moim życiu. Przez tyle lat nie mogłem znaleźć wydawcy, więc ta historia należała tylko do mnie. To był koszmar, czułem się wyobcowany z własnego życia, bez nadziei na ratunek. Dlatego wciąż nie mogę uwierzyć, że przetłu-

maczono ją na tyle języków. Przez lata nie miałem z kim o niej rozmawiać, a teraz mogę gadać do woli, co wciąż przyjmuję z olbrzymią wdzięcznością. Dzięki czytelnikom dowiedziałem się o sobie i swoim pisaniu wielu zupełnie niespodziewanych rzeczy.

Jakich?

Kilka dni temu na spotkaniu we Francji ktoś zwrócił uwagę na powracający motyw samoofiary w mojej prozie. Z kolei kilka lat temu pewien krytyk stwierdził, że wszystkie moje książki opowiadają o kryzysie wiary. To oczywiste, ale wcześniej tego nie dostrzegałem.

Niemal obsesyjnie powracasz do tych samych tematów. Trzy lata po debiucie wydałeś „Caribou Island”, gdzie znów pojawia się Alaska oraz samobójstwo. Chciałeś domknąć ten wątek?

Wiele osób zwraca uwagę na to podobieństwo. Niektórzy krytycy stwierdzili nawet, że moje trzy pierwsze powieści są o tym samym, bo w każdej pojawia się chatka na odludziu. Co prawda w „Dirt” to bardziej szopa na narzędzia, ale żeby nie dać im satysfakcji, w „Goat Mountain” bohaterowie śpią na ziemi. A mówiąc serio, każda z nich dotyczy innej relacji: „Legenda o samobójstwie” to historia o ojcu i synu; „Caribou Island” opowiada o rozpadzie małżeństwa; a „Dirt” o dorosłym synu i jego matce.

LUDZIE, KTÓRZY DZIAŁAJĄ pod wpływem tajemniczych impulsów, którzy próbują uwolnić się od nieuświadomionych problemów, którzy uciekają od koszmarów z przeszłości, którzy marzą o byciu z innymi, ale gdy tylko na ich drodze pojawi się bratnia dusza, wybierają samotność z dala od cywilizacji, którzy w chwili największej słabości, nie znajdując wystarczających powodów, by walczyć o siebie, wybierają samobójstwo – oto bohaterowie powieści i opowiadań Davida Vanna, z którym na Festiwalu będziemy rozmawiać o psychologicznych i społecznych przyczynach samobójstwa, a także traumie jako źródle literatury.

Czyli jak u Tołstoja – tylko nieszczęśliwe rodziny są interesujące?

Coś w tym jest, nigdy na przykład nie pisałem o mojej siostrze, z którą mam bardzo dobre relacje. Potrzebny jest konflikt, bez niego nie ma literatury. Wszystkie wybitne dzieła w naszej kulturze mają w sobie coś z tragedii, wyjątki są bardzo nieliczne.

Tropisz wzory patologicznych zachowań?

Za każdym razem oś konfliktu przebiega gdzie indziej, więc układa się z tego zupełnie nowa historia. Dlatego też wszystko rozgrywa się na odludziu. Otaczająca pustka nie tylko wywiera dodatkową presję, ale też uniemożliwia ucieczkę. Żaden z moich bohaterów nie może krzyknąć „pieprzyć to” i pójść do pubu, żeby z kimś pogadać, bo dookoła nie ma nikogo innego. W „Legendzie o samobójstwie” ten efekt podkreśla dodatkowo fakt, że opowiadania są jednowątkowe – jesteśmy z bohaterami zamknięci przez cały czas, nie ma chwili na oddech.

Powtórzenia nie dotyczą tylko schematów fabularnych, ale nawet imion.

Większość fabuł zakorzeniona jest w historii mojej rodziny, w której zdarzyło się pięć samobójstw. To pewnie częściowo tłumaczy moją skłonność do powtórzeń.

Skoro wszystko wyrasta z Twojego doświadczenia, to dlaczego w tytule pojawia się „legenda”?

Stylistycznie chodziło o nawiązanie do pisarstwa hagiograficznego, w którym występują różne warianty tej samej biografii. Poza tym nikt w mojej rodzinie nie wiedział, co właściwie stało się z ojcem. Nikt nie chciał o tym rozmawiać, a gdy już udało się kogoś do tego skłonić, opowiadał własną wersję wydarzeń. Mówiąc inaczej, nikt z nas nie miał dostępu do prawdy, każdy widział i nadal widzi tylko ten fragment, który go najbardziej zabolął. Jedyne więc, co mogłem zrobić, to stworzyć kilka różnych historii, które będą ze sobą konkurować – nie tylko fabularnie, ale także stylistycznie. Każde opowiadanie miało też innego patrona literackiego. Poza wszystkim uczyłem się wtedy pisać i szukałem właściwego stylu.

To chyba także praca żałoby.

Oczywiście, ten zbiór powstawał bardzo długo. W tym czasie zmieniał się mój sto-

sunek do śmierci ojca. Musiałem pogodzić się z tym, że już zawsze będzie to najważniejsze wydarzenie w moim życiu, także pisarskim. Dlatego najróżniejsze wcielenia tej postaci można znaleźć w każdej mojej książce. Obsesyjnie do niego wracam, bo osiągam w ten sposób rodzaj oczyszczenia.

Wszyscy mężczyźni w Twoich powieściach są słabi i żałośni. Wykonują rozpaczliwe gesty mające przywrócić im męskość: polują, łowią ryby albo budują domy w głuszy, ale wszystko na nic. Jesteś krytykiem patriarchalnej kultury?

Gdy piszę, unikam politycznego zaangażowania, bo szkodzi ono samej opowieści. Bez wątpienia jednak patrzę na świat z feministycznej perspektywy. Medea, bohaterka mojej najnowszej powieści „Bright Air Black”, z pewnością nie chce żyć w świecie rządzonym przez szowinistyczne świny. Nie mam wątpliwości, że za zło, którego doświadczamy na co dzień, w większości odpowiadają mężczyźni. Pokrywa się to także z obserwacją mojej rodziny, w której męska strona to pasmo porażek i rozczarowań, z którymi kobiety muszą sobie radzić.

Twoim bohaterom można co najwyżej współczuć, ale nie da się ich polubić.

Bohater, którego da się łatwo polubić, to produkt najnowszej, cukierkowej popkultury amerykańskiej. Przez ostatnie 25 stuleci bohaterowie literaccy służyli czemuś innemu.

Do tego drastyczne opisy zdeframentowanego, gnijącego ciała.

Nie oszczędzasz czytelnika.

Szokowanie nigdy nie było moją intencją, sam nie znoszę brutalnych obrazów. Potrzebowałem jednak tych scen, bo nigdy nie widziałem ciała mojego ojca po śmierci. Przez lata musiałem sobie je wyobrażać, co było koszmarem. Dzięki literaturze mogłem je w końcu urealnić i zakończyć proces dotkliwej i skomplikowanej żałoby.

Z tym że w głównej noweli „Legendy o samobójstwie” to nie ojciec się zabija, tylko syn.

Nie planowałem tego – to pojawiło się znienacka, w połowie zdania i okazało się przełomowym momentem. Ciało ojca pozostawało dla mnie niedostępne, ale

■ **Moich bohaterów napędza marzenie o dotarciu do raju, do którego bramą ma być dzika natura. A chodzi oczywiście o ucieczkę przed samym sobą.**

■ **Potrzebny jest konflikt, bez niego nie ma literatury. Wszystkie wybitne dzieła w naszej kulturze mają w sobie coś z tragedii, wyjątki są bardzo nieliczne.**

■ **Bohater, którego da się łatwo polubić, to produkt najnowszej, cukierkowej popkultury amerykańskiej. Przez ostatnie 25 stuleci bohaterowie literaccy służyli czemuś innemu.**

mogłem sobie wyobrażać, jak wyglądałyby moje zmasakrowane szczątki. Ta pokrętna logika okazała się zbawienna. Opisując rozpacz ojca po śmierci syna, po raz pierwszy odzyskałem kontakt z własnymi emocjami.

Podobno wszystkie powieści napisałeś ciągiem, w zasadzie nie wprowadzając poprawek.

Gdy zaczynam pisać, nie mam planu ani nawet ogólnego pomysłu na fabułę. Zaczynam od miejsca oraz pary skonfliktowanych bohaterów. Codziennie pracuję po dwie godziny. Pierwszą poświęcam na przeczytanie ostatnich 20 stron, aby wprowadzić się w odpowiedni rytm. Druga godzina zawsze zaczyna się od przerażenia, że nic już nigdy nie napiszę. I fakt, że codziennie przeżywam to samo, niczego nie zmienia. Aż nagle zaczynam pisać – bardzo szybko, żeby nadążyć za myślą. Tracę wtedy poczucie czasu i potrafię sam siebie zaskoczyć. To jeden z powodów, dla których piszę: utrzymywanie kontaktu z własną nieświadomością. Najdziwniejsze, że na końcu wszystko łączy się w całość. To dla mnie bardzo tajemniczy proces.

I nic potem nie zmieniasz?

Przy „Goat Mountain” udało mi się wydać powieść bez żadnej poprawki. Wcześniej zdarzyło mi się dopisać kilka akapitów tu i ówdzie, najczęściej na prośbę wydawcy.

To wyzwanie, które stawiasz przed sobą? Co chcesz przez to osiągnąć?

To nie jest żaden wyrafinowany koncept literacki, po prostu nie umiem inaczej. Wiele razy próbowałem coś zmienić albo poprawić, ale nie byłem w stanie. Dla mnie pisanie to konstruowanie sceny po scenie i każda kolejna musi wynikać z poprzedniej. Dlatego dodanie albo usunięcie nawet jednego elementu zaburza całą konstrukcję, czyli trochę jak w tragedii antycznej. Jeśli mam być szczery, to dziwi mnie, że ktoś w ogóle jest w stanie pisać inaczej.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

MICHAŁ SOWIŃSKI (ur. 1987) – krytyk literacki i redaktor. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”. Doktorant na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Redaktor literacki Festiwalu Conrada. Z Katarzyną Trzeciak prowadzi podcast literacki „Book’s not dead”.

Z której strony wieje wiatr?

ZOFIA KRÓL

Po lekturze „Ruin i zgłiszcz” rozmowy o pogodzie, które zwykliśmy uważać za symbol najbardziej zdawkowych międzyludzkich relacji, będą się nam jawić jako najbardziej wyrafinowana forma kontaktu.

Gdyby wyruszyć tropem bohaterów Wellsa Towera, trasa biegłaby wzdłuż wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Należałoby wynająć samochód na pustawym lotnisku w Bangor, gdzie lądował spóźniony o parę godzin Stephen i nikt tam na niego nie czekał, objechać wciśnięty w terytorium Kanady okręg Aroostook i górę, na której jego brat, Matthew, planował założyć samotniczą osadę dla zgorzkniałych mężczyzn; ruszyć dalej jedynką, mijając opłukiwane wodami Golfstromu wysepki stanu Maine (to być może właśnie na jednej z nich Bob Munroe znalazł smutny, brunatny brzeg, zamiast upragnionej piaszczystej plaży); w drodze ku południowym Stanom trzeba by odwiedzić Nowy Jork, kilka godzin spędzić w Washington Square Park, przyglądając się grającym w szachy nieznanym, wśród których przez chwilę dobrze czuł się starszy pan z amnezją, zanim zrozumiał, że nie poznaje już własnego syna; a zakończyć podróż w Karolinie Północnej, gdzie Jacey próbuje z godnością przetrwać wizytę zbyt czarującej kuzynki, zaś pewien kot przynosi nieszczęśliwej nastolatce do łóżka zranione i maltretowane piskle.

Kierunek, jaki przyjmuje opowieść w ośmiu zawartych w tomie „Ruin i zgłiszcz” tekstach, prowadzi z północy na południe. Sam autor pokonał w swym życiu trasę w przeciwną stronę – wychowany w Karolinie Północnej, ostatecznie trafił do Nowego Jorku. Jedynie akcja dziwiącego – tytułowego – opowiadania znajduje się z dala od tej trasy. Przenosi czytelnika w odległe miejsca i czasy: Harald jest Wikingiem, nocami nie śpi, nasłuchuje nieustająco złowrogięgo plusku wiosła. „Najchętniej byś znienawidził tych ludzi,

własną żonę i dzieci, bo wiesz, co im zrobi świat: sam przecież niejedno masz na sumieniu” (tłum. Michał Kłobukowski).

Drobne rozczarowania

Jadąc wynajętym samochodem przez Stany, moglibyśmy prowadzić dziennik drobnych ludzkich rozczarowań i sytuacji, które je wywołały (wypuszczony z małej rączki balon, zbyt szybko przerwana rozmowa z bliskimi, samotna chwila przy restauracyjnym stoliku). Rozczarowania zapisane w „Ruinach i zgłiszczach” są przecież tylko pewnym autorskim wyborem i jako takie dają nam wgląd w świat, w którym nic nie dzieje się tak, jak ośmielili się przez chwilę zamarzyć znękanego serca bohaterów.

■ W prozie Towera pierwszy plan wypełniają przykrości zwyczajne, na pozór pozbawione znaczenia, ale to właśnie one – setkami drobnych ukłuc, powtarzaną cierpliwie torturą – składają się na nieznośną, niemożliwą do zniesienia rzeczywistość.

Chwila rozkosznej kąpieli w stawie pod ciemnym niebem, bliskość z kobietą o zniekształconej źrenicy, pocałunek na karuzeli – u Towera, paradoksalnie, najbardziej bolesne są momenty, które powinny przynosić radość. Po lekturze kilku stron czytelnik już wie, że zaraz pojawią się kolejne sceny, które przyniosą drobne, ale powracające z bezlitosną konsekwencją rozczarowania. Najstraszliwsze zdarzenia – jak noworodek wrzucony do wiadra, żeby się wypłakał na śmierć, o którym wspomina kłamliwy opiekun jednego z bohaterów, czy chłopiec, który żałuje, że nawdychał się za mało trującego dymu – pojawiają się tu nie w samym centrum opowieści, ale na jej obrzeżach i niejako mimochodem. Pierwszy plan wypełniają przykrości zwyczajne, na pozór pozbawione znaczenia, ale to właśnie one – setkami drobnych ukłuc, powtarzaną cierpliwie torturą – składają się na nieznośną, niemożliwą do zniesienia rzeczywistość.

Kiedy nadzieja i rozczarowanie ułożą się już we właściwych proporcjach – to jest jak jeden do nieskończoności – kiedy już stanie się oczywiste, że bohater więcej nie zniesie, a autor nie zdoła już niczego do swej fabuły dorzucić, cały ten koszmarny spłot przetnie pointa, najbardziej charakterystyczny element opowiadań Towera. Pojawia się zwykle tuż po kolejnym, przeważającym szalę rozczarowaniu, jednak zanim bohater zdąży pogryźć się w całkowitej beznadziei. A na razie zwraca się odważnie w stronę wrogięgo świata i wydaje się, że nie przegrał swej partii: rzuca ślimakiem w morze, podnosi widelec do ust, nasłuchuje lamparta, krzyczy głośno przez otwarte okno, kładzie dłoń na ramieniu dziewczyny. Moment, w którym po precyzyjnej poincie opowieść zostaje ostatecznie przerwana (opowiadanie po prostu się



WELLS TOWER (ur. 1973) – amerykański pisarz urodzony w Vancouver. Debiutował w 2005 r. na łamach „The Paris Review”, jego opowiadania i reportaże drukowały m.in. „New Yorker”, „McSweeney’s” i „GQ”. Dwukrotny laureat Pushcart Prize oraz Plimpton (Discovery) Prize organizowanej przez „The Paris Review”. W 2009 r. wydał swoją pierwszą książkę – świetnie przyjęty przez krytyków i czytelników zbiór opowiadań „Ruiny i zgłiszcza”.

kończy), jest dla nas – jako czytelników – bardzo trudny. Jeszcze żyjemy nadzieję na szczęśliwy koniec: być może uda się odbudować kolorowe akwarium, uratować choćby porcję mięsa, zagłuszyć słowa ojczyma, zapomnieć się w ostatniej w życiu narkotykowej ekstazie, umówić na randkę w wesołym miasteczku. Przy czym ciebie następuje nie tyle na poziomie życia bohatera, które – mimo że zawróciło w stronę beznadziei – będzie się musiało przecież jakoś dalej toczyć, ile w relacji, którą autor zawiązuje z czytelnikiem. Drastyczny, bezlitosny ruch ostatecznie zamyka świat przedstawiony.

Korowód rozczarowań się nie kończy, ale pisarz niczego już nie dodaje. Rezygnacja zostaje przeniesiona również na poziom słów.

Smutne i niepotrzebne

Wellsowi Towerowi, niezwykle świadomemu swojego warsztatu absolwentowi kursu pisarstwa na uniwersytecie Columbia, trudniej byłoby zapewne napisać powieść. Opowiadanie pozwala wrzucać czytelnika w szkicowane ciągle od nowa światy i urywać narracyjną nić w starannie wybranym momencie. Za pomocą pojedynczego opowiadania można opisać fragmentaryczność świata. Gdy obok siebie znajdzie się kilka takich tekstów, wówczas można uchwycić pewien rytm rzeczywistości, który wyznacza powracające doświadczenie rozczarowania. W powieści byłoby to trudniejsze. W krótszych formach sama struktura tekstu pozwala przejść na stronę pustki. Ruiny i zgłiszcza łatwiej poddają się opisowi, jeśli ów opis w każdej

WITTI DE TERA / EAST NEWS

→ chwili można przerwać. W powieści byłoby to trudniejsze.

Cały ten mechanizm działa u Wellsa Towera tym lepiej, że większość opowiadań składa się z podobnych elementów. Wszystko powtarza się jak w baśni, tyle że zamiast trwać przy tym, co cudowne i pozytywne, autor koncentruje się na tym, co smutne i niepotrzebne. Samotni mężczyźni, wyjazd bohatera poza miejsce zamieszkania albo nagły przyjazd gościa, zawiązująca węzeł akcji nieprzyjemna rozmowa telefoniczna, porównywanie się do kogoś zawsze od siebie lepszego (brat, kuzynka, szkolna gwiazda) czy rozmaite gatunki zwierząt (krwiożerczy ślimak, zastrzelony łoś, lampart, gołębie pisklę i florydzki anolis) – to właśnie one tworzą narracyjną oś opowieści. Anolis „zsuwa się brzuchem po emaliowanym boku cysterny prosto w półksiężyc głębokiej rdzy” i tylko pozornie nie ma wpływu na resztę zaczynającej się przy budce z chińskimi przekąskami opowieści („Na pokaz”).

Podobną funkcję pełnią w tej prozie rzeczy. Regularnie pojawiają się tu urządzenia gospodarstwa domowego, które bohaterowie traktują z namaszczeniem, a niekiedy obsesją: wszelkie grille i patelnie, ekspres do kawy z wmontowaną spiralą chłodzącą, który miał być hitem Targów Usługowo-Hotelarskich w Westport, a teraz wraca smutno pociągami na kolanach swojego wynalazcy („Zawiadomcy doniosłych energii”), czy młynek do liści, który bez przerwy uruchamia ojcym Yancey’ego z „Lamparta”, skutecznie zagłuszając jakąkolwiek możliwość porozumienia. Urządzenia, które pierwotnie miały człowieka wyręczać i przynosić mu ulgę, stają po stronie wrogiego świata, a przyrządzane przy ich pomocy posiłki tylko na chwilę dają wytchnienie. Sumy jeszcze są pyszne, choć smażone w kupnej panierce, steki z łośa okazują się jednak zepsute, zaś kolacja z ostatnich miękkich krabów w sezonie być może w ogóle nie dojdzie do skutku.

Wrzuceni w świat

Podróżując przez Stany czytelnik Towera mógłby też – wzorem bohatera historii „Drzwi w twoim oku”, tego samego, który w narkotykowej ekstazie krzyczał przez okno i zapewne już nie zjadł przygotowanych przez córkę ostatnich miękkich krabów w sezonie – zrezygnować z prowadzenia dziennika rozczerowań na rzecz skrupulatnego notowania po-

■ Bohaterowie dochodzą do wniosku, że nagromadzone w ciągu życia rozczerowania trzeba zaakceptować i przestać o nich mówić. Jedyne, co daje wytchnienie, jedyne, co pozostaje do dodania, to jak mocno świeci słońce i z której strony tego dnia wieje wiatr.



ARCHIWUM PRYWATNE

ZOFIA KRÓL (ur. 1980) – doktor filozofii, redaktorka naczelna magazynu o kulturze Dwutygodnik.com, krytyczka i historyczka literatury. Autorka książki „Powrót do świata. Dzieje uwagi w filozofii i literaturze XX wieku” (2013). Laureatka przyznawanej przez „Zeszyty Literackie” Nagrody im. Konstantego A. Jeleńskiego (2006).

DLA BOHATERÓW WELLSA TOWERA

źródłem cierpienia nie są przetomowe wydarzenia egzystencjalne, kryzysy, które zmieniają wszystko, traumatyczne doświadczenia, które pozostawiają w nas niezatarte piętno, lecz najdrobniejsze z codziennych wypadków. Czy to przez wrażliwość, czy raczej uważność postaci, które pojawiają się na kartach tej prozy, nie potrafią owych drobiazgów zignorować. Każdy pozostawia na ich ciele i duszy małą bliznę, a suma tych blizn układa się w sentencję wyroku. Nie wydaje go żaden złowrogi trybunał, lecz ich własna świadomość, gdy dociera do niej, jak cierniste były drogi, którymi przemierzają życie.

gody. Tak jak robi to autor. „Ciepło, słonecznie”. „Dawniej pisałem obszerniej, ale potem to wszystko przeczytałem i zauważyłem, że opowiadam o swoim życiu jak jakiś dziennikarzyna, który ma same przykre wiadomości: a to o kłótni z żoną, a to o kieszonkowym dla córki albo że jadłem w restauracji i nagle jakaś kobieta spadła z krzesła, bo dostała ataku”. Po lekturze „Ruin i zgłiszcz” rozmowy o pogodzie, które zwykliśmy uważać za symbol najbardziej zdawkowych międzyludzkich relacji, będą się nam jawić jako najbardziej wyrafinowana forma kontaktu. Nagromadzone w ciągu życia rozczerowania zostały przepracowane, można je tylko zaakceptować i przestać o nich mówić. Jedyne, co daje wytchnienie, jedyne, co pozostaje do dodania, to jak mocno świeci słońce i z której strony tego dnia wieje wiatr.

Językową precyzję, z jaką Wells Tower opisuje swoich bohaterów, doskonale poznali tłumacze tej prozy, w tym także Michał Kłobukowski, autor świetnej polskiej wersji, ukrytej w zielono-czerwonej gładkiej obwolucie wydawnictwa Karakter. Popis zaczyna się już na poziomie wyboru form osobowych: narracja pięciu opowiadań jest prowadzona w pierwszej osobie, trzech w trzeciej (przy czym w jednym z nich, „Na pokaz”, opowieść zmiennie przyjmuje perspektywę coraz to nowych bohaterów), jednego zaś w osobie drugiej, szalenie trudnej do konsekwentnego prowadzenia. „Dzień dobry. Marnie spałeś. Nie otwieraj oczu. Wystaw język. Poszukaj pryszczyka na górnej wardze. Módl się, żeby się zagoił przez noc” – zwracając się do Yancey’ego per ty, autor osiąga rzadką mieszaninę czułości i dystansu. Tuli chłopca słowami w sposób, w jaki nigdy nie utuliła go matka ani ojczym, a jednocześnie z zimną krwią wrzuca go w sytuację bez wyjścia, koszmarną kondycję zależną od wszystkich dziecka.

„Ruszasz boso przez trawnik. (...) Jest gorący jesienny dzień. Drzewa na tle czystego nieba wyglądają jak ustawione przed błękitnym ekranem dekoracje w studiu telewizyjnym. Stwardniałe w ciągu lata podszwy stóp zdążyły ci już zmieknąć, więc żwir tak kłuje, że przy każdym kroku podrygujesz, unosząc łokcie jak ptak skrzydła, kiedy próbuje wzbić się w powietrze”. Druga osoba wzmacnia jeszcze ten charakterystyczny dla gatunku opowiadania efekt wrzucenia bohatera w okoliczności. Efekt, który do złudzenia przypomina ten znany z samego życia.

Tekstowe mechanizmy

Teksty Towera składają się z wielu językowych warstw; na ich głębszych poziomach kryją się kolejne subtelności, zgrabnie ukryte w tym działającym niezawodnie, nakierowanym na konkretne efekty opowieściowym mechanizmie.

Jego częścią są m.in.: naprzemiennie występowanie mowy zależnej (używanej w różnych funkcjach) z dialogami; mnożenie zdań, które zahaczone z jednego końca o coś bardzo prostego, drugim nieoczekiwanie i na złość tłumaczom łączą się z wewnętrznym monologiem bohaterów; a także chwyt polegający na zastępowaniu odczuć bohaterów korelatami ze świata przedmiotowego czy pozaludzkiego. O dzięki zezdrości i bezdennej rozpacz dowiadujemy się z jednego gestu, wystroju wnętrza czy stylu ubrania.

Tym ważniejsza rola wspomnianych urządzeń domowych, nieudanych posiłków i zwierząt. Działania i stany tych ostatnich zostają zmyślnie podstawione pod ludzkie popędy czy nieszczęścia: strzykwa zżera ryby, łos zdycha niepotrzebnie, kot morduje dla zabawy. W jednym z wywiadów pisarz przyznaje, że głównym celem jego literackich poszukiwań jest właśnie badanie popędów – zwłaszcza tych, które prowadzą ludzi do czynienia zła.

Precyzja Wellsa Towera przejawia się także w jego sposobie pracy – robi podobno dziesiątki stron notatek, a po napisaniu poprawia swoje opowiadania miesiącami.

Niektóre z nich zresztą weszły do książki w innych wersjach niż te publikowane w czasopiśmie: „The Paris Review” (na łamach którego autor debiutował opowiadaniem pt. „Ciemna dolina”), „The New Yorker” czy „Harper’s Magazine”. Tych, którzy uwielbiają pisać i mitologizują trudną chwilę zderzenia z pustym jeszcze ekranem, Tower nazywa szaleńcami. Dla niego pisanie, zwłaszcza pisanie fikcji, jest czynnością zmuszającą i bolesną.

Przyjdzie się nieźle natrudzić, zanim autor ostatecznie zdecyduje się przezwyciężyć opowiadanie jednym cięciem – osiągnąć poziom bólu i rozczarowania, na którym rezygnuje się także z samych słów. ©

Marynarze wszystkich krajów, łączcie się!

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

**Conrad to indywidualista
w świecie globalnym, analityk ludzkiej natury
w błyskawicznie zmieniającej się rzeczywistości,
konserwatysta w czasie rodzących się rewolucji.**

Barack Obama odkrył swoje polityczne powołanie dość wcześnie, jeszcze podczas studiów w małym liberalnym college’u Occidental (w skrócie Oxy) w centrum Los Angeles. Jego pierwsze przemówienie – z 18 lutego 1981 r. – wymierzone było przeciwko inwestycjom szkoły w działalność firm, które prowadziły biznes z apartheidowską Republiką Południowej Afryki. Nie powiedział dużo, bo został ściągnięty ze sceny przez dwóch studentów podających się za Afrykanerów. Tak zaczęła się jego praktyka oratorska.

Ale w Oxy Obama przeszedł też inną szkołę, szkołę literatury. W swojej pierwszej książce „Dreams from My Father: A Story of Race and Inheritance” (1995) umieścił anegdotę o rozmowach ze swoimi czarnymi kolegami i koleżankami. Niejaki Marcus, widząc Obamę z egzemplarzem „Jądra ciemności”, zaczął mu robić wyrzuty, tłumacząc, że Conrad to rasista, a obnoszenie się z jego książkami przynosi wstyd. Wyjaśnienie przyszłego prezydenta USA było przekonujące: czyta Conrada, gdyż chce zrozumieć, dlaczego biali zaczęli się bać, a potem nienawidzić przedstawicieli innych kultur. By uleczyć chorobę, trzeba ją najpierw zdiagnozować.

Marcus musiał zapoznać się z opublikowanym mniej więcej w tamtym czasie krytycznym esejem, którego autor, nigeryjski pisarz Chinua Achebe, nazywał Conrada „cholernym rasistą”. Barack był dużo ostrożniejszy: owszem,

książka jest rasistowska, ale dzięki temu można zrozumieć, co i jak ktoś myśli. Tak, to prawda, że Conrad pokazuje Afrykę jako dno, ale jednocześnie robi to w określonym momencie historii. Czytając go, można pojąć, jak i dla czego pewne idee mogły dojść do głosu.

Imperialista

Conrad był rasistą, jeśli przez rasizm rozumieć przekonanie o wyższości jednej rasy (w tym wypadku białej) nad innymi. Rasistowska była też cała polityka Imperium Brytyjskiego, którą pisarz popierał w stu procentach. Oburzał się na haniebne zachowanie kolonizatorów europejskich w Kongu, ale nie na kolonizatorów brytyjskich. Kongo było prywatną własnością belgijskiego króla Leopolda i Conrad tylko dlatego dla niego pracował (na małej barce parowej, która *nota bene* nazywała się „Król Belgów”), że nie mógł znaleźć pracy na brytyjskim żaglowcu.

„Cała Europa złożyła się na Kurtza” – napisze później w „Jądrze ciemności”. Wszak to Międzynarodowe (nie Królewskie) Towarzystwo Tępienia Dzikich Obyczajów zamówiło u Kurtza referat, w którym doszedł on do wniosku, że biali powinni sprawować absolutną władzę nad „dzikusami”, a ostatecznie po prostu ich wytepić. Kurtz z pewnością nie był Conradem, podobnie jak nie był Conradem Marlow, narrator opowieści, którego słowa najczęściej utożsamia się ze stanowiskiem pisarza. Rasizmu Josepha Conrada nie da



się wyczytać z „Jądra ciemności”, choć książka ta jest bezwzględnie rasistowska. Jeśli ktoś chciałby przypisać Conradowi jakąkolwiek etykietkę, powinien sięgnąć raczej po imperializm. Imperium Brytyjskiego, które go przyjęło, nie pytając o narodowość, Conrad nigdy nie zdradził. Opisuując wynaturzenia światowego kolonializmu, pisarz nie umieścił akcji żadnego ze swoich utworów w koloniach Imperium. Kongo było kolonią belgijską, Indie Południowo-Wschodnie, sceneria większości jego azjatyckich utworów, należały do Holandii (dlatego Conrada nazywano „Kiplingiem Archipelagu Malajskiego”), akcja „Nostromo” toczy się w fikcyjnym państwie latynoskim.

W jakimkolwiek zakątku świata powiewała czerwona bandera Imperium Brytyjskiego, tam Conrad czuł się w domu, albowiem, jak pisał w liście do Anieli Zagórskiej z 1899 r., wolność można znaleźć „na całym świecie jedynie pod flagą brytyjską”. Gdy tylko potęgę Imperium podmywały podskórne nurty społecznego niezadowolenia, Conrad wpadał we wściekłość i widział w nich objawy końca świata.

Rozum antropologiczny

Wiek XIX, wiek Josepha Conrada, umiejętnie wpisał imperializm (a także rasizm) w ramy nowoczesnej wyobraźni progresywnej. W 1871 r., w fundamentalnej książce „Descent of Man” Karol Darwin przewidywał, że „w najbliższej przyszłości, nieodległej, bo mierzonej stuleciami, cywilizowane rasy ludzkie niemal z całą pewnością wytepią i zastąpią rasy dzikie na całym świecie”. Wedle proroków nowoczesności scenariusz ten musiał się ziścić, by rozum ostatecznie odnalazł swoje własne przeznaczenie, od którego odwozili go rozmaite sentymentalizmy. Ewolucjonizm kulturowy nie tylko zakładał, że istnieje wyraźna linia rozwoju cywilizacyjnego (od ludów prymitywnych do kultur wysoko rozwiniętych), ale też wspierał się na przekonaniu, że rozwój ludzkości jest postępowaniem w dziedzinie moralności.

Przeświadczenie to wyrastało z wiary w możliwość objęcia i podporządkowania sobie przez rozum wszystkiego, co nierozumne. Antropologia, jako ogólna nauka o człowieku i ludzkości, miała oczywiste roszczenia uniwersalistyczne: chciała dotrzeć do istoty natury ludzkiej, pomijając powstałe w ciągu jej rozwoju



FACEBOOK / MAYA JASANOFF

MAYA JASANOFF (ur. 1974) – amerykańska historyczka, pracuje na Uniwersytecie Harvarda, gdzie zajmuje się przede wszystkim historią Imperium Brytyjskiego i brytyjskiego kolonializmu. W 2011 r. otrzymała National Book Critics Circle Award w kategorii „non-fiction”, w 2012 r. George Washington Book Prize, a rok później – grant Guggenheim Fellowships. Autorka takich książek jak: „Edge of Empire: Lives, Culture, and Conquest in the East, 1750-1850” (2005), „Liberty’s Exiles” (2011) i „The Dawn Watch: Joseph Conrad in a Global World” (2017). Dwie pierwsze poświęcone są skomplikowanym relacjom amerykańsko-brytyjskim, natomiast ostatnia opowiada o postaci kluczowej dla anglosaskiej nowoczesności, czyli Josephie Conradzie, i ukaże się w języku polskim przy okazji tegorocznej edycji Festiwalu Conrada.

Obok: Żaglowiec „Joseph Conrad”, Port w Sydney, Australia

różnice. Jej przedmiotem była, jak sformułował to Adolf Bastian, „psychiczna jedność ludzkości”. Z tego powodu antropologia musiała spoglądać wstecz, szukając najdawniej zachowanych świadectw ludzkiej aktywności. Z tego też powodu posługiwała się chętnie etnografią, której zadaniem było katalogowanie lokalnych kultur. Te dwie dyscypliny – antropologia jako nauka ogólna i etnografia jako nauka szczegółowa, albo nawet, jak to ujmowano, „antropologia opisowa” – natchnęły na siebie, zwłaszcza tam, gdzie etnografia dostarczała danych niezbędnych do badań nad ludzką naturą w jej kulturowych odmianach.

Z drugiej jednak strony uniwersalizm antropologiczny („wszyscy jesteśmy ludźmi”) stał w radykalnej sprzeczności z ewolucjonizmem, który zakładał, że człowiek współczesny tyle ma wspólnego z ludami pierwotnymi, ile brytyjski gentleman z małpą człekokształtną. Owszem, wywodziśmy się ze wspólnego źródła, lecz nie należymy do tej samej rodziny, bo dzikus pozbawiony jest cywilizacji, która – jako narzędzie rozumnego podmiotu – jest punktem dojścia ewolucji ludzkiej kondycji.

Jeżeli dzicy nie są ludźmi, to dlaczego mielibyśmy się nimi zajmować? – pytali niektórzy współcześni Conrada. Otóż dlatego, że projekt kolonialny nie polegał jedynie na mechanicznym rozszerzaniu panowania imperium na coraz to nowe terytoria, ale wynikał z wpisanej weń konieczności przekształcania obcości w inność, która jest zeświecczoną wersją idei zbawienia. „Zbawienie” to nie może być osiągnięte dopóty, dopóki cywilizacja nie utożsamia się całkowicie ze światem, dopóki „brzemień białego człowieka” (określenie Kiplinga) nie spocznie na barkach wszystkich ludzi.

Antropologia, o ile chce pozostać w zgodzie ze swym założeniem o jednej naturze ludzkiej i dogmatem racjonalności, zgodnie z którym komunikowalność jest powszechna, nie może zważać na różnice między kulturami, bo dowodzą one jedynie tego, że ludzie z ludźmi porozumieć się nie mogą. Niekomunikowalność jest ciosem wymierzonym w rozumność, bez której oświecona nowoczesność obejść się nie może.

Nic więc dziwnego, że XIX-wieczna antropologia – by nie popaść w sprzeczność – musiała eliminować obcość z obszaru ludzkiej kultury.



Międzynarodówka marynarzy

→ Skąd się wzięła globalizacja? Z opisanego wyżej projektu. Gdyby Lenin żył dzisiaj, nie pisałby rozprawy „Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu”, lecz pamflet pod tytułem „Globalizacja jako najwyższe stadium racjonalności”. Nie ma globalizacji bez przekonania, że wszyscy na ziemi możemy być włączeni w jeden system komunikacyjny, wspierający się na założeniu o konieczności wyzwolenia ludzkości od niewiedzy. Jeśli będziemy wiedzieć wszystko (domena Google’a), także o sobie, i będziemy w stanie to sobie zakomunikować (tym właśnie zajmuje się Facebook) za pomocą zmyślnych urządzeń (Apple i jego konkurenci), upadną ostatnie bariery skazujące człowieka na wyobcowanie. Nastanie epoka szczęśliwego braterstwa, które zwiastuje jeden zwłaszcza znak: więcej dzieci na świecie ma dostęp do smartfona niż do zdrowego jedzenia.

Z powodu globalizacji, która jest nieodwołalna, bo wreszcie przynosi obietnicę zniesienia zakłóceń w naszych relacjach ze światem, ludzkość musiała zmienić stosunek do wielkich projektów emancypacyjnych. Okazało się, że impuls rewolucyjny został umiejętnie przechwycony przez tych, przeciwko którym zwykle był wzniesiony. Największe korporacje świata – Facebook, Google i Apple – zajmują się wyłącznie dostarczaniem narzędzi do niezakłóconej komunikacji, dowodząc tym ostatecznie, że główna idea emancypacyjna marksizmu – zniesienie alienacji człowieka – znajduje swe spełnienie nie dzięki zbuntowanym robotnikom, lecz ich prawnikom, które manifestacyjnie wyniosły się ze świata do sieci, gdzie spędzają swe życie bez troski o doczesność. Realizacja idei „proletariusze wszystkich krajów łączcie się” okazała się możliwa dzięki najbogatszym ludziom świata, którzy z kontrolowania niezakłóconej komunikacji czerpią kolosalne zyski.

Co to ma wspólnego z Conradem? Jak dowodzi Maya Jasanoff w książce „The Dawn Watch: Joseph Conrad in a Global World” („Poranna wachta: Joseph Conrad w świecie globalnym”), „z pokładu statku Conrad oglądał wyłanianie się globalnie połączonego świata i skanalizował swoją globalną perspektywę w fikcji całkowicie opartej na osobistym doświadczeniu i realnych zdarzeniach” (wszystkie cytaty z tej książki podaję we własnym tłumaczeniu).



HEYDEL

MAGDA HEYDEL (ur. 1969) – polonistka, anglistka, przekładoznawca, tłumaczka m.in. dzieł Josepha Conrada, T.S. Eliota, Seamus Heaney, Teda Hughesa, Alice Oswald, Dereka Walcott, Virginii Woolf oraz Roalda Dahla. Wykładowca na Wydziale Polonistyki UJ. Jest redaktorem naczelnym pisma „Przekładaniec. A Journal of Translation Studies”. Opublikowała m.in. „Obecność T.S. Eliota w literaturze polskiej” (2002) i „Gorliwość tłumacza. Przekład poetycki w twórczości Czesława Miłosza” (2013), a także – wraz z Piotrem Bukowskim – antologię „Współczesne teorie przekładu” (2009) i „Polska myśl przekładoznawcza” (2013). Dwukrotnie (w latach 2008 i 2011) otrzymała nagrodę „Literatury na Świecie”. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.

czeniu). Książka Jasanoff jest pierwszą bodaj próbą połączenia oczywistych faktów. Conrad pływał po oceanach, na dnie których znajdowały się kable przekazujące wiadomości szybciej, niż mogłyby to zrobić człowiek; świat został poruszony przez gigantyczne fale migracyjne; handel światowy, dzięki zastąpieniu żaglowców parowcami (czego Conrad nie mógł przeboleć) i przekopaniu dwóch kanałów, Sueskiego i Panamskiego, powiększył obroty na niespotykaną skalę (do dziś 90 proc. handlu światowego dokonuje się drogą morską); Londyn, stolica Imperium, stał się stolicą światowej finansjery, ale też – opisanego przez Conrada w „Tajnym agencie” – anarchizmu i terroryzmu. „W całym swoim piśmarstwie – pisze Jasanoff – gdziekolwiek umieścił jego akcję, Conrad borykał się z konsekwencjami życia w świecie globalnym: moralnym i materialnym rezultatem przemieszczania się ludzi, napięciami i szansami życia w wieloletnich społeczeństwach, zerwaniem wymuszonym przez zmiany technologiczne”.

Tak więc „Conrad był jednym z nas: obywatelem globalnego świata”. To prawda i trzeba mieć na uwadze cały globalny kontekst piśmarstwa Conrada, skrupulatnie opisany przez autorkę, by rozumieć jego znaczenie. A jednak Jasanoff nie może zignorować innej idei, która również stanowi fundament Conradowskiej twórczości, a mianowicie wielokrotnie przez pisarza artykułowanego indywidualizmu, który każe mu przenosić



akcenty z perspektywy globalnej na jednostkową: samotny człowiek walczący z żywiołami. To starcie, mimo że rozgrywane się w konkretnym kontekście historycznym, przekracza granice czasowe i nabiera symbolicznego znaczenia dla każdego, niezależnie od polityczno-dziejowej sytuacji.

Tak, Conrad pisał o morzu, ale dostał białej gorączki, gdy nazywano go marynistą, bo wierzył głęboko, że tematem jego twórczości jest raczej „nieujarzmiony ocean życia ludzkiego” (Przedmowa do „Krótszych opowieści”). Nigdy nie zgadzał się na traktowanie swej twórczości jako pisarstwa interwencyjnego i jasne jest, że jego metafizyczny fatalizm – przekonanie, że ostatecznie człowiek nie może przeniknąć sensu życia – szedł w parze z niechęcią do jakichkolwiek zmian społecznych, których globalizacja była jednym z pierwszych impulsów. Kto – jak Conrad – powołuje się na niewzruszony byt, by wyjaśnić kondycję człowieka, raczej wypisuje się z globalizującego się świata, niż daje mu świadectwo. Kto – jak Conrad – mnoży momenty obcości, nie obłaskawiając ich, odmawia uczestnictwa w pochodzie oświecenia. Należy się zastanawiać, czy ten poznawczy fatalizm jest czymś dobrym, skoro globalizacji się wymyka, czy raczej czymś niepożądanym, skoro blokuje racjonalną krytykę społeczną. Refleksji nad tą dwuznacznością, która narzuca się podczas uważnej lektury Conrada, w skądinąd świetnej książce Jasanoﬀ brakuje.

■ Conrad jest jednym z nas, obywateli globalnego świata, ale można też argumentować odwrotnie, że Conrad jest tylko jednym z nich: pogrobowców świata, którego już nie ma i nie będzie.

CONRAD TWORZYŁ w czasie, w którym świat zaczął się globalizować. Pisarz obserwował rozwój nowych technologii komunikacyjnych, migracje wielkich mas ludzkich i początek dominacji transnarodowej gospodarki kapitalistycznej. Na owe przemiany odpowiadał w dwuznaczny sposób: z jednej strony je prezentował, stając się jednym z pierwszych analityków globalizacji, z drugiej zaś przeciwstawiał im perspektywę indywidualistyczną, próbując ochronić jednostkę przed zatarciem w tym, co wspólne i ogólne. Czy dziś to napięcie może być dla nas – późnych wnuków Conrada – inspirujące i instruktywne?

Poniżej: Terminal w porcie w Hongkongu, Chiny

Jeden z nas, jeden z nich

W liście do Kazimierza Waliszewskiego z 5 grudnia 1903 r. Conrad przyznawał wprawdzie, że „tak na morzu, jak na lądzie” jego punkt widzenia był angielski, jednak nie chciał stąd wyprowadzać wniosku, że stał się Anglikiem. „W moim razie *homo duplex* ma więcej niż jedno znaczenie”. To prawda. Conrad był człowiekiem podwójnym. „Polski szlachcic maczany w angielskiej smole”, jak określił sam siebie w 1890 r., ale także indywidualista w świecie globalnym, analityk ludzkiej natury w błyskawicznie zmieniającej się rzeczywistości, konserwatysta w czasie rodzących się rewolucji.

Jasanoﬀ pisze, że „doświadczenie świata uczyniło Conrada sceptycznym co do możliwości zmiany systemów lub odwrócenia przeznaczenia. Skupiał się raczej na jednostkach, które wpadały w objęcia tych systemów, i pokładał nadzieje na szczególne rozwiązanie dzięki zmysłowi ludzkiej solidarności, zachęcającej jednostki do życia w sprawiedliwości i prawdzie”. Tak, owszem, ale te dwa wymiary – ludzka solidarność i ponadludzka globalność – jakoś dziwnie zaczęły się właśnie w epoce Conrada rozchodzić i fakt, że Conrad zawsze wybiera moralność przeciwko polityce, świadczy dobrze o jego wierności wobec (polsko-szlacheckiej i angielsko-liberalnej) tradycji indywidualistycznej. Uświadamia nam jednak także, iż prawda, sprawiedliwość i wierność, które mają się w tej tradycji bardzo dobrze, w świecie totalnego usieciowienia stają się wartościami nie całkiem pożądanymi, by nie rzec: bezużytecznymi.

Można więc argumentować, jak autorka „Porannej wachty”, że Conrad jest jednym z nas, obywateli globalnego świata, ale można też argumentować odwrotnie, że Conrad jest tylko jednym z nich: pogrobowców świata, którego już nie ma i nie będzie. Która wykładnia jest bardziej adekwatna – na to pytanie czytelnicy muszą odpowiedzieć sami, pamiętając przy tym, że spór między tymi interpretacjami dotyczy najważniejszych problemów naszych czasów. ©

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI (ur. 1962) profesor na Wydziale Polonistyki UJ oraz Hejna Family Chair in Polish Language and Literature na University of Illinois w Chicago. Dyrektor artystyczny Festiwalu Conrada. Współpracownik „Tygodnika”.



XPACIFICA / GETTY IMAGES



SWJON

28. FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ
22.06–01.07.2018 KRAKÓW
JEWISHFESTIVAL.PL

28. Festiwal Kultury Żydowskiej odbywa się pod Patronatem Honorowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w roku 100-lecia Odzyskania Niepodległości 1918 – 2018



28. FKŻ jest współfinansowany ze środków Miasta Krakowa



Partnerem głównym 28. FKŻ jest Województwo Małopolskie



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Partnerzy medialni:



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 26/2018

**28. FESTIWAL
KULTURY
ŻYDOWSKIEJ**

ODZYSKAJ

UNOŚĆ DO

MUZEUM HISTORII
ŻYDÓW POLSKICH POLIN

POLIN
MUZEUM HISTORII
ŻYDÓW POLSKICH



OBCY W DOMU

WOKÓŁ MARCA '68
WYSTAWA CZASOWA
09.03 – 24.09.2018

WWW.POLIN.PL



O B C Y
D O M U
WOKÓŁ MARCA '68

RECENAS



WSPÓŁORGANIZATOR



INTERKONT HONOROWY PRZEDSIĘDZIA
MARCIA STOLECZNEGO WARSZAWY

WSPARCIE



PATRONI MEDIALNI



PARTNER INSTYTUCJONALNY



REKLAMA



Szalom na Szerokiej, z klarnetem Eyal Talmudi, 25. Festiwal Kultury Żydowskiej, lipiec 2015 r.

- 3** Od sztetla do Syjonu
Janusz Makuch
- 6** Syjonizm po Krakowsku
Rozmowa z Michałem Galasem
- 10** Pop w Izraelu
Edwin Serroussi
- 13** Muzyka żydowska a sprawa polska
Kajetan Prochyra
- 16** Rzeczy w ruchu
Rozmowa z Marcinem Wichą

TYGODNIK POWSZECHNY

Dodatek do „Tygodnika
Powszechnego” 26/2018

Redakcja: Michał Sowiński
Projekt graficzny: Marek Zalejski
Fotoedycja: Edward Augustyn
Okładka: Marek Zalejski

Na okładce: Masada, Pustynia
Judejska. W oddali Morze Martwe.

FOT. ANDREW SHIVA / WIKIPEDIA / CC 4.0



PARTNER DODATKU

Festiwal
Kultury Żydowskiej

Od sztetla do Syjonu

JANUSZ MAKUCH

Trzydzieści lat Festiwalu Kultury Żydowskiej nie budzi we mnie tkliwej potrzeby podsumowań. Znacznie ważniejsze jest bowiem, jakie będą jego dzieje przez kolejne trzy dekady.

FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ TRWA dzięki nieustannej przemianie. Dzięki temu, że zachował czułość dla sztetla i miłość do Syjonu. Przy czym przez „sztetl” rozumiem tutaj umownie tradycję Żydów aszkenazyjskich, żyjących do 1939 r. na obszarach Europy środkowej i bardziej Wschodniej, na co dzień posługujących się językiem jidysz. Zaś „Syjon” to umownie biblijne dziedzictwo Żydów zamieszkujących niegdyś Królestwo Izraela, skupionych wokół instytucji Świątyni zburzonej w 70 roku, wygnanych ostatecznie z Jerozolimy po upadku powstania Bar Kochby w 135 roku naszej ery, którym dane

było powrócić po dwóch tysiącach lat na swoją ziemię i stworzyć na nowo z marzeń i piasków pustyni Państwo Izraela.

Przez 30 lat, świadomie i niejako wbrew wyrokom Historii, Festiwal stara się, rzecz jasna podług własnych możliwości, zdjąć klątwę z polskiej ziemi. Stara się to bezskutecznie, bo żadnym ogniem nie da się z niej wypalić piętna Holocaustu. Nie uciekniemy od tego. Zamiast więc przeklinać, trzeba nauczyć się godnie żyć w jego cieniu. Zamiast wypierać winy, trzeba się uczyć, jak wyrażać skruchę i zmieniać mentalność. Bo jeśli jest odkupienie, to tylko dzięki przemianie ducha.



→ Nie oznacza to nieustannego rozpamiętywania śmierci i winy. Cywilizacje rozkwitały i upadały. Ziemia niejedno widziała i zniosła, a zapewne niejednego jeszcze doświadczy. Dziwi mnie, że do szukamy się nieustannie w ludzkiej naturze nadmiaru boskiego pierwiastka. Nie jesteśmy aniołami – jesteśmy potomkami Kaina. Bardziej niż zagłada cywilizacji i ludzi ją tworzących fascynuje mnie ich odrodzenie. Zważyłem w trwałość wszelkich mostów pojednania między narodami, w ich zbawczą moc łączenia ludzi z przeciwnych brzegów. Pojedynczy ludzie może mostem przejdą, ale żeby narody? Idąc wzdłuż brzegu rzeki, kładę na niej chleb. Idąc po przeklętej ludzkim złem ziemi, układam kamienną drogę w nadziei, że po mnie przyjdą inni, budowniczo traktu do Syjonu. Ot i cały Festiwal...

Zrodził się on z poczucia współwiny i z fascynacji żydowskim życiem. I pozostał wierny życiu. Wobec życia, które przeminęło, mamy najczulszy szacunek i jasną jak *ner tamid* pamięć. Zaś życie, które się odrodziło, wychwalamy nigunem miłości. Sześć lat Zagłady nigdy nie przyćmi tysiąca lat sztety i wiecznego światła Syjonu.

Atlantyda i Jerozolima

Wróćmy na moment do czasów sprzed Festiwalu, bo one rzucają światło na to, co z perspektywy trzech dekad wydaje się wręcz nieuniknione.

Lata 80. to początek poszukiwań zasypanych fundamentów świata, który przeminął. Ten proces dotyczył popołu Żydów i nie-Żydów jednocześnie. Zainteresowanie młodych Polaków kulturą żydowską w tym czasie nazwałbym „syndromem zatopionej Atlantydy”. Nagle przyszło olśnienie – po potopie utraciliśmy nieodwracalnie ten tajemniczy, piękny świat. Z kolei zainteresowanie młodych Żydów swoją własną kulturą nazwałbym „syndromem zburzonej Jerozolimy”. Zarówno jednym, jak i drugim towarzyszyło olśnienie i uczucie smutku, które rodziło fascynację, tęsknotę, miłość i nową świadomość.

Największa zachowana w Europie Środkowo-Wschodniej dzielnica żydowska, czyli Kazimierz, który dzisiaj zachwyca turystów niezliczoną liczbą knajp i hoteli, wyglądał wówczas jak uśpiony wiecznym snem. Niby ten sam jak przed wiekami, a zarazem boleśnie i niepokojąco inny: opustoszały, ze snującymi się ludźmi z innego pejzażu, jakby Gierymski i Gottlieb ustąpili miejsca poetyce Boscha...

Na początku 1987 r. przeczyliśmy szok, moralny wstrząs: „Tygodnik Powszechny” opublikował esej Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto”. Profesor powiedział w nim wprost: nawet jeśli nie jesteśmy odpowiedzialni za wszystkie zbrodnie popełnione na Żydach, jesteśmy tym zbrodniom współwinni. Współwinni przez zaniechanie. Dla wielu z nas było to nie do przyjęcia. Wszak to my, dobrzy i niewinni Polacy, byliśmy ofiarami faszyzmu i komunizmu. Błoński jako pierwszy tak otwarcie objawił nam bolesną prawdę o nas samych.

Lata 90. to okres „archeologii”. Zdał się sobie sprawę, że żyjemy w świecie popiołów i zaczęliśmy ten zasypany świat odkrywać na nowo. Odkopywaliśmy jego fragmenty, próbowaliśmy składać w całość, a jak się nie udawało – a tak było najczęściej – to na podstawie fragmentów budowaliśmy zmyślony obraz całości,

na który projektowaliśmy własne marzenia i wizje. Niektórzy zarzucali nam, że tworzymy świat wirtualny, świat Żydów bez Żydów. I że tańczymy na grobach. I że jako goje nie mamy do tego prawa, jakby w dziedzinie miłości panowało prawo wyłączności tylko dla wybranych.

Okazało się jednak, że nie tylko mamy prawo, ale mamy też rację i obowiązek. Zamiast budować „żydowski Disneyland” na Kazimierzu, uparliśmy się z Krzysztofem Gieratem, że tchniemy autentyczne życie w kazimierski „pustostan”. Byliśmy równie zderzeni, co naiwni. Mimo to zamiast przebierać polskich muzyków w czarne kapelusze z doklejonymi pejsami, a przasnanych kelnerów w jedwabne jarmułki, zaprosiliśmy na Kazimierz różne generacje żydowskich artystów ze świata – z Diaspory i z Izraela. Z jednej więc strony nad Kazimierzem unosił się (i wciąż się unosi) karykaturalny duch sztety wykreowany przez zapobiegliwych restauratorów i lokalnych biznesmenów, z drugiej – żydowscy twórcy wypełniali tę niewielką przestrzeń żydowskiego miasta nieujarzmioną, twórczą, niejednokrotnie „heretycką” energią autentycznego życia. Klasyczne brzmienie muzyki klezmerskiej przeplatało się z awangardą i pieśniami z Maghrebu. Jidysz mieszał się z ladino i hebrajskim. Festiwal stworzył przestrzeń na tyle pojemną, że odnaleźli się w niej bez trudu żydowscy artyści oraz uczeni ze wszystkich zaułków i archipelagów świata. W rzeczy samej był to, jest i będzie żywy żydowski festiwal. Lub, jak by powiedział Felek Scharf, dumny Żyd krakowski – festiwal „pięknie zażydzony”.

Życie zwycięża śmierć

Szybko, w ślad za żydowską kulturą, powróciło na Kazimierz coś znacznie ważniejszego – żydowskie życie. W całej jego różnorodności, sprzeczności, nieustannym dążeniu do wyrażenia swego na nowo odbudowanego *status quo*. Od zawsze istniała tu instytucja Gminy Żydowskiej, która była i jest ostoją krakowskich Żydów. Ale czas płynął i oto pojawiły się kolejne pokolenia, powstały nowe żydowskie instytucje, do których zaliczam Hotel Eden, Stowarzyszenie Czulent, Żydowskie Muzeum Galicja, organizację Żydów reformowanych Beit Kraków, Jewish Community Center, żydowski klub studencki Hillel Gimel, środowisko ultraortodoksów Chabad Polska, żydowskie przedszkole, żydowskie wydawnictwo Austeria czy wreszcie Centrum Kultury Żydowskiej. Jeszcze niedawno nie było tu ani jednego rabina – dziś niemal trudno ich zliczyć. Jest w tym chaotyczna próba uporządkowania, scalenia na nowo żydowskiego świata. Nie ma sensu porównywać go z tym, czym był przed Zagładą. Tamten świat już nie wróci. To, z czym mamy do czynienia, nie jest kwestią matematyki, ale wyłącznie etyki. Jesteśmy bowiem świadkami odrodzenia życia żydowskiego w Polsce po Zagładzie. Jesteśmy świadkami, w jaki sposób życie zwycięża śmierć. Jest, co jest.

Przez wiele lat dziedzictwo sztety, szczególnie to muzyczne, stanowiło fundament programu Festiwalu. Wierzyłem, że muzyka klezmerska ożywia – sprawia, że powraca na Kazimierz nowy duch „tamtego świata”. Dopiero trzeźwa uwaga Stevena Greenberga, jednego z najwybitniejszych współczesnych klezmerów, ostudziła moją gorączkę. „Ja nie tworzę nowej muzyki, ja jedynie rekonstruuje stary świat” – powiedział. Kolej-

nym, który uwrażliwił mnie na niemożność powrotu do „tamtego świata”, był David Krakauer: „Możesz czerpać z Tradycji, ale musisz robić swoje. Musimy iść z duchem czasu i nie zamieniać muzyki żydowskiej w muzeum”. Kropkę nad „i” postawił zaś nie kto inny, jak sam Andy Statman. Tak, ten sam, który pod koniec lat 70. przyczynił się do odrodzenia muzyki klezmerskiej w Stanach i na świecie.

Statman powiedział: „*Klezmer is finished*”, dodając, że jako muzyka adresowana do określonej społeczności w tejże społeczności nie znajduje już zapotrzebowania. Coś się skończyło. Zmieniła się społeczność i choć muzykę klezmerską wciąż się jeszcze gra, to jest ona dzisiaj ozdobą skansenu.

Powrót do sztetla jest niemożliwy, bo sztetl po prostu już nie istnieje. Tęsknota za minionym jest uporczywą formą wszechobecnej nostalgii, nachalnym hymnem na cześć, pięknego skądinąd, „Miasteczka Bełż” czy „A Jidisze Mame”. Ale ileż można grać w kółko to samo i tak samo? Jeśli jako Festiwal mamy być emisariuszami kultury żywej, musimy zmieniać się razem z nią. I na nic szloch miłośników Anatewki i kolekcjonerów drewnianych „żydków”. *To se ne vrati*.

Ważniejsza jest przyszłość

Historia Kazimierza nieustannie skłania do refleksji nad przeszłością, czyli Tradycją, czyli Dziedzictwem. Zaiste, przeszłość to imponująca i godna uwiecznienia. Ale dla mnie ważniejsza jest przyszłość. Tej zaś przewidzieć nie umiem. Skoro nikt nie przewidział, że odrodzi się tu żydowskie życie – wieszczono, że Kazimierz na zawsze pozostanie symbolem żydowskiej nieobecności – to jak przewidzieć, co stanie się za dziesięć, piętnaście czy pięćdziesiąt lat? Patrząc na współczesną Polskę i Europę, nie umiem zmusić się do dzielenia z innymi optymizmu i wiary w żydowską przyszłość w tej części świata. Obym się mylił.

Fascynuje mnie żywioł żydowskiego życia, tego sprzecz i tego po Zagładzie. Wiem, że sześć lat Zagłady nie oznacza i nie może oznaczać końca żydowskiej cywilizacji życia. Wielu do dziś opłakuje ów stracony świat tak, jakby obok nie istniał świat odrodzony – Izrael.

Czyż nie jest tak, że przywykliśmy myśleć o Żydach w kontekście Holokaustu, jako o ofiarach? Tymczasem Jom Ha-Szoa jest dniem, w którym nie chodzi wyłącznie o solidarność z ofiarami, ale także o manifestację przynależności do narodu, który już nigdy ofiarą nie będzie.

Najważniejszą przyczyną powstania Izraela nie był ani antysemityzm, ani Holokaust. Izrael powstał dlatego, że przez dwa tysiące lat Żydzi nie mieli swojego państwa. Po prostu. Więcej – sądzę, że powstanie Państwa Izraela było najważniejszym momentem w całej historii narodu żydowskiego. Rozproszeni po świecie nieustannie tęsknili i modlili się o powrót do Syjonu. Najwidoczniej miał on boską moc przyciągania swoich wyznawców, niezależnie od okoliczności, w jakich znajdowali się przez wieki. Sam do tych wyznawców należę.

Gdzieś na styku wyobraźni, mitów, nadwrażliwej pamięci, olśnienia fragmentem świata odczytanego z popiołów i podziwu

■ Jako Festiwal jesteśmy emisariuszami kultury żywej, więc musimy zmieniać się razem z nią.

dla owoców trudu ponad ludzką miarę; w odczytywaniu Biblii jako świadectwa współczesności, a nie czasów na tyle odległych, że niemal zmyślonych; w wyborze drogi, która jest na przekór, a także w poczuciu winy, która nie zmienia niczego, zrodziła się we mnie miłość do Ziemi Izraela.

Kocham Polskę. I kocham Izrael. Kocham tę ziemię, powietrze, niebo, wodę. Szanuję ludzi. Jestem dumnym, polskim syjonistą. A Festiwal, który organizuję już od 30 lat, jest niczym innym, jak wyznaniem mojej złożonej tożsamości. W przyszłym świecie nie zapytają mnie, czy byłem Mojżeszem. Zapytają mnie, czy byłem sobą.

Budujemy współczesność

Miłość, jaką darzę Syjon, nie przesłania czułości, jaką mam dla sztetla. Jednak to Syjon – wyśniony i realny – jest dla mnie o niebo ważniejszy niż najwznioślejsze hymny pamięci o świecie, „którego już nie ma”. Dlatego niemal od początku Festiwalu, dbając o dynamiczną równowagę pomiędzy kulturą Diaspory a biblijną i współczesną kulturą Izraela, zwracam się ku źródłu, z którego czerpię coraz więcej.

Festiwal trwa dzięki nieustannej przemianie. Zmienia siebie i tych, którzy są otwarci na zmianę. Nie budujemy przyszłości – budujemy współczesność, nasze jutro zaczyna się bowiem dziś. Pragniemy przemiany poprzez wzajemny szacunek i poznanie. Edukacja jest procesem stałym. Jak powiada Kohelet: „Posyłaj twój chleb na oblicze wód, a znajdziesz go po dniach wielu” (Koh 11, 1).

Jestem pewien, że nasz Festiwal jest jednym z nielicznych, który przeniesiony gdzie indziej, umarłby. Z nami jest dokładnie tak, jak ze starymi drzewami – jesteśmy wrośnięci w tę ziemię, w to miasto, w te mury, w tę historię, w tę codzienność. Zakorzenieni tu od wieków i na wieki. Możemy tworzyć i rozwijać się jedynie w tym miejscu, czerpiąc soki z ukrytych źródeł, rozgałęziając się, rozrastając się wyżej i w różnych kierunkach. Przypomina to drzewo oliwne – nawet jeśli je zetniesz, odrodzi się z najmniejszego fragmentu korzenia i ponownie będzie piąć się w górę.

Nasze drzewo oliwne ma zaledwie 30 lat, lecz z układu gałęzi widać, że najważniejszym kierunkiem podążania i pożądania jest Izrael. Mocno zakorzenieni w tradycji, otwieramy się coraz bardziej na światło Syjonu. Można to nazwać drogą powrotu, wszak to tam wszystko się zaczęło i tam się wszystko dokona. W każdym razie tak mówi Biblia i kilku mądrych ludzi. A ja ufam Biblii.

© JANUSZ MAKUCH



JANUSZ MAKUCH

jest współzałożycielem i dyrektorem Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie.



Nahum Sokotow (drugi z prawej), prezes Światowej Organizacji Syjonistycznej, w towarzystwie witających go osób na dworcu w Krakowie. Obok niego poseł Abraham Ozjasz Thon (z lewej w okularach). Listopad 1929 r.

Syjonizm po krakowsku

MICHAŁ GALAS:

Na początku XX wieku starano się o syntezę miłości do kultury polskiej i żydowskiej, czego wielkim zwolennikiem był krakowski syjonista Ozjasz Thon.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: Zanim zaczniemy, proszę mi wytłumaczyć – dlaczego słowo „syjonizm” z takim trudem przechodzi nam przez gardła?

MICHAŁ GALAS: Negatywne konotacje wywodzą się z marca 1968 r., gdy o syjonizm się oskarżało, gdy był czymś negatywnym, antypolskim. „Syjoniści do Syjonu” – wołało się wówczas, zatem cho-

dziło o zdradę, bo „sprzyjanie syjonistom” to tak naprawdę sprzyjanie Izraelowi.

Przypomnijmy więc, o co tak naprawdę chodziło – i wciąż chodzi – syjonistom?

Słowo „Syjon” pojawia się w Biblii często, choćby w psalmach, i odnosi się do Jerozolimy. Tęsknota za Syjonem oznacza

tęsknotę za świętym miastem. Przez wieki w tradycji żydowskiej słowo to powracało w kontekście mesjańskim. I dopiero w XIX wieku powstało współczesne – czy też nowożytnie – myślenie o powrocie Żydów do ziemi Izraela, już niekoniecznie związane z religią. Oczywiście wśród jego twórców najbardziej znany jest Teodor Herzl, ale byli i tacy, którzy głosili te

poglądy przed nim. Jako pierwszy terminu „syjonizm” użył w 1890 r. Natan Birnbaum w kontekście powołania partii politycznej o takiej nazwie.

W Europie przełom XIX i XX wieku to czas narodzin ruchów narodowych, lokalnych tożsamości. Do głosu dochodzi nacjonalizm. Podobne uczucia rodzą się w Żydach. „Pomogły” pojawiające się tu i ówdzie nastroje antysemickie?

Wielu historyków uważa, że syjonizm zrodził się z konfliktu, niepewności czy prześladowań, jakie spotkały Żydów w XIX wieku. Z jednej strony mamy pogromy Żydów w Rosji, z drugiej aferę Dreyfusa we Francji, stąd też ta niepewność i niemożność pełnej asymilacji, w którą Żydzi wierzyli od czasów Haskali, czyli przełomu XVIII i XIX wieku. A więc nieudana asymilacja połączona z prześladowaniami dały podłoże dla powstania syjonizmu, idei powrotu do ziemi Izraela i stworzenia tam swojej państwowości – czy też autonomii, jak na początku myślano.

Podczas naszej niedawnej rozmowy izraelski historyk Tom Segev zauważył, że pierwszą walką syjonistów było przekonanie do tej idei... samych Żydów. Podobno najszybciej w tej kwestii zorientował się Ben Gurion.

Większość Żydów pod koniec XIX wieku, ale też w późniejszym okresie, sprzeciwiała się syjonizmowi. Żydzi tradycyjni – ortodoksyjni, chasydzi – odrzucali syjonizm jako zaprzeczenie idei mesjańskiej. W tradycyjnym judaizmie kryje się bowiem głęboka wiara w powrót do ziemi Izraela – lecz dopiero, gdy przyjdzie Mesjasz. Ma on wówczas zgromadzić Żydów w ziemi Izraela, odbudować świątynię i ustanowić państwo Izrael. Z drugiej strony, mamy już w tym czasie dobrze rozwinięty ruch reformatorski, w Polsce znany w formie judaizmu postępowego. Jego zwolennicy w XIX wieku uważali, że ich zadaniem jest przekształcenie Żydów w Polaków wyznania moźeszowego – ograniczenie tożsamości żydowskiej wyłącznie do religii. Syjonizm był więc zaprzeczeniem ich postulatów.

W Izraelu wciąż działają religijne, ortodoksyjne ruchy nieuznające syjonizmu. Na przykład grupa Neturei Karta.

To bardzo radykalna i niebezpieczna grupa silnie antysyjonistyczna. Większość jej zwolenników wywodzi się z chasydów węgierskich, dziś aktywnych także w Nowym Jorku. Głoszą, że państwo Izraela jest dziełem szatana i trzeba zrobić wszystko, żeby je zniszczyć.

To prawda, że u początków syjonizmu kością niezgody dla zwolenników i przeciwników był również język?

Dla syjonistów podstawą była znajomość hebrajskiego, wykorzystywanego oczywiście do celów świeckich. A przecież w tradycyjnym judaizmie to język święty! Na co dzień używano jidysz, a więc pojawiły się również oskarżenia o sekularyzację języka.

Zatem jak to się stało, że tendencja się odwróciła i syjonizm wreszcie otrzymał swój kredyt zaufania?

Na pierwszym Kongresie Syjonistycznym w 1897 r. powstała Organizacja Syjonistyczna, która na ziemiach polskich była podzielona ze względu na zabory. W rosyjskim ośrodku Organizacji było Wilno i Warszawa. W austriackim Lwów dla Galicji Wschodniej i Kraków dla Galicji Zachodniej oraz Śląska. Każdy z tych ośrodków miał swoje cechy charakterystyczne. Kraków był pod bardzo silnym wpływem Lwowa, gdzie zresztą jeszcze przed Teodorem Herzlem powstawały organizacje protosyjonistyczne, nawołujące do idei powrotu do Syjonu jako wspólnej idei wszystkich Żydów, jak i do budowy świadomości narodowej. To wszystko działo się głównie na przełomie XIX i XX wieku, gdy w Warszawie i na innych terenach zaboru rosyjskiego miały miejsca pogromy Żydów.

Syjonizm stał się jedną z form buntu młodych?

Młodzież z jednej strony uczyła się w polskich szkołach, gimnazjach czy na uniwersytetach, a z drugiej dostrzegała konieczność uzyskania przez Żydów jakiejś autonomii – czy to narodowej, czy kulturowej. Zaczęła studiować własną historię i tradycję, do czego zresztą nawoływało wielu kaznodziejów z synagog postępowych.

Również w Krakowie?

Historycy w pierwszej kolejności wymieniają tu Ożjasza Thona. Píše się nawet, że wśród wszystkich organizacji i działaczy krakowskich tylko on zasługuje na uwagę. Pewnie jest w tym trochę prawdy.

Przyznam, że zgrzyta mi termin „syjonizm krakowski”. Przecież w syjonizmie chodzi jednak o powrót do korzeni. Więc jak to możliwe, że nawet najsłynniejszy krakowski syjonista, Ożjasz Thon, nigdy nie osiadł w Palestynie?

Ale często tam jeździł. Jego historia w ogóle jest fascynująca i zawiera szereg trudno wytłumaczalnych zwrotów akcji. Thon pochodził ze Lwowa, jak zresztą wielu krakowskich syjonistów. Wychował się w chasydzkiej rodzinie, bardzo ortodoksyjnej, w młodości ukończył jesziwę i otrzymał dyplom rabina. Mimo ortodoksyjnego zaplecza jego rodzice zezwolili na uczęszczanie do państwowego gimnazjum we Lwowie i właśnie tam zetknął się ze świeckim środowiskiem żydowskim, zajmującym się działalnością syjonistyczną. Później wybrał się na studia filozoficzne do Berlina, był dobrze zapowiadającym się badaczem. Jeszcze będąc tam, zapisał się do reformowanego seminarium rabinicznego, co oznaczało zwrot w stronę judaizmu reformowanego. Przez cały czas był aktywny w tamtejszych organizacjach syjonistycznych, choćby w Jung Israel zresztającej Żydów z Europy Wschodniej, z których większość była zwolennikami syjonizmu.

Te dwa obszary nie kłóciły się ze sobą?

Pojawił się problem, bo judaizm reformowany w swojej naturze był przeciwnikiem syjonizmu i Thon miał nawet rozmowy dyscyplinujące w seminarium. Grożono mu, że jeśli nie zaprzestanie swojej działalności syjonistycznej, zostanie wyrzucony. W Berlinie zetknął się też z Teodorem Herzlem. Niektórzy biografowie twierdzą, że to Thon wpłynął na Herzla, by ten zorganizował konferencję i pierwszy Kongres Syjonistyczny. Miał też sugerować, że powinno się to odbyć →



→ w Zurychu. Ostatecznie Kongres odbył się w 1897 r. w Bazylei. Thon zresztą nie mógł w nim uczestniczyć, bo w tym samym roku złożył aplikację do synagogi w Krakowie i otrzymał tam pracę. Na pierwszy Kongres nie pojechał, ale później, aż do śmierci, uczestniczył we wszystkich kolejnych. Thon wrócił do Krakowa i oscylował pomiędzy syjonizmem politycznym Teodora Herzla a syjonizmem duchowym Ahad ha-Ama. Możemy nawet znaleźć informacje, że chciał stworzyć syjonizm naukowy.

To znaczy?

Podstawy teoretyczne syjonizmu, które bazowały na tradycji i historii Żydów, ale też socjologii czy filozofii. I rzeczywiście, pod koniec lat 90. XIX w. takie próby poczynił, a później, kiedy osiadł w Krakowie, poświęcił się pracy kaznodziejskiej.

Wyobrażam sobie, że w tej sytuacji jego przyjazd do Krakowa musiał wzbudzić wiele kontrowersji.

Przed wiele lat w synagodze Tempel nie było kaznodziei, który mógłby głosić kazania w języku polskim. On był pierwszym, który się tego podjął po długiej przerwie i bardzo szybko został zaakceptowany. Poza tym był naprawdę dobrym mówcą. Z drugiej strony, mógł wy czuć dystans, bo postępowcy w Krakowie wtedy jeszcze nie byli zwolennikami syjonizmu. A on pragnął niezależności. W kazaniach, które się zachowały z tamtego okresu, widać wyraźnie wpływy ideologii syjonistycznej, która w dużej mierze zmieniała kształt judaizmu postępowego w Krakowie, ale też i w Polsce. Gdy Thon jechał z Berlina do Krakowa, do Warszawy przybył jego kolega z niemieckiej uczelni, syjonista Samuel Poznański. Obaj zaczęli powoli wprowadzać do swojego nauczania element żydowskiej tożsamości i narodowości. I to szalenie wpłynęło na judaizm postępowy. W ten sposób stawał się coraz mniej reformowany, a coraz bardziej konserwatywny.

Działalność Thona ograniczała się do tej kaznodziejskiej?

W Krakowie Thon związany był z szeregiem inicjatyw. Był przewodniczącym Organizacji Syjonistycznej Galicji

Zachodniej, później małopolskiej, i z racji swojej funkcji brał udział w delegacji Żydów na konferencji pokojowej po I wojnie światowej. To tam udało się oficjalnie ustalić, że Żydzi stanowią mniejszość narodową. Wydaje się, że to również był wpływ ideologii syjonistycznej. Przez wiele lat Thon był też wybierany do Sejmu jako przedstawiciel Żydów z list syjonistów ogólnych.

Współorganizował w Krakowie „Nowy Dziennik”, żydowską gazetę o profilu syjonistycznym, wydawaną w języku polskim. Pisywał tam często, omawiano w niej także jego kazania. Mówiło się, że do jego śmierci w 1936 r. w Krakowie nie mogło się odbyć bez niego żadne wydarzenie kulturalne czy sportowe. Na przykład otwierał wystawę obrazów Gottlieba, był członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Hebrajskich w Krakowie, należał właściwie do większości istniejących wówczas organizacji. Rzeczywiście był bardzo wpływowy. Wśród inicjatyw Thona warto też wymienić działalność edukacyjną: budowę szkoły hebrajskiej – najpierw na poziomie powszechnym, później, w 1918 r., gimnazjum, gdzie językami wykładowymi były polski i hebrajski.

W Izraelu poznałam dzieci absolwentów tego gimnazjum. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by ktokolwiek tak ciepło opowiadał o szkole. Zaskoczyło mnie też, jak szeroką wiedzę z zakresu historii Polski i literatury mieli jej absolwenci. I jakimi byli patriotami – nie tylko żydowskimi, ale także polskimi.

W Krakowie starano się o syntezę miłości do kultury polskiej i żydowskiej. Thon był tego wielkim zwolennikiem, czym przeciwstawiał się Herzlowi. Twierdził, że Żydzi nie powinni wcale od razu wyjeżdżać do Palestyny. Uważał, że powinni się najpierw dobrze do tego przygotować, zdobyć wykształcenie, a to było możliwe tylko przez akulturację. W kazaniach, które się zachowały, Thon bardzo często odwołuje się do polskich romantyków – Mickiewicza, Słowackiego – podając ich za przykład podtrzymywania ducha walki o niepodległość. Załował, że wśród Żydów takich poetów nie

ma. Choć pojawili się później – na przykład Chajim Nachman Bialik, narodowy wieszcz Izraela. Poglądy Thona podzielały osoby zaangażowane w budowę Gimnazjum Hebrajskiego, a także jego nauczyciele, zafascynowani kulturą polską.

Przyjmowano młodzież religijną czy świecką?

Byli to postępowi, świeccy, w sporym stopniu akulturowani Żydzi, w dużej mierze o nastawieniu ogólnosyjonistycznym. Warto też dodać, że każdy nauczyciel miał polskie wykształcenie uniwersyteckie i duże zamiłowanie do kultury polskiej. Gimnazjum Hebrajskie było miejscem łączącym ducha syjonizmu i polskiego patriotyzmu.

Można było być i syjonistą, i polskim patriotą?

W XIX wieku niektórzy zwolennicy Haskali i reformowanego judaizmu uważali, że można czuć się żydem (przyjmując taką tożsamość religijną) i jednocześnie być dobrym obywatelem Niemiec czy Polski. Uważali też, że wobec tego ich tożsamość powinna opierać się na religii. Natomiast syjoniści, w tym Ozjasz Thon odwrotnie – dla nich tożsamość żydowska powinna opierać się na przynależności narodowej. To jednakże nie było przeszkodą, aby brać przykład i czerpać z kultury polskiej, ile się da, przy jednoczesnym zachowywaniu drugiej tożsamości – tej żydowskiej. Nie wszyscy wyjeżdżali do Palestyny, bo też nie wszyscy mogli, ale wszyscy syjoniści działali dla dobra społeczeństwa żydowskiego.

Wydaje mi się, że dziś także można łączyć patriotyzm z syjonizmem rozumianym w taki sposób. Syjonizm to wspieranie dążeń narodowych i budowa ojczyzny dla tych, którzy jej potrzebują. Ale to nie wyklucza życia w diaspory.

Krakowskie zamiłowanie żydowskich nauczycieli i uczniów do lokalnej kultury było ewenementem czy raczej jednym z wielu przykładów akulturacji społeczności żydowskiej?

W XIX wieku odbywało się w Krakowie dużo wydarzeń patriotycznych, w których uczestniczyli Żydzi i które były organizowane również w synagogach od lat 60. Warto wspomnieć, że w Krakowie w 1869 r.

Szymon Dankowicz, kaznodzieja w synagodze Tempel, zorganizował nabożeństwo na cześć króla Kazimierza Wielkiego z okazji jego ponownego pogrzebu. Główne uroczystości odbywały się w kościele Mariackim, a potem kaznodzieja zaprosił wszystkich do synagogi. Wydaje się, że te nabożeństwa patriotyczne, zwłaszcza w środowisku Żydów postępowych, były ważnym elementem ich życia społecznego. A na pewno było tak w gimnazjum. Uczniowie chodzili na swoje nabożeństwa religijne do synagogi Tempel.

Można też wspomnieć sam pogrzeb Thona w 1936 r., z którego mamy sporo zdjęć w Narodowym Archiwum Cyfrowym. To wydarzenie stało się manifestacją krakowskich Żydów, będącą poparciem dla jego sposobu myślenia i działalności.

Czy w syjonistycznym Krakowie działa się coś poza Thonem?

Faktycznie niewiele, choć było dużo organizacji i instytucji. Choćby biblioteka publiczna Ezra czy ważna organizacja Bnei Brith. Do Krakowa przyjeżdżało też wielu ważnych syjonistów. Dość wspomnieć wizytę Martina Bubera wiosną 1939 r., którą opisywał Jerzy Turowicz, wówczas 27-letni redaktor „Głosu Narodu”, i – jak sam twierdził – prawdopodobnie jedyny nie-Żyd w tamtym zgromadzeniu. Wśród osób związanych z syjonizmem w Krakowie trzeba wymienić Chaima Hilfsteina, który kierował Organizacją Syjonistyczną w Małopolsce po śmierci Thona, Szymona Feldbluma czy Ignacego Schwarzbarta.

Część polskich syjonistów wyjechała przed wojną do Palestyny. Później – ci, którzy przeżyli – do Izraela. Z czym się tam spotkali?

W Izraelu syjonizm miał różne oblicza. W początkowym okresie istniało hasło: jeden kraj, jeden język. Przyjeżdżali ludzie z wielu miejsc, wspólnie podejmowali trud budowania państwa, zachęcano ich więc, by również posługiwali się tym samym językiem. Dochodziło do sytuacji, że gdy w latach 50. przyjeżdżali na przykład Żydzi z Polski, zabraniano im mówić po polsku. Na polskojęzyczną prasę też nie patrzono zbyt przychylnie. Oczywiście nie dotyczyło to tylko przybyszów z Polski. Z zupełnie inną sytuacją spotkali się w latach 90. Żydzi rosyjscy. Przyjechali do państwa o ukształ-

■ Głównym celem syjonizmu jest dziś **obrona tego, co udało się zbudować**. W tej perspektywie jest chętnie używany – i nadużywany – przez polityków.



MICHAŁ GALAS jest doktorem habilitowanym i wykładowcą na Uniwersytecie Jagiellońskim, dyrektorem Instytutu Judaistyki. Autor licznych publikacji z zakresu historii Żydów, judaizmu oraz duchowości żydowskiej na ziemiach polskich.

towanych już strukturach, nieobawiającego się, że inny język mógłby zastąpić hebrajski. Stąd tak często słyszymy dziś rosyjski na ulicach Izraela, istnieje też prasa i telewizja w tym języku.

A co syjonistyczny Kraków zostawił po sobie w Izraelu?

Z Polski wyjechało wielu lokalnych patriotów. Zachowali pamięć o Krakowie i innych polskich miastach, pamięć o dzieciństwie i spędzonych tam latach. Na tyle dla nich ważną, że do dziś istnieje w Izraelu Związek Krakowian, na którego czele stoi pani Lili Haber. Od lat spotykam się z członkami Związku i ujmuje mnie, z jaką sympatią odnoszą się do wszystkich przyjezdnych z Krakowa, choć przecież część z nich miała tu traumatyczne, wojenne doświadczenia. Ci

jednak, z którymi się spotykam, są zachłanni wieści z Krakowa. Krakowskie korzenie ma w swojej biografii wielu wybitnych Izraelczyków.

Od tego czasu minęły dekady, definicja syjonizmu uległa modyfikacjom. Jeszcze do niedawna wyjazd z kraju na stałe był uznawany za zdradę. Dziś patrzy się na to zupełnie inaczej. A jednak – gdy opowiadam w Izraelu o osobach, które mieszkają w Europie i wciąż czują się syjonistami, rozmówcy kręcą nosem. Tak jakby to było nie do pogodzenia. Czym syjonizm jest dla Żydów – i dla Izraelczyków – dzisiaj?

Dwa tygodnie temu współorganizowaliśmy na Uniwersytecie Jagiellońskim konferencję z okazji 70-lecia powstania państwa Izrael, w której uczestniczyli naukowcy z wielu krajów. Na zakończenie odbył się panel, na którym padło pytanie, czy w ogóle możemy jeszcze mówić o syjonizmie. Czy po utworzeniu państwa ma to w ogóle rację bytu? Jakże są jego cele teraz, kiedy państwo już istnieje? Czy syjonizm nie równa się po prostu patriotyzmowi, dumie z bycia Izraelczykiem?

No właśnie. Zatem?

Okazuje się, że nie ma jednej odpowiedzi. Dla syjonistów, tych idealistycznie nastawionych, którzy pragnęli, aby wszyscy Żydzi zamieszkali w państwie żydowskim, kwestia pozostaje otwarta. Natomiast główny cel syjonistów – utworzenie państwa Izrael czy – jak niektórzy mówią – duchowej siedziby, w której Żydzi mogliby się czuć u siebie – został zrealizowany. Wydaje się, że głównym celem syjonizmu jest teraz obrona tego stanu posiadania przed wrogami zewnętrznymi. W tej perspektywie jest on chętnie używany – i nadużywany – przez polityków. Poza tym na syjonizm można też patrzeć jako na ideę łączącą Izraelczyków – mających korzenie w wielu krajach świata, dzielących wiele kultur – z mieszkańcami Izraela urodzonymi w tym kraju. A więc syjonizm ma dziś wiele definicji. Można by powiedzieć – spersonalizowanych.

© Rozmawiała

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET



Pop w Izraelu

EDWIN SEROUSSI

Narodziny i dalsze losy muzyki popularnej dobrze pokazują polityczne oraz kulturowe przemiany Izraela.

MUZYKA POPULARNA POJAWIŁA SIĘ w Izraelu na przełomie lat 20. i 30. XX w. wraz z rozrastaniem się dużych miast (Tel Awiw-Jafa, Hajfa, Jerozolima), a jej rozwój związany był z napływem profesjonalnych muzyków z Polski, Niemiec i byłej monarchii austro-węgierskiej. Pod ich wpływem w Izraelu powstawały takie miejsca jak teatry muzyczne i kabarety, podobne do tych z europejskich miast. Wykonywano w nich zarówno ówczesne europejskie piosenki z hebrajskimi tekstami, jak i oryginalne kompozycje lokalnych muzyków nawiązujące do gatunków takich jak tango czy fokstrot. W ślad za tym w połowie lat 30. narodził się przymysł muzyki rozrywkowej – w brytyjskim Mandacie Palestyny założono pierwszą komercyjną wytwórnię oraz uruchomiono stację radiową z hebrajskimi audycjami.

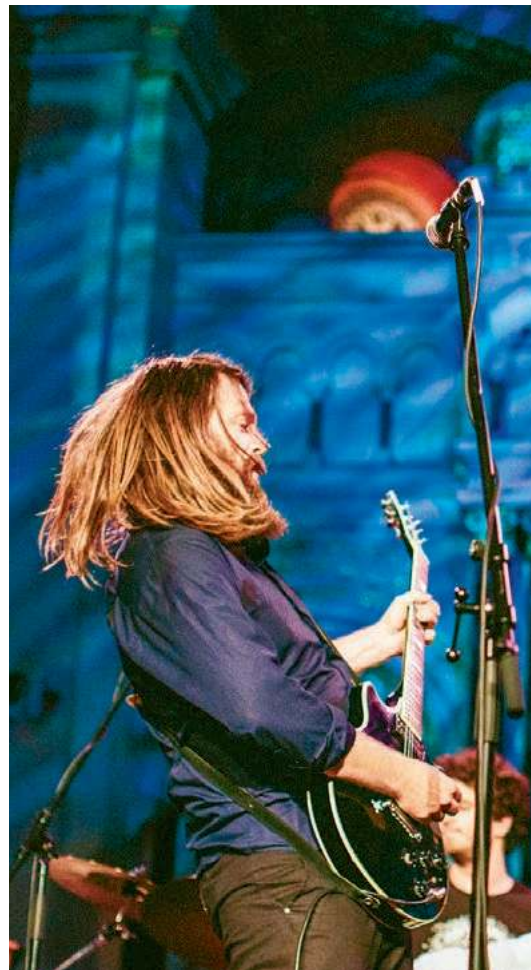
Aż do lat 70. muzyka popularna zdominowana była przez państwową politykę kulturalną i massmedia. Gatunek pod nazwą *shirei Eretz Israel* (Pieśni Ziemi Izraela) funkcjonował jako muzyka folkowa, choć w rzeczywistości był produkowany i dystrybuowany jako muzyka popularna. Duży wpływ na scenę muzyczną miały zespoły artystyczne Sił Obronnych Izraela pod nazwą *lehaqot tzvayiot*. Aktywne od późnych lat 40., zyskały szeroką popularność dzięki płytom i transmisjom radiowym. Kapele wojskowe składały się z kilkunastu młodych żołnierzy wokalistów i komediantów szkolonych przez cywilnych artystów. Łączyli oni lokalne elementy z popularnymi międzynarodowymi stylami muzycznymi, a ich aranżacje oparte były na grupowym śpiewie z krótkimi solówkami przy akompaniamencie akordeonu i arabskiego tamburynu.

Późne lata 60. i wczesne 70. to czas duetów i tercetów z akustycznym akompaniamentem, wykonujących kameralne utwory nazywane *pizmonim* lub *shirei meshorerim* (pieśni poetów). Rezygnowały one z opisywania prowincji i kolektywnych doświadczeń na rzecz indywidualnych, miejskich przeżyć, a ich repertuar uzupełniały hebrajskie wersje francuskich chansonów i greckich piosenek. Pomimo „mobilizującego” charakteru popularnej muzyki w tym okresie, dostrzegalne były także międzynarodowe trendy – piosenkarze chętnie nagrywali w akompaniamencie jazzowych zespołów o różnorodnych stylach.

W Dzień Niepodległości w 1960 r. po raz pierwszy odbył się Festiwal Pieśni Izraelskiej, zorganizowany przez Radio Izrael w reakcji na wzrastające obce wpływy muzyczne. Na festiwalu wykonywano oryginalne pieśni solowe przy akompaniamencie aranżacji orkiestrowych. W ten sposób propagowano „izraelski” styl muzyki popularnej, dlatego też kiedy przestało to być potrzebne, festiwal wygaszono.

Rockowe brzmienia

Anglosaska popowa i rockowa estetyka dominowała od późnych lat 60. Hebrajska muzyka popularna tego okresu obejmowała wszystkie zachodnie gatunki: rock, disco, rap i wiele innych. Hebrajski pop przejął także sposoby działania zachodniego przemysłu muzycznego: pojawiły się gwiazdy, listy przebojów, rankingi hitów, wcześniejsze premiery singli i trasy koncertowe, a izraelscy artyści czterokrotnie zwyciężali w konkursie Eurowizji. Niektórzy muzycy poszukiwali alternatywnych brzmień: powstawały hebrajskie piosenki w rytmach bossa nova czy hebrajski blues.



The Kutiman Orchestra

Album „Shablul” (1970) Arika Einsteina i Shaloma Hanocha uważany jest za początek izraelskiego rocka, a pierwszym izraelskim zespołem rockowym, który osiągnął sukces, był The Churchills (założony w 1967 r.). Kolejny przełomowy moment to pojawienie się w 1976 r. płyty „Sof Onat Hatapuzim” („Koniec sezonu pomarańczowego”) zespołu Tammuz. Zupełnie inny styl natomiast reprezentowali Svika Pick, charakterystyczni ze względu na stroje w stylu glam, oraz Kaveret, założony w 1972 r. zespół siedmiu najwybitniejszych młodych gwiazd Izraelskich Sił Powietrznych – wciąż uważany za jedno z największych osiągnięć w historii tego gatunku.

Dysonans wywołany gwałtownym rozwojem izraelskiego rocka i wciąż żywą tradycją Pieśni Ziemi Izraela załagodziła grupa muzyków: Yehudit Kravitz, Yoni Rechter, Shlomo Gronich i Matti Caspi, dążąca do stworzenia oryginalnego izraelskiego stylu z elementami progresywnego rocka. Z repertuaru Pieśni Ziemi Izraela zaczerpnęli



25. Festiwal Kultury Żydowskiej, lipiec 2015 r.

motywy lirycznej ballady, używając przy tym tradycyjnych instrumentów: fletni, fletu protego i darbuki. Ich piosenki były zazwyczaj bardziej złożone rytmicznie i harmonicznie w porównaniu z przeciętnymi utworami popowymi.

Gwałtowne odejście od konserwatywnych stylów rockowych z lat 80. nastąpiło wraz z pojawieniem się Aviva Geffena około 1990 r. Występujący na scenie w kobiecym stroju i ciężkim makijażu Geffen demonstracyjnie unikał projektów związanych z izraelską armią i śpiewał o narkotykach, seksie oraz alienacji, a wszystko w stylu punkowym, kwestionując tym samym tradycyjną „izraelskość”.

Orientalne korzenie

Początków gatunku *musiqā mizrahit*, czyli izraelskiej „orientalnej” czy też „śródziemnomorskiej” muzyki popularnej, upatrywać można w greckich pieśniach ludowych śpiewanych w języku hebrajskim. Pojawiają się w nim elementy etniczne z ży-

dowskiej tradycji, szczególnie jemeńskiej. Dzięki demokratyzacji branży nagraniowej po upowszechnieniu się kasety magnetofonowej *mizrahit* trafiło do głównego nurtu izraelskiej muzyki – to ten gatunek wypromował najdłużej obecne na scenie i najlepiej sprzedające się izraelskie gwiazdy.

Status Żydów Mizrahi [czyli arabskich Żydów – przyp. tłum.] w izraelskim społeczeństwie znacząco się poprawił od lat 90. Globalizacja i wdrożenie multikulturalizmu jako polityki na szczeblu instytucjonalnym miały ogromny wpływ na głęboko podzielone, nie tylko etnicznie, ale przede wszystkim politycznie i religijnie izraelskie społeczeństwo. Odcisnęło to swoje piętno także na głównym nurcie popu.

Sama *musiqā mizrahit* także ewoluowała. Starsze instrumenty (buzuki, kanun, ud, gitara) ustąpiły miejsca syntezatorom. Dystrybucja przeniosła się ze sklepików w okolicy dworca do salonów muzycznych i internetu. Dawniej ograniczona do tematycznych audycji, dziś wybrzmiewa w najważniejszych kanałach radiowych i telewizyjnych. Bezpośredni, nieformalny kontakt z publicznością wciąż jest istotną częścią występów, jednak obecnie to nagrania oraz występy w radiu i telewizji stanowią główne źródło dochodu muzyków.

Musiqā mizrahit łączy w sobie różnorodne tradycje, wśród których najważniejszymi są hebrajskie wersje greckich piosenek, jemeńskie i marokańskie pieśni religijne, europejskie ballady w stylu festiwalu w San Remo, *shirei dika'on* (dosłownie: „posepne piosenki”) i najbardziej emblematyczne Pieśni Ziemi Izraela.

Greckie elementy to zasługa piosenkarza Arisa Sana. Siedemnastoletni nie-Żyd, który odwiedzał Izrael po 1956 r., pojawiał się w klubach w portowej Hajfie. Jego charakterystyczny styl gry na buzuki zainspirował dźwięki gitar elektrycznych w *musiqā mizrahit*. Brzmienia w stylu San Remo znalazły się w nim z kolei za sprawą śpiewaków takich jak Nissim Sarusi, który występował na scenie nocnego klubu Ramli na wschodzie Tel Awiwu. *Shirei dika'on* to głównie przeróbki tureckich piosenek arabskich, których in-

tonacja ma wywoływać poczucie głębokiego smutku i rozpacz. Rozpowszechnianie się w Izraelu *musiqā mizrahit* jest symptomatyczne. Brzmienia głównego nurtu muzyki arabskiej nigdy nie znalazły się w granicach tego gatunku, co jest po części związane z procesem dearabizacji Żydów z krajów arabskich, mającym swe korzenie w syjonizmie.

Międzynarodowa sława

Trajektorię wędrowni *musiqā mizrahit* z marginesu do mainstreamu uosabia Zohar Argov (wcześniej Urkavi, 1955–1987), uważany za najbardziej reprezentatywnego wykonawcę tego nurtu, zarówno ze względu na swoją popularność, jak i opinie krytyków oraz wszechobecność w izraelskim pejzażu dźwiękowym. Kariera Argova trwała tylko siedem lat (1980–87), była jednak błyskotliwa i pełna zwrotów akcji. Argov dorastał w zubożałej dzielnicy na południu Tel Awiwu jako pierwsze z dziesięciorga dzieci w trudnej rodzinie. Jeszcze jako chłopiec śpiewał w jemeńskiej synagodze, a jego droga do sławy rozpoczęła się wraz z wydaniem pierwszej kasety „Elinor” w 1980 r. Argova nazywano Hamelkeh (Król), co dobrze oddawało jego status. Samobójstwo, które popełnił oczekując na rozprawę sądową za przestępstwa narkotykowe, tylko wzmocniło jego status ofiary systemu. Portretowany jako bohater tragiczny, człowiek targany wielkimi emocjami – zarówno w życiu, jak i sztuce – z powodu swojej gwałtownej śmierci wrył się w zbiorową pamięć jak żaden inny popowy artysta.

Kariera Ofry Hazy (1957–2000) przypomina nieco losy Argova, ale jej międzynarodowy wydzźwięk pokazuje, jak duży wpływ na życie artysty ma odpowiednie zarządzanie karierą. Skromne początki młodej jemeńskiej piosenkarki w południowym Tel Awiwie zapowiadały raczej lokalną karierę w nurcie *musiqā mizrahit*. Lecz Haza stała się jedną z najwybitniejszych piosenkarek izraelskiego popu i osiągnęła największy sukces międzynarodowy spośród wszystkich izraelskich wykonawców. Dopiero kiedy ugruntowała swoją pozycję piosenkarki pop, zaczęła sięgać po rodzinne tradycje w albumach takich jak „Shirei Teyman” →



MICHAEL RAMUS / FKZ

Neta El Kayam, 27. Festiwal Kultury Żydowskiej, synagoga Tempel, lipiec 2017 r.

→ („Pieśni Jemenu”, 1984) i „Yemen Love” (1988). Zawiłe aranżacje żydowskich pieśni jemeńskich w rytmach electro-dance, chociażby „Desert Wind” (1989), były jednymi z pierwszych udanych przykładów etno disco na międzynarodowej scenie.

Wspólna różnorodność

We wczesnych latach 90. dotychczasowy rozdzźwięk pomiędzy *musiqą mizrahit* a izraelskim pop-rockiem zaczął maleć, na co miały wpływ m.in. kolejne odmiany izraelskiego „etnicznego” rocka i muzyki światowej.

Zespół Ethnix eksperymentował z brzmieniami nawiązującymi do *musiqą mizrahit* na swoim albumie „Masala” z 1991 r., który powstał we współpracy ze wschodzącą gwiazdą tego gatunku, Zehavą Ben. Najbardziej utytułowanym zespołem rockowym z orientacją *mizrahit* był Tea-Packs, wykorzystujący wschodnie techniki, takie jak śpiewanie i granie *unisono* przez dłuższy czas, a także heterofonie, wokalne i instrumentalne improwizacje, cytaty z tradycyjnych marokańskich piosenek, mikrotony i arabskie wzory rytmiczne.

Nowa generacja artystów z końca lat 90. odeszła od klasycznego stylu *mizrahit*

■ Muzyka bazująca na **etnicznej różnorodności** stała się międzynarodowym znakiem rozpoznawczym izraelskiej kultury.

na rzecz muzyki bliższej popowemu centrum. Przykładem tego trendu jest Sarit Hadad (ur. 1978), która z młodej piosenkarki wykonującej hebrajskie przeróbki tureckich piosenek stała się gwiazdą izraelskiego popu. Nagrała 20 albumów, z których pięć znalazło się na szczycie listy przebojów – reprezentowała nawet Izrael na Eurowizji.

Współcześnie *musiqą mizrahit* pojawia się na listach popowych przebojów, gości w programach w najlepszym czasie antenowym, a także na najważniejszych festiwalach izraelskiej muzyki folkowej i popularnej. Muzycy spod znaku *mizrahit* dominują także w programie „Kokhav Nolad” („Gwiazda się rodzi”), izraelskiej

wersji „Idola”, a także regularnie reprezentują Izrael w muzycznych konkursach oraz podczas publicznych uroczystości.

Musiqą mizrahit to autentyczny (i subwersywny) wyraz walki Żydów Mizrahi przeciwko marginalizacji i deprecjacji w izraelskim społeczeństwie. Sukces tego nurtu sprawił, że dziś jest on w samym centrum izraelskiej muzyki popularnej, a jego twórcy uznawani są jako w pełni izraelscy. Można więc powiedzieć, że w pełni zrealizowali swój cel.

Zróznicowanie i globalizacja izraelskiego krajobrazu muzycznego w ciągu ostatnich dwóch dekad spowodowały otwarcie się lokalnych artystów na różnorodne formy nowej muzyki. Izraelscy muzycy spod znaku psychodelicznego transu (Alien Project, Astral Projection i Infected Mushroom) zdobyli międzynarodowe uznanie. Offer Nissim to szanowany producent muzyki house. Z kolei dzięki artystom takim jak Haddag Nahash, Subliminal i Sagol 59 w Izraelu rozwinął się również hebrajski rap i hip hop. Podobnie jak undergroundowa scena metalowa, którą reprezentują dobrze znane na świecie zespoły Orphaned Land i Melechesh.

Izraelskie wieloetniczne zespoły, takie jak Bustan Abraham i East-West Ensemble, osiągnęły międzynarodowy sukces pod koniec lat 80. i 90. ubiegłego wieku. Nowsze grupy, chociażby Idan Raichel Project i Balkan Beat Box, zyskały jeszcze większą popularność poza granicami kraju. Inne style izraelskiej muzyki światowej, np. muzyka o korzeniach irackich Yaira Dalala, są zorientowane bardziej lokalnie. Muzyka poszukująca własnego języka, bazująca na kapitale różnorodnych etnicznie żydowskich społeczności imigranckich, a także lokalnej palestyńskiej ludności arabskiej, stała się międzynarodowym znakiem rozpoznawczym izraelskiej kultury. © EDWIN SEROUSSI

Tłumaczenie ALEKSANDRA WOJTASZEK

EDWIN SEROUSSI jest izraelskim muzykologiem urugwajskiego pochodzenia. Profesor na uniwersytecie w Jerozolimie, zajmuje się tradycyjną muzyką żydowską północnej Afryki i Bliskiego Wschodu, a także współczesną muzyką popularną Izraela.

Muzyka żydowska a sprawa polska

KAJETAN PROCHYRA

**Muzycy nie interesują się już wyłącznie możliwościami,
które daje żydowska skala czy ludowe melodie.
Szukają żydowskich śladów bliżej i głębiej.**

W CAŁYM KRAJU ODBYWAJĄ SIĘ FESTIWALE lub dni kultury żydowskiej, których nieodłącznym elementem jest muzyka. Bez większego wysiłku możemy znaleźć w internecie nagrania polskich artystów wykonujących free-jazzowe improwizacje na motywach chasydzkich nigunów, żydowski surf-rock, poezję śpiewaną w języku jidysz czy oczywiście muzykę klezmerską – stare i nowe melodie pisane w skali frygijskiej na klarnet, skrzypce lub akordeon. Trzeba wysilić wyobraźnię, by pomyśleć o muzycznym krajobrazie bez żydowskich wątków. A przecież tak właśnie było jeszcze 20-30 lat temu.

Z Kirkutu

Jednym z pierwszych artystów, który podjął się wejścia w twórczy dialog z żydowską kulturą muzyczną, był Ireneusz Socha – urodzony w Dębicy perkusista, kompozytor i animator kultury, postać niezwykle zasłużona dla zachowania pamięci o Żydach z Dębicy. Na przełomie lat 80. i 90. Socha, wspólnie z Arkadiuszem Franczykiem, realizował eksperymentalny projekt „Kirkut-Koncept” (kirkut znalazł się w nazwie, bo Socha mieszkał w bloku wybudowanym w sąsiedztwie dawnego cmentarza żydowskiego). Ich muzyka była zróżnicowana formalnie i stylistycznie: rockowa ekspresja i motoryka spotykały się z dadaistycznym kabaretem, balladowa liryka z brudem i hałasem, eksperyment z banałem, a żart muzyczny z rytuałem. Płynnie przechodzili od naiwnych melodii przez wieloczęściowe kompozycje instrumentalne, aż do grupowych improwizacji. Wydane na kasetach „Piknik na kirkucie” czy „Kamień na kamieniu”, mimo entuzjazmu ówczesnej krytyki, pozostały w głębinach muzycznej alternatywy.

Szeroką

Dla popularności muzyki żydowskiej w Polsce kluczowy okazał się doroczny koncert „Szalom na Szerokiej” – coroczny finał organizowanego od 1988 r. Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie. Zaslugi twórców festiwalu dla popularyzacji, ochrony i rozwoju kultury żydowskiej w Polsce są nie do przecenienia i sięgają właściwie wszystkich dziedzin artystycznych: od literatury i filmu, aż po rzadko docenianą sztukę wycinanki. Jednak to finałowy koncert plenerowy ma od lat znaczenie symboliczne: w sercu Kazimierza – miejsca, które przez stulecia tętniło żydowskim życiem – na scenie pod gołym niebem spotyka się co roku międzynarodowa plejada muzyków. Prowadzący koncert dyrektor festiwalu Janusz Makuch bodaj za każdym razem przypomina ze sceny, że Mordechaj Gebirtig – poeta, pieśniarz i aktor, nazywany żydowskim bardem Krakowa, autor „S'brent”, jednej z najsłynniejszych i najszerzej znanych utworów języka jidysz – żył, tworzył i zginął od niemieckiej kuli ledwie kilkaset metrów stąd. Przez lata koncert na Szerokiej transmitowany był przez Telewizję Polską (obecnie retransmitowany), dzięki czemu artyści tacy jak David Krakauer, Michael Alpert czy zespół The Klezmatics zyskali ogólnopolską rozpoznawalność.

Do Masady

Rozkwit krakowskiego Festiwalu zbiegł się w czasie z rosnącą w Polsce popularnością Johna Zorna. Charyzmatyczny nowojorski improwizator i kompozytor kilkakrotnie gościł na festiwalu Warsaw Summer Jazz Days. W roku 1994 po raz pierwszy zaprezentował swój kwartet Masada – zespół, z pomocą którego nowojorczyk

wyruszył na poszukiwania nowej tożsamości muzycznej: spotkania chasydzkiej tradycji z muzyczną awangardą. Pięć lat później Mariusz Adamiak oddał we władanie Zorna cały festiwalowy wieczór. W Sali Kongresowej Pałacu Kultury grali kolejno Masada String Project, Bar Kokba i rozszerzony skład kwartetu Masada. Koncerty te stały się dla polskich słuchaczy kluczem do świata nowojorskiej sceny niezależnej: muzyki artystów takich jak gitarzysta Marc Ribot, wiolonczelista Eric Friedlander, trębacz Dave Douglas, skrzypek Mark Feldman i inni. Nadające wtedy w eterze Radio Jazz z upodobaniem sięgało po kolejne albumy z prowadzonego przez Zorna nowojorskiego wydawnictwa Tzadik Records, także tych z serii Radical Jewish Culture. Pojawienie się w tym elitarnym gronie zespołu znanego z Wisły było marzeniem na miarę awansu zespołu z ekstraklasy do finału Ligi Mistrzów.

W roku 2000 płytą „De Profundis” dokonał tego akordeonista i założyciel Cra-cow Klezmer Band – Jarosław Bester. Do dziś jego muzyka pod nazwą Bester Quartet trafia do nas na płytach z Nowego Jorku. Sam Zorn dodatkowo wyróżnił Bestera przesyłając mu, jako jednemu z nielicznych, komplet partytur drugiego tomu śpiewnika Masady – „Book of Angels”. Pod tym tytułem, w roku 2004 (w zaledwie 3 miesiące) Zorn przygotował 316 nowych kompozycji inspirowanych żydowską tradycją muzyczną. W tym roku na dziewięciopłytywym albumie ukazać ma się trzecia i ostatnia część masadowej sagi Zorna – „The Book Beriah”.

Zadać w Shofar

Na początku XXI wieku moda na muzykę żydowską zataczała w Polsce coraz szersze kręgi, jednak ilość przestała przechodzić ➔



→ w jakość. „Miasteczko Bełz”, grane w białych koszulach i czarnych kapeluszach, dobiegało z niemalże każdej żydowskiej restauracji, czekającej na zagranicznych turystów z otwartymi ramionami i pieczonym prosiakiem. Protestował przeciwko temu Raphael Rogiński – gitarzysta i improwizator, który do grania nowej muzyki żydowskiej zaprosił warszawskie środowisko sceny niezależnej. Album „Itstikeyt / Fargangenheit” grupy Cukunft czy muzyka tria Shofar – z Mikołajem Trzaską i Maciem Morrettim – stały się iskrami, od których zaczęły rozbłyskać kolejne świetne muzyczne projekty: Alte Zachen, kwartet klarnetowy Ircha, Muzyka Żydów z Yemenu, Daktari, Malera i Goldstein / Masecki i in. Katalizatorem nowych zjawisk były festiwale – Tzadik Festival w Poznaniu i Nowa Muzyka Żydowska w Warszawie. Każdy z nich co roku przynosił kilka premierowych projektów specjalnych.

Po około pięciu latach boom na tematykę żydowską w świecie muzyki niezależnej zaczął przycichać. Większości wspomnianych projektów trudno będzie dziś usłyszeć na koncertach – pozostały płyty, wydane przez poznańską oficynę Multikulti, a także warszawskie LADO ABC i trójmiejski Kilogram Records.

Na Tratwie muzykantów

Co ciekawe, najdłużej na scenie nowej muzyki żydowskiej utrzymuje się zespół o najliczniejszym składzie. Orkiestra Klezmerska Teatru Sejneńskiego, działająca przy Ośrodku Pogranicze w Sejnach, od lat występuje i realizuje nowe artystyczne przedsięwzięcia, wychowując kolejne generacje muzyków. Z Sejneńczykami przyjaźnią się wybitni muzycy z Polski i z zagranicy. Ktoś mógłby powiedzieć, że prowadzą tam lekcje mistrzowskie. W rzeczywistości spotykają się, rozmawiają i razem płyną na Tratwie muzykantów, która z powodzeniem kursuje nie tylko na trasie Warszawa–Sejny, ale także Sejny–Nowy Jork. W tym roku na Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie posłuchać będzie można Sejneńskiej Orkiestry w towarzystwie Michała Alperta, Davida Krakauera i Franka Londona.

Orkiestra gra także na płycie z muzyką Mikołaja Trzaski do filmu „Wołyń” Wojciecha Smarzowskiego.

Na dansingu

Muzyka żydowska w Polsce okrzepła. Muzycy nie interesują się wyłącznie możliwościami, które daje żydowska skala czy melodie zebrane w śpiewniku Mosze Bieriegowskiego, ukraińskiego etnomuzykologa z początku XX wieku. Artyści szukają żydowskich śladów bliżej i głębiej.

Letnie festiwale muzyczne, w tym także Festiwal Kultury Żydowskiej w Krakowie, podbijać będzie Jazz Band Młynarski-Masecki. Grający na banjo wokalista Jan Emil Młynarski skompletował zbiór międzywojennych szlagierów i poprosił o zaaranżowanie ich Marcina Maseckiego – pianistę, improwizatora, a także miłośnika ragtime’ów i muzyki rozrywkowej tamtego czasu. Dzięki tej współpracy nie tylko możemy doświadczyć muzycznego nastroju sprzed blisko stu lat, ale także przypomniane są postaci żydowskich autorów polskiej popkultury dwudziestolecia międzywojennego: Adam Aston, Fanny Gordon czy Henryk Wars, dziś zapomniani kompozytorzy, autorzy tekstów i piosenkarze.

Na weselu

Przez lata wiedza na temat muzyki żydowskiej trafiała do nas głównie z importu: z rozmów i muzycznych spotkań z artystami z USA i Izraela, z nagrań, z licznych śpiewników. W ciągu kilku ostatnich lat do głosu zaczęła dochodzić żydowska muzyka z polskiej, a raczej polsko-żydowskiej wsi. Jej ślady od lat 80. dokumentował Andrzej Bieńkowski – nieoceniony archeolog, strażnik i popularyzator dziedzictwa polskiej muzyki tradycyjnej. Dla skrzypka i etnomuzykologa Witka Brody kolekcja nagrań Bieńkowskiego stała się podstawowym materiałem źródłowym, obok zapisów dotyczących muzyki żydowskiej w pismach Oskara Kolberga i własnych badań terenowych. To jego Kapela (pod okiem Bieńkowskiego) nagrała album „Muzikaim. Muzyka żydowska w pamięci wiejskich muzykantów”. Album ten dał pretekst dla całego środowiska związanego z mu-



zyką tradycyjną w Polsce, by szukać i dzieł się żydowskimi muzycznymi ostaniami.

Podczas badań terenowych Bieńkowski, Broda i im podobni odnajdują melodie zapamiętane w dzieciństwie przez dziś już sędziwych „ostatnich wiejskich muzykantów”, jak nazywa ich w swej książce Bieńkowski. Niektórzy, tak jak pani Władysława Dychowa z Roztocza, odnajdują w swojej pamięci nie tylko piosenki i wspomnienia, ale cały język jidysz, którego nauczyli się od żydowskich znajomych, a który pozostawał w nich uśpiony przez dziesiątki lat. Wiele śpiewaczy i muzykanci są nie tylko żywą biblioteką muzyki, ale również świadkami tragicznej historii, a ich muzyczna opowieść przypomina głos tych, których już nie ma.

Po „Muzikaim” nakładem oficyny Muzyka Odnaleziona ukazały się w tym roku dwie kolejne płyty inspirowane wspomnieniami o wiejskiej muzyce żydowskiej: album „Kolberg po żydowsku”, złożony z nagrań archiwalnych Bieńkowskiego oraz nowych wykonanych tych motywów w interpretacji m.in. Janusza Prusinowskiego i Kompanii, Ewy Grochowskiej i Macieja Filipczuka czy zespołu Diabubu. Drugi album „Czas wesela” Kapeli Niwińskich to próba



Członkowie orkiestry żydowskiej grającej na przyjęciu weselnym, 1933 r.

odnalezienia miejsc, w których polska muzyka ludowa spotyka się z żydowską. Tak właśnie mogły brzmieć wiejskie wesela, gdy zespół złożony był z polskich i żydowskich muzykantów.

Nowa tradycja

Zakończony niedawno konkurs Nowa Tradycja, organizowany w ramach folkowego festiwalu Polskiego Radia, także nagrodił projekt związany z muzyką żydowską. „Za delikatność, wirtuozerię, głębię, klasę, wzruszenia oraz wysmakowaną formę połączenia elektroniki z klasycznym śpiewem, która przenosi folklor w przestrzeń mistyki” jury pod przewodnictwem Wojciecha Waglewskiego za projekt „Bramy nieba” uhonorowało trio Vocal Varshe oraz Michała Jacaszka. Ten ostatni, grający na elektronice, wyróżniony został dodatkowo „Złotymi gęśłami” jako najlepszy instrumentalista.

Muzyka „Bramy nieba” to próba spojrzenia na muzykę żydowską jakby przez okulary Franka Stelli. Amerykański artysta dostał od znajomych album autorstwa polskich architektów: Marii i Kazimierza Piechotków. Stworzyli oni katalog projektów drewnianych synagog, które przed

wojną znajdowały się na terenach dawnej Polski. Młody Stella dostrzegł w tych formach inspirację do serii abstrakcyjnych reliefów „Polish Village Series”. Powstałe na początku lat 70. prace okazały się przełomowe zarówno dla autora, jak i dla amerykańskiej sztuki owego czasu. Jacek i Vocal Varshe, na zamówienie Muzeum POLIN, które prezentowało wystawę prac Stelli, mieli w podobny sposób spojrzeć na muzykę synagog.

Także w synagodze inspirację dosłyszał DJ Lenar, czyli Marcin Lenarczyk. Znajdując się na placu budowy w Izraelu, zauważył karton, a w nim stare płyty. Na szelakowych krążkach odnalazł śpiew przedwojennych kantorów, m.in. Gershona Siroty, kantora Wielkiej Synagogi na Tłomackiem w Warszawie, jednej z największych synagog owego czasu na świecie, wyburzonej przez Niemców po powstaniu w warszawskim getcie. Nagrania te Lenar poddał elektronicznej obróbce, a także zaprosił do współpracy przyjaciół: wiolonczelistów Edytę Czerniewicz i Mikołaja Pałosa. Tak powstał projekt „Drite Shtilkayt” (trzecia cisza) – nowatorska kompozycja i dźwiękowy kolaż,

■ Trzeba wysilić wyobraźnię,

by pomyśleć dziś o muzycznym krajobrazie w Polsce bez żydowskich wątków. A przecież tak było jeszcze 20-30 lat temu.

ukłon w stronę zapomnianej, wielkiej żydowskiej tradycji.

Co to jest muzyka żydowska?

Czy muzyka hymnu Izraela jest żydowska, skoro to melodia zapożyczona od rumuńskich górali? Co więcej, to pożyczka z drugiej ręki, bo wcześniej skorzystał z niej czeski kompozytor Bedřich Smetana, pisząc swój poemat symfoniczny „Má vlast” (Moja ojczyzna). Czy „Drumming”, określane jako pierwsze arcydzieło minimalizmu, to muzyka żydowska, skoro wyszła spod ręki amerykańskiego kompozytora żydowskiego pochodzenia Steve’a Reicha? W rzeczywistości więcej tam muzyki z Ghany, którą Reich zafascynował się podczas krótkiej wizyty w Afryce. A może „Mazurek Simsiów” grany przez braci Mariana i Tadeusza Wójcików, 80-letnich wiejskich muzykantów z Zakrzewa na Radomsku? Wszak ich ojciec nauczył się go od legendarnych żydowskich wirtuozów weselnych: Simsiów. Podobne przykłady i dylematy związane z przynależnością narodową muzycznych perełek można mnożyć w nieskończoność. A jednak warto szukać i pytać o muzykę żydowską, bo może nas przybliżyć do zrozumienia historii, tak żydowskiej, jak i polskiej oraz powszechnej.

© KAJETAN PROCHYRA

KAJETAN PROCHYRA jest dziennikarzem muzycznym, redaktorem naczelnym i współtwórcą portalu Jazzarium.pl. Współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym” i „Jazz Forum”. Koordynator sceny muzycznej Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.



Rzeczy w ruchu

MARCIN WICHA:

Ludzkość wędruje i nikt tego nie zatrzyma, choćby obiecał zbudować mury na wszystkich granicach i wyrzucić tę resztkę Żydów, z którymi nie rozprawili się poprzednicy.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czy syjonizm jest dla Pana ważną tradycją?

MARCIN WICHA: Nie, nieszczególnie. Bardziej przemawia do mnie tradycja Bundu, żydowskiego związku robotniczego. Ale myślę, że dzisiaj to już głównie kwestie historyczne.

Festiwal Kultury Żydowskiej przez prawie trzy dekady odcisnął się nie tylko na polskiej kulturze, ale też w przestrzeni krakowskiego Kazimierza. Syjonizm można zatem rozumieć szeroko, również jako odbudowywanie materialnego dziedzictwa polskich Żydów.

Chyba jednak nie. Syjonizm to jedno, a przestrzeń Kazimierza – drugie. Syjonizm to idea, ruch polityczny. Kazimierz to kawałek miasta, który zmienił swoją funkcję. Obecna wiąże się z kulturą, rozrywką, turystyką. Ruch turystyczny wynika z zainteresowania kulturą żydowską, stąd pewna teatralność, antykwaaryczność tej dzielnicy.

Jest w tym również etyczny dylemat. Bywa, że rewitalizacja robiona jest przede wszystkim pod turystów.

Tak działa projektowanie. Sentyment, względy marketingowe lub historyczne często wymuszają zachowanie starej formy. Ale ta forma kryje już nową funkcję. Służy innym ludziom, innym celom. W Biłgoraju, gdzie nie ma już ani jednego Żyda, powstało kilka lat temu osiedle wystylizowane na sztetl. Taka współczesna fantazja na temat żydowskiego miasteczka. Jest tam nawet salon piękności z szyldem imitującym hebrajskie litery. Do tego dochodzi paradoks, który zawsze towarzyszy procesowi gentryfikacji. Gdy dzielnica staje się modna, ceny idą w górę. Robi się elegancko. Z odnowionych kamienic znikają dawni mieszkańcy. W przypadku Kazimierza – już tylko cienie prawowitych mieszkańców. Chociaż może to tylko moje subiektywne odczucie.

Ten proces może przebiegać radykalnie inaczej. Weźmy przykład Krakowa i Warszawy.

W Warszawie getto zostało całkowicie zniszczone. Po wojnie w tym miejscu postawiono nową dzielnicę mieszkaniową. Na Muranowie wszystko zostało zbudowane na gruzach i z gruzów. Trudno so-

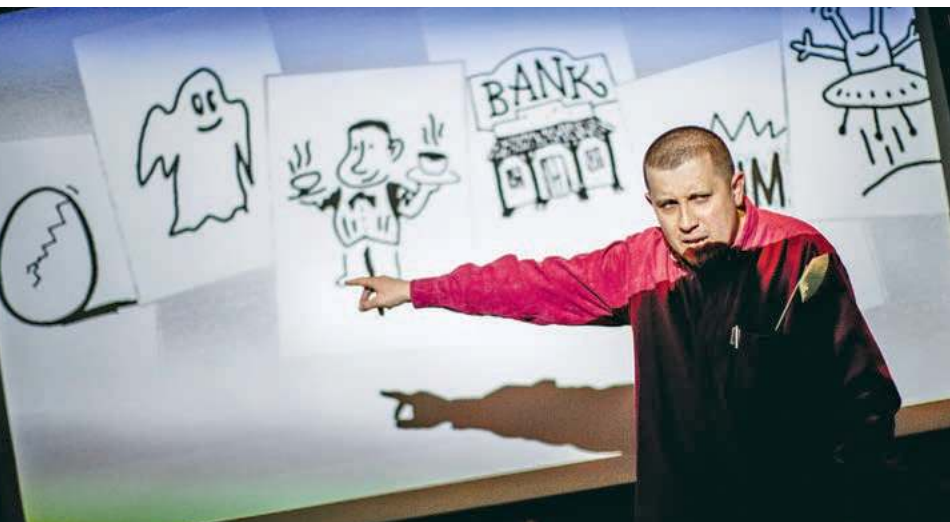
bie nawet wyobrazić dawny przebieg ulic. Mimo to, a może właśnie dlatego, Muranów robi ogromne wrażenie, także jako miejsce niepamięci, wyparcia. Dowód, że przeszłości nie da się wymazać. To wisi w powietrzu. Zawsze można to było poczuć. Między innymi dzięki książce Beaty Chomątowskiej [„Stacja Muranów” – red.] świadomość tej historii dotarła do wielu ludzi.

Syjonizm ze swoim silnym zakorzenieniem z jednej strony, umasowiona pamięć stworzona pod turystów z drugiej – istnieje trzecia droga?

W Moskwie jest Muzeum Żydowskie i Centrum Tolerancji. Mieści się w budynku dawnej zajezdni autobusów, zaprojektowanej przez Konstantina Mielnikowa. To skarb awangardowej architektury lat 20. XX w. Mielnikow nie tylko zaprojektował ściany, ale też wymyślił nowy, wcześniej nieznan system parkowania, który nazwał zasadą prostego przepływu. Mielnikow zaoszczędził miejsce i ograniczył liczbę koniecznych manewrów. Udrożnił budynek, połączył dom i drogę. W pewnym sensie zrealizował ideę żywego planu, który ciągle się zmienia, jest w ruchu.

MARCIN WICHA jest grafikiem, projektantem, eseistą, pisarzem, autorem książek dla dzieci. W 2015 r. wydał tom prozy autobiograficznej „Jak przestałem kochać design”, dwa lata później „Rzeczy, których nie wyrzuciłem”, za które otrzymał Paszport „Polityki”.

Obok: Marcin Wicha podczas warsztatów z dziećmi na Festiwalu Conrada, Kraków, 2012 r.



GRZEGORZ ZIEMIŃSKI / WWW.FOTOHUTA.PL DLA KBF



Muzeum Żydowskie i Centrum Tolerancji w Moskwie

Po latach zajezdnię przeniesiono, budynek zmieniał przeznaczenie, aż w 2012 r. urządzili w nim Muzeum Żydowskie, którego częścią jest Centrum Awangardy. Taka osobna antresola, gdzie odbywają się wykłady i spotkania. Na stołach leżą książki i albumy o awangardzie. Można po prostu usiąść i czytać.

Jak to się wiąże z rosyjskimi Żydami?

Może dyrekcja Muzeum chciała się odwołać do tradycji miejsca? Awangarda przyciąga turystów. Oczywiście na tej antresoli jest mnóstwo Chagalla, Lissitzky'ego i innych żydowskich twórców. Ale myślę, że nie chodzi tylko o kryterium etniczne. Awangarda zawsze ma w sobie coś mobilnego. Jest poszukiwaniem, przekraczaniem granic i wymyślaniem wszystkiego od nowa. Otóż, nawet gdy patrzę na historię swojej rodziny, myślę o swoich pradziadkach – właśnie te rzeczy kojarzą mi się z żydostwem. Niepokój, brak zakorzenienia, wędrówka.

Tę cechę często antysemita wykorzystywali jako swój oręż.

Zapewne. Mnie ta cecha interesuje. Także jako coś, co się wyraża w architekturze, designie, grafice.

W Pana książkach pojawia się wiele przedmiotów naznaczonych emocjonalnie, choćby stolik – jedyny przedmiot ocalały z przedwojennego domu rodziców Pana matki. Mówił Pan o ruchu napędzającym design, ale rzeczy również zakorzeniają nas w świecie, dają poczucie bezpieczeństwa.

Raczej przeciwnie. Najpierw opowiadają o przedwojennym mieszkaniu, przestronnym, zasobnym, pełnym pięknych rzeczy. Potem okazuje się, że z tego wszystkiego ocalał tylko jeden niewygodny stolik. To nie daje poczucia bezpieczeństwa.

Mówi to Pan jako designer?

Trochę tak, bo przedmioty opowiadają nam o swoich użytkownikach, ale też projektantach.

Opowiadają o ludziach, którzy je wymyślili i zrobili. Pokazują, jak wyobrażali sobie przyszłość. Często przedmioty są mimowolnym świadectwem uprzedzeń, przesądów, ograniczeń swoich czasów. Albo po prostu braku wyobraźni. Gdyby projektanci stołów brali pod uwagę możliwość nalotów bombowych, pewnie wymyśliliby je inaczej. Może byłyby solidniejsze?

Design, czyli niepoprawny optymizm?

Bo zakłada, że każdą rzecz można zrobić na nowo i lepiej.

W polskiej literaturze po 1989 roku zaroilo się od przedmiotów. Huelle, Chwin, Tokarczuk, ale też Myśliwski – wszyscy na nowo uwierzyli w rzeczy.





⇒ Przedmioty, które obiecują zakorzenie, rzadko dotrzymują słowa. Raczej podważają wiarę w stabilność świata. Moim zdaniem opowieść o rzeczach to historia nieciągłości i braku zakorzenienia. Także historię Zagłady opowiadamy czy próbujemy opowiedzieć w ten sposób, prawda? Mówimy o prześcieradłach, obrusach, pierzynach. O łyżeczce. O porcelanie, butach i tak dalej.

Kiedy pan mówi „zakorzenie”, to zaraz myślimy o domu. Ale jakim domu? Na Grochowie, gdzie rozmawiamy, są socjalistyczne spółdzielnie mieszkaniowe z lat 30., blokowiska z czasów Gierka, strzeżone osiedla okresu transformacji. A deweloperzy już budują kolejne domy. Okazuje się, że co kilka, kilkanaście lat zmienia się pomysł na to, jak ma wyglądać ta przestrzeń. Jak urządzić ludziom życie. Jak łączyć to, co indywidualne, z tym, co wspólne.

Niektóre z pomysłów są akceptowane, inne odrzucane przez mieszkańców. Budynki i podwórka stają się zapisem zmagania, prób dostosowania przestrzeni do swoich potrzeb.

Niedaleko stoi blok, w którym w latach 50. zainstalowano pierwsze eksperymentalne meblościanki. Akademicy wymyślili i zaprojektowali, jak ludzie powinni gromadzić, segregować, przechowywać przedmioty. Ile ich potrzebują, jak mają je eksponować, pomieścić...

Chcę powiedzieć, że kiedy przyjrzymy się architekturze, nawet banalnej, ale także meblom czy książkom, to odczytamy historię poszukiwania, ścierania się, zmiany. Myślę, że to jest interesujące, nawet literacko.

Ten palimpsest pokazuje, że design nie dotyczy właściwie teraźniejszości. To zawsze projektowanie przyszłości bolesnych nauczek na podstawie z przeszłości – zamknięte koło nadziei i rozczarowania.

No tak, chociaż zdarzają się wyjątki – przedmioty, które nie zmieniają się przez dekady, a nawet wieki. Jak łyżka. Albo ołówek, który na początku XIX wieku wyglądał z grubsza tak samo jak dziś. Albo nożyczki, chociaż tutaj warto pomyśleć, ile musiało się zmienić w społeczeństwie, w wychowaniu, myśleniu o jedno-

■ Awangarda jest poszukiwaniem, przekraczaniem granic i **wymyślaniem wszystkiego od nowa**. Nawet gdy patrzę na historię swojej rodziny, właśnie te rzeczy kojarzą mi się z żydostwem. Niepokój, brak zakorzenienia, wędrownika.

stce, żeby pojawiły się na rynku nożyczki dla leworęcznych.

Szkoda, że tak rzadko mówimy o przeszłości przez pryzmat pojedynczych rzeczy.

Można się tak bawić. Na przykład opowiedzieć historię swojego życia z perspektywy torby foliowej. Pamiętam jeszcze sprzedawców toreb. Na bazarach czy w przejściach podziemnych trwał handel naręczny torbami. Były na nich kotki, reklamy Marlboro albo logo sieci Aldi. W gospodarce niedoboru taką torbę ceniono, starannie przechowywano. Potem przyszedł kapitalizm – a z nim cienkie torbki, którymi zaczęli nas obrzucać w supermarketach. W domach trzeba było mieć osobną szufladę na cały ten plastik. Szybko się okazało, że kupując pomidory i sałatę ściągnęliśmy na świat katastrofę ekologiczną. Ostatnio naukowcy odkryli te torby nawet na dnie Rowu Mriańskiego. Nie mówiąc o tym, że jesienią

■ Przedmioty, które obiecują zakorzenie, rzadko dotrzymują słowa. Raczej podważają wiarę w stabilność świata.

powiewają na gałęziach – za czasów ministra Szyszki ten problem częściowo rozwiązano, wycinając drzewa. I tak wróciła moda na torby z płótna.

Nie tak dawno temu foliówki były symbolem postępu, jak zresztą wiele innych rzeczy z tworzyw sztucznych, które tak szybko popadły w niełaskę.

To ciekawy moment w historii rzeczy i historii projektowania. Jeszcze niedawno to była oczywistość – projektant dodaje. To znaczy: wymyśla nowe, lepsze przedmioty, które zastępują stare. Od pewnego czasu rozumiemy, że problem leży gdzie indziej. Musimy sobie poradzić z tą masą niepotrzebnych rzeczy, które już istnieją. To wyzwanie, gigantyczna zmiana w myśleniu, powiedziałbym – zmiana paradygmatu.

Pana niesentymentalny stosunek do rzeczy da się połączyć z żydowską tradycją bycia w ruchu – przymusowym niezakorzeniem, o którym mówiliśmy wcześniej?

Wszystko można powiązać z żydowską tożsamością i tradycją, ale myślę, że to jest w ogóle charakterystyczne dla Europy Środkowej. W tej części świata każdy ma przodków, znajomych, sąsiadów, którzy kiedyś musieli się spakować i ruszyć w drogę. Zresztą to doświadczenie całego świata. Ludzkość jest w ruchu, wędruje. Nikt tego nie zatrzyma, choćby obiecał zbudować mury na wszystkich granicach i wyrzucić tę resztkę Żydów, z którymi nie rozprawili się poprzednicy.

Design jako doświadczenie nowoczesności?

Jedno z doświadczeń. Design zrodził się jako skutek rewolucji przemysłowej. W rozpędzonym świecie, gdzie wszystko może się przydarzyć. W jakimś sensie – parking autobusów Leyland i statki, które z Bremy czy Hamburga wiozły polskich imigrantów, i współczesny kryzys uchodźczy – to wszystko ma coś wspólnego. Wszędzie widzimy ten sam ruch. A *design* to próba, czasem naiwna, przystosowania się do życia w ruchu. Zaplanowania przyszłości. Nadania jej jakiegoś porządku. Myślę, że w świecie zakorzenionym *design* nie byłby do niego potrzebny.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

regionalny biznes,
ciekawy design,
dobry smak,
wartościowe
inicjatywy,
atrakcyjne miejsca
pod wspólną marką

made in
MAŁOPOLSKA



SVTJON

28. FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ
22.06–01.07.2018 KRAKÓW
JEWISHFESTIVAL.PL

28. Festiwal Kultury Żydowskiej odbywa się pod Patronatem Honorowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w roku 100-lecia Odzyskania Niepodległości 1918 – 2018



28. FKŻ jest współfinansowany ze środków Miasta Krakowa



Partnerem głównym 28. FKŻ jest Województwo Małopolskie



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Partnerzy medialni:

